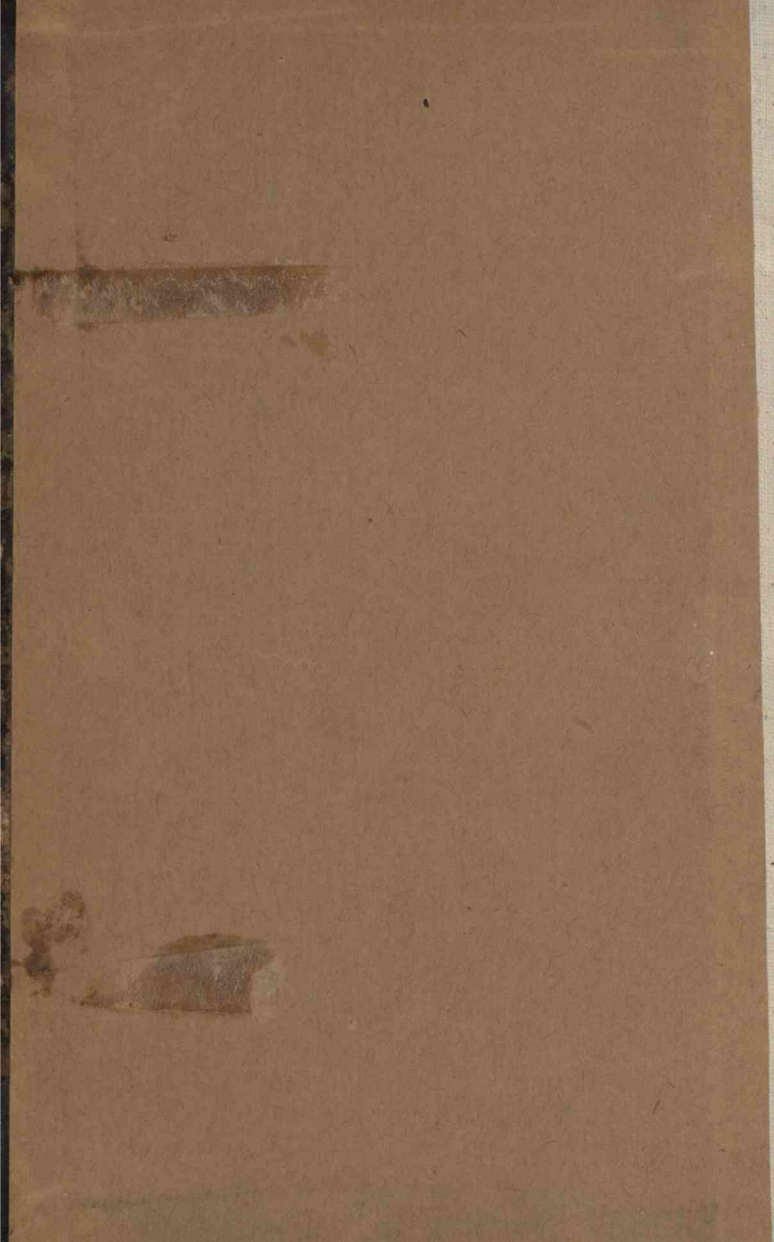


Tow. Przyjaciół Nauk w Przemysłu.

	D
/	

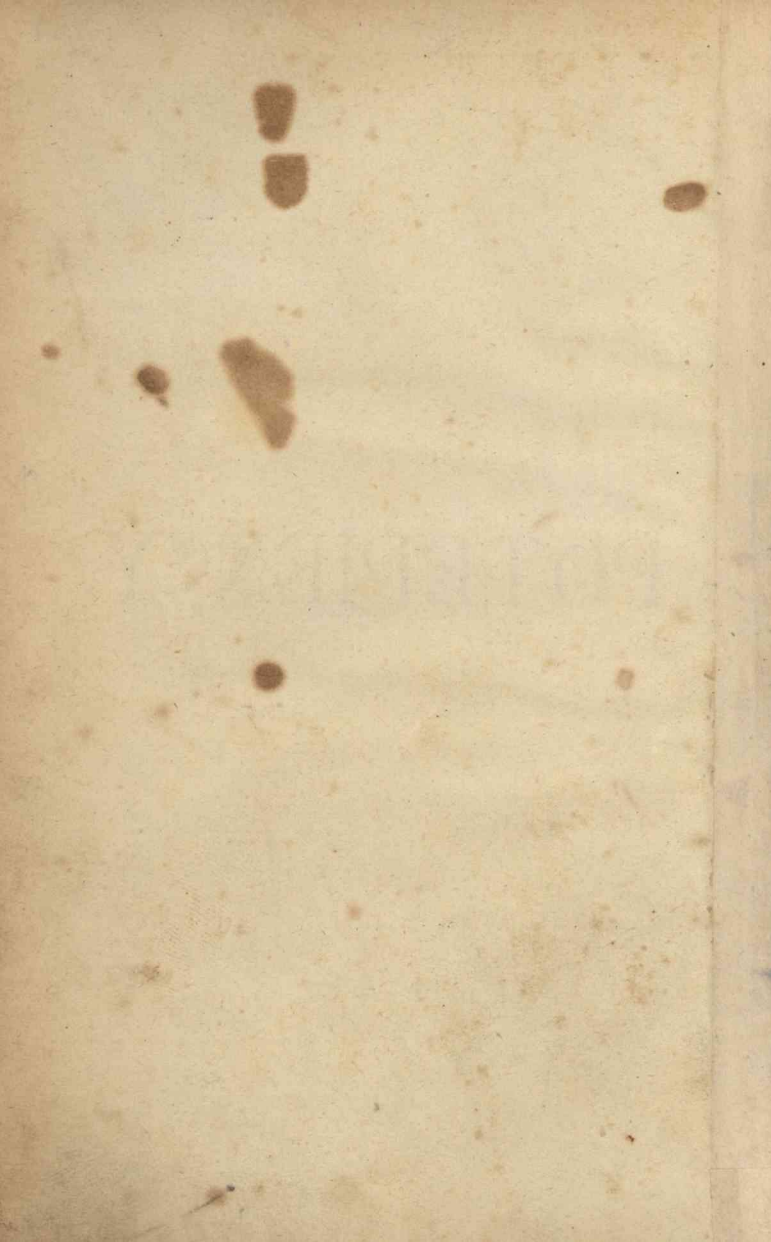






17

POTEPÍENÝ



3127432

MICHAŁ SYNORADZKI



~~L. 505~~

# POTEPIEŃCY

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

505

Tom I

~~URZĘDNI. TOW. W. KRAKOWIE~~

~~STRONA IV.~~

WARSZAWA

Nakład i druk Synów St. Niemiry

Plac Warecki № 4

1904

S



1000171956

A-20816/1

Дозволено Цензурою.  
Варшава 10 Юня 1903 года.

Liter 13 a

**BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN**

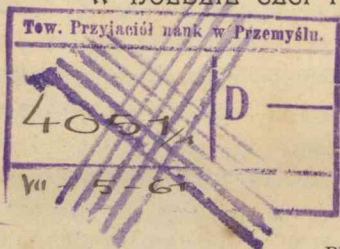
K. 160/56/1602



ŻONIE MOJEJ

# Walentynie z Chądryńskich

W HOŁDZIE CZCI I PRZYWIĄZANIA



PRACĘ NINIEJSZĄ

ofiaruję.



SOLE AGENTS

Waldemar & Co. Ltd.

100, Market Street, Singapore



SOLE AGENTS

## I

Osobliwy mieli pozór ludzie, którzy od wczesnego rana, dnia sierpniowego, roku Pańskiego 1438, do starego Krakowa z różnych stron ściągali. Pierwszy rzut oka przekonywał, że niezwykle to napływ do miasta, bo nawet pora odpustu ani jarmarczna takich nie sprowadza gromad. Gęste one były i chociaż płynęły nie jako rzeka—w masie jednolitej, jeno na kupy mniejsze lub większe porozszczepywane, aleć odrazu wymiarkować mogłeś, iż pomiędzy oną powodzią spólna myśl panowała... Z pod jednego przytem najwidoczniej pochodziły powołania — rzemieślniczego i wszelkiej biedoty miejskiej. Patrzyło im z oczu niedobrze — ponuro, groźnie... Każdy niemal pałę, krzemieniami nabijaną, trzymał, a u tego i owego spostrzegłeś to młot, to nóż obosieczny, to insze narzędzie, którem dłoń krzepka pewne zawdy ciosy zadaje...

Bacznie się tym gromadom przyglądał dziarskiemu towarzyszący rycerzowi pachol, chłop zaszły już w lata, a tak gruby, jak beczka. Wydawał się jakby ulanym z sadła, bary miał niedźwiedzie, nogi kabłakowate, twarz wydętą, oczy wylupiaste, nochal zadar-

ty, a pięści niby poduszki. Zadzierzystość i buta z jego przezierają miny, być może udane.

Zwał się on grubas Bartoszem Paluchem, a pan jego, Zbigniew z Oporowa, Jelitezyk, należał do kwiatu rycerstwa, pochodził z rodziny możnej i szanowanej ogólnie. Dziarski to był, jak się rzekło, młodzian, wiosnę życia rozpoczął, urodziwość nadto taką posiadał, że każda niewiasta z lubością poglądała na jego lica smagłe, uśmiechnięte, pierwszym puchem męskości zarosłe, pewne siebie i dzielności pełne. Dziewki do niego podobnego męża sobie życzyły, a matki synów podobnych,

Gruby pachół snąc gadułą był, bo wciąż coś prawił, nie zważając, zali go pan słucha, czy nie. A odzywał się tak, jakoby do zażyłości ze swoim rycerzem miał prawo. Tłumy, snujące się po gościńcu, nie podobają mu się. Patrzył na nie z pod oka, głową trząsał, marszczył się, wąsa stroszył i na szkapie, jak sam spaślej, niespokojnie kręcił.

— Wali ono tałalajstwo, jakoby na jaką wojnę dziadowską — mruczał do siebie. — Jeden w drugiego szubienicy wart, szyjębym za to dał... Coś złego ich do Krakowa pcha, jakiś kaduk, nie może inaczej być...

Po chwili do pana się zwrócił:

— Proszę ja waszej cześci, miarkuję ono, żeśmy się w zły czas do Krakowa wybrali...

— Czemu, baryło? — zapytał Zbigniew.

— Wasza cześć zawdy mnie musi pięknem potraktować słowem — obruszył się na nazwę baryły pachół. — Bóg zapłać! Ale powiem, że taki traktament niech psi jedzą... Jaką mi urodę dano, taką noszę, Bogu nie bluźnię, innym smagłości nie zazdroszczę...

Inszy, choć smagły niby topola, z grubym o lepsze mierzyć się nie może, gdy przyjdzie do czego... I pi-skorz smagły, i węgorz też, a przecież szczuka brzuchata w smaku przed niemi idzie. Zresztą - do gustu to... Nie chwalcę się, choć-em trocha laty waszą cześć przeszedł, zawdy niewiasty chętniej na mnie pozie-rają, niż na smaglaków. Słusznie czynią: co tłusty schab, to nie wędzona kielbasa...

— Ejże! brykasz ozorem nazbyt...— pogroził żar-tobliwie rycerz.

— Nie brykam, lecz prawdę mówię. Kole ona w oczy, ale na zdrowie rozumu idzie — odciął Paluch szparko.—Chrześcijanin jestem grzeczny, po Bożemu na świat przyszedłem, po Bożemu żyję, a żem dużo rze-czy oglądał, dużo praktyk przechodził, tedy mam o czem gadać i posłuchać mnie warto...

— Miesz lada co i kwita— rozśmiał się rycerz.— Patrzajże: po Bożemu na świat przyszedł! Alboż wiesz, ty góro łoju, faso jedna, jakieś na świat przyszedł?

— Spodziewam się, żem świadom! Ma wasza cześć wiedzieć, że przyszedłem wcale nie lekko. Macierz dwa dni i dwie noce nieustając krzyczała, zanim się mnie z łona pozbyła, a tatulo przytem dostał tak od niej po pyskach, że mu one spuchły, jakoby po wsadze-niu łba do ula rojnego. Więc w boleściach zrodzon; więc według Pisma, po Bożemu, nie jak inszy, co to zanim macierz krzyknie: „aj! aj!“— jużci przez sma-głość swoją na świat rwie... Ale mniejsza z tem, chwa-lić się nie lubię... Inszą ja rzecz mam na myśli i by-łoby sprawiedliwie, żeby wasza miłość nad nią się za-stanowił.

— Nad czemże, warchole?

— Jest! Znow traktament... Niech ja sobie w gębie waszej cześci będę warcholem, fasa, baryła, to mnie ani obchodzi, ani uraża. Sługiwałem jeszcze nieboszczykowi rodzicielowi waszemu, który także był w języku szparki, więcem nawykł słuchać przeróżnych niepotem. Gdyby kto inszy mnie tak traktował, no... obaczylby! Wasza cześć co innego. Owóz... radzę waszej miłości zastanowić się: czy dobrze poczynamy, jadąc w taki czas do Krakowa? W tem sęk!

— W jaki czas? Oszalałeś chyba! Droga przestronna, pogoda aż miło, syciśmy obaj... czego więcej chcieć?

To mówiąc, ramiony wzruszył pan Zbigniew.

— Młodość to z uściech miłości waszej takie wypędza słowa, młodość niedoświadczona, która się z przygodami nie liczy i przyczyn, ani skutków nie szuka... Jużć droga przestronna, to słuszne, co zaś do sytości i pogody, na to się nie zgodzę. Wasza miłość lada kąskiem się zadowoli, ja zaś inaczej. Dla mnie fundamentalnie posilać się trzeba... i zakropić też należyście...

— Znają cię z tego, żeś żarłok i opój!

— Boże, przyjmij to poniewieranie za moje grzechy! I z tem furda. Niech będę i żarłokiem, i opojem... Wasza cześć powiada; „pogoda aż miło“—a ja rzeke: dyabelska to pogoda, w piekle takiej szukać... Toćże słońce praży, jak zarzewiem. Uważam, że na skwarke się usmażę, zanim do Krakowa dojadę... Ani chybi.

TA Paluch znow westchnął żałośnie i dalej ciągnął:

— Pogoda aż miło... Taka to miła pogoda, która, przez spiekotę, ludziom w głowach przewraca, że się

do haniebności porywają i wstępy sobie wzajem czynią, spokój mając... Pogoda aż miło, która takich owychmyzów, ze wszystkich zamtużów i inszych nór łajdackich wypędza, gnając do Krakowa wtedy właśnie, kiedy myśmy się tam wybrali... Niech jeno wasza cześć spojrzy na te kupy, co to rosną i rosną, a biorą się nie wiedzieć skąd? Jakem chrześcijanin pobożny i gorliwy, tak to oberwańcy z szubienic wszystkich krajów! Co za pyski obrzydliwe? Jakie ślepia wileze! A obdrapane wszystko! a bez koszuli na grzbietach... I po co oni łotrzykowie do Krakowa tak gromadnie wala? Z niczem dobrem! Przeczuwam — nawarzą tam piwa tak kwaśnego, że wszystkie żaby wytruć niem będzie można...

Zbigniew teraz dopiero uważniej rozglądać się począł w gromadach podróżnych i w duchu musiał słuszność gadatliwemu przyznać słudze. Głową wstrząsnawszy, rzekł:

— Twoja prawda! Ludziom onym niepoczciwie z oczu patrzy...

— Co niepoczciwie? Im całkiem gałgańsko z oczu patrzy!—podechwycił Paluch. — Wszystkich do jednego w wór zawiązałbym i na stos, a popiół na cztery wiatry! Tak mi, Patronie mój święty w chwili skonania z pomocą pośpiesz... Tedy skoro wasza cześć słuszność mi przyznawa, możeby wrócić? możeby się sprawnie dowiedzieć, na co się w Krakowie zanosi?

— Bredzisz! Tehórzem jesteś, byłeś i pozostaniesz... Co się pod bokiem króla, Zbyszka z Oleśnicy, tyłu senatorów i tak silnego zastępu rycerstwa ma stać?

— Małoż to się niegodziwości pod ich bokiem dzieje? A zważcie, wasza miłość, że znaki na niebie

i ziemi sroższe jeszcze przepowiadają klęski... Toć niedawno oglądano miotłę ognistą długości nieskończonej, co krwawiła firmament przez wiele nocy... Słońce potem wschodziło, ukoronowane pękami promieni czarnych, a dokoła miesiąca krwawe się imaginowały miecze... A czy nie widziano nocy pewnej na niebie oblicza Pana Jezusa, jako się na chuście Weroniki świętej odbiło? A czy pątnicy nie przynosili z miejsc cudownych pism, od tronu Bożego pochodzących? A ona zima latosia, co bez mrozów całkiem się obeszła, ósród której moc wielka ukazała się myszy, co spichlerze po wsiach plondrowały i pustoszyły okrutnie? A one upały, co nam wszetecznie doskwierają, że człowiek z sił opada? To wszystko nie dobrego nie wróży...

Zasapał się od gadania Paluch, a Zbigniew i w tem mu przyznać słusność musiał. Wszystkie wyliczone znaki osobliwe istotnie oglądano, z nich zaś strach padał na ludzi, spodziewano się klęsk srogich, chociaż od śmierci Jagiełłowej kraj w ustawicznym udręczeniu zostawał. Boć wrzało na Litwie; boć psi synowie, Krzyżowcy, kasałi Polskę, acz ukruszonemi już zębami; boć i ordy tatarskie, z carzem Szachmetem, pustoszyły Podole; boć w samym też sercu kraju niezgodę i gwałty szerzyli tacy oto możnowładcy, jak: Spytek z Melsztyna, Abram ze Zbąszyna sędzia poznański, jak Strasz z Kościelnik, Dzierżko z Rytwian. Zamęt był wszędy, a chociaż u steru rządu stał mąż woli potężnej i potężnego umysłu, Zbigniew z Oleśnicy, pasterz krakowski, jednak obawiano się, czy te, tak już spracowane dłonie, zdołają nurty wezbrane wstrzymać i ukrócić. Aleć... nadzieję w Bogu pokładano, bo Polska Mu zawsze służyła wiernie.



— Kupy podejrzany mają wygląd — powtórzył Zbigniew z zastanowieniem i to bowiem dostrzegł, że twarze dziwnych podróżnych były nadzwyczajnie podniecone, a nawet usłyszał gwary do myślenia dające:

— Hocz z nami! Tęga to głowa! On się w imieniu naszym o sprawiedliwość upomni... Musimy ją otrzymać!

Wiedział Zbigniew, że Przedbór Hocz, mieszczanin krakowski, był ulubieńcem pospólstwa, miłość zaś tę pozyskał zawsze w obronie biednych i uciśnionych stając. Podobała się również tłumom jego śmiałość i krzykliwość. Na rajców, na ławników, na sądy, głośno wygadywał za to, że poborami i opłatami ludzi biednych krzywdzą, co snadno przyjaciół mu jednało...

Czy postępowanie Hocza było szczere? czy też z góry, dla widoków osobistych, uplanowane? — o tem różnie prawiono. Dość jednak, że drogi obranej trzymał się stale i coraz zuchwalej na rajców nacierał. Często jego wystąpienia doprowadzały do groźnych tumultów, które na tem się kończyły, że musiano mu ustępować. Burmistrzował sobie wśród gawiedzi, jak królik, a panowie rajcy nie mu uczynić nie mogli, chociaż z całego serca go niecierpieli i radzi byliby go z miasta wyżenić. Porwać się zaś na niego nie mogli z tej przyczyny, że był osiadłym, zamożnym, i że w obronie jego stanęłyby tłumy i liczni krewniacy, którzy się za rece trzymali oraz sprawy swoje popierać umieli, wiedząc któredy trafić bodaj na zamek. To wszystko pozwalało Hoczowi warcholić bezkarnie i coraz więcej go ośmielało.

Z tej strony znając Hocza, łatwo mógł się Zbigniew domyśleć, że to on burzę jaką nową, przeciwko

rajcom zwróconą, nad Krakowem zawiesił, ale pan z Oporowa niewiele podobne tumulty ważył. Więcej z nich wrzasku bywało niż bolu... Wykrzyczy się gawiedź, zółci sobie tym sposobem upuści, nikomu krzywdy nie czyniąc. Paluch przecież, acz prostak, który też Hocza znał, inaczej patrzył na domniemaną burzę.

— Proszę ja waszej cześci—mówił—skoro to gałgaństwo taką chmarą wali, a każdy w garści coś do grzmocenia trzyma i o onym gębaczu przebąkuje, to ani chybi na coś grubego się zanosi. Wasza cześć tchórza mi zadawa? Zgoda i na tchórza, chociaż to nieprawda, bo gdy trzeba, nie braknie mi animuszu, ni fantazyi... Aleć Boże przykazanie zaleca: „sam nie zabijaj i życie swoje szanuj“, więc chrześcijaninem będąc dobrym, o zbawieniu dusznem pamiętając, stosować się do tego muszę i skóry nie nadstawiam, gdzie trzepanina idzie... Wasza cześć rycerz, to insza rzecz. Rycerskie rzemiosło takie jest właśnie, żeby grzbiet do garbowania poddawać i leżać, gdzie gorąco. Ano — co komu smakuje: jednemu Kaśka, drugiemu Magda; jednemu marcepan, owemu kapusta z świńskim ogonem... Rycerzom jednak, ile że są zazwyczaj nadto krewcy, od tego przydani są pacholćkowie grzeczni i przezorni, żeby ich krewkość hamowali i rady mądre podczas przedstawiali. Tak też ja czynię i mówię: panie miły, zawróćmy z drogi... Niech się, co ma stać—stanie, wtedy do Krakowa trafimy. Wolna wola waszej cześci słuchać, albo...

— Albo gębę ci zamknąć!—przerwał zniecierpliwiony Zbigniew.—Zaprzestań bajdurzyć, baryło, bo mi uszy ścierpły. Rycerską-li byłoby rzeczą z drogi zawracać, że tam się gawiedź marna burzy? Opamiętaj

się, głupcze! Zresztą prawo moje i obowiązek zawdy przy panu miłościwym i jego pełnomocnikach stawać, gdy spokój zamaćony. W Krakowie, jeśli się coś zakwarzy, dadzą sobie radę beze mnie; od czego straż miejska i wiertelnicy? Nie przystoi rycerzowi z taką hołotą się rozprawiać... To jednak nie powód, żebym miał się od wrót miasta cofać...

— Święte i sprawiedliwe są słowa waszej cześci—stęknął Paluch, w łeb spocony się drapiąc.—Mądrość z ust waszych Salomonowa płynie... Kto mówi o zawracaniu? Ja o tem anim pomyślał! Radzę jeno zatrzymać się, ot tak... dla odpoczynku... Dwory tu gęste, a do każdego pan z Oporowa wstęp ma na oścież otwarty... Rada dobra, bo gorąco coraz bardziej dokuca, obydwajśmy utrudzeni, a i szkapy ledwie się wloką... Zawracać i rzekomo ze strachu przed jakąś tam gawiedzią obdarta? Nigdy się to po mnie nie pokaże! Znają Bartka Palucha... Sam w sobie mam odwagę za dwudziestu, a obok waszej cześci na secinę się rzucę... Oho! Zawracać? Wiem przecież, że hołota na nas palca podnieść się w żadnym razie nie odważy. Mieliby się z pyszna złodzieje, gałgańskie nasienia... Odpoczynek miałem na myśli, proszę miłości waszej, odpoczynek godziwy w miejscu grzecznem, stanowi naszymu przystojnem. Tylko tyle... Przyznacie równie panie, iż nie miłego do miasta z taką tłuszcza haniebną wciągnąć... Wstręt bierze patrzeć na te karki plugawe...

Zbigniew nie słuchał, tłumy bacznie okiem mierzył, one zaś mu się z drogi usuwały, lecz nie tak skwapliwie i kornie, jak zazwyczaj. Widząc Paluch,

że pana nie przekona, szarpnął się gniewny, aż szkap pod nim zastękała.

— Utrapienia mam z tym moim rycerzem, co nie-miara!—mruzczał do siebie.—Niechby sobie sam w ogień lazył, ale dlaczego mnie ciągnie? Gdzie drwa rąbia, tam łącno o trzaski. Gawieź nie gawieź, a niech taki jeden i drugi obwieś takim oto obuchem, krzemieniami naszpikowanym, zwali, to najdzielniejszego rycerza dyabli porwą... Jechać za nim muszę, panem moim jest. Zemknę,—to gotów mnie, dogoniwszy, w kark huknąć, albo mieczykiem poczęstować. Taka to już z rodu natura szparka. Boże, ty widzisz mój frasunek! Po ludzku oto gadam, drugiby usłuchał i jeszcze podziękował, a on swoje i swoje. Trzeba mi było za radą macierzy iść i szaty klesze przywdziawszy, Godzinki przy kościele śpiewać, piwem chwale Bożej dopomagając... Nie: rodzicielowi zachciało się, żebym w rycerskie usługi poszedł — mam też ich do sytości. Wątroba od nich boli, a pożytek—żaden!

Spojrzał smutnie na brzuch opasły, ręką machnął i głowę zwiesił, medytując— czy mu się z onej burzy, która nad Krakowem wrzała, co nie oberwie? Strach czuł, bo wcale do odważnych się nie zaliczał i zawsze, gdy się w zawierusze znalazł, za plecy pana się chronił, jeśli nie dalej. Czasami, ostatecznością przyciśnięty, na odwagę rozpaczliwą się zdobywał, ale rzadko się to zdarzało. Jednak, że i ojciec jego, i dziad, i pradziad pono przy panach z Oporowa się trzymali, trzymał się i on, a przyznać trza, że był do rodu tego szczerze przywiązany. Jeżeli wyrzekął—to w strachu i ani myślał kiedykolwiek innego pana szukać. Dobrze mu było przy Jelitczykach, bo wierność jego oceniali i na roz-

maite wybryki przez szpary patrzyli. Mógł nawet nie stworzone rzeczy pleść głośno, czegoby inny szlachcic nie ścierpiał. Gadanie zaś należało do jego potrzeb nieodbitych, chociaż dziwił się, gdy go za gadulstwo gromiono i utrzymywał, że mniej nad niego żaden chyba na świecie człowiek gadać nie może.

Jak każdy szlachetnie urodzony, tak też pan z Oporowa do gawiedzi, zwłaszcza oberwanej i podejrzanej, odrazę czuł, nie z pogardy dla biedy (bo z przyrodzenia serce najlepsze posiadając, ubóstwo wspierał chętnie i szczodrze), ale z przesądu wynikającą; więc chociaż rad był się dowiedzieć—co one tłumy do stolicy ciągnie, wstrzymywał się, uważając za uwłaczenie godności stanu swego do motłochu się zniżać. Ciekawość jednak przemogła. Koniem pierwszą, mijającą go, gromadę przyparł i huknął:

— Bóg pomagaj! A dokąd tak zgrajnie?

— Bóg daj zdrowie... — odpowiedzieli zaczepieni nieco się zatrzymując. — Do Krakowa się idzie, jako wasza cześć domyśleć się może...

— Z jaką potrzebą? To chcę wiedzieć...

Ludzie z gromady łokciami trącać się zaczęli i spojżenia znaczące wymieniać.

— Gadajcież chamy!—naglił Zbigniew.

— Dla Boga! co czynicie, panie miły! Toć nas jeno dwóch, a ich bezlik, i tak patrzą na nas, że cierpkość po skórze chodzi... Zaniechajmy ich! — szepnął Paluch trwoźnie.

— Swoje tam mamy doczynki... Wasza miłość dowie się o nich, jeśli równie w tamtą stronę dąży — odparł Zbigniewowi dziad kołtuniasty i zezem patrzący. — Bogu waszą cześć polecamy!

Inny zaś obszarpaniec warknął:

— Panów rajców i żupnika Serafina rozumu idziem nauczyć!

Cała gromada śmiechem dzikim zarychotała i wykrzyknęła z jakąś zajadłością:

— Tak! Tak! Rozumu ich nauczyć idziem! — zaczem nie zwracając uwagi na rycerza, odeszli, wciąż śmiejąc się i pokrzykując.

Oburzyło to zuchwalstwo pana z Oporowa, ale utrzymał gniew na wodzy i tylko mruknął z pogardą:

— Capy! Paleby dla was się przydały... — a do Palucha się zwróciwszy, dodał: — Wypocznem, jako chciałeś, w tej oto dąbrowie, bo skwar i mnie dojadł.

Zjechali od gościńca na lewo, gdzie szumiała odwieczna dąbrowa, czasy Piastowe może, albo i dawniejsze pamiętająca.

Już teraz Zbigniew wątpliwości nie miał, że Hocz nowego figla przeciwko nienawistnym rajcom wymyślił; ale że się i na Mikołaja Serafina porwał, to go zastanawiało. Był Serafin przecież żupnikiem krakowskim, personą w stolicy znamienitą, człowiekiem niezmiernie możnym, mającym na zamku plecy bardzo silne. Żeby z nim zacząć, trzeba było odwagi nadzwyczajnej, szalonego niemal zuchwalstwa... \*)

W dąbrowie cień panował orzeźwiający, który nawet rumaki radosnem powitały rzeniem. Paluch, ucieszony rozporządzeniem pana i uważając je za skutek swoich rad przezornych, już otwierał usta, aby

---

\*) O możności Serafina daje pojęcie ta okoliczność, że trzymał on żupy solne za 16,000 grzywien rocznie.

mnogimi słowy oddać mu pochwały, naraz zatrzymał potok wymowy i szepnął:

— Niech wasza łaskawość tam spojrzy...

— Co znowu? — zapytał Zbigniew niechętnie, a rzuciwszy okiem we wskazanym przez sługę kierunku, dłonią machnął, mówiąc: — Ludzie jacyś, snąc podróżni, jak my, na wypoczynek w chłodzie tu zboczyli.

— Ale, proszę waszej cześci, sporo ich jest, wszystko chłopcy na schwał, orężni... Ba! budę sobie z płótna wystawili... Może to, na psa urok, zasadzka...

— Wstydz się stary!—ofuknął podejrzliwego Bartosza Zbigniew— na każdym kroku zasadzki i niebezpieczeństwa upatrujesz. Podróżni jacyś rycerscy i dostatni, a ta buda to namiot wcale foremny, jeno dziwnego kształtu... Niech sobie wypoczywają, ile chcą, my o sobie myślmy.

Paluch jednak, zamiast się uspokoić, schwycił pana za ramię i drżąc, jął bąkać śpiesznie:

— Nic tu po nas, panie mój! Nic tu po nas! Umykajmy z dobrem zdrowiem... Matko nieprzebranego miłosierdzia! Patroni święci! Anieli Stróże niebiescy... miejcie nas w swojej opiece...

I na szkape, z której już był zsiadł, jął się gramolić.

— W oman wpadłeś, faso! Giez cię ukąsił? Czego ci strach?

— Drała! drała! wasza cześć, póki czas! Baranku Boży, zmiłuj się nad nami! Toćże to poganie oczywiści...—bełkotał Paluch przerażony.—Na nas umyślnie może dybali... Panie! uciekajmy, bo ich pewnie jeszcze cała chmara gdzie w pobliżu się zaszyła... A! złodzieje, ścierwo dla kruków, aż tu zagony zapuścili...

— Skądże ci się pogaństwo uroiło? Ludzie, uważam, spokojni...

— Spokojni! Już ja się nie chcę z takimi spokojnymi witać... Skąd mi się uroiło? A spojrzycie, wasza cześć, na czub onego foremnego (jako rzekliście) namiotu? Co tam przyczepione? Nie godło-li to plugawego pogaństwa... Drała! panie miły, hajda! pókiśmy w całych skórach...

Szczyt namiotu był istotnie ozdobiony złocistym półksiężycem, ale też Zbigniew dostrzegł, że nad nim krzyż, również złocisty, promieniał, więc odrazu zrozumiał, że obawa żadna nie zachodzi, co też, z trudnością, Paluchowi wytłumaczyć zdołał.

Odetchnął brzuchacz, lecz podejrzeń się nie pozbył, wciąż z trwogą spoglądał na namiot, rozpięty rzeczywiście w kształt osobliwy; gdy zaś zobaczył, że zbliża się stamtąd człowiek jakiś, znów jął się trapić srodze:

— Wasza cześć, miejmy się na ostrożności. Ida na nas!

— Milez, do kata, bo oberwiesz! — fuknął Zbigniew, a zwracając się do nadchodzącego, zapytał:

— Co tam?

Zapytany, śnać równie, jak Paluch, pacholek w służbie dostatniego rycerza, chłop krępy, o bystrem spojrzeniu, układny, skłonił się przystojnie i odparł:

— Sługa pana Świdwy Węza z Rokitnicy jestem. Spotkał się on w drodze z panem Janem Sulimą z Włodkowicz. Obydwaj opodał waszej cześci wypoczywają...

— I może przysyłają cię, żebyś nas stąd gnał, mój mądralo? — przerwał Paluch, niespokojnie w oczy



mówiącego patrząc; ten zaś, poglądawszy na niego, udał wielkie zdziwienie, w dłonie plasnął i rzekł:

— Dla Boga! Bydlę ludzkim głosem gada... Ale też się ono miłości waszej udało! W żadnym chlewie takiego opasa nie naleźć.

Porwał się do niego Paluch:

— Bydłeciem mnie nazwałś? Nauczę cię... ty jakiś!

A tamten, krwi zimnej nie tracąc:

— Ino daj spokój. Do pana twego przyslanym, nie do ciebie. Bez powodu mnie zaczepiłeś, jam ci odpłacił. Sprawię poselstwo, to i z tobą się sprawię. Będą mieli więcej ścierwa na kiełbasy rzeźnicy w Krakowie...

— Toś mu dogodził, niech cię nie znam! — rozśmiał się szczerze Zbigniew.—Naucz się, baryło, nosa między wrota nie sadzać. Dobrze ci tak. A ty, junaku, sprawiaj, co masz.

— Owo pan mój, zoczywszy waszą łaskawość — ciągnął dworak—osobę znamienitą odgadł i prosi pocziwie, zali z wołą waszą będzie pod jego namiotem, w wygodzie większej, wypocząć.

Zbigniew bez namysłu zaproszenie przyjął, bo obu onych ziemian znał ze słyszenia. Moźni byli, wielkich zalet, zbliżenie się do nich młodzieńcowi pożytek przynieść mogło. Jan z Włodkowiez w wielu bitwach świetnie się odznaczył, zwłaszcza w niedawnej z orzą tatarską. Świdwa cały świat pono zjeździł, pod sztandarami najpierwszych potęg cudzoziemskich wawrzyny za męstwo nieustraszone zdobywał, w wszelkich kunsztach pięknych się miłował, a tak miał być uczony, że nie było księgi, o którejby nie wiedział. Powiada-

no, że owa mądrość klepki mu trocha pomieszała, ale fałsz to wierutny. Dziwaczył nieco, rozum wszakże miał zdrowy.

Paluch widząc, że pan jego skwapliwie na zaproszenie dąży, mruknął:

— Jeśli gościna będzie tak miła, jak szcekacz, co na nią zapraszał, to wolałbym bobem surowym się obejść. A powiadają jaki kram, taki pan...

Ze złością na pachółka Świdwy zerknął, który roześmiał się wesoło, po ramieniu go uderzył i rzekł bez pasyi:

— Wypłwaj żółć, towarzyszu, zalim ci w czem zawinił? Sameś się do mnie przyczepił, jako oset do runa baraniego, jam ci zapłacił, i zgoda. A co gościny — nie obawiaj się. Bobu ci nie dam, to nie moja strawa. Udziec sarni się najdzie i coś tam jeszcze; zaś na ugaszenie pragnienia mamy tak godny trojniak że sam do gardzieli wpada. Pójdź bracie, tyś ino z wierzchu jeź, widzi mi się, ale we flakach poczciwość ci siedzi. Mnie Srokaczem zwa, a ciebie?

Grubas rozchmurzył się odrazu.

— Dla mądrych słów zawdy uszy mam otwarte — rzekł. — Nie czuję do ciebie żalu, kiedyś Srokacz, bo srokacz czasem wierzgnie, gdy mu co do łba strzeli, ale zacne zazwyczaj bywają tej maści szkapy. Mnie zwa Paluchem, a dlatego, że jednym swoim palcem więcej dokażę, niż inny obiema pięściami. Pódzwa na on udziec, a osobliwie na trojniak, z którym się pragnę zapoznać całym sercem.

W najlepszem porozumieniu udali się ku panom swoim, którzy już gwarzyli poufale, jakby starzy dróżbowie, snąc do upodobania wzajem sobie przypadłszy.

Sulima z pomiędzy nich najwięcej lat sobie liczył, pod czterdzieści, i miał też postawę najpoważniejszą. Wzrostu niewielkiego, muskularny, na twarzy jego, o wyrazistych, ostrych rysach, znać jeszcze było ślady niedawno poniesionych trudów wojennych. Była ta twarz isticie marsowa, bliznami poznaczona, cery ciemnej, od częstego spędzania czasu w obozach, spalona od skwarów, zgrubiała od wiatrów mroźnych.

Świdwa Wąż wzrostem go znacznie przewyższał, ciała zaś w sobie, w stosunku do tego wzrostu, nosił za mało. Na twarzy jego, gładkiej, delikatnej, malowała się tęskliwość jakaś, smutek głęboki, rozmarzenie. I głos do tego wyrazu się dostrajał: brzmiał miękko, pieściwie, płacząco. Dziwnie się ubierał, na wpół po arabsku, a to dziwniejsze jeszcze było, że oko prawe miał całkiem zasłonięte kawalcem blachy złotej, niby plastrem.

W namiocie, w którym przyjmował gości, znajdowała się jeszcze jedna osoba: był to Ademar, lutni-sta Świdwy, młodzienc oblicza niewieściego, z długimi włosami, spadającymi w lokach pokrętnych aż na ramiona. To dziecię poezyi napotkał Świdwa gdzieś w Prowancyi, a tak go polubił, że namówiwszy, przywiózł z sobą do Polski i wszędy go ze sobą prowadził.

Świdwa z usposobienia był narzucająco się gościnnym, podejmował też schwytyanych po drodze gości bardzo serdecznie, tembardziej, że traf mu nastreczył ludzi ze wszech miar na taką uprzejmość zasługujących. Jechał dworno i zapaśnie, bo lubiał i umiał się postawić, goście tedy zostali uraczeni bankietem, na którym chyba mleka ptasiego brakło. Okazało się, że

wszyscy trzej do jednego miejsca zmierzali — do Krakowa.

— Ja tłumaczył cel podróży swojej Zbigniew — pragnę bliżej ramienia naszego pana miłościwego zostawać. Pociąga mnie ku niemu nie urok majestatu, ale urok jego rycerskiego ducha. Nie znam go ściślej, widziałem jeno podczas koronacyi, słyszę jednak o nim siła. Ma posiadać wielkie serce, przystępny jest, dobrotliwy, a do wojennego rzemiosła taki go zapal rwie, taki animusz unosi, że gdy się patrzy, jak miecza dobywa, ochota w piersi rośnie, zda się, że człowiek skrzydeł u barków dostaje. Rycerzowi pod takim panem służyć — toć raj!

Na samo wspomnienie rozkoszy rycerskich, jakich sobie przy boku Władysława obiecywał, pan z Oporowa aż się rumienił i bujną, do grzywy lwiej podobną, czupryną potrząsał, co widząc Sulima wasa podkreślił, uśmiechnął się z zadowoleniem, jak się uśmiecha wódz doświadczony, gdy patrzy na fantazyę w ślady jego wstępujących młodzieńców, i rzekł:

— Oho! Jeliteczyków w was gra krew, Zbigniewie, nie odpadłeś od swego godnego rodu. Będą z was, Jagiellowicz i ojczyzna, mieli pociechę... Zaś o panu miłościwym słusznie wam powiadano. Młodzieńczyk on, piętnaście ma zaledwie lat, a już rycerzem jest w każdej piędzi. Spodziewania wielkie w nim pokładają wszyscy. Ja też się wlokę, z ran jako tako wygoiwszy, żeby przy nim stać.

— Zaiste i ja przedziwne rzeczy o rycerskości króla Władysława słyszę — odezwał się swoim głosem łagodnym Wąż. — Przepowiadają w nim drugiego siostrzana Karola Wielkiego, Rolanda, albo Roderyga

Diaza z Bivaru, inaczej Cydem, albo jeszcze Campeadorem zwanego, któremu, za cnoty wielkie, nocy pewnej Ś-ty Łazarz zwiastował...

Tu Świdwa do lutnisty się zwrócił:

— Jak to pieśń opowiada, dobry Ademarze?

Lutnista ujął swój oręż śpiewaczy i przy jego wotrze zanucił:

„Bóg cię kocha, Roderyku,  
I taka jest jego wola:  
Byś, cokolwiek bądź zamysłisz,  
W boju, czy też w innej sprawie,  
Zawsze z chwałą uskutecznił  
I rósł w sławę wiekopomną.  
Wszyscy drzeć przed tobą będą.  
I Maury, i chrześcijanie,  
Wrogowie cię nigdy w świecie  
Zwalczyć w boju nie zdołają.  
I chwalebna zejdziesz śmiercią—  
Jak zwycięzca nad wszystkimi“.

— Tak się też stało—podjął Wąż, gdy lutnista akordem dał znać, że skończył.—Spraw Boże i Panno Najświętsza, by nasz Władysław okazał się równie niezwyciężonym i ojezyźnie potęgi przysparzał.

— Spraw to Boże! — powtórzyli spółbieszcznicy, trącąc się kubkami, przedziwną napelnionymi małmazją.

Spełniono kubki jednym tchem, Zbigniew zaś, wszelkich spraw rycerskich ciekawy, jął prosić Sulimę, by rozpowiedział o niedawnej bitwie z ordą tatarską, w której sam uczestniczył i taki rozgłos zyskał.

Sulima zasepił się.

— Mam-li wam i sobie przypomnieniem klęski straszliwej ochotę truć?—zapytał niechętnie.

— Godzi się wszelkie kraju sprawy znać dokładnie — zauważył Zbigniew — z dobrych przykład, ze złych nauka płynie, jak ich unikać.

— Prawdęś rzekł—na to Sulima. Słuchajcież tedy, jak na nas spadło to nieszczęście...

Wargi odwilżywszy winem, tak opowiadał:

— Wiecie, że już z wiosną chodzić zaczęły pogłosy, jakoby Tatarzy o napaści na kraj nasz zamysłali. Sprawdziły się one rychło, bo oto około Świąt Zielonych wódz ich, Szachmet, z nieprzeliczoną ęmą ordy wtargnął na Podole i obyczajem pogańskim, wstręty okrutne jał niewinnym mieszkańcom czynić. Ilu ludzi tego czasu w plon wieczysty poszło; ilu starców i dzieci pod nożami lub od strzał bestyj dzikich padło; ile dziewczek srom poniosło; ile sadyb, po ograbieniu, w gruzy się rozpadło od pożarów, wznieconych przez rozszalałych wilków: Bogu jeno wiadomo... Olbrzymim rozpaczy jękiem rozbrzmiało nieszczęsne Podole, stało się jako jedno morze krwi i łez, jako jeden stos gorejącego jako jedno cmentarzysko, pełne trupów okrutnie porzniętych... Wydało się, że godzina Sądu Ostatniego wybiła, że ta klęska z niebios za grzechy ludzkie spadła... Jakoż inaczej niepodobna sobie wytłumaczyć onogo zdarzenia...

Poganie szaleli, niby najgwałtowniejsza burza, a uwijali się tak szybko, że zanim rycerstwo zgromadzić się zdążyło w zastępy, jużci umykali z łupem. Napadając, dla postrachu, na koniach wiedli bałwany potworne, w szaty ludzkie odziane, ogniem smrodliwym zionące...

Puściliśmy się za nimi w pogoń, dowództwo zaś nad nami trzymał rycerz nad rycerze—Michał Bucza-

eki, starosta podolski. Dopędziliśmy uchodzących, starosta — całkiem słusznie — postanowił uderzyć piorunowo, jak najgwałtowniej, gdyż znacznie nas liczbą przeważali.

Byliśmy pewni zwycięstwa — bo czy to dla nas nowina, zwłaszcza przy sprawnym wodzu, gromić ordy w dziesięcioro znaczniejsze? Bóg sprawił inaczej.

Poganie, niebezpieczeństwo czując, podstępny użyli. Obrali stanowisko za błotem bezdennem, jak klej łośwatym i gęstym, tam natarcia czekali. Rzuciliśmy się, zdrady ani domyślając, z impetem wielkim i oczywiście pierwsze szeregi, ugrzązłszy w błocie, wydały się na rzeź. Wojsko pozostałe zauważyć winno było, co się dzieje, obejść błota, od tyłu na ordę uderzyć i wygnieść ją, jako robactwo plugawe. Lecz dziwne zaślepienie spadło na oczy nasze... Nietylko, że nikt się nie pomiarkował, ale gdy resztki przednich hufów cofać się poczęły od trzęsawiska, szukając sposobniejszego do nowego natarcia miejsca, ktoś głośno krzyknął: „Zasię! Zasię!“ — tylne zaś hufy, źle zrozumiawszy to hasło, w mniemaniu, że wołano, aby uciekać, zmieszane, strwożone—śpiesznie rzuciły się do ucieczki.

Poganom w to graj! Spadli na rozproszone szyki, jako kundysy na osłabionego krwi upustem odyńca, opanowali je i ostateczną zadali klęskę. Noga prawie z naszych nie uszła, bo pohańców taka ogarnęła wściekłość, że jeno zabijali, ani myśląc o braniu w niewolę. Kara Boża!

Sulima głowę zwiesił, łzy otarł i po chwili kończył:

— Straszliwe to było dla nas pole... Zginęło kilkanaście tysięcy przedniejszego rycerstwa, mało nie

wszystka szlachta i sama prawie twierdza walecznej Rusi. Buczacki, Skarbek z Góry, Mikołaj Giza, Jan Kola... niema już was, tameście legli towarzysze mili, orły w bojach niedoścignione...

Dłonie załamał, czoło niemi oplótł i jęknął głucho, jak ten, któremu zabliznioną ranę miecz rozporze na nowo.

— A wy, Sulimo, jakimżeście ocalali sposobem?— zapytał Wąż.

— Ja? Cudem, zaprawdę—odparł Sulima, niby ze snu się budząc. — Poganie mnogie mi zadali rany, tak, że m padł między stopy trupów, półumarły. Przytomność mi wróciła, gdy Tatarzy odzież ściagać ze mnie zaczęli, ale udałem nieżywego. Obdarli mnie do naga. Gdy im przyszło ściagać obuwie, a sprzązki puścić nie chciały, oprawcy przerznięli je wzdłuż, tak, że miecz wyorał mi na nogach głębokie, do kości samej, rany. Anim drgnął. Potem, gdy pierścienia zdjąć nie mogli, palec z nim ucięli...

Mówiąc to, Sulima ukazał lewicę, przy której, zamiast palca wskazującego, kikut świeżo zablizniony widniał.

— I wtedy znaku życia nie dałem, to mnie uratowało... \*)— dorzucił.—Poganie mniemali, iżem bez duszy, więc też nie myśleli z trupem się zabawiać. Łupu

---

\*) Cała opowieść autentyczna. Długosz, wspominając o Sulimie z Włodkowicz, dodaje: „Chciałem pamięć jego potomności przekazać, bowiem za mężne wytrzymanie tak długich i straszliwych męczarni, godzien jest umieszczenia między bohaterami. Znać było jeszcze na jego ciele blizny, poświadczające prawdę tego podania, i ja sam, który o tem piszę, widziałem je własnymi oczyma“.



nabrawszy podostatkiem, co jeno mogli, w swoją po-  
ciągnęli stronę, wyjąc na znak radości tak rozgłośnie,  
że wszystko naokół drżało, a jam, słysząc to, płonął  
ze zgrozy. Słowem tego nie wypowiem, com czuł wów-  
czas... Żal mną targał, rozpacz bezgraniczna, omal nie  
bluźniłem Panu Bogu... Wierzajcie — nie męki zadane  
przez pohańców mi doskwierały, ale myśl, że ojczyzna,  
ta nasza macierz ukochana, tak sromotnej doznała po-  
niewierki...

— Sulimo mój—odezwał się Wąż, obejmując pana  
z Włodkowicz i ściskając go serdecznie—każden rodak  
strapienie wasze podziela, inaczej nie może być. Ali-  
ści myślę ja, że nie taka to sromotna poniewierka.  
Srom spada na pohańce, oni bowiem, haniebnego pod-  
stępu zażywszy, zwycięstwo nad nami osiągnęli... Nam,  
choć porażonym, chwała! Stawaliśmy przecież godnie,  
po rycersku, i z pewnością wszelką radowali się świę-  
ci Michał oraz Jerzy, przywódcy zastępów niebieskich,  
na waleczność naszą patrząc... Krzywda się stała na-  
rodowi, iż postradał tyle barków dzielnych, ale cześć  
ojczyzny krzywdy nie poniosła. Za krzywdę, Bóg to  
sprawi! zapłacim niewiernym setną miarą, sposobności  
doczekawszy. I znów rozbrzmi się dla oręża polskie-  
go w świecie okrzyk podziwu, i hołd mu oddawać  
będą narody, jako oddawały od wieków i po dziś dzień  
oddają... Nie na wiatr mówię, zdrowo na rzeczy pa-  
trzę. Jasnem jest — że kraj, takich, jak wy, rycerzy  
posiadający, tak rycerskiego, jak Władysław, pana, tak  
mądrego, jak Zbyszko z Oleśnicy, rządęcę, może być  
szarpany przez wrogi zawistne, ale upokorzonym, ale  
pogńebionym być nie może. Boża wola zdarzyła nam  
naprzód słońca Piastów, które imię Polski rozślawiły

w świecie całym — po Piastach zaś puściznę dzierżą Jagiellonowie, a każdy przyzna, że dzierżą chlubnie. O czynach zmarłego pana (pokój mu wieczny i światłość nieskończona...) świat przez długie nie zapomni wieki, a syn przecież już okazał, co zdziałać jest w stanie...

Sulima, serdecznością Świdwy rozrzewniony, uściśkiem braterskim mu odpłacił i rzekł:

— Zaiste, rzadko się trafia tak składne rzeczy wyłuszczenie słyszeć. Aleć niedziwota, bo wszakże, Wężu miły, nie za piecem żywot pędzicie i niedarmo was zwą głowaczem nad głowacze. Jaśnieją nad nami słońca Jagiellonów promienne, wszelka nadto jest nadzieja, że blask ich długie trwać będzie wieki. To jednak wam wymówię, że niesłusznie mnie cnoty osobliwe rycerskie przypisujecie. Jam człek prosty — jakiego mnie Panie Boże stworzyłeś, takim masz. Wy co innego. Gdzieżeście to nie bywali! Jakich nie doznawaliście przygód! Tedy, jeśli komu, to wam pierwszeństwo w zasługach rycerskich przypada.

Uśmiechnął się Świdwa, dłonią kilkakrotnie rzucał, westchnął i szepnął, jak gdyby do siebie:

— Co mi z tego? Jaki pożytek? Jaka uciecha? Korzyść jaka? Staram się, o ile sił staje, szczerze, i poczciwie imieniowi polskiemu i krwi rodu mego służyć ale... jak dotychczas, bez żadnej dla siebie nagrody...

Napił się małmazyi i w zadumę wpadł, twarz zaś jego wyraz boleściwy przybrała, co widząc Sulima zapytał:

— Nie wiem, zali godzi się znajomość bliższą natarczywą ciekawością obarczać, wszakże uważając, że na sercu coś niemiłego dźwigacie, radbym frasunek

wasz poznać. | Szczere do was przekonanie czuję, więc zwierzenia przyjmę po bratersku. Lżej człowiekowi, gdy się troską z druhem dobrym podzieli...

— Ja równie prośbę swoją dorzucam—ozwał się Zbigniew.—Musi być nielada jakie strapienie, jeśli taki, jak wy, Świdwo, głośno się na nie uskarża.

Waż obu za ręce ścisnął, wzdychać począł, wahał się przez chwilę, wreszcie tak na zapytania odparł:

— O srogiej usłyszycie, mili moi, boleści, a prośbę was, nie bierzcie jej lekce, bo głęboko mi ona w piersiach zasiadła i... jako zmora trapi; ba! gorzej jeszcze, bo zmora nocą jeno ludzi napada, a troska moja i we dnie spokoju mi nie daje...

Dłonią po czole przesunął, jakby myśli zbierając, i tak dalej mówił:

— Wiecie, jak widzę, iżem się dość po świecie natłukł. Od małości coś mnie parło, aby ludzi obcych i strony obce poznać, więcem wyruszył z Rokitnicy mojej, porywom młodości zadość uczynić. Jakoż kruszyłem kopię w ziemi francuskiej, w obronie króla Karola, którego Anglia srodze gnębiła; poznałem hiszpańską krainę, a potem do Ziemi Świętej dotarłem i tam z Saraceny się ucierałem... A powiem wam, mili moi, anim myślał, żeby to taki rycerski był naród. Prawda, poganie są, ale w boju stawają godnie. Porównywać ich z Tatary nie można żadną miarą. Ci, toć poprostu bydła nie uchodzą, gdy Saraceny sprawiają się na podziw walecznie i nie używają podstępów zdradzieckich. Każdemu się słusność należy, nawet poganinowi. Tedy powiem jeszcze, iż Saracen, skoro pozna w tobie rycerza i człowieka, wszelkie ci oddaje względy i czią należną otacza. Sporo czasu

wśród nich przepędziłem, i — przyznam się — trocha do ich obyczajów przyglądałem. Ten oto namiot, w którym wypoczywamy, stamtąd przywiozłem, jakoteż zbroje zaenych kilkoro i klejnotów garści niemało. Mędrców ich poznałem i podziwu dla nich utaić nie mogę... Czego oni nie znają! O czem nie wiedzą! Z chorób najcięższych, z ran wszelkich wyprowadzić potrafią najskuteczniej; z gwiazd przyszłość i przeszłość człowieka wyczytują; a jakie posiadają pałace, jakie zamki... równych bogactw i piękności nigdzie nie widziałem...

— Aleście przecie do ich wiary nie przyglnęli? — zagadnął Sulima żartobliwie.

Przeżegnał się Wąż i odparł szybko:

— Jako żywo! Ludzie o mnie to i owo gadają, a nawet... jakobym się w obcych stronach rozumu zbył. Baśni to są wierutne, Sulimo miły. Chwałę — co dobre, zaś złe potępiam i odwracam się od niego, jako od każdej szpetności. Ja miałbym do wiary pogańskiej przyglnąć? W imię Ojca i Syna... Całkiem plugawa ta wiara jest; wstręt do niej każdy chrześcijanin czuć musi...

— Prawda-li to — wtrącił Zbigniew — że zakon pogański dozwala tyle żon trzymać, ile się komu podoba?

— Głodnemu na myśli chleb, a wam, Zbigniewie (czemu się nie dziwuję), krew do dziewczek gra... — odparł Wąż, rozśmiawszy się. — Ano, prawda, że Saraceny niewiast trzymają, ile który chce, i to właśnie jednym z plugastw jest ich wszetecznego zakonu... Trzymają zaś one niewiasty w zamknięciu, od świata odcięte, a mąż prawo życia i śmierci nad żoną każdą ma...

— Dziw! Dziw! — pomruknął Sulima, a Zbigniew znów zapytał:

-- To chyba muszą niewiasty ich do zazdrości powody dawać? muszą pochopne do przemieszania być?

— Tegom nie wymiarkował dokładnie, ale może tak jest. Urody bywają cudnej, jeno szkoda, że szybko się starzeją i tak brzydą, iż na staruchę pogańską spojrzawszy, plwać musisz ze wstrętu... Pochopne do przemieszania tembardziej być mogą, ile że kraina ich gorąca jest, a z gorącości krew się burzy i do bezceństw ciągnie. Ale też wiarołomną niewiastę sroga spotyka kara: w wór ją z miłośnikiem zawiązują i, jako szczenięta, topią...

— Dziw! Dziw! -- powtórzył Sulima. — I że też Bóg pozwala takim oto dłoniom nieczystym grobem Syna Swego a Zbawiciela naszego władać... Sławicie Saraceny za ich cnoty rycerskie, mądrość i bogactwa: nie przeczę wam, boście to wszystko na oczy własne widzieli i doświadczeniem zbadali. Poganin jednak, niech sobie będzie najwaleczniejszym i najmądrzejszym, zawżdy już to do siebie ma niedobrego, że wierze prawdziwej zaprzecza, a nad nią przenosi bezceństwa, przez czarta przekłętę podszeptuje. Boć to pewna, że wszelkie pogaństwo z piekła początek bierze... Owóż, jeśli tak jest, dlaczego siła nieczysta górę nad potęgą chrześcijańską trzyma? Dlaczego grób święty w mocy plugawej zostaje? Zali to nie hańba dla całego chrześcijańskiego świata? dla wszystkich monarchów chrześcijańskich? Często nad tem rozważam ze zdumieniem i żal mnie przejmuję, na wspomnienie takiej sromoty...

Świdwa nie pozostawił uwagi pana z Włodkowicz bez odpowiedzi:

— Dekreta Boże niezbadane są — rzekł, ręce rozkładając — rozum ludzki na ich dociekanie porywać się

nie powinien, nie jego to rzecz. Juści słusznie powiadacie, że hańbą dla chrześcijaństwa całego, iż ziemią, gdzie się Zbawiciel narodził; gdzie wzrastał, nauczał, cuda czynił, proroctwa głosił; gdzie wreszcie śmierć okrutną na krzyżu poniósł:— iż ziemią tą, mówię, pogaanie władają... Ojca Przedwiecznego wola... nie bez niej! Co do mnie, poczytuję tę hańbę również jako objaw gniewu Bożego, jako karę za zdrożności w chrześcijańskim popelniane świecie. Odwrócił Ojciec Wszechmocny oblicze Swoje od dziełek, grzechami skalanych, karci je, zawstydza, upokarza... Gdyby inaczej było, jużby przecież nad całą Ziemią Świętą oddawna sztandar Chrystusowy powiewał, bo wiadomo, ile hufców potężnych tam pociągnęło i to pod wodzą najznakomitszych w świecie rycerzy, że jeno wspomnę Gotfreda de Bouillon, księcia Lotaryngii Dolnej, jego braci— Baldwina i Eustachego, Roberta grafa Flandryi, grafa Stefana de Blois, który tyle zamków posiadał, ile rok dni liczy, albo grafa Tuluzy, Rajmunda, albo niezrównanej prawicy, chociaż łagodnego i cichego, Tankreda, albo naostatek Ryszarda, króla angielskiej krainy, przezwanego dla nieustraszonosci Lwiem Sercem? Aleć ile rozpoczęte przez tych mocarzy dzieło miało święte pobudki, o tyle potem do ich serc szatan wprowadzić zdołał zawiść i myśl o pożytku osobistym. Już nie dla obrony czci Chrystusa Pana do Ziemi Świętej ciągnęli, nie dla chwały Jego walczyli, jeno dla chwały własnej. Za to, tak przynajmniej mądrzy biskupi i prałaci prawią, grób Zbawiciela w pogańskich zostaje rękach... Może się postać rzeczy odmieni, bo monarchowie chrześcijańscy wciąż o odebraniu tego skarbu prawowiernych

myślą, a nawet nasz Zbyszko z Oleśnicy wciąż marzy o starciu potęgi pohańców, co daj Boże. Amen.

Przywótwrzyli tym życzeniom Świdwy słuchacze, Sulima zaś natrącił, że od przedmiotu odbiegli:

— Mielście nam o sobie opowiedzieć... Tuszę, iż usłyszemy coś uwagi godnego...

Świdwa znów w smutek popadł, jął wzdychać, jęczeć, głową potrząsać, i dopiero po chwili zwierzenia rozpoczął:

— Wiele skarbów Bóg człowiekowi udzielił, a najprzedniejszym z nich to chyba serce. Boć w sercu złożone są wszystkie cnoty, tam wszelkie porywy szlachetne powstają, tam się rodzi i radość, i uciecha wszelka, i miłowanie, które szczęściem najwyższem nas obdarza... Ale z drugiej strony, gdy to samo serce zachorzeje; gdy dozna pokrzywdzenia lub zawodu; gdy miłowania zadowolić nie może: w on czas zaprawdę, człowiek staje się najnieszczęśliwyszemu... W on czas — ciągnął Świdwa zapalając się — dzień najpogodniejszy jest w oczach jego jakoby grobowym osnuty kirem, pieśń najwdzięczniejsza brzmi ponuro, niby pogrzebowa, w niczem nie doznaje pociechy, nie istnieje dla niego radość, nie istnieje ukojenie... I pędzi życie w cierpieniach, a jeśli widzi inszych szczęśliwymi, dusza mu się w większym jeszcze żalu rozpada...

— Mówicie, jak gdyby was takie nieszczęście spotkało...—zauważył Zbigniew.

— Bo też istotnie jam mu uległ—odparł Świdwa powoli, z łzawością taką, że wydało się, iż mu się słzy otworzą i płaczem wybuchnie. — Z domu w obce kraje wyjechałem z sercem wolnem, rzeźki, jako ptak swobodny, ale czułem, że ono dla umiłowania na ście-

żaj jest rozwarte. I tak oto, z myślą najlepszą, jeździłem sporo czasu, aż wreszcie złe losy (inaczej chyba tego nie nazwać!) popchnęły mnie do Rzymu, jakże bowiem, świat zwiedzając, nie zajrzeć do Wiecznego grodu? Tam spędziłem coś ośm niedziel i już wyjeżdżać miałem, gdy w kościele ujrzałem oblicze takiej piękności, że na odmalowanie jej w tęczy barw niema, aniby też mistrz taki się znalazł, który zdolen byłby tyle cudności barwami wyrazić... Zdało mi się, że mieszkankę rajskiego ogrójca widzę; że to który z Serafów po słonecznym z nieba spłynął promieniu i oczy moje wdzięków urokiem olśniewa. Nie myślałem, iżby na świecie istnieć mogła gładkość tak doskonała... Bo to i kształt, i ruch, i spojrzenie, i twarzy wyraz—słowem wszystko w tej postaci było nadzwyczajnem... Dziewczę to w lat było rozkwicie, snąc możnego rodu i całkiem od Włoszek różne. Oczarowało mnie z pierwszego spojrzenia; stałem, jak skamieniały, ani się poruszyć mogąc, ani oczu od niej odwrócić, a serce rwało się do tego obrazka, jako rwie się na wolność sokół, w klatce uwięziony... Ona też mnie zauważyła, bo spojrzała kilkakroć i splonęła, jak wiśnia, z czego wniosłem niemylnie, że czystą być musi, niby lilia, dusza tej dziewicy nadobnej...

— Niezmiernie ciekaw, kto była ona cudność nadzwyczajna?—wtrącił Zbigniew.

Świdwa dłonie załamał i niemal szlochając odparł:

— Otóż w tem rzecz cała, że nie wiem! Przez kościół zatłoczony przecisnąć się do niej było niepodobna; zresztą, gdy z oszołomienia do siebie przyszedłem, już jej nie dojrzałem... Szukałem jej potem po



całym Rzymie, po całej italskiej krainie, szukałem w innych stronach—wszędzie napróżno... A tymczasem serce raz zwróciwszy się ku niej, zapłonęło i płonie miłowaniem nieugaszonym do tej chwili... Daremniem sobie perswadował, daremniem w bojach, podróżach, księgach i uciechach zapomnienia szukał — miłowanie pozostało i z dniem każdym serce mi większą tęsknotą rozdziera...

— A może to był oman szatański? — zauważył Sulima.

— Ani mówcie o tem!—przerwał żywo Świdwa.— Szatan do kościoła wstępu niema, zresztą w tak cudną postać nie mógłby się przedzierzgnąć... Poprzyśnięciem sobie, że ją odnajdę i poszukiwań nie zaprzestaję. Także ślub uczyniłem, że dopóki celu tego nie dopnę, oko moje prawe świata ani ludzi oglądać nie będzie. Dlatego widzicie je zasłoniętem złotej blachy kawalcem, który wielce misternie sporządził złotnik jeden italski.

— A jeśli poszukiwania wasze skutku nie odniosą?—zapytał Zbigniew.—Przecież to się zdarzyć może, chociaż szczerze wam życzę, by się stało inaczej... Owóż, gdybyście nie odnaleźli onej piękności, do zgonu pozostaniecie jednoocznym?

— Nieinaczej! Ślub rycerski to rzecz święta, biada temu i hańba, kto go łamie!

Sulima pomiarkował, że Wąż, co do miłowania swego i ślubu, dziwaczył nad miarę, lecz nie nie mówił, bo już dawniej słyszał, a teraz przekonał się sam, iż pan z Rokitnicy, w cudzych długo bawiąc stronach, do wielu też cudzych dziwactw się nazwyczaił, przeto darem-

nieby go się kto starał od nich odciągnąć. Nie mógł się jednak wstrzymać od uwagi:

— Dobrze to wszystko, Świdwo mój, aleć otwarcie wyznam, że gdybym ja kogo szukał, to wytrzeszczałbym dobrze oba oczy. Uczyniliście ślub: ani słowa, święta to rzecz; lecz ja na waszem miejscu, jeśli bym ślubował, to z pobożną intencją, Panu Bogu na chwałę, a ludziom na pożytek. Uważcie jeszcze: przypuśćmy, iż gorącym pragnieniem waszym staje się załość—odnajdujecie cudną nieznajomą, ale już żoną innego? Co wtedy? Rozumiem przeto, iż szkoda było na takie udręczenia własnowolnie się skazywać...

— Stało się, co się stać miało i stanie, co przeznaczenie gotuje—rzekł Wąż.—Nie czynmy przypuszczeń okrutnych, lepiej zawsze spodziewać się i mieć nadzieję. Ona też mnie jedynie od rozpaczyny ostatecznej chroni, ona mnie ożywia, jako rosa kwiaty... Tak zaiste, srogich doznają katuszy od tęsknoty, która wzmagą się codzien, na podobieństwo pożaru, roznieconego wicherzyskiem,—ale myśl o nagrodzie krzepi serce moje i błogością napawa... Ademarze, zaśpiewaj na ukojenie duszy zranionej pieśń, którą Bernard z Ventadour, twój ziomek, ułożył, gdy miłością ku Małgorzacie z Limoges zapłonął.

Lutnista niezwłocznie spełnił żądanie pana i po chwili rozbrzmiała prześlicznie wykonana pieśń prowansalskiego trubadura:

O dobra pani! nie pragnę nic więcej,  
 Jenó mię zalicz do sług twoich pocztu:  
 Będę ci służył, jak dobremu panu,  
 Z wszelką ochotą, nawet bez zapłaty...  
 Oto już stawam na twoje rozkazy,

Uległy, wierny, wesoly, uprzejmy.  
Nie jesteś przecież lwem, ani niedźwiedziem,  
Byś śmierć mi dała, gdy ci siebie daję.  
Ah! gdybym umiał zaczarować ludzi,  
Swych wrogów w drobne przemieniałbym dzieci,  
Zeby z nich żaden myśla, ani słowem  
Nie mógł znieważać mych uczuć dla ciebie...  
Jabym zaś wtedy krasę twoją wielbił,  
Twe oczy śliczne, i pleć twoją cudną,  
I całowałbym usta koralowe...

— Chyba u słowików uczyłeś się kantów, lutni-  
sto—ozwał się Sulima do śpiewaka.—Nie rozumiem się  
wiele na cudzoziemskich pieśniach, osobliwie na miło-  
snych, jak również na cudzoziemskim miłowaniu...  
Snadniej mi przypada do smaku nasza stara pieśń:

Stanę się, stanę siwym kaczorem,  
I będę pływał bystrem jeziorem,  
A ty moją musisz być,  
Moją wolę wypełnić!

— wszelako na tem się poznałem, że śpiewasz,  
mój chłopcze, nielada pięknie.

— Jam również swego chowu, więc dziwno mi,  
jak to się można w oka mignieniu rozmiłować na  
zabój?—rzekł Zbigniew. — Ze mną nigdyby się to nie  
stało.

— Nie mów tak, Zbigniewie miły, bo niewiado-  
mo, co cię jutro, albo dziś jeszcze, spotkać może—od-  
parł z westchnieniem Wąż.—Junakowałem i ja, śmia-  
łem się, gdy rozpowiadano o nagle powstającym miło-  
waniu, a przyszło mi samemu paść jego ofiarą...

— Bo też są serca i serca—bronił się Zbigniew:—  
jedne jako krzemień twarde, że trza stali, by z nich

iskrę wykrzesać; a drugie topnieją od lada ciepła, jako wosk...

Byliby Świdwa ze Zbigniewem szeroko i długo o tym przedmiocie rozprawiali, ale Sulima, który na subtelności podobne czasu tracić nie lubił, o czem innym zagadał:

— Tedy ja i wy, Zbigniewie, do hufów Władysława zaciągnąć się dajym. A wy, Świdwo?

— Ja przed siebie, na los szczęścia, jadę—odpartł zagadnięty. — Może tam najdę, czego szukam, gdzie się najmniej spodziewam. Choćby w Krakowie...

— Zdarza się i tak — rzecze Sulima, a kładąc dłonie na ramionach Świdwy, dodał:—Wiecie co... poznaliśmy się, pokumali, to trzymajmy się kupy. Zaciągnijcie się i wy do pocztów przybocznych pana miłościwego... Niezdrowo jest człowiekowi włóczyć się z kąta w kąt, i wzdychać, i schnąć z tęsknicy, gdy godniejsze nastreczają się okazye... Dokazywaliście siła na obczyźnie, należy się coś i swoim. Przy Władysławie sposobności nie zbraknie... Słyszę, że do poskromienia Spytka z Melsztyna ma się zabrać... Mówią też o wyprawie na Węgry i do Czech, a pono i na burzę od turecczyzny się zanosi... Gratka ze wszystkich stron się gotuje... Uczynicie, jak mówię...

— Uczynicie Świdwo — namawiał również Węza Zbigniew.—Może, gdy będziemy u Węgrzyna lub u Czechów, najdziecie swoją zgubę, a we trzech różniej nam będzie...

— Zbyszko z Oleśnicy i Grzegorz z Sanoka, pofny sekretarz Władysława i doradca z ręki królowej, poznają się na was, ocenią i odpowiednie przeznaczą wam miejsce—dorzucił jeszcze Sulima.—Z miłowaniem

po świecie się wodząc i o niem jeno myśląc, marnujecie się. A szkoda was, szczerze to powiadam. Dłoń dzielna zawsze pożądana, a głos w radzie, rozumny i w doświadczenie zasobny, niemniej...

— Nietakomy ja zaszczytów, dosyć też napatrzyłem się dworszczyzny, a przy moim frasunku najlepiej mi z daleka od wrzawy świata — wymawiał się Świdwa. — Dobrego przyjaciela pożądam, nie nad to. Przytem w obrozę, choćby królewską, kark wsuwać... niepętna rzecz. Jam do swobody przywykł, do włóczęgi: dziś tu, jutro tam... Jeśli potrzeba się zdarzy; jeśli pan miłościwy zawezwie: stawię się niezwłocznie i całego siebie na rozkazy oddam. Ale, wiecie, że na nieproszonego koso patrzają...

Sulima ramiony wzruszył.

— Ceregiele to są bez żadnej podstawy, mój Świdwo — rzekł. — Czasy mamy burzliwe, niewiadomo w której stronie zakotłuje się najprzód i kiedy. W takich czasach król siłę winien mieć pod ręką, a nie dopiero ją ściągać, gdy nóż na gardle. Źle czynicie, stroniąc od dworu, a powiem nawet — od obowiązku, Świdwo. Takiemu, jak wy, to przykładem świecić, pobudką być...

Spojrzał mówiącemu w oczy Wąż i głowę opuścił; znać było, że Sulima do sumienia jego trafił.

— Ano... chyba uczynię, jako radzicie — ozwał się po chwili wahania. — Z wami pojedę, niech co chce będzie. Ojczyzna to przez usta wasze przemawia. Trzymajmyż się kupy, bo i mnie żal byłoby rozstawać się z wami. Coś mnie do was pociąga — może szczęście...

Uściskali go Sulima i Zbigniew, szczerze zadowoleni, że się do ich namówień dał nakłonić, a pierwszy dorzucił:

— Otoś towarzysz dobry! Otoś druż! Snać przeznaczeniem było, iżbyśmy się, spotkawszy przypadkiem, pobratali. W drogę tedy, wypoczęliśmy do sytości.

— W porę do Krakowa przybędziem, bo tam Hocz, on Przedbor, mieszczanin, jakiegoś piwa nawarzyć zamysła—zauważył Zbigniew. — Całe zgraje gawiedzi tam ciągną, jego imię mając na ustach i odgrazając się na żupnika Serafina oraz rajców.

— I my również zmiarkowaliśmy, że na coś się w Krakowie zanosi—rzekł Sulima.—Zwyczajny to będzie zapewne tumult, jaki pospólstwo od czasu do czasu wyprawia. Ale co do Hocza, wart on dawno wyświecenia. Burzyciel z niego haniebny, spokój, kiedy jeno może, psowa.

Wyszli z namiotu i do drogi się gotowali, gdy naraz rozległy się głośne psów szczekania i kopyt tentent.

Spojrzeli w tę stronę...

Z głębi dąbrowy pędził, szybko jako błyskawica, wspaniały rogacz, a za nim psów gromada wysokiej zachości. Jeleń znacznie się był wysforował, ale widocznie już ostatnich sił dobywał, bo przestrzeń pomiędzy nim a molosami szybko, z każdą chwilą, się zmniejszała. Był to zwierz olbrzymi, gnał z piersią naprzód poddaną, karkiem w tył wygiętym, ozór długi z pyska, pianą okrytego, mu się zwieszał, bokami robił silnie... W Zbigniewie, gdy go zoczył, myśliwska krew zagrała. Porwał za oszczep i zanim zbieg go spostrzegł, już miał ranę śmiertelną zadaną: padł, niby gromem rażony. Stropiły się psy, ale po chwili znów ujadać zaczęły i wtedy właśnie z gęstwiny wysunął

się jeździec, za nim zaś, lecz znacznie opodał, grono towarzyszy-łowców.

Myśliwy przodujący cwałował tak gwałtownie, że ziemia drżała pod kopytami jego rumaka, na którego dość było spojrzeć, żeby w nim poznać bieguna ognistego, rącości nieprześcignionej i wytrwałości do zdumienia, słowem z tych, co bodaj pod królewskie siodło są godne. Mknął wyciągnięty niby struna, zdało się, że w powietrzu płynie; ogonem ziemię miótł, a chrapanami prychał głośno, a łbem wstrząsał i grzywą falistą.

Nielada rumak nielada też jeźdzca niósł. Obydwa musieli się dobrze znać, bo jeździec, mimo szalonego pędu, wodze odrzucił, stał w strzemionach, jak wmurowany, nieco się nachylił, jedną rękę o grzbiet dzianeta wsparł, a drugą, z dzirytem, trzymał wzniesioną do wymierzonego razu.

Prześliczną całość stanowiła ta para, koń i jego pan, jakby umyślnie dobrani dla uosobienia dzielności i wdzięku. A jeśli rumak uwagę zwracał, to jeździec zdumienie wzbudzał swoją urodą. Najwięcej mu można było lat ośmnaście zapisać, twarz miał zdrowiem tryskającą, rysy zaś i kształty nie męsko drobne. W twarzy tej, kształtach i postawie całej, przebijało coś dziewczęcego, tak, że dziryt i przybory łowieckie nie zdawały się dla jeźdzca być stosownymi. Łacniejby mu kądziolkę podać lub do dzierzgania szaty perlistej zasadzić. Strój na nim jakby na zabawę dworną się wybrał, nie do kniei. Więc kołpaczek z purpurowego aksamitu, z piórem strusiem, obsyty wstęgą tejże barwy, spadającą z tyłu głowy, po za barki; sajanik bogaty, błękitny, w ząbki wycinany, spajany po

bokach sznurem złotym na przebój; pasik srebrzysty, w nim kamyki lśniące; spodnie w pasy błękitne i białe; buciki żółte, z miękkiego, tureckiego tekinu, przy nich sprzążki złociste. On strój jak ulał na rozkosznym chłopaku leżał, zwiększając jego urodę...

Jeździec młodociany spostrzegłszy, że pan z Oporowa rogacza położył, zakrzyknął, wstrząsnął się, wodze chwycił, targnąwszy niemi, konia na miejscu tuż przed namiotem osadził, na ziemię skoczył zwinnie i przez chwilę stał jak wryty, z wyrazem ostupienia na twarzy i w oczach modrych. Trwało to z pół pacierza—potem nozdrza kształtnego nosa mu się rozdeły, czoło zmarszczył, brwi jedwabiste, które foremnymi łukami nad oczyma się zataczały, zsunął i zapytał groźnie, rogacza wskazując:

— Kto śmiał coś podobnego uczynić? Kto śmiał?

Głos dźwięczał również nie po męsku, a chociaż miał gniew wyrażać, jak snadno z twarzy młodzieńszka można było wyczytać, strachu nie budził.

Pytanie było zwrócone do Zbigniewa, lecz pan z Oporowa zdawał się go nie słyszeć, bo ani się poruszył. Patrzył z wielkiem zaciekawieniem na nieznanego, a szeroko rozwarte oczy świadczyły, że podziwiał urodziwość jego.

— Kto śmiał?!—powtórzył młodzieńczyk głośniejsz i gniewliwiej. - Wy? Nie tak li? Wiem! Mam przeciw oczy... I jakim prawem? To mój zwierz... przeze mnie szczwany... Ja wam tego... nie daruję!

Pięść drobną podniósł, uczynił ruch, jakby się chciał na Zbigniewa rzucić — ten zaś wtedy dopiero odparł:

— Jam zwierza powalił, nie przeczę.



— Jakiem prawem?! Jakiem prawem?!—znowu wykrzyknął młodzieńczyk, nogą przytupując.—Waszali to knieja? Wasz zwierz? Wasz trud?

Paluch nie mógł ścierpieć, że ktoś śmie w taki sposób do jego pana przemawiać, więc odezwał się:

— Uważam, że w tych stronach niewypierzone kuraki srodze są zadzierzyste...

Zwrócił się ku niemu młodzieńczyk tak szparko, że mu kołpak z głowy spadł, a z pod niego wysunęły się kosy długie, niby len jasne, przyczem jedna z nich się rozplotła i zwojem lśniącym okryła bok mniemanego chłopca, sięgając po za kolana.

Żdziwienie ogarnęło obecnych—Sulima trącił łokciem Węza, ten ręce złożył z podziwu, Zbigniew w tył odstąpił, a Paluch przeżegnał się i szepnął, czepiając się pana swego oponczy:

— Moc Boska z nami! Aleśmy trafili, proszę waszej cześci, z wycoczynkiem... To Dziewonia we własnej posturze... Nogi za pas jeno wziąć i...

Uciał, bo mu Zbigniew sójkę pod żebro wsunął, aż się za żywot schwycił i na stronę umknął.

Zbigniew kołpaka uchylił, skłonił się wdzięcznie zagadkowemu łowcowi.

— Już chciałem na krewkość waszą równą odpowiedzieć miarą—rzekł—bom nie przywykł, żeby mi kto po nosie hasał; ale teraz, kiedy świadom jestem, kto mnie tak surowo karci... w pokorę uderzam i o przebaczenie proszę...

Przerwał mu zagadkowy łowiec:

— Wy wiecie? Wy wiecie? Skąd? Na czole mam wryte? Ja was nie znam...

Na to Zbigniew, kosy wskazując:

— Ci to zdrajcy was ujawnili, a kto z takiego zawołania wychodzi, temu wiele wolno...

Łowiec śnać nie zauważył wypadku z kołpakiem, bo dopiero po tem napomknieniu Zbigniewa obejrzał siebie, a obaczywszy, co się stało, jeszcze bardziej się nachmurzył, chwycił gwałtownie rozwianą kosę i gorączkowo zaplatać ją począł, mruknawszy niecierpliwie:

— Z tem zawdy mitręga! Pozbyć się raz tych chwostów...

— Przebaczcie mi tedy... winienem—prawił Zbigniew — nie godziło się zabawę wam psować, ale na widok zwierza dłoń mi zadrgała... Przebaczcie!

— Ja waszych przeprosin nie potrzebuję, co mi po nich!—znów przerwał łowiec.—Taka sztuka! Taki rogacz! Wodził mnie po ostepach tyli czas, niemal ćwierć dnia, i żeby mi go kto inny zdmuchnął... Wstręt nie do darowania!

— Przecież go zabierać ani myśl — tłumaczył się Zbigniew—zostawiam go w całości...

— Patrzcie ino! Szczodry! Mozecie go sobie wziąć i sami się także z nim z przed oczu moich uprzątnąć...—zakrzyknął rozjątrzony łowiec.

Paluch, chociaż się jeszcze po żywocie macał, nie był zdolny powstrzymać uwagi:

— Wasza cześć dziś w cierpliwość się obrócił, czy co? Za marnego rogacza taką poniewierkę zność? Plunąć do kata i w swoją stronę jechać, a jeżeli o to idzie—z Oporowa dziesięć lepszych kozłów oddamy i kwita...

Zagadkowy łowiec, skoro grubas Oporowo wymienił, szybko na pięcie się obrócił i zapytał:

— Z Oporowa? To wy z Oporowa?

— A tak, z Oporowa—odparł Zbigniew.

Twarz łowca złagodniała, kosę niedopieczoną odrzucił, w dłonie plasnął.

— To może jesteście moim przyrzeczoną? No.. odpowiadajcież żwawie!—brzmiało nowe pytanie.

Spojrzał Zbigniew na mówiącego, jak na niespełna rozumu, a tamten znów do niego:

— No! Zbych jesteście pana Jaksy? Nie tak-li?

To mówiąc, za ręce Zbigniewa porwał i pilnie mu w twarz patrzył.

Zbigniewowi śnać domysł się nasunął, bo zawołał, rozjaśniając oblicze:

— Halszka!

— A tak...—odparł mniemany młodzieńczyk, również z uciechą.

— Halszka z Ossolina! Moja Halszka! Tyżeś to w rzeczy samej?

Ona zaś, śmiejąc się, w oczy mu patrzyła, głową potakiwała i mówiła:

— A tak! A tak!

Wtedy Zbigniew szeroko ramiona rozwarł i z pełnej piersi zakrzyknął:

— A pójdź, łasiczko moja, mój sobolu, niech cię uściskam! Pójdź, bom ci doprawdy Zbigniew Jaksin!

Rzuciła się w jego objęcia i usta ich zwały się w ognistym pocałunku, od którego aż echo powstało, a Wąż, na to patrzący, mocno wzdychać począł.

Halszka—bo istotnie dziewczką był mniemany młodzieńczyk, córką Jana z Ossolina, Toporezyka, powinowatego Jelitów z Oporowa—po pierwszym wybuchu uczuć, jakich na wiadomość, że ma przed sobą swego

przrzeczonego doznała, wyrwała się z objęć Zbigniewa, trocha wstydzając się obecnych, i rzekła:

— Dość już... Ba! za wiele... Nie przystoi! Głowem do cna straciła...

Zbigniew zaś skoczył ku niej, wołając z fantazją:

— Ale! Jeszczem się nie rozsmakował należycie, a ty powiadasz: „dosyć!“ Tak nie może być...

Znów ją do siebie przyciągnął, lecz ona się wzdrażała, wymawiając:

— Zaniechaj, Zbychu... ludzi srom...

Rozśmiał się wesoło.

— Lada co powiedziałaś! Wszyscy tu swoi, a my przecież jesteśmy sobie przrzeczeni... Jaki tedy srom?

Przekonało to tłumaczenie Halszkę, głową zamaszycie skinęła.

— A prawda! — rzekła i już bez ociągania, powtórnie się uściskać Zbigniewowi pozwoliła.

— Dla Boga! — odezwał się Sulima żartobliwie — toć się chyba pozjadacie...

— Nasza to rzecz... — odparł Zbigniew. — Myślę, że z takich biesiad nie ubytku, jeno pożytku się spodziewać... Halszka, co? Jak rozumiesz?

— Zaniechaj! zgromiła go, płoniąc się. — Kto słyszał koszalki-opalki pleść...

— Oj! nie koszalki-opalki, ale szczerą mówię prawdę, tyś mi mój! Bo i po co ludzie jedni do drugich się garną? Juści nie przeto chyba, żeby świat zaginał, jedno, żeby na nim był zawdy dusz żywiących dostatek...

Zaśmiał się Sulima, Wąż westchnął, a Zbigniew jedną ręką w pół objąwszy Halszkę, drugą ich obu jej prezentował:

— Masz tu — tak prawil — sobolu mój, mężów, z którymi niedawnom się pobratał, daj Boże na długie lata i na szczęście. Obaj rycerze znamienici, nie może być, żebyś o nich nie słyszała. Ten-ci, to Sulima z Włódkowicz, co od Tatarzyna udęczeń tak okrutnych doznał, że za cud iście poczytać trzeba, iż je przetrwał...

— Wiem! wiem! — przerwała Halszka z ożywieniem, do Sulimy zwrócona. — Wszysey o was mówią. Krajali na was ciało, pono zdrowego miejsca na sobie nie macie...

— Oho! Gdzieżeście zajechali, Halszko nadobna! — śmiejąc się, zauważył Sulima. — Tożbym w takim razie ręką ani nogą poruszyć nie mógł, a jednak dźwigam się dość raźnie.

Z kolei Zbigniew Węza przedstawił, a Halszka natury będąc otwartej, bez ogródek go zapytała, w jakiej potrzebie oko postradał, tak bowiem sądziła, widząc, że blachą złotą jest założone; gdy zaś się dowiedziała, jaki ślub uczynił, ramionami wzruszyła i, palcem po czole wodząc, rzekła:

— Zdrowoż tu aby macie? Darujcie, ale cały ten wasz ślub niemądrze wygląda...

— Nie pierwsza tak mnie sądzisz, Halszko słodka — westchnął Wąż — przed chwilą i pan z Włódkowicz to samo powiedział... Ale niech tam! Sądźcie wedle woli... Im więcej udęczeń poniosę, tem większych rozkoszy doznam, gdy mi los skutek pomyślny zabiegów moich zdarzy. Nie każdemu takie szczęście pisane, jak Zbychowi...

— Aleś też, mój Zbigniewie, zdrajca — przerwał Sulima, mowę zwracając do Jelitezyka. — Utaileś przed

nami, żeś przyrzeczoną i że tak prześliczny przypa-  
dł ci w udziale kwiat! Zazdrosne serce mieć musisz...

Zanim Zbigniew na zarzut odpowiedział, gościny  
Świdwa Halszkę do namiotu zaprosił, by nieco po-  
trudzie łowieckim wytehnęła i posiliła się. Piękna To-  
porzanka ani myślała odmawiać. Rycerze tedy do po-  
nownej zasiedli biesiady, więcej ożywionej przez obe-  
cność tak nadobnej uczestniczki. Wówczas dopiero  
Zbigniew Sulimie się wytłumaczył.

— Powiedzieliście — tak mówił — żem przed wami  
przyrzeczeństwo moje utaił. Owóż nie utaiłem, jenom  
do cna przepomniał, jakom jest przyrzeczoną...

— Zbych! Co ty wygadujesz! — przerwała zgor-  
szona Halszka.

— Czekajże, niech skończę! Bo to widzicie, moi-  
ście druźbowie mili, ja i Halszka dziś się dopiero po-  
znajem, po prawdzie mówiący. Rodzic mój, z jej ro-  
dzicem, panem Jaszkiem z Ossolina, w wielkiej zaży-  
łości zostawali od lat pono najmłodszych, a potem, przez  
ożenie się, w powinowactwo ze sobą weszli i przy-  
rzekli sobie, że jeśli jednemu Bóg zdarzy syna, a dru-  
giemu córkę, to już tę parkę pożenić muszą... Jakoż  
stało się wedle ich myśli, a kiedy na świat przysze-  
dłem ja, we cztery roki zaś Halszka, to już w pielu-  
chach byliśmy przyrzeczoną i tak po dziś dzień stoi...  
Dopóki rodzic mój żył, częstośmy do Ossolina z nim  
jeździli, a pan Jaszko w Oporowie nas nawiedzał.  
Umyślili nawet rodzice, żebyśmy się, niby ja z Hal-  
szką, do siebie nazwyczaili, trzymać nas przez czas  
pewien razem. Jakoż ja w Ossolinie bez przerwym  
siedział coś dwa roki i Halszka w Oporowie także  
dwa. Ale wszystko to było w pacholećtwie. Nieszczę-

ście chciało, że rodzic mój (światłość mu wiekuista!) w boju z Krzyżowcami poległ... Odtąd też z Halszką—śmy się nie widzieli, a będzie temu roków... Halszka, ile będzie? Myślę czternaście?

— Nie rachowałam, wiem przecież, że siła—odparła.

— Owóż, widzicie, przyrzeczeństwo, jak stało, tak stoi, ale my z Halszką, tyli czas się nie widząc, bardzo o sobie nie pamiętali...

— Ja pamiętałam...

— Ano... i ja pamiętałem, jeno nie tak, jakbym pamiętał, znajomość wciąż utrzymując... Dlatego to, Sulimo, przyrzeczeństwo przy spotkaniu się z wami z głowy mi wyszło, żem o niem nie wspominał...

— Toście się po tylu latach dopiero teraz spotkali?—zapytał Sulima.

— A tak—potwierdził Zbigniew.—I powiem wam, bo mogę już szczerze mówić, żem się niemało trapił myślą: co będzie, jeśli spotkawszy się, nie przypadniem sobie do serca? Wola rodziców święta, pożenić się musim, a ciężko byłoby żyć obok siebie bez smaku jedno do drugiego? Halszka, co? Dobrze powiadam?

Toporzanka, figlarną minkę nastroiwszy, zagadnęła:

— A teraz ciężko ci?

— Teraz — zawołał Zbigniew szczerze i z zapalem, aż mu źrenice zabłysły — teraz tak mi lekko, jakobym na świat nowo się narodził! Teraz, tyś mi mój, za skarby rajskiebyś cię nie oddał, a gdybyś mi zginęła, szukałbym cię bodaj na końcu świata! Serceś mi wzięła od spojrzenia!

— A nie łiesz? — zapytała Halszka, w oczy patrząc mu badawczo.

— Niech mnie Tatarzyn strzałą język poszarpie, jeśli łże!

— Pamiętaj!—rzekła, grożąc mu piastką.

— Ino ty pamiętaj, a na przymierze musisz pocałowanie dać. Taki już zwyczaj.

Nachyliła się do niego, on zaś nie jeden, a dziecięcioro całusów porwał i wykrzyknął potem, po pierśsiach dłonią gładząc:

— Aż tu słodkość czuję! Miód masz na ustach i cała jesteś chyba z miodu.

— Miły Boże!—jęknął płaczliwie Świdwa—po tylu latach się spotykają... A co Zbychu? A co? Dziwowałeś się, jak to można się rozmiłować od pierwszego wejrzenia! A co?

— Teraz dziwować się nie będę — odparł pan z Oporowa.—Chociaż... ja miałem grunt przygotowany od pacholecia.

Do rozmowy Sulima się wtrącił, nadmieniając żartobliwie:

— Myślę ja, Halszko nadobna, że koniecznie kur musiał zapiać, kiedy was macierz na ten świat wydawała...

— Abo co?—zapytała nie rozumiejąc.

— Abo tak. Sądząc z upodobań, powinniście być płci inszej, nie białogłowskiej; tymczasem kur zapiał i... wszystko się zmieniło!

— Prawda! — odezwał się Świdwa. — Foremny z was młodzieńczyk, całkiem foremny... Zdumiewałem się patrząc, jak konia zażywacie! Nie każdy tak potrafi...

— I włócznią umiem! I z łuku nie chybię! I bo-



daj na mieczyki z wami podjęłabym się iść... — przechwalała się Halszka.

— Oto będzie z was towarzyszka — wtrącił Sulima—takich najwięcej! Widzę, że całkiem nie białogłowska w was natura. Zbigniewowi wszelkie dacie rozkosze, ale też uważanie dla was będzie musiał znać!

— I będę znał—potwierdził Zbigniew—tak zresztą w każdym małżeństwie być winno.

— Nie strachajcie Zbycha — przerwała Halszka—krzywdy mu nie uczynię. Wszyscy mi w głowę kładą, iż nie przystało dziewczce taką być, ale ja mimo uszu gadania puszczam! Co złego robię, że zwierza uszczwam? że mi się do konia, do kniei dusza rwie? Toć nie grzech. Zbychu, grzech-li to?

— Boże zachowaj! Piękna jest zabawa całkiem, jeno niezwyčajna dla płci białogłowskiej.

Skrzywiła się Halszka i podchwyciła ostro:

— Niezwyčajna! Tak, słyszę, mówią naokół, ale zrozumieć nie mogę, dlaczego niezwyčajną ma być? Zali świat jest niewolą? Czy godzi się upodobania krępować, pęta na nie kłaść? Wam, mężom, wszystko przypada, a nam zasię... Zabraliście sobie i bierzecie, co jeno wam się zażąda, a nam ostawiliście wrzeciono i służebnictwo przy was... Sprawiedliwie to?

Oburzenie brzmiało w jej głosie, gestami, wyrazem twarzy i oczu mowie dopomagała.

Sulima, wysłuchawszy tych skarg na rzeczy świata tego porządek, głową pokręcił.

— Jakem rzekł, obstaję przy tem, żeś chyba przypadkiem pomiędzy dziewczki się dostała, Halszko nadobna—odezwał się poważnie. — Szparkość w tobie i obyczaj tak od białogłowskiej natury różny, jako

dzień od nocy, albo niebo od ziemi... Mówicie o sprawiedliwości, o niewoli? A ja wam powiem: bluźnicie! Wszyscyśmy w pętach Boga, Jego wolę pełnić musim. On to rozporządził, co komu przypada: nam dał miecz i panowanie nad światem—wam wrzeczono i panowanie nad sercem naszym; nam znoić w czoła pocie się kazał, ojczyzny i zagród rodzinnych strzedz, w dostatek je zaopatrywać — wam ojczyźnie dziełek dostarczać i na jej chwałę, na jej pożytek, a na cześć Jego wychowywać one... Taki ład zaprowadził Bóg i tego już nie zmienić. Pućka nie wywiedzie sokołów, jeno sowięta; tak samo z niewiast zastępu rycerskiego nie utworzysz. To trudno!

Halszki nie przekonało to dowodzenie.

— Każda liszka za swoją kitą przemawia — odparła — tak i wy. Bronicie ładu, jaki jest, bo wam z nim dobrze. Powiadacie: „Bóg go zaprowadził...” — a ja powiadam: wyście go sami wymyślili i zaprowadzili... Z niewiast rycerskiego zastępu nie utworzysz... Prawda była! Niema takich hufów po tę porę, bo wy na to nie pozwalacie, ale gdybyśmy mogły...

— Czemu nie? Próbujecie—rzekł Wąż z uśmiechem.

— Wam śmiech, a ja bez śmiechu mówię!—przerwała Halszka, zapalając się myślą własną. — Zali nie było niewiast, które po rycersku stawały, nawet w bój hufy zbrojne prowadziły i zwyciężały? Co? Nie było? A nasza Wanda?

Halszka w tej chwili płomienie miała w oczach i cała była, jak w płomieniach.

Sulima na to:

— Tędy zmierzasz, Halszko nadobna! Ano — o Wandzie prawda, jakoteż nikt nie zaprzeczy, iż zda-

rzają się niewiasty osobliwe. Ale co wyjątek — to nie cała garść, na to baczyć trza.

Halszka ręką rzuciła niecierpliwie.

— El gadacie, jak wam wypada, aby niewiasty trzymać niżej od siebie, a ja sprawiedliwości bronie, co czuję, mówię...

— Pozwólcie, Halszko piękna, że i ja, na doświadczeniu się wspierając, kopię z wami w tych szrankach, dla was, jak mniemam, niewdzięcznych skruszę... — odezwał się swoim pieściwym głosem Świdwa.

— Jeno uważajcie — wtrąciła Halszka, trocha zniecierpliwiona — żebyście, będąc jednoocznym, szwan-ku zbyt dotkliwego nie spotkali...

— Postaram się o to — odparł Wąż nieurazony i tak prawił: — Cześć dla rodu niewieściego czuję wielką, większą może, niż którykolwiek z rycerzy, a jednak słuszności Sulimie odmówić nie mogę. Więc przywtórzę mu, jako niewiasty osobliwej natury do wyjątków należą i dodam — że jeśli się taka zdarzy, to posłaniczką jest Boga, wyřeczycielką świętej Jego woli. Taką była niewątpliwie nasza Wanda i taką również ja sam oczyma własnemi oglądałem, we francuskiej krainie bawiąc. Urodziła się, owa, którą widział, w stanie biednym, lecz widocznie w Bożej łasce. Ta Joanna d'Arc (bowiem tak się zwała) rosła w wielkiej bogobojności, w wszelkich cnotach. Trzodkę owiec rodziców swoich pasła, a po za tem jeno modlitwę znała i miłosierne uczynki... Lgnęły do niej nietylko serca poczciwych ludzi, a zwłaszcza dziatki, które, jak wiadomo, to do siebie mają, że do poczciwości ciągną, a od fałszu i wszelkiego złego stronią, — ale same nawet ptaki powietrzne przylatywały do niej,

jak niegdyś do świętych w pustyni, i brały pokarm z jej ręki w zaufaniu Bożego pokoju. \*) Tę oto pasterkę ubogą Bóg przeznaczył za narzędzie woli Swojej, objawił jej zaś to, gdy trzynastego roku życia dobiegła. Wtedy dnia pewnego ukazał jej się ś-ty Michał, w orszaku hufów niebiańskich i powiedział, że ją Bóg wybrał dla ocalenia Francyi, której pogrom sromotny ze strony Anglików zagrażał. „Nawiedzać cię będą—tak mówił Archanioł—ś-ta Katarzyna i Małgorzata, a co ci rozkażą, to czynić masz. Albowiem posłane są od Boga, aby cię wodziły i radą wspierały w tem, co masz do sprawienia...” Z pokorą przyjęła dekret niebiański dziewczeczka i stało się, jak zapowiedział Archanioł. Słuchając głosów świętych, Joanna stanęła na czele zastępów francuskich, pogromiła Anglików, wprowadziła delfina Karola do miasta Reimsu, gdzie został uroczyście namaszczoney.

Z tą chwilą (uważcie dobrze, piękna Halszko!) skończyło się posłanictwo dziewczeczki. Wiedząc o tem, chciała zdjąć zbroję i do zagrody rodzinnej wrócić, do zajęć dawnych. Ale król Karol nie pozwolił na to, zmusił ją, by przy nim pozostała i dalej gromiła Anglików. Uległa—cóż jednak się stało? Wkrótce, pod Compiègne, Anglicy porazili Francuzów na głowę, dziewczeczka dostała się do niewoli... Smutnym nad wyraz był jej koniec... Oskarżono ją o czary i, jako wiedźmę, na stosie spalono...

— Spalono!—powtórzyła jak echo Halszka, która z ciekawością opowieści słuchała.

---

\*) Michelet, Barat.

— Tak, spalono—potwierdził Waż. — Patrzyłem na ten czyn zbrodniczy, jako na was patrzę. Działo to się w mieście Rouen. Gdy ją wprowadzono na stos i przywiązano do pala, na którego szczycie była tablica z napisem, jako płonąć tam będzie wszetecznicca, co Boga się zaprzawszy, z szatany trzymała, otóż — gdy ją do tego słupa przywiązano, pojrzała smutnie na miasto i rzekła: „Ach Rouen! Rouen! boję się, abys za śmierć moją nie cierpiało!“—potem zwróciwszy się do biskupa, który ją skazał, powiedziała: „Biskupie! umieram przez ciebie, ale apeluję do Boga, do wielkiego Sędziego krzywd i niesprawiedliwości, które nade mną spełniłeś!“—A w tej chwili właśnie mistrz ogień podłożył. Ona ulękła się, zakrzyknęła: „Jezus!“ — i o wodę święconą poprosiła; potem zaś, zażądała od spowiednika, aby skoro już stos płonąć będzie, podniósł krucyfiks wysoko, gdyż pragnie mieć wizerunek Zbawiciela przed oczyma do ostatniego tchnienia.

Uczył spowiednik, co żądała. Już płomienie stos ogarnęły, a męczennica donośnym głosem wołała, jako wszystko uczyniła przez Boga, a nawet gdy i ją ogień trawić począł, słychać było jeszcze jej modlitwę. Ostatnie jej słowa były: „Jezus! Jezus! Jezus!“—Świętą była—Bóg ją koroną męczeńską obdarzył. Ci, co bliżej stosu dotarli, powiadali, że kiedy tchnienie wydawała ostatnie, z ust jej biała wyleciała gołębica, a wśród płomieni ukazały się złote litery, które złożyły imię: Jezus. Wątpliwości tedy nie ulega, że popełniono ohydę straszliwą, za co sprawcy onej w ogniu piekielnym wiekuiście gorzeć będą...

Zatrzymał się nieco Waż, a Halszka zapytała:

— Ciekawa jest opowieść wasza, chociaż okru-

tnie smutna; ale radam wiedzieć, do czego ją stosujecie?

— Do tego, Halszko piękna—odparł Wąż, — że jeśli, czy to dziewczka, czy niewiasta, bez wyraźnego nakazu Bożego rzeczy nie swojej się ima, nic dobrego wróżyć sobie nie może. Ona dziewczeczka francuska dopóty zwyciężała sama i rodaków swoich do zwycięstw prowadziła, dopóki to się z wolą zgadzało Bożą. Gdy posłanictwo wypełniła, moce nadprzyrodzone odstąpiły od niej i, jak słyszeliście, śmierć poniosła sromotną... Nauka to dla wszystkich, zwłaszcza zaś dla płci białogłowskiej.

Halszki nie zdołało przekonać dowodzenie Świdwy.

— Całkiem opowieść wasza do mnie nie pasuje— rzekła otwarcie. — Ona dziewczeczka francuska co innego, a ja co innego. Ja w sobie żadnego posłanictwa, ani przeznaczenia do sprawiania rzeczy nadzwyczajnych nie czuję. Że nad kądziel, dzierzganie i inne białogłowskie zabawy, bodaj nawet nad płasy, przenoszę rumaka, knieję, łuk i oszczep, to, powtarzam raz jeszcze, nie widzę w tem grzechu i nikt mi nie dowiedzie, aby w tem nieprzystojność się mieściła... Owszem, godne to są zabawy, a jak w naszej ziemi, gdzie o wroga często niż o deszcz łacniej, wiece przydać się mogą. Zali mąż może ustawicznie doma przesiadywać? Jasne, że nie. Owóz, gdy wypadnie mu sprawa w dalekiej stronie: z orlą pohańców, albo-li z Krzyżowcami, a tu w czasie jego nieobecności inszy wróg zagrodę jego najedzie? Czy nie dobrze będzie wtedy, jeśli niewiasta, zamiast szlochać i jęczeć, oręż pochwyci i w obronie swojej, rodziny i domu stanie? Przyznajcie, że tak... Oho!—ciągnęła dalej, w boki się ujmu-

jąc i główką wstrząsając, z czem dziwnie ślicznie jej było—gdyby niewiasty w rzemiośle rycerskiem się zaprawiały, nie byłoby tyle nieszczęścia na świecie, wrogi nie porywaliby tyle plonu, jak teraz... Zbych mi się wielce udał, czego mu w oczy powiedzieć nie wstydam się, ale gdyby mi zabaw ulubionych zaprzeczał, to...

To cobyś zrobiła?—podchwycił Zbigniew.

— Nie posłuchałabym cię, żebyś wiedział!

— Takaś to szparka i groźna?

— A taka. Ba! powiem ci więcej... Jak się pobierzem, na łowy z tobą jeździć będę i na wroga musisz mi z sobą pozwolić! Musisz... od tego nie odstąpię!

— Rogata w was dusza, Halszko! — mruknął Sulima.

— Może i rogata, ale Zbychowi będzie z nią dobrze... Obaczyciel!

A Zbigniew ze śmiechem:

— Kto wie, czy dobrze? Nuż mnie zawojujesz do cna... Na uwięzi przy fartuchu białogłowskim skakać nic przyjemnego...

— Nie bój się, Zbychu, nie! — zapewniała rycersko dziewoja — taki ład pomiędzy sobą uczynim, że lepszego nie będzie trza. Jeno mi wiernym pozostawaj, bez tego nic.

— Chybabym oczu w głowie nie miał, żeby m takiemu wojakowi miał się przeniawierzać. Wszakci jeszcze zaprzysięgniem sobie wiarę do skonu przed ołtarzem, a na złamanie przysięgi i duszne potępienie się nie odważę...

Waż, słuchając tych wynurzeń młodej pary, coraz głośniejsz wzdychał i coraz bardziej się roztkliwiał. Ozwał się wreszcie:

— Patrzajcie ino, jak się czasem losy człowieka składają! Ten młodzian trafił się, czy serce do swojej przyszłej poweźmie, a oto najniespodziewaniej, w jedno oka mignienie, przeszłość jego i szczęście postanowione zostały... Zali to nie osobliwy przypadek? Ale może też od was, Halszko, i od Zbigniewa, ja także szczęście pozyskam, bo bywa (dowiedziona to rzecz), iż powodzenie jednych tym się udziela, z którymi tamci przestają...

— Macie, nie chybię, na myśli swoją nieznajomą?—zapytał Sulima.

— Juści ja! Wciąż mi ona w głowie i sercu siedzi, utkwiała tam, niby ćwiek...

— A wyciągnąć jej stamtąd nie lża? — wtrąciła Halszka.—Przecie pozbyć się ćwieka niewielka sztuka: chwycić silnie i... już!

Gest uczyniła, jakoby istotnie ćwiek z piersi wykręcała.

Waż głową potrząsnął.

— O! nie, Halszko nadobna, taki ćwiek, jak się w serce wpije, to na wieczne czasy, to do grobowej deski. Są serca dla miłowania niedostępne, jakoby zbroją opancerzone, ale moje inne jest... zgoła inne. Czuje ono więcej... niż inne, i w stałości jest niepokonane...

— A nie zdaje się wam, że ono takie?

Świdwa westchnieniem odpowiedział i głowę zwiesił, a Sulima wspomniął, że o drodze trzeba pomyśleć.

— I Zbych do Krakowa pociągnie? — zagadnęła Halszka. — Ja tak sobie układałam, że chyba, gdyśmy się naleźli, to pewnie do Ossolina wprzód zajrzysz?

— Przylecę ja tam, przylecę niebawem, dziewojo



moja, mój sobolu złocisty! — odparł pan z Oporowa, obejmując ją i w oczy jej wpatrując się wzrokiem rozpromienionym ze szczęścia. — Przylecę prędzej, niżli się spodziewasz, a dla prędkości od sokoła skrzydeł wezmę. Trzeba się przecież godnie panu ojcu i pani matce twojej przedstawić, nie w podróжных szatkach. Zresztą mam listy pilne do biskupa Zbyszka z Oleśnicy i do Grzegorza z Sanoka, od Ciołka poznańskiego, który im wiadomość daje o nowych zamysłach niegodnych Spytka z Melsztyna i jego towarzyszy... Takie sprawy zwłoce ulegać nie mogą żadną miarą, a ja (czuję to...), do Ossolina się dostawszy, ugrzązłbym na dłużej... Przytem na coś się w Krakowie zanosi, bo motłoch tam wali gromadnie ze wszystkich stron... Widzisz tedy, tyśiącu, że niesposób mi jechać. Pozdrów pana ojca, panią matkę i czekaj... Jenó w dzień przyjazdu mego gdzie w knieję się nie zaszyj, bo u ciebie, uważam, tego nie kupić. Okrutnieś szparka i zrywna!

— Abo tobie zbywa na szparkości? Z oczu ci ona patrzy. — Ha! kiedy inaczej być nie może, to już jedź do onego Krakowa... Jenó mi tam nie wiekuj, za ślepkami mieszczek się nie obzieraj... O tem masz pamiętać. Tyleś mi roków winien, żem w głowę zachodziła, co sobie myślisz, nie przyjeżdżając, a i pan ojciec, i macierz gadali, jako tak się nie należy...

— Już mi nie wymawiaj, tyśiącu. Przecież ci powód wyłożyłem dokładnie—rzekł Zbigniew.—Powiadam tobie... a mówię, jako na świętej spowiedzi, że srodze żałuję mego ociągania i tak mi markotno, tak matyaśnie, że... że chyba na pocieszenie jeszcze mi ust twoich użyyczysz? Co, Halszko? Co?

— Tak się do całowania rwiesz, jak marucha do

barci... Ale już masz, całuj, byleś rychle w Ossolinie się stawił. Inaczej na śmierćbym się pogniewała!

Zegnali się długo, bo nijako im było się rozstać. Nić serdeczna zadzierzgnęła się pomiędzy nimi przecież w dzieciństwie, a teraz, gdy się niespodzianie już w dojrzałości spotkali, on stosunek niewyraźny (bo prawdę rzekłszy, nietylko Zbigniew, ale i Halszka również była w obawie, czy do siebie wzajem przypadną...),—on stosunek tedy niewyraźny zmienił się w uczucie trwałe. I nie na wiatr mówił Zbigniew, że teraz dziewczki za skarby świata nie oddałyby, ona też szczerze do niego powzięła przekonanie. Przyjaźń, w latach dziecinnych zawarta, przeistoczyła się w ten balsam życia doczesnego, co się miłością zowie, co nad wiosną człowieka zawiesza tęczę szczęścia, krzepi go i od upadku broni, gdy troska lub zawód do piersi jego piołuny weisną, obdarzą go błogim spokojem na dni sędziwości.

Odjeżdżającemu Zbigniewowi przypomniał się Kostuch, wierny Toporeczyków z Ossolina sługa, który we wszystkich wycieczkach Halszce towarzyszył i oka z niej nie spuszczał. Był to człek już stary, białowłósy, wysoki, a suchy, jak szczapa, o surowej, mrukowatej postawie. Jakoż istotnie zawsze chodził nachmurzony, gderał i burczał, zawsze do wyrzekania powód znachodził. Nikt mu dogodzić nie mógł, zwłaszcza Halszka, której upodobania do zabaw męskich o rozpacz go przyprawiały, chociaż ulegał jej, bo nie dziewczce odmówić nie mógł, na rękach ją wypiastawawszy. Kostuch tedy, gdy Zbigniew już na konia miał siadać, zbliżył się do niego i, kolana obejmując,

przemówił, tym razem wzruszony nieco—bowiem serce miał złote, a mrukiem był jeno z wierzchu:

— A mnie wasza miłość poznaje?

I w oczy patrzył młodzieńca, ten zaś wesolo zakrzyknął:

— Kostuch pocziwy! Żyjesz jeszcze?!

— Jako wasza cześć widzi...—odparł stary, prostując się.—Żyję na utrapienie samego siebie, żeby ludzie, osobliwie zaś nasza Halszka, mieli komu doskwierać, kogo gryźć, komu na złość czynić... To też kwaśne jest życie moje i cierpkie... niczem żółć z octem...

Zsunął brwi i ręką machnął, dodając:

— Jak najprędzej w ziemię, tam człowiek spokoju zazna!

Rozśmiał się Zbigniew,

— Zawsześ jednaki, o zdźbło się nie zmieniłeś: byle stękać, byle się krzywić, wydziwiać... I trzymasz się krzepko, latom się nie dawasz. Powiedziałbym, że nie we włos siwy, ale w czerstwość się wzmogłeś...

Stary skrzywił się niemiłosiernie.

— Et!—stęknął—wasza cześć dziś wszystko jasno i różowo widzi, bo młody, a bardziej jeszcze przez to, że... Halszkę najrzał. Com ja? Próchno, kłós wymłócony, chrzan...

— Sprawiedliwieś rzekł! — ozwał się Paluch.— Żeś chrzan, tego ci nikt w świecie nie zaprza. A toć, proszę miłości waszej — ciągnął zwrócony do pana — znamy się z nim tyle lat, więc jako godni kmotrzy, po tak długim niewidzeniu, winniśmy się przywitać od serca, jako się patrzy. Ja właśnie tak uczynić chciałem, ale czy z takim borsukiem można do ładu dojść? Ani rusz! Jak pijawka się do mnie przycze-

pił i nuż przygryzać... Słuchałem, myśląc sobie: opamięta się jaźwiec. Gdzie zaś! Potem i na waszą miłość wygadywać począł, i na panienkę naszą, i Bóg wie nie na kogo... A za co? Ot... za ten wiatr, który wieje. Nigdy on nie był słodki, ale teraz ozór ma z pokrzywy: ile razy nim poruszy, do żywego sparzy.

Nie było złości w mowie grubasa, jeno chęć przekomarzania się. Z Kostuchem bardzo się lubili—ale też przy każdym spotkaniu jeden drugiemu łatki przypinał tak, że ktoby ich, bliżej nie znając, słuchał, pomyślałby nieomylnie, że zawziętymi są nieprzyjaciółmi. I teraz jeden na drugiego patrzył z góry, jak gdyby za czuby wziąć się mieli, ale nic podobnego ani temu, ani tamtemu, do głowy nie przychodziło. Kostuch ramiony wzruszał, powtarzając:

— Ozór z pokrzywy? Ozór z pokrzywy! Patrzcie go? A on sam ma z czego? Dudkowi go wyrwał albo psu, bo trzepie, plecie, jak na mękach...

— Za cożes na mnie wydziwiał, staruchu? — zapytała Halszka.

— A na mnie za co?—ozwał się z drugiej strony stojący Zbigniew.

— Ja? ja?—odmruknął Kostuch.—Nigdy w zwyczajnym wydziwianiu nie mam. Nie wszystko się człowiekowi podoba, nie wszystko według jego myśli się składa, nie tedy dziwnego, że czasami burknie... Ot, na ten przykład mówiący... zali podobać się może komu, iż nasza panienka, którą na rękach wyniańczył, wyhuśtał, wychuchał; którą jako żrenicy oka strzegł, tak, że wyrosła (na psa urok!), jako kwiat najpiękniejszy, że o równie urodziwej ani w baśni, ani w pieśni nie usłyszysz: zali podobać się może komu, aby taka

dziewka, takiego rodu, jeno myślała o kniei, o szczwaniu zwierza, jeno hasała po polach i ostepach, jeno się koniem albo łukiem zabawiała? Prawda, taka z niej dziś, że inszy z pod rycerskiego znaku jej nie sprosta. Skoro obuchem po łbie palnie, to ogłuszy, jak nie, jeśli czerepa na drobne kęsy nie roztrzaska; skoro do ciebie zmierzy — Bogu się polecaj, bo nie chybi. Ale dziewczce nic po takiej sprawności!

Wyrzekając, na Halszkę patrzył, lecz znać było, że nie sarkania z jego ust wychodzą, jeno pochwały, jeno uciecha, że jego umiłowana wychowanica taką jest, a nie inną. Halszka, wiedząc o tem, przyskoczyła do niego i za długie, obwisłe targając wąsy, ozwała się:

— A kto mnie do tego wszystkiego układał? Kto wdrażał? Powiadaj zaraz, mruku nieznośny!

— Kto? — powtórzył Kostuch. — Gotowa jeszcze na mnie winę zwalić! Tegoby brakło... Jam był twoim nauczycielem, nie przeczę, ale nie z ochoty, boś mnie, panienko, podstępem do tego skłoniła... Jakaś zaczęła ślepkami słodko przewracać, a przymilać się: „Mój Kostuchu! Mój dziadku! Mój złoty! Jeno raz do kniei... Jeno jednego rogacza...” — cóż miałem zrobić? Człek nie z drzewa, nie z kamienia... To próznica! A teraz co? Teraz pan Zbych łeb mi siwy chyba utnie i będzie praw. Spodziewał się, że znajdzie dziewczkę, jak każda insza: tymczasem znajduje pędziwichra, nie daj Boże jakiego! Skaranie...

Stary w głowę się drapał, rzekomo frasunek okazując, a pilnie Zbigniewa uważał, z twarzy jego wyczytać pragnąc: zali obawę tę potwierdzi. Lecz Zbi-

gniew, zamiast się nadąsać, po ramieniu go poklepał i rzekł:

— Nietylko, że ci łba siwego nie urzeczam, ale wdzięcznym ci do śmierci ostanę, żeś mi tak gracką dziewczkę wyhołubił! Malowanie... krew z mlekiem! A że szparka—nie to! Całkiem ona słusznie gada, jako taki pomiędzy sobą ład uczynim, że lepszego w żadnem stadle nie najdzie. Zresztą przyjdzie czas, to i zaniecha szparkości, bo co innego do roboty będzie miała. Ja się o to postaram...

Mrugnął znacząco oczyma, a Paluch podchwycił:

— Że tak będzie, ani wątpić! Już teraz widzę, jak po ślubie zaczną się sypać dzieciaczyska, jedno po drugim, a same chłopaki, i to jeden od drugiego więcej urodziwy, więcej dziarski... U panów Jelitezyków tak. Inaczej być nie może, kiedy taka para się pobierze. Przekonacie się, panienko miłościwa, że Paluch dobry prorok.

— Do misy i kufła...—mruknął Kostuch.

— Obaczysz, jażwczu nieugłaskany! Na gębę z tobą wojować nie myślę, próżna to mitręga, ale obaczysz...

Gdy grubas tych słów domawiał, kukulka w głębi dąbrowy się ozwała, on zaś szybko zawołał:

— A co? Jakby na potwierdzenie mojej przypowieści mamy i grzegółkę... Najsprawiedliwsza to przecie w takich sprawach wróżka, jejby zapytać...

Nie czekając przyzwolenia ze strony młodej pary, zwrócił się w stronę, skąd kukanie dochodziło i huknął z pełnych piersi:

— A prorokuj ptaku, ilu chłopczysków bociany do Oporowa przyniosą, gdy się młodzi państwo pożenią?

Wszyscy uszu nadstawili, nawet Halszka, cho-

ciaż na twarzy się mieniła i oczy spuszczała. Kukulka umilkła na pacierz, potem zaś jęła powoli kukać, aż do razy trzydziestu. Halszka wtedy uszy zasłoniła, wołając:

— Aj! Aj! Chyba nie skończy dzisiaj... Bajesz ty, grubasie, z twoją wróżką! Głupia ona jedna, a ty drugi...

Śmieli się wszyscy mężczyźni, łokciami trącali, a Zbigniew rósł, jak na drożdżach, pożerając oczyma zapłonioną dziewczkę.

— Trzydziestu chłopczysków mi dasz, całe półkopie... — szepnął jej do ucha. — Pamiętaj, sobolu złocisty, że ani jednego ci nie opuszczę. Masz wiedzieć!

I ręce zacierał z ukontentowania.

— Zbych! Z ciebie widzę sromotnik okrutny... Zaniechaj już! odszepnęła, gniew udając.

— Ano—ozwał się Paluch — teraz trzeba spytać o dziewczki, bo nie obejdzie się i bez nich...

Ale piękna Toporzanka usta mu zatuliła, grożąc:

— Ani mi się waź! Dość już krotochwil...

To rzekłszy, bieguna doskoczyła, rąco nim zatóczyła i rzuciła Zbigniewowi:

— Zbychu! Jedźże, kiedy musisz, ale stawaj w Ossolinie rychło. Jeno godnie się sprawiaj w Krakoweu, żebym ci wymawiać nie potrzebowała. Bogu cię ostawiam i was Sulimo, i was Wężu, i wszystkich...

Potem, jak wichrem się zjawiła, tak też znikła niby wiatr, zanim towarzysze jej zdążyli koni swoich dosiąść.

Patrzył za nią Zbigniew długo, oczu nie mógł oderwać od tej postaci dziarskiej, która wszystkie jego

opanovała myśli, stanawszy przed nim tak niespodzianie. Patrzył, a błogość malowała się na jego twarzy i w oczach, wydało mu się, jakoby go upojenie jakiego ogarnęło i w inne światy przeniosło. Na ustach czuł jeszcze usta Halszki, one usta miodowe, świeże, by jagody; czuł na twarzy jej oddech, który z powiewem wiosny porównać było można; czuł dotknięcia jej rąk drobnych i włosów w połysku i miękkości jedwabnych; widział jej twarzyczkę uśmiechniętą, pogodną, spłonioną, jakby promieniami zorzy wschodzącej oblaną; jej oczy modre, a głębokie niby przepaści, a pełne błysków gwiazdzistych, które do serca mu się wkradaly, tętna jego przyśpieszały i przejmowały go nieokreślenie miłym ciepłem. I byłby w zachwyceniu, niby skamieniały, stał Bóg wie jak długo, gdyby go Sulima nie rozbudził upomnieniem:

— W drogę czas! Okrutnie mitrężym...

— Czas! czas! — powtórzył. — Ale bo też mnie dziewczka uroczyła... Istna łania! Głupi byłem, że dla obaw urojonych do Ossolina nie zazierał! No... jakos to się wszystko naprawi. Bogu Najwyższemu chwala, że i ja też wstretu w niej nie zbudziłem. Sulimo? Wężu? Jako uważacie?

— Oczywiście! — potwierdził Sulima. — Srodzes jej się udał, znać to było i sama powiadała.

— Szezęśliwy z was, Zbigniewie — dodał Wąż, wzdychając. — Owo jak się komu wiedzie, to już na każdym kroku...

— Silnie urodziwa dziewczka, będzie mi z nią jako w raju — marzył Zbigniew. — Juści chyba spotkanie się z wami taki szezęśliwy przytrafunek sprowadziło. Jawny to znak, że należy nam się trzymać kupy, jak po-



stanowilim, bo wtedy wszystkim trzem będzie się dobrze wiodło...

— Jam o tem już mówił zauważył Waż.

— Ale co do chłopczyków, to będzie wasza cześć miał ich moc — wtrącił Paluch, którego również przygoda rozochociła. — Pół kopie! Pociecha to zacna i przeze mnie zyskana, bo któż, jeśli nie ja, do wróżenia grzegółkę wezwał? Pół kopie, jakby świecę ułął. Parada, co się nazywa!

— Gusło to jeszcze może być — rzekł Zbigniew. — Niezawsze takie wróżby się sprawdzają. Zresztą, co będzie obaczym, dziś to jeno wiem, że Halszka moja i że będziem ze sobą żyli, jak Bóg przykazał.

Oburzył się grubas, usłyszawszy, że pan jego wróżbę kukulki lekceważy, bo we wszelkie tego rodzaju przepowiednie święcie wierzył. Tedy rzekł:

— A już niechże wasza cześć nie bluźni. Co grzegółka wykuka, to prawda nieomylna i grzechem jest niedowiarstwo okazować. Człowiek podczas może omyłkę popełnić, umyślnie albo z nierozumu, ale nie taki ptak. Nigdy się jeszcze nie zdarzyło, żeby grzegółka kogo oszukała. Trzydzieścioro razy kuknęła — to już amen. Dopieroż to się zaroi w Oporowie!

— Będziecie, Zbigniewie — dodał Sulima — z całym hufem krwi własnej chadzali na wroga, gdy chłopcy dorosną. Toć to naprawdę osobliwa rzecz, a dla rodu chwała!

— Chwała na czasy wiekuiste! — podchwycił Paluch. — A będąż stawały one smyki walecznie, już moja w tem głowa... Bo przecież Bóg mi pozwoli, jak się patrzy, zaprawić ich do oręża, na czem się, nie chwalać, znam...

Srokacz, obok niego jadący, wątpliwość wyraził:

— Wcale nie na srogiego rycerza patrzysz, bracie, a przynajmniej nie znać tego po tobie. Jeżeli zaś zamysłasz kogo do sprawności bojowej zaprawiać, to wprzód musisz się postarać trocha cielska zbyć. Z taką posturą prędzej pod piecem legać, niż w polu się uwi-  
jać. Daruj życie, ale temu nie zaprzeczysz.

— Srokacz jesteś, tedy srokato masz we łbie — odciął się dotknięty do żywego Paluch. Snać swoją miarką innych mierzysz; tak o nich mniemasz, jakis sam. Nie troskaj się o mnie i o moją posturę. Lubię ja wygodę sobie uczynić, ale gdy potrzeba się zdarzy, okrutnie ze mnie zawzięty i nie radzę wtedy nikomu w drogę mi wchodzić. Grzmoce, ani pytam, a sroka-  
czów na kwaśne jabłka przeistaczam!

Uśmiechnął się Srokacz.

— Gadasz groźnie, ale jakoś strach od twego gadania mię nie bierze — rzekł. — Radbym cię w potrzebie obaczyć. Widzi mi się, że na sztych nie zwyczaj-  
nyś się wystawiać...

Paluch spasłe policzki odął, spojrzął na wątpią-  
cego o jego waleczności i rycerskich zdolnościach to-  
warzysza, potem dodał wyniośle:

— A tobie, widzi mi się, wesołkiem być i kro-  
tochwile wyprawiać. Bacz przecież, że wesołkom ję-  
zyka przycinają, gdy niesforni, i po grzbietach ich  
trzepią!

Przekomarzania przerwał Sulima, który wyciąga-  
jąc prawicę przed siebie, zawołał:

— Owóz i nasz przesławny Krakowiec! Dotarli-  
śmy szczęśliwie; daj Boże, iżby nam się w owym gro-  
dzie dobrze też wszystkim działo!

Jakoż w oddali ukazał się gród starożytny, po nad którym zwisało niebo, całe jakoby we krwi, tak w promieniach zachodzącego słońca skapane. Widok był majestatyczny i groźny. Nikt słowem się nie odzywał. Sulimie blaski krwawe przypomniały rzeź, przez pohańców sprawioną; Świdwa, jak zwykle, wzdychał; a Zbigniew o Halszcze swojej marzył. Wydało mu się, że słyszy jej głos srebrny, upominający go:

— Jedź, a rychło do Ossolina wracaj!

I w duchu odpowiadał na to wezwanie:

— Wróćę, sobolu mój, wróćę prędzej, niż się spodziewiesz...

---

## II.

Im więcej podróżni do grodu się zbliżali, tem on większym zdawał się przystrajać majestatem. Już same strażnice górskie: Krzemionki, z odwieczną mogiłą Krakusa; Karpaty, z Babią górą, na ich czoło wysuniętą; wreszcie Tatry, patrzące w niebo śnieżnymi turniami: powagę królewską mu nadawały. A cóż dopiero, gdy z po za podwójnego pierścienia murów wyniosłych, z cegły, ciosu i kamienia polnego wyprowadzonych, wzmocnionych jeszcze wałem ziemnym, fosą, zalaną wodą Rudawy i bezmała pięćdziesięcioma basztami, nakrytymi dachami, kształt bań mającemi: gdy się zobaczyło wystrzelające z po za tych obwarowań wieże świątyni Pańskich, zamku wawelskiego i domów szczyty; gdy się patrzyło na owe bramy zwodzone,

u łańcuchów wiszące, przytwierdzonych do ruchomych w górze belek, i inne umocnienia wewnętrzne, nadające całości znamiona — niezdobytej... Wtedy jakobyś słyszał, że on gród powiada:

— Potężny jestem, nielada siła mnie zmoże!

Zbigniew jechał wolno, rozglądając się po mieście z ciekawością, ale też z uczuciem miłości i uwielbienia syna dla pełnego chwały rodzica. Zmrok zapadał, było jednak jeszcze dosyć widno, żeby wszystko dokładnie rozróżnić. Znalazłszy się w otworzystym rynku, oddał hołd pobożny kościołowi Maryackiemu, najwspanialszej po Iwonie pamiątce, jaka na ziemi polskiej stała. Dźwigała się ta w ceglanej murów na-gości budowa, z lecącymi w niebo, nierównej wysokości, wieżami, z których wyższą koronował jakby wie-niec wieżyczek śpiczastych. Podziwiał dalej ratusz, sukiennice, kramy, sklepy, domy kilkopiętrowe, wązkie, o dwóch lub trzech oknach, zamek, insze gmachy, tłum różnorodny, pstry, snujący się gęsto, i zgoła każdy szczegół. Bywał w Krakowie tyle razy, lecz za każdym witał ten gród z dziwnem jakimś rozrzewnie-niem. Nic zresztą w tem nie było nadzwyczajnego: gród stanowił chlubę jego kraju, był siedzibą kró-lów, widownią doniosłych wydarzeń dziejowych, oj-cem miast polskich...

To uderzyło pana z Oporowa, jak również jego towarzyszy, że w pozorze miasta nie zauważyli nic osobliwego. Ruchliwość i gwarność nie zdawały się odskakiwać od zwykłego trybu życia, nie zdradza-ło, ani zapowiadało wypadków burzliwych. Owe gro-mady podejrzane, tak liczne, które spotykali w dro-

dze, gdzieś się rozplywały po wertepach i zaułkach, jakby wsiąkały w miasto...

Sulimie to się nie podobało.

— Wszystko patrzy na jakiś rokosz umówiony, z góry uplanowany — rzekł, głową kręcąc. — No, ale przecież świat się nie skończy i jeśli co się żarzy, to wybuchnie, a na stłumienie takiego wybuchu rada się najdzie...

— Na mój rozum — ozwał się Paluch — jabym tego szczekacza, Hocza tego, do loszku zasadził, niespodzianie go capnąwszy, a panów rajców zawiadomiwszy, co o nich ci obszarpancy po drodze wygadywali i komu się odgrażali. W loszku niechby go trocha przycisnęli, ot... choćby przypiekli trocha, w on czas pewnie wyśpiewałby, na co kroi. W on czas też możnaby wcześniej tumult za gardziel ułapić i bezpiecznie w pysk mu dać...

— A znasz ty Hocza, jeśli tak radzisz? — zaga-bnął go Sulima.

— Juścić, że znam tego obwiesia, znam z ludzkiego gadania. Taki jest, że jeno z nim na gałąź!

— A ja ci radzę, żebyś język za zęby wsunał, bo chociaż srodze niespokojny jest z Hocza człowiek i wart, aby mu cugli przykrócić, ale taki ma u pospółstwa mir, takie zachowanie, że gdyby usłyszano, coś rzekł, rozszarpanoby cię w kęsy, zanimbyś przeżegnać się zdążył. Jeśli ci sadło twoje miłe, pamiętaj o tem.

Ciarki przeszły grubasa na te słowa pana Sulimy, poważnie wyrzeczone, a przeraził się nie na żarty, gdy krotochwilny Srokacz szepnął do niego:

— Bartosie, kto wie, czy w rzeczy samej nie

za głośność mówił: patrzaj, jak się ci i owi za tobą groźnie obzierają...

— Nie plećże, bajbugo, rzeczy niestworzonych...— mruknął Paluch, sam się obzierając i rzekomych swoich wrogów poszukując.—To na ciebie nie ludzie, ale psi się obzierają i warczą, bo obrzydliwie gadasz...

— Wesółkujesz, boś śmiałek, boś junak, ale ja, na twojem miejscu będąc, strachbym czuł...

— Żebyś ty w tem swoim wywijadle, co niemerdasz, jak przez gzy kąsana szkapa ogonem, wędzi-dło uczuł, dałbym pierwszemu spotkanemu dziadowi na Zdrowański — rzekł na to Paluch, domyśliwszy się, że Srokacz naśmiewa się z niego.

Podróźni mogli jeszcze dnia tego do zamku się dostać i tam godziwe pomieszczenie znaleźć, ale że Sulima miał podle rynku kamienicę, w której zazwyczaj stawał, bo mu tu było i przestronniej i swobodniej, i zresztą wygodę mógł sobie uczynić wszelką, łącno tedy namówił towarzyszy, żeby w niej się z nim rozgościli.

Doglądali Sulimie przygodnego schroniska — dawny jego koniuch, Skała, z żoną Ofką — oboje ludzie starzy, do cięższej pracy niezdolni, osobliwie Skała, któremu na usługach pana konie razu pewnego tak nogi potratowały, że od tego czasu ledwie niemi powłóczył. Tedy było to zajęcie dla obojga chlebem łaskawym, prawdziwem dobrodziejstwem, za które panu wywdzięczali się, jak mogli najlepiej.

Żywiła się jeszcze przy starych ich wnuczka, sierota, dziewczyna jak należy i gładka. Petruchna na nią wołali, do roboty była jedyna — w rękach jej się paliła, przytem zwinnością się odznaczała, pojętnością i by-

strością... aż za wielką. Wszystko w oka mignieniu rozumiała; do czego się wzięła, czyniła sprawnie; ale nadto na płasy i insze zabawy była łasa, również nadto za chłopcami zerkąła. Na nie zdrożnego się nie odważała, mimo to dziadowie martwili się tem jej usposobieniem niezmiernie i surowo ją za to karcili, chociaż taki był z onego karcenia skutek — że dziewczka w chwilę potem znów robiła swoje i do kogo mogła zęby szczyrzyła.

A drobne miała i ładne.

Sulima zamierzał starym kłopotu ująć, męża statecznego tej sroce obmyślając, lecz zawdy mu jakoś schodziło. I Petruchna wciąż wolną pozostawała, chociaż jednej chwili radaby czepiec wdziąć.

W domu Sulimy sprzętu wszelakiego był dostatek i zapasów żywności nie brakowało — Skąła przeto nie potrzebował sobie łamać głowy nad przyjęciem gości. Przywitał pana omal nie z płaczem, za kolana go obłapiając i mówiąc:

— Już myślałem, że jegomościocy moje nie zobaczą, po onej przeprawie z Tatory. A! pogańskie, zatracone dusze... Szatani im odplacą z nasypem...

Sulima o nowiny pytać zaczął, na co znów stary:

— Toć, z łaski Boga i jegomości, żyjewa jakoś, nie można wyrzekać, jeno oboje z Ofką do ziemi się chylim. Ale to zwyczajna rzecz, tak być musi... Żeby jeno nie Petruchna...

— Cóż ona? zagadnął Sulima.

— Czart w niej siedzi i tyle!

Skąła westchnął, dodając:

— Żeby ją w jakie pewne ręce oddać, takie, coby ją trzymały w pokorze i strachu...

— Jakoś to będzie, nie martw się stary, nie trap, ja w tem. Do niecnoty się przecież nie posuwa?

Na wspomnienie niecnoty, Skąpa pięści zacisnęła.

— A toć kościbym jej pogruchotał! rzekł z oburzeniem. — Ale proszę jegomości... zawdy człowiek się obawia: swoja to przecież krew...

Sulima przywołał Petruhnę, która już się zdążyła zaznajomić ze wszystką czeladzią przybyłych i w najlepsze się z nią zabawiała, nie pogardzając Paluchem, chociaż milej w stronę Srokacza spoglądała. Na wezwanie pana, niezwłocznie się stawiała, powitała go bez strachu, swobodnie, ale nie za śmiało. Zdążyła też odświeżną jubkę i kabacik zgrabnie wcięty wdziać, fartuszek wzorzyście wyszywany przypasać, z szyi na piersi paciorki bursztynowe się zwieszały.

— Cóżes się tak wystroiła? — zapytał Sulima to spostrzegłszy. — Nie święto przecież?

— Dla mnie zawdy święto, kiedy jegomość, nasz dobrodziej, przyjeżdża—odparła. — Zresztą jegomość nie sam przyjechał, ludzi w czeladnej sporo, a ja domowi wstydu przynosić nie chcę. Ludzie, jak kogo widzą, tak o nim gadają; trzeba tedy się starać, żeby gadali dobrze...

— Szpakamiś ty karmiona! — uśmiechnął się Sulima.

— A tu na ciebie dziaduś się uskarżają — wtrącił Zbigniew.

— Stara piosnka, ale krzty w niej niema słuszności! — rzekła, spoglądając na niego z pod rzęs. — Dziadowie jeno złe we mnie dopatrują przez to, że zapomniałi już, co się młodości należy...



— Oho! tak to gadasz dziewucho?— odezwał się z kolei Świdwa.— Cóż się należy?

— Wesele, zabawa godna... — rzekła, Sulima zaś dodał:

— Kochanie...

— Juści, że i to, byle poczciwe było — znów rzekła bez zajknięcia.

— Tak, ale wszystko w miarę ma być, bo na-  
zbytek z poczciwej drogi sprowadza — zauważył Suli-  
ma.— W pamięć to sobie wbij i przy pacierzu każdym  
powtarzaj.

— I bez tego pamiętam. Dziadów starość kwa-  
si, chcą też, żebym i ja się przy nich kwasila. A prze-  
cie to dla mnie krzywda! Czy to ja mniszka? Czym  
ślubowała bez świata żyć? Niech się do kogo uśmie-  
chnę, niech zagadam, niech podskoczę... juści na mnie  
góry—mury się wałają... A Petruchna taka! A Petru-  
chna owaka! A duszę gubi! To wszystko nieprawda.  
Żeby też raz kto się zmiłował i...

— I z tej niewoli do inszej cię wziął? — podchwycił Świdwa.

— Pewnie. Ociągania nie czyniłabym nijakiego.

Poszłabyś i dziadów na stare lata osierociła?

— A nie! — zaprzeczyła szybko. — Razem mogli-  
byśmy żyć, ale jabym swarów nie słuchała...

— No, no, przyjdzie do tego — rzekł Sulima. —  
Jużem powiedział dziadowi, że pomyślę o tem i tak  
też się stanie. Ino cierpliwą bądź i bacz na siebie.

Do nóg mu się skłoniła, dodając:

— Bóg zapłać jegomości! Niechby się stało jak  
najprędzej.

Gdy do czeladnej odeszła, Sulima, ku Skale się zwracając, rzekł:

— Może i prawda, że zbyt wiele od dziewczki wymagasz? Bywa często, że starość młodego nie rozumie lub rozumieć nie chce... A przecież wiek każdy swoje prawa ma...

Skala trocha się rzucił.

— O! o! Jegomość w jej obronie staje... Albo to jej jegomość nie zna?— mruknął.

— Gada słusznie...— zauważył Świdwa.

— Nie ona to, ale szatan gada, który, jakom rzekł, w niej siedzi i do złego ciągnie — podchwycił stary. — Gada słusznie... Juści, z wierzchu tak się wydaje, ale co innego ona trzepie, a o czem innem myśli. Zabawy statecznej jej się nie broni, lecz na wszystko jest pora godziwa; jej zaś wiecznie jeno płocze w głowie siedzą myśli, wiecznieby się jeno gziła. Z tego nic innego wypłynąć nie może, jak grzech i srom... Gdybym jej obiema garściami nie trzymał i obu oczyma na nią nie patrzył, jużby chyba zmarniała do cna.

— Domowego złodzieja i enoty niewieściej nie upilnować...— wtrącił Świdwa.

— Tak powiadają, proszę miłości waszej, ale powiadają też: strzeżonego Bóg strzeże i temu większa wiara.

Raz jeszcze zapewnił Sulima starego, że losem Petruchny zarządzi, następnie zapytał go — zali Hocz w Krakowie jakiej zawieruchy wywołać nie zamyśla? Skala mało wiedział, co się na świecie dzieje, bo doma przesiadywał, wychodził jeno do kościoła albo w razie koniecznej potrzeby; mimo to uszu jego doszło, że istotnie na coś się zanosi.

— Hocz, człek wichrowaty, zawdy z panami rajcami i wszystkimi, co inaczej niż on myślą, się swarzy—mówił — ale od kilku niedziel głośniej o nim niż zazwyczaj. Pono panów rajców napiera, iżby złym pieniądzem frymarczyć nie pozwalali, przez co naród biedny dotkliwą cierpi krzywdę...

— Ano, jeśli o to mu idzie, to sprawiedliwość po jego stronie — rzekł Sulima; — przez zły pieniądz wszyscy ucisku doznają. Cierń to w ranie istny i biedę nielada sprowadzić może... Tedy powiadasz, że rajców napiera?

— Tak gadają...—potwierdził Skala.—Wadzi się o to z nimi bardzo zapalczywie i grozi, że gdy mu skutku należnego nie dadzą, on Kraków do góry nogami przewróci...

— Tego chyba uczynić nie zdoła!—uśmiechnął się Sulima.—Jest-ci w Krakowie siła, która i Hocza, i zamysły jego zetrzeć może na proch.

Hocz w rzeczy samej postanowił burzę w Krakowie wytworzyć, i tym sposobem obiegowi złej monety kark skrećić. Klęską ona dla miasta była. Ci, co ją bili (a do tych należeli: Mikołaj Serafin, przemożny żupnik krakowski, rajcowie—Jan Graszar i Wink, oraz kupcy możniejsi) narzucali ją miastu gwałtem, bo z frymarku tego znaczne sami, powinowaci ich i niektórzy z możniejszego mieszczaństwa osiągali zyski, z wielką dla biedniejszych szkodą. Inaczej być nie mogło. Pieniądzy złych, które wartości im nadawanej nie miały, zagranicą albo całkiem brać nie chciano, albo brano w cenie znacznie niższej — więc płacący taką monetą straty ponosili niemale.

Taki stan rzeczy trwał już od dłuższego czasu,

wywołując w mieście rozdwojenie, które się z dniem każdym coraz bardziej uwidoczniało. Krzywdziciele obstawali przy pieniądzach złych, gardłowali w ich obronie — krzywdzeni sarkali na nie i oburzali się. Pierwsi, na dobitkę złego, pieniądze dobre, gdzie jeno mogli, wyławiali, aby je na mało warte przerabiać...

Oburzenie krzywdzonych wzrastało; coraz częściej przychodziło do gorszących waśni w piwnicach, browarach, na cmentarzach kościelnych, nawet na ulicach. Grożono panom rajcom miejskim, że na nich się skrupi to bezprawie, jeśli mu nie zspobiegną, lecz nie sobie nie robili z pogroźek. Mieli władzę w rękę, czuli za sobą plecy możniejszych, a na okpistwie zarabiali.

Wreszcie w sprawie tej wystąpił umiłowany przez ogół biedniejszych Przedbór Hocz.

Był to człowiek szorstki, gwałtowny do niepomiarowania, a tym razem odzywał się ostrzej i energiczniej, niż kiedykolwiek. Kilka razy z tłumem gawiedzi udawał się do ratusza i tam panów rajców nasiadał, łząc od ostatnich; kilkakroć też żupnikowi Serafinowi, w sukiennicach i na rynku, do oczu skakał, złodziejem i fałszerzem nazywając. I na to nie zważano. Żupnik nawet śmiał się głośno, powiadając:

— Co mi Hocz? Tyle o niego dbam, ile o zeszłoroczną zimę. Niech wydziwiał! Wolno psu na Bożą mękę szczekać. Wrzeszczy on nie od dziś i co zrobił? Nic. Buntem gawiedzi grozi? Słomiane to strachy! Motłoch, jak za panią matką pacierz, jego wrzaski powtarza, ale się do rzeczy wziąć nie ośmieli. Browarom przez to lepiej — więcej na piwie zarabiają, bo krzykacze gęsto odwilżać gardła muszą... Gdyby na-

wet do czego przyszło—i na to pod ręką rada jest: wiertelnicy... Zresztą i wiertelników nie trza. Jeśli poduszczony motłoch na mnie się rzuci, łącno go kawalcem mięsa i beczką miodu ugłaskam. Taki on. Na sposób jest sposób...

Mówiąc to, śmiał się i butnie czuba siwego straszyl, a zagrożeni, pewnym siebie tak możnego i wpływowego człowieka widząc, sami też śmiałości nabierali i drwiąco na Hocza patrzyli.

Ten, w odpowiedzi na upór panów rajców, na ich drwiny i lekceważenie go, coraz zawzięciej napadał, zaprzysięgając, że wojować nie przestanie, aż na swoim postawi. Bywało, że krew mu się z ust rzucała, gdy się z nimi użerał, taka go zapalczywość ogarniała... Od kilku dni jednak przycichł. Strona przeciwna tryumfowała, sądząc, że się za zwyciężonego uznał. Żupnik Serafin, który również tak mniemał, spotkawszy raz Hocza na rynku, zagabnął go z przekąsem:

— Jakoś zaprzestaliście ujadać, Przedborze? Dobry znak... Świadczy, że do rozumu przyszlście... Na słońce z motyką w garści się porywać—szalenstwem jest.

A Hocz:

— Nie każdy śpi, kto ma oczy zamknięte. Taką łaźnię wam sprawię, że ją ruski miesiąc popamiętacie.

— Przyda się łaźnia na taką spiekotę!—rozśmiał się żupnik.—I kiedyż mamy się jej spodziewać?

— Spadnie ona na was jako grom, ani się opatrzycie—odparł posepnie Hocz, mierząc Serafina wzrokiem pełnym nienawiści.

— Tyle sobie z waszych pogroźek robim — rzekł żupnik, poczem na dłoń dmuchnął, znów się rozśmiał i odszedł.

Hocz nie groził napróżno; przycichł, to prawda, ale w skrytości przygotowywał się do stanowczego kroku.

Tego dnia, kiedy Zbigniew z Sulimą i Świdwą do Krakowa przybyli, w domu Hocza przez noc całą gorzało światło. W izbie gościnnej, przy suto zastawionym stole, na ławach kobiercami wysłanych, siedziało mężów kilku, z których twarzy można było wyczytać, że nie dla ucztowania tu się znajdują. Hocz sam im usługiwał, a za każdym razem, gdy mu przyszło wyjść lub wracać, starannie drzwi przymykał.

Głośny ten człek czterdziestu lat dobiegał, średniego był wzrostu, suchy, zawiedły, szybki w ruchach i mowie. Twarz miał bladą, zapadłą, usta zaciśnięte, oczy wielkie, w których coraz to nowe zapalały się błyski, zdradzając myśl polotną, wolę nadzwyczajną i odwagę. Mówiąc, rękoma wyrzucał i wszystkimi członkami trząsał, za brodę się chwycił, w piersi tłukł, usta dziwnie wykrzywił. Od spojrzenia przeczuwało się w nim człowieka, który słów na wiatr nie rzuca.

Goście jego, z odzieży sądząc i postawy, znacznymi musieli być ludźmi. Najstarszy wiekiem na pierwszym siedział miejscu i jemu też gospodarz czci okazywał najwięcej. Mąż ten rozrosły, z turzemi bary, z twarzą ponurą, w której rysach dumę można było wyczytać, jak z księgi rozwartej, do sławnego rodu należał i sam też wielkie dla ojczyzny położył zasługi. Ale zamiast na wiekopomne, nieskażone imię wciąż zarabiać, dał się unieść pysze i zawiści — z dobrego syna ojczyzny stał się jej wrogiem.

Był to Spytek z Melsztyna, Leliwita, niedawno chluba, a w tej chwili klęska narodu.

On to po śmierci Jagielly wicherzyć począł, aby nieletniego Władysława do tronu nie dopuścić, a gdy mu się to nie udało, wpadł w wściekłość i coraz okropniejszych szaleństw się chwycił. Wszystko czynił rzekomo w imię miłości ojezyny, jako obrońca praw i swobód narodowych — ale fałsz to był, bo do wicherzycielstwa pchnął go szatan pychy, zawieść do Oleśnickich i Tęczyńskich, w których rękę znajdowały się rządy kraju. Patrząc na ich wywyższenie, zmąsły trafił, wołał, że ojezyna ginie, i co jeno mógł poczynił, aby ich z onej wysokości ściągnąć, zgębić, upokorzyć, nogą zdeptać, a potem samemu miejsce zaszczytne zajmując. Ale przeciwnicy stali twardo, mając za puklerz biskupa krakowskiego, Zbyszka. Wszelkie zamysły ambitnego możnowładcy z Melsztyna rozwiewał on, jak się rozwiewa bańki mydlane.

Niepowodzenia coraz bardziej jątrzyły Spytka. Głowę straciwszy, głośno przeciw Jagiellonom powstawał, bałamucił umysły, dowodząc, że przez usunięcie od tronu Piastów, kraj w klęski popadnie ostateczne; że pod Jagiellonami zginąć musi... I tym sposobem nie nie wskórał. Byli wprawdzie tacy, co to samo za nim powtarzali, ale wiekopomne czyny Jagiellowe, ale urok, jaki dokoła siebie roztaczał biskup Zbigniew z Oleśnicy i idący z nim ręka w rękę senatorowie,— to wszystko zwalczało zakusy szalonej ambicyi.

Spytek atoli nie tracił nadziei — na wszystkie strony się rzucał, mniemając, że celu dopnie. Srodze przez to kraj cierpiał i byłby biskup Zbigniew już dawno kres wybrykom szalonego możnowładcy położył, gdyby nie nawał spraw ważnych i obawa wojny domowej. Bo z panem z Melsztyna wielce trzeba było

się liczyć, miał on za sobą stronictwo potężne. Więc biskup Zbigniew sposobności szukał, patrząc przez szpary na wichrzenia Spytka, lub odpierając je, w razie gdy miarę przebrały, bezkrwawemi środkami.

Sam z nim nie zaczynał... czekał.

Oprócz Spytka z Melsztyna, w domu Hocza znajdowali się jeszcze: Abraham ze Zbąszyna, sędzia poznański, człowiek, który drwił ze wszystkiego, dla którego nic świętego nie było; nielepszy od niego, a nawet większy jeszcze zapaleniec, Jaszko Strasz, pan na Kościelnikach i Białaczowie; Dzierżek Rytwiański, równie szalona głowa; stary Grot Rawita z Konar, pan możny ale barbarzyńskiego obyczaju; syn jego, Łukasz ze Słupcy, który ojca w gwałtowności i innych zdrożnościach przechodził; wreszcie syn tego ostatniego, Jaszko, któremu też wilkiem z oczu patrzyło, chociaż wąs dopiero mu się na wargi sypać zaczął. Wszyscy oni powinowatymi byli pana Melsztyńskiego, szli za nim ślepo, lecz nie z przekonania, jeno dla korzyści. Wiedzieli, że gdyby się Spytkowi udało złamać Oleśnickich, Tęczyńskich i ich stronictwo, oni, jako jego sprzymierzeńcy, zyskaliby na tem nie mało. Więc też słuchali skinienia pana z Melsztyna i dopomagali mu w szaleństwach.

Byli to, jak się rzekło, straceni w całym tego słowa znaczeniu, ludzie ze wszelkich uczuć wyzuceni. Nietylko Melsztyńskiego zamysłem służyli, ale każdy z nich jeszcze na własną rękę gwałtów okrutnych się dopuszczał. Dla Melsztyńskiego, który czeskiego Jana z Husynca nowinkom hołdował, gwoli osiągnięcia ambitnych celów, oni też odstąpili wiary, w której się



urodzili, i udawali husytów, chociaż w gruncie rzeczy w nic nie wierzyli.

Najwięcej zaś z pomiędzy nich win miał na sumieniu, przed Bogiem i ludźmi, stary Grot i syn jego, Łukasz ze Słupcy. Tym przepowiadano, że ich szatan żywcem do piekła porwie, tak się ludziom dali we znaki. Żaden z łotrzyków nie posiadał więcej czelności, nie popełniał z krwią tak zimną okrucieństw, jak oni. Jaszko Rawita, wnuk Grota, a syn Łukasza (zrodzony ze Zbigniewy, córki Mikołaja z Brzezia), jak jabłko od jabłoni, od dziada i rodzica niedaleko odbiegał, jeno że młodym będąc, nie miał czasu tyle nagrzeszyć.

Takich to ludzi ugaszczał u siebie Przedbor Hocz, opiekun i obrońca biednych i krzywdzonych.

Zarówno gospodarz, jak i goście, w podnieconem znajdowali się usposobieniu, na stan zaś ten wpłynęły nie miód i małmazye, lecz sprawa, która ich tu zgromadziła. Był nią krok stanowczy, który Hocz dnia jutrzejszego uczynić zamierzał, co do ukrócenia swawoli myncarzy i osłaniających ich powagą swej władzy panów rajców.

— Nauczyć trza faryzeuszów onych!—mówił dłońmi, jak zwykle, wymachując i w pięści je zaciskając.— Trza im pokazać, że sprawiedliwość na świecie jest! Skoro upomnień nie słuchają, na żądanie słuszne obelżywem odpowiadają słowem; skoro wszelkie lekceważą względy uczciwości—karę ponieść winni! Niema miłosierdzia dla zakamieniałych grzeszników, odpokutować muszą...

Słuchał w milczeniu tych namiętnych wynurzeń pan Spytek, z pod oka na mówiącego patrzył i brodę

kędzierzawą muskał dłonią żylastą; wreszcie ozwał się, z umysłu żar rozdmuchując:

— Zawzięty z ciebie żuk, Przedborze, trudna z tobą sprawa. A jednak żółto brzuchy śmieją się z ciebie i mało cię ważą. Rozповідаją (tak słyhać), że groźby twoje tyle ich trwożą, ile brzęczenie trzmie-la albo rechotanie żab...

Blade policzki Hocza szkarłatem się okryły, a oczy zamigotały złowrogo.

— Gadać mogą, co chcą, co jeno im ślina na ózór przyniesie, ja swoje zrobię!

— Pewny jesteś wygranej?

— Słusznej sprawy bronię, więc też słusznie od Boga pomocy się spodziewam...

Pan ze Zbąszyna uśmiechnął się szyderczo.

— Bóg wysoko rzekł — przezorność radzi na własne rachować siły. Tylko święci pomocy cudownej z nieba spodziewać się mogą, a tobie, Hoczu, nie do świętości...

— To też cuda ani mi w głowie — odparł Hoczu — lecz wierzę, iż słuszność sama w sobie moc posiada. Zresztą sam, z gołemi rękoma, nie poczynam... Tysiące oczekują mego skinienia.

Gawiedzi! Motłocha! — gwałtownie wtrącił Strasz. — Nikczemna to siła, Przedborze... Rzuca się zajadle, na widok zaś miecza i włóczni pomyka, by stado jeleni. A na zamku mieczy sporo. Trza pamiętać o tem!

— Ja przecież z królem wojować nie myślę — mruknał posepnie Hoczu.

— Tegoby jeszcze brakowało! — roześmiał się Dzierżko Rytwiański. — Ale zważ, Przedborze, iż żu-

pnik i rajcowie mir u biskupa i panów senatorów mają, na zamku zaś nie król, który dzieciuchem jest, zaledwie z pieluch otrząśniętym, stanowi, jeno on pyszny klecha z Oleśnicy i jego zgraja. Oni faworytów swoich osłonia...

— Bywało...—cicho ozwał się Hocz—że motłoch, tak przez wasze miłości lekceważony, zastępy rycerskie znosił. Wspomnijcie czasy Szczodrego...

Spytek ręki skinieniem mu przerwał i, zwracając się do możnych swoich towarzyszy, rzekł:

— Nie psowajcie mu serca, nie odejmujcie otuchy. Wszakże przedsięwzię sprawę nielada, za którą i my walczymy... Po naszej myśli idzie, więc od nas słuszna mu się pomoc należy.

Miodem się pokrzepił i dalej prawil:

— Sięgnąłeś w czasy odległe, Przedborze, ja zaś tobie powiadam: mądrze jest doświadczenia się radzić, ale z oczu nie spuszczać, co przed nami. Inaczej było za Szczodrego, inaczej teraz. Czasy się zmieniły na gorsze, odkąd Piastów, panów z krwi i kości naszych, nie stało... I za Piastów bywało tak i owak— źle i dobrze; ale z nimi, jako ze swojakami, ładu można było dopytać. Czuleś, że z bratem do czynienia masz. Aliści zachciało się nam boćwiny — mamy też jej po same uszy!

W miarę, jak mówił, namiętność go ogarniała, głos stawał się coraz bardziej szorstkim, oczy płonęły dziko, po wilczemu, a żyły na skroniach nabrzmiwały.

— Jagiellonowie... Litwa... Aleć to odwieczni wrogowie nasi! Tyle nam krzywd wyrządzili, że o braterstwie z tym narodem ani nam myśleć... Jak pijawki ssali krew naszą, ogniem i mieczem pustoszyli na-

sze dzielnice i z takiego oto narodu wybraliśmy sobie panów! Ślepotą na oczy nasze padła!

— Dzięczą była Litwa, dzięczą jest i taką zostanie po wieczne czasy! — zawołał pan ze Zbąszyna. — Nibyto wiarę chrześcijańską przyjęli, ale pogaństwo im w sercach zostało... Jakie tam u nich porządki! Naród w ostatnim ucisku... Jagiełłowicie taki sam porządek u nas chcą zaprowadzić, z narodu uczynić stado baranów, których rzezać będą mogli dowoli...

— Niedoczekanie ich! — podchwycił Strasz. — Ujęli sobie Toporezyków i Dębniaka, \*) ujęli innych, ale to nie cały naród. Do czasu dzban wodę nosi; im się też, jako dzbanowi, ucho urwie...

— Słusznieś rzekł, Jaszku — ozwał się Melsztyński namiętnie — niedoczekanie ich! nie damy się! Minęły czasy niewoli i ucisku, precz z jarzmem! Ład należy w ojczyźnie naszej zaprowadzić, wyżenić, co złego, powyrywać chwasty, jarzmo z karku zrzucić... A przedewszystkiem z Jagiełłami precz! To grunt... Piasta nam trza, nie przybłędów, i to z jaszczurczego rodu. Bo na takie miano Gedyminowicze zasługują. Owi Olgierdowie, Kiejstuty, Koryatowie, Świdrygiełłowie, Witoldzi, Zygmunci i Jagiełło z nimi — toć istne gady... W rodzinie sami siebie kęsa, a dla narodu i sąsiadów są klęską... O ludzkość ich ani pytaj, sprawiedliwości i wdzięczności w ich sercach nie należy... Komuż to Jagiełło wyniesienie swoje winien? Kto małżeństwo jego skojarzył, jeśli nie Leliwita Melsztyński? A jednak Leliwiści dziś w poniewierce, insi są w łaskach, insi dzierżą wszystko, krajem rządzą całym.

---

\*) Tęczyńscy mieli za herb Topór; Oleśnicy — Dębno.

— Krzywda wielka rodowi Leliwitów się dzieje, to każdy przyzna...—wtrącił głosem chrapliwym Grot.

— Krzywda o pomstę wołająca! — przerwał Melsztyński, któremu aż ręce drżały, tak go zawiść podnieciła. — Że Tęczyńscy tak wysoko stoją, przeciwko temu ani słowa. Toporczykami są oni, a toć to jeden z najznamienitszych rodów... Wszakci kiedy król Ludwik zawezwał ongi rycerstwo do wojny z łupieżczą Litwą, zdziwili oni kraj cały, wysyłając siedm hufów. Wiódł jeden Otto z Pilicy, wojewoda i starosta sandomierski; drugi—Sędziwój z Szubina, wojewoda kaliski i starosta krakowski; trzeci — Jaśko z Tęczyna, kasztelan wojnicki; czwarty—Mikołaj z Ossolina, kasztelan wiślicki; piąty —Drogosz z Chrobrza, sędzia krakowski i starosta sieradzki; szósty — Zaklika z Miedzygórza, kanclerz koronny; siódmy Jaśko Wołczak z Łomnicy... Ale słuszność Toporczykom przyznając, nie mogę zapominać, jako Leliwici w niezem im nie ustępują. Wspomnijcie onego Spicimierza, który z Łokciem, do kraju z wygnania wracającym, przyszedł, ile on zasług położył... Ocenił je Łokieć i najwyższe dostojęstwa, województwo a potem kasztelanę krakowską mu dał i włości mnogie. On to Melsztyn fundował, a nad Dunajcem, na obszarach tarniną porosłych — zbudował Tarnów Wielki, Tarnów Mały, Tarnowiec... Spokrewnił się potem z rodem królewskim, zaślubiając księżniczkę mazowiecką—Piastów tedy w nas krew wszczepił, a i to coś znaczy... Szanował go i syn Łokcia, Kazimierz, słuchał we wszystkim, rzec można, iż Spicimierz krajem wówczas rządził. On to sprawił, że Ruś Czerwona do Polski wcieloną została; on złoto, srebro, miedź i ołów z zie-

mi dobywał, puszcze zaludniał, błogosławieństwem był dla ojczyzny. A synowie jego, Jaśko i Rafał? A insi rodu naszego członkowie? Każdego z nich opromienia sława zasług znamienitych, żaden krwi ani mienia dla dobra ojczyzny nie szczędził... Dziś co? Oto ja, ich potomek, w niełasce jestem, wicherzycielem mnie zwał, dlatego, że jako pies praw narodu strzegę i warczę, i kąsam, gdy kto dla ich naruszenia rękę podnosi...

Tak—i będę kąsał aż do posoki, wewnątrzności wyszarpywać będę zdrajcom ojczyzny... Bo zdrajcami są Jagiełłowie, którzy prawym dziedzicom, Piastom, tron podstępnie wydarli; zdrajcami ich doradcy — Tęczyńscy, którzy do władzy się dobrali i uciemniają naród, o własnej korzyści myśląc!

Pięścią w stół uderzył, aż dzbany i czary pozłociste zadrzały i umilkł na chwilę, z czego korzystając, Abraham ze Zbąszyna ozwał się:

— Wszystko złe z Rzymu idzie, od klechów. Mają oni być apostołami, siewcami prawd i zasad Ewangelii, a jakże postępują? Zaprzysięgają czystość, żeby potem cudzołożyć; ślubują ubóstwo, a dziesięciny wyciskają z krwawego potu narodu, żeby kąpać się w dostatkach... Któryż z nich miłośnicie nie trzyma, jeśli nie jawnie, to przynajmniej pokryjomu? Gdzież szukać bogactw, jeśli nie po klasztorach, probostwach, dworcach prałatów i biskupów... Wiedzą o tem wszyscy. Toż tacy pasterze być powinni? I to jeszcze im mało. Wszak-ci Chrystus powiedział: „Królestwo moje nie z tego świata jest“;—a oni depcą te słowa Jego i władzę świecką zagarniają, jako dowód najlepszy mamy na Zbyszku z Oleśnicy. W pieńby ich, tych czarnych kruków, a inszy nastałby porządek...

— Prawda wasza, Abrahamie, wędzidło im się należy, bo nadto brykają—przytaknął Łukasz ze Słupcy. — Ładu nie może być w tym domu, gdzie dwaj gospodarze rządzą, a u nas właśnie tak mamy. Niechby klechy spraw kościelnych pilnowali, do świeckich się nie wtrącając, inaczej działałoby się wówczas...

— Z góry przykład, powiadam, idzie, z Rzymu, od papieża, który władzy świeckiej się uczepił i obiema garściami ją trzyma—przerwał mu pan ze Zbąszyna. — A toć dziw, że ulegają mu monarchowie, z własną i poddanych swoich krzywdą... Nie ujma-li jest dla majestatu królewskiego, że, król sam, wedle woli własnej, stolicę biskupich obsadzać nie może, jeno musi papieża o to pytać? Śrom doprawdy! Ulegają głowy koronowane Ojcu rzymskiemu, gną przed nim karki, więc też wpływ i władza jego rośnie, a zarazem klechy coraz zuchwalej poczynają...

— Słowa przeciwko nim, by najstuszniejszego, nie można rzec, bo klątwę rzucają — wtracił Strasz.— Takich sprawiedliwych, jak Jana z Husyńca albo Hieronima z Pragi, którzy gorzką im prawdę w oczy głosili, na śmierć w płomieniach skazują... Nie wyliczyć resztą ich bezprawiów! Piekłem i szatanami grożą grzesznikom, a niechybnie sami w najgłębsze czeluści otchłani strąceni zostaną...

Melsztyński, który już się był nieco uspokoił, przerwał Straszowi temi słowy:

— Każdy posiew, zły czy dobry, wzejść i plon wydać musi. Jakoż wzeszedł posiew klechów rzymskich i widzimy, co wart. Wojują oni z prawdą, usiłują zabić ją, ale wszelkie ich zabiegi skutku nie odnoszą, bo je zawdy na wierzch słońko wyciągnie. Spa-

lono Husa, Hieronim z Pragi też na stosie zginął, lecz ich posiew wszedł, a tak obficie plonuje, że, co daj Boże, klesi rzymsey uznać go muszą, chociaż teraz jeszcze wyklinają go i tępią zajadle. Husa oni zmoгли, ale już Żyźce z Trocznowa sprostać nie zdołali. Żyźka zaś odrodzi się w innych mężach, którzy dzieło Jana z Husyńca doprowadzą do końca... I odrzuconą będzie fałszywa nauka klechów rzymskich, wszyscy będą przyjmowali Chleb Anielski *sub utraque*,\*) nastanie równość zupełna i spólność majątków, nikt nie będzie miał mniej ani więcej, zniknie zawiść i grzech wszelki, boć grzech z zawiści przedewszystkiem płynie...

— Długo na to czekać!—mruknał przez zęby Łukasz ze Słupcy...

— Nie odrazu i nasz Krakowiec stanął, Rawito mój — podjął Spytek. — Ale żeby ziarno wszedło, trza rolę uprawić; żeby się błogosławionych owoców z nauki Husa doczekać, trza je krzewić i przeciwników tępić. My wszyscy, jako tu jesteśmy, czynimy to, o ile nam siły wystarczają, a nasz przykład, mam tę nadzieję, coraz skuteczniej na naród oddziaływać będzie. Jenó trza ramię o ramię iść, gromadą, wspierać się, dopomagać wzajem... Dlatego to, zasłyszawszy, że Hoc, który też się ku nauce Jana z Husyńca nakłonił, zamyśla do walki z ciemiężcami biednego narodu stanąć zebrałem was, miłościwi moi, abyśmy mu spólnie dłoń w tak ważnej podali sprawie... Gdy naród

---

\*) Udzielanie Komunii Ś-tej pod obu postaciami, t. j. zarówno w postaci chleba, jak wina, podawano w kielichu.



obaczy, że w obronie dobra i praw jego stają ci, których klesi rzymscy wyklinają, łącno się do prawd przez Husa zostawionych przekona. Wprawdzie niewolno nam prawd tych wyznawać jawnie, kryć się musim, jako złoczyńcy, ale wiedzą ludzie, co w sercach naszych...

— Wasza miłość pozwoli, że słowo rzeknę... —  
odezwał się Hocz nieśmiało.

— Praw, wśród swoich jesteś.

— Przed chwilą wasza miłość powiedziec raczył, że wyznawcy nauki Jana z Husyńca kryć się z nauką swoją muszą—mówił Hocz, trocha się zacinając—a jeżeli pan tak znamienitego rodu, tak możny, jak miłość wasza, za którym moc zbrojnych stoi, który zamki warowne posiada, nauki Husa jawnie wyznawać się nie odważa, cóż powiedziec o mnie, człeku mizernym, który do stóp nawet waszej miłości nie dorasta... Tembardziej starannie ukrywać się z wiarą swoją muszę, a nawet zapierać się, gdy mi ją zarzucają. Chwalić Boga, nikt się jeszcze nie domyśla, jako naukę prawdziwą wyznawam, bo gdyby jeno przewąchali, zgubion byłbym bez ratunku. Jeżeli nie rozerwaliby mnie na kęsy, to z wszelką pewnością, jak Jan i Hieronim, spłonąłbym na stosie. Biskup Zbyszko wszelkie przewinienia karcii surowo, a odstępstwo od wiary rzymskiej—bez miłosierdzia...

— Więc?—rzucił Spytek, czoło marszcząc.

— Więc proszę najpokorniej waszych miłości, aby mnie, co do wiary, przed nikim nie zdradzali. Ucierpiałaby przez to także sprawa biednego narodu, bo, gdybym zginął, inszy, równie śmiały, któryby się o jego krzywdy w głos dopominał, nie rychłoby się znalazł...

Niech się naród dowodnie wprzód przekona, że ci, na których klesi rzymscy kamieniem ciskają, nie są potępieńcami, lecz sprawiedliwymi; nie wrogami jego, lecz przyjaciółmi. Dziś wierzy on ślepo wszystkiemu, co z Rzymu płynie, i dość komu odstępstwo zarzucić, żeby go ukamienowano...

Skinął potwierdzająco głową pan Melsztyński.

— Rozumiem twoje obawy, za słuszne je uznaję i przyrzekam w tajemnicy zachowywać, żeś nasz — rzekł. — Pewien jestem, że wszyscy tu obecni również cię nie zdradzą. Bądź spokojny. Nie gubić cię przybyliśmy, lecz wspierać i otuchy dodawać, Przedborze. Poweźmij myśl dobrą, zaniechaj trwogi niewczesnej...

Brodę pogładził i do innego przedmiotu się zwrócił:

— Tedy pewien jesteś swego?

Najpewniejszy, proszę miłości waszej... Do Krakowa miejsey pościągali w gromadzie wielkiej... Wszyscy do jednego są mi oddani. Oburzenie na przecherów nie do opisania. Hamować ich muszę sam i przez zaufanych, by przed czasem nie wybuchli.

— Cóż żupnik i rajcy?—badał pan Spytek.

— Ramiony wzruszają i śmieją się — odparł zapalczywie Hocz.—Nie wierzą, aby im co grozić mogło...

— Zamierzasz tedy?

— Raz jeszcze sprawiedliwości się domagać, a jeśli odmowy doznam, lub jeżeli czczemi obietnicami mnie zbęda, pchnę naród na przecherów — niech ich skarci wedle winy...

— Uważam, że ciepło będzie Serafinowi i panom rajcom—wtrącił Grot ze śmiechem!—Jużes ty, Przedborze, silnie musiał gawieź podbechtać...

— A wiertelnicy!—zagabnął Dzierżko Rywiański.

— Ani się pokażą—odparł Hocz—nie będą śmieli na siłę tak znaczną się rzucić...

— Siłę, powiadasz, zgromadziłeś tak znaczną?— ze swojej strony zapytał pan ze Zbąszyna.

— Na tysiące rachować można, jak już rzekłem...

Melsztyński, wsparty na dłoni, głęboko o czemś rozmyślał. Urażony do żywego w nieograniczonej dumie swej możnowładca ten, raz na manowce zszedłszy, brnął coraz dalej, coraz też więcej grzechami przeciwko Bogu i ojczyźnie obarczając sumienie. Odzywało się ono niekiedy i postępowanie mu wyrzucało, ale nie-szczęсна zawiać i pycha zagłuszały ten głos i pociągały coraz do nowych zbrodni. Bywało, przychodziły na niego chwile upamiętania; wtedy zapytywał sam siebie: co czynię? dokąd idę? gdzie stanę? I wówczas widział, jak fałszywy obrał kierunek, czuł — że zarówno słowa jego, jak i czyny, potępienia są godne. Ale po chwilowem zastanowieniu, następował zwrot na gorsze. Wspomniawszy o znieawidzonych przeciwnikach, w nowy szłał wpadał i broił znów, i do zguby pędził z zawziętością ranionego odyńca. Nienawiść w nim wzrastała, coraz też bardziej szalonemi stawały się jego pragnienia. Szatan pychy zaczął mu w końcu podszeptwać:

— Piastowa krew w twoich żyłach płynie, czemużbyś nie miał po koronę sięgnąć? Wszelkie przysługuje ci prawo... Uporaj się jeno z Jagiełłami, z Oleśnickim, Tęczyńskimi i ich gromadą, a kto wie, czy w majestacie nie zasiądziesz...

Z marzeń szalonych nie zwierzał się przed nikim, ale coraz częściej go one nagabywały. One go popchnęły do kacerstwa, stając się bowiem husytą, li-

czył w danym razie na pomoc Czechów; one również sprawiły, że postanowił ująć sobie mieszczanstwo i czerni, a do urzeczywistnienia tego wybrał Hocza. Umiał pięknie przemawiać pan z Melsztyna, więc mu łatwo przyszło zjednać sobie tego człowieka, który uważał się za wybranego przeznaczeniem na obrońcę praw ludu. Zapewne miał Hocza na względzie i własny interes, ale wątpliwości nie ulegało, że do rzekomego swego posłanictwa fanatycznie się przywiązał.

Niewiele trzeba było zachodu, żeby umysł taki pociągnąć do kacerstwa, do Husa nauki, która zrównanie praw i majątków głosiła. Pan z Melsztyna, dokonawszy tego, miał Hocza całkiem w rękę, bo zgubić go mógł jednym słowem. Zjednawszy go sobie, podszczywał do burzenia czerni, mniemając, że tym sposobem podkopuje tron Jagiellonów. Rajcy, przedstawiciele władzy mieszczkańskiej, istotnie wyzyskiwali stanowisko swoje z krzywdą uboższego mieszczkaństwa, więc nie trudnego było wpoić w krzywdzonych przekonanie, że czynią to z upoważnienia króla i jego doradców, a następnie myśl rzucić, że jeśli złe istnieje, to, aby go się pozbyć, trzeba naprzód grunt oczyścić. Z myśli takiej wybuchnąć mógłby rokosz, który należycie podniecany, wsparty przez pana z Melsztyna i jego stronników, mógłby z kolei przewrót w kraju sprowadzić...

Hocz do obalamucania czerni był jedyny. Teraz właśnie nastęrczała się sposobność i to sposobność słuszną. Melsztyński nie pominął jej. Hocza sam przez się był oburzony na żupnika i rajców, za krzywdę w rządzaną przez nich biedakom, wskutek zmuszania ich do przyjmowania fałszywej monety, a zręczne podsze-

pty możnowładcy, oburzenie fanatycznego rzecznika ludu doprowadziły do najwyższego stopnia.

I stało się według myśli pana Spytka — Hocz przygotował rokosz na wielkie rozmiary. Szło o to, aby wybuchnął z całą mocą, następnie zaś, by pociągnął rycerstwo, przy królu stojące, do tłumienia go. Na to jeno czekał Melsztyński i nie wątpił, że tak a nie inaczej się rzeczy potoczą. Wtedy on wystąpi w obronie, już nie przez rajców, lecz przez króla i doradców jego gnębionego ludu, a tym sposobem pozyska groźne dla Jagiellonów stronictwo, przy którego pomocy stanie u kresu...

Trzymając się tego planu, zjechał w przeddzień wybuchnięcia rokoszu do Krakowa, z garścią swego rycerstwa i na przebieg wypadków oczekiwał. Przyjechał potajemnie, zbrojnym swoim, którzy w przebraniu mieszczańskim przybyli, ukryć się w miejscach odpowiednich rozkazał i znaku wyglądać. Zwierzył się jeno Hoczowi, nikt zresztą o tem nie wiedział.

Oczywiście Hoczowi mówił, że czyni to jeno z miłości dla uciemiężonego ludu, z poczucia sprawiedliwości. Pragnął zaś rokoszu tem goręcej, że na grudzień tego roku zapowiedziano wiec w Piotrkowie, na którym miano Władysława, liczącego wówczas lat piętnaście, uznać za pełnoletniego, a tem samem umocnić władzę jego, co było dla pana z Melsztyna wcale niepożądanem.

Otrząsnął się wreszcie z zadumy możnowładca i rzekł:

— Zaiste, dzień, który ma zaświtać, może nam zbawienie przynieść, gdy zaś to się stanie, twoja będzie, Przedborze, zasługa...

Rzucił się Strasz i zamruczał:

— Niebardzo, bo przecież i nasze miecze coś w tej sprawie zaważą...

— Wszelako Przedbor rzecz całą przygotował — na to Melsztyński. — On zabiegał, oczy otwierał, siłę sprowadził. Trza oddać, co mu się należy...

— Nie temu miano zwycięscy przyznają, kto bój zaczyna, jeno temu, kto ostatecznie wrogów rozprasa...—zauważył Strasz.—Nam ten udział przypadnie.

— Nie, Jaszku, źle powiadasz — zaprzeczył Melsztyński, który chciał Hocza w podnieconym nastroju utrzymać.—Tym razem Hocz głową, a my za rękę pomocną mu staniem, jeśli do tego przyjdzie.

— Że przyjdzie niema wątpliwości — ozwał się Grot.—Niech jeno czerń się rozjadowi, a przyprze żółtobrzuchów do muru, a wiertelników rozpędzi, biskup Zbyszek wdać się w to nie omieszka. Będzie chciał pożar ugasić...

— Krwią niewinnie krzywdzonych biedaków! — podchwycił Melsztyński—ale ta krew właśnie sprawiedliwość ściągnie i wydrzeć mu może władzę, którą bezprawnie trzyma...

-- Oby się tak stało!—rzekł Abraham Zbąski.—Za długo nad nami przewodzi chytry klecha...

— Z biskupem sprawa niełatwa — szepnął Hocz wzdychając.—Okrutny mir ma wszędy, słowo jego ciężkie, siła waży. I nietylko u nas jest w znaczeniu, ale liczą się z nim i w Czechach, i u Węgrów, ba! Ojciec rzymski go wyróżnia. Słysząc, że o kapeluszu kardynalskim zamyśla...

Aż zębami zgrzytnął Melsztyński na samo wspo-

mnienie, że wróg jego zawzięty mógłby tak wysokie dostojenstwo uzyskać.

— Na szatana! na wszystkie piekła! to się stać nie może... nie powinno!—zawołał.—Jeśli teraz, biskupem będąc krakowskim, wszystkim i wszystkimi pomiatą, cóżby dopiero było, gdyby purpurę przywdział?! Wtedy rozszczenia jego granicby nie miały, spętałby cały naród i wszelkiej woli pozbawił... Jemu purpurę pozwolić włożyć, to lepiej szalonemu miecz dać do ręki... Jeżeli komu godzi się purpura, to arcybiskupowi z Gniezna, boć on tu najwyższym pasterzem rzymskim i mniemam, że na poniżenie swoje nie pozwoli... Zbyszko... klecha ten kardynałem? Może Ojcem rzymskim? Przenigdy! Żadną miarą tego dopuszczać nie lża... Dać mu godność wyższą,— niewolnikami wszystkich uczyni... Wtedy wszystko przepadło! Wtedy kraj w otchłań zguby bezpowrotnie się stoczy... Choćby dla zapobieżenia temu, trza go upokorzyć i od władzy usunąć...

Drżał uniesiony gniewem Melsztyński, cały był w ogniach, dłoń jego mimewoli mieczyka szukała.

— Jeśli mu się purpury żąda — dorzucił szyderczo Grot — my go w nią możemy przystroić. Ma jej w żyłach dosyć, by się cały w niej spławił...

— Zguba biskupowi! Precz z nim!—wykrzyknął, czarę z miodem podnosząc, Łukasz ze Słupcy.

— Precz ze Zbyszkiem! Zguba mu! Niech szczeźnie! — powtórzyli inni namiętnie.

A Hocz, słuchając tych groźb, wymierzonych przeciw potężnemu dostojnikowi Kościoła, lęk poczuł i dreszcz go przeszedł.

III.

Spał żupnik Serafin w najlepsze, rozciągnięty na wygodnie zaslanem łożu, gdy ktoś do domu jego, od strony ulicy, zakołatał, młotem umyślnie w tym celu przy drzwiach, na łańcuchu, przyczepionym. Nikt nie pośpieszył na to wezwanie, wszyscy w domu, zarówno jak gospodarz, spali twardo, zaledwie bowiem północ minęła, a sen w tych godzinach bywa najsmaczniejszy i nie łatwo go z oczu spłoszyć. Ale gość spóźniony nie dawał za wygranę: zakołatał raz drugi, trzeci, dziesiąty, coraz natarczywiej i głośniej. Ocknął się wreszcie jeden ze służby, wstał z łoża i klnąc pod nosem, włókł się, aby zbadać, kto śmie o tak spóźnionej porze pana żupnika niepokoić.

— Żwawo mi otwieraj!— odparł na zapytanie dobijający się. — Sprawę mam do pana Serafina zwłoki niecierpiącą...

Rozpoznał gościa po głosie sługa i acz niechętnie, wciąż pomrukując, drzwi z zasów odemknął.

— To wy Orfanie? - zapytał, gdy przybysz, człeczyna pękaty, na krótkich nóżkach, do sieni się wtoczył.—Dziw jest, że taki spokojny, jak wy, po nocy się włóczy, niby latoperz, alboli pućka...

— Do pana żupnika mnie prowadź nie zwlekając. Czasu nie mam na próżne gawędy, każda chwila droga...

— Oho! stać się coś musiało, boście tak spoceni, jakobyście z łaźni wyszli—zauważył sługa. — Musieliście gnać nie żartem...

Orfanem zwany człek, szynkarz, który w rynku jedną z najwięcej uczęszczanych piwnic trzymał, isto-



tnie był cały w potach, a twarz miał mocno zafrasowana. Nic na uwagę sługi nie odpowiedział, jeno toczył się za nim sapiąc i postępując, a znalazłszy się przed żupnikiem, skłonił się, ile mu tusza pozwalała najniżej, i szybko mówić zaczął:

— Dobrodzieju miły... tu żartów niema... tu trzeba o ratunku myśleć... Straszne rzeczy dziać się będą, skoro dzień zaświta...

Tehu mu zabrakło i nogi się pod nim chwiały, ale usiąść nie śmiał.

Rozespany żupnik z początku nie poznał przybyśsza i dopiero dobrze oczy przetarłszy, ozwał się:

— Co się stało? Czego się tłuczesz po nocy, Orfanie? Gadaj mi zaraz...

— Toć gadam—odparł Orfan. — Wstawajcie, dobrodzieju miły, bo topór na gardle... Skoro zaświta, burza się rozsroży taka, że nie daj Boże!

— Zaraz burza!—ramionami wzruszył żupnik, nie śpiesząc się ze wstaniem. — Hocz cię oto nastraszył, a ty, zawsze tchórza za pazuchą nosząc, uwierzyłeś...

— Dla Boga, dobrodzieju miły, nie puszczajcie naimo uszu przestrogi... Jako zbawienia dusznego pragnę, to nie żarty! Hocz... juści on tu winowajca, ale tym razem warzy takiej nagotował, jak nigdy...

Spojrzał na niego żupnik uważniej, a widząc, że na nogach się słania i aż o stół wspiera, żeby nie upaść, ławę mu wskazał.

— No, no... — rzekł — spocznij, boś setnie utrudzon i gadaj mi zaraz wszystko po porządku... Cóż tedy Hocz?

Osunął się ciężko na ławę tłuscioch, aż zaskrzy-piała pod nim, mlasnęła szerokimi usty i tak prawił:

— Na straszne rzeczy się zanosi... Przed odwieczernem napłynęło do miasta luda moc, a pono o świtaniu jeszcze więcej ma ściągnąć. Wszystko to Hoczowi są, jemu duszą i ciałem oddani... Ściągnęli nie z golemi rękoma, ale każdy coś przyniósł, jak na wojnę... Miłosierdzie Pańskie z nami... Rozproszyli się po mieście, tak, że ich nie widać, a Hocz ich karmi i poi... Do mojej piwnicy też się gromada zwała, a podpiwszy, słyszałem jak mówili—że jutro z wami, dobrodzieju, z Graszarem, Winkiem, Bonerem i innymi rajcami, będzie skutek...

Rozśmiał się żupnik, ale nieszczerze.

— Et! Z muchy jeleń ci urósł, a to przez strach... — rzekł. Zawalidrogę jakieś pałki sobie pozalewali, to i bajali, co im ślina przyniosła. Hocz też gada, ale i tyle jego mocy, co w języku...

— Nie myślcie tak, dobrodzieju miły, nie myślcie tak! — przerwał ręce pulchne składając Orfan. To nie przelewki, nie brednie... tu całkiem co innego... Znacie mnie, iżem w ogień rad dla was skoczył, boście mnie z ciężkiej biedy podnieśli i tak dopomogli, że chleb mam, nawet z piękną bardzo omastą; wiecie również, iżem nie baba, lada czego się nie zatrwożę... Hocz, to prawda, wiele razy swary i tumulty wywoływał, na które zawdy rada się nalazła, ale teraz zawział się okrutnie... Nie tai się z tem, że na swoim postawić musi, chociażby mu przyszło życie wam i panom rajcom wziąć...

Obejrawszy się dokoła, nachylił się ku żupnikowi i szepnął:

— Pono zbrojnych ma w odwodzie nawet. Do tego się posunął...

— Ale! — mruknął żupnik — to już prawda nie może być... Skądże znowu zbrojnych?

— Bardzo może być—zaprzeczył Orfan.— Wiecie, dobrodzieju miły, że od pewnego czasu z panem Spytkiem Melsztyńskim i jego poplecznikami się pokumał. Ile razy są w Krakowie, zawdy wprost zajeżdżają do niego, jak do własnego domu, on zaś ich podejmuje wielce serdecznie... Od wczora też u niego siedzą, a tak cicho, że widocznem jest, nie chcą, aby kto o nich wiedział.

— Siedzą cicho i z oczu ludzkich się usuwają, bo wiedzą, że im w Krakowie, pod bokiem pana miłościwego i biskupa, niezdrowo...

— Nie tacy oni bojący, dobrodzieju miły! Znamy ich dobrze: z szatanem iść na udry, i tego się nie zlekna... Owo co jest. Tedy powiadają, że pan Spyttek zbrojnych tu gdzieś ma na dorędziu i Hoczowi z pomocą skoczy, gdy wypadnie...

Wiadomość ta zafrasowała żupnika; wstał i ubierać się począł, rzuciwszy:

— Ten Przedbor, psia jucha, stryczek dla siebie kręcił sam, a teraz jeszcze Melsztyńskiego do tej roboty przybrał... To też szubienica go nie minie, jak Bóg Bogiem...

Orfan widząc, że zdołał żupnika przekonać, uspokoił się; Serafin zaś, odzienie przywdziawszy, zbudził dom cały i powodu nie wyluszczając, rozporządzenia wydawać począł. W chwilę potem, cała rodzina jego i domownicy byli na nogach, zaprzężono wozy, na które ładowano wory z pieniędzmi, sprzęty i przedmioty, co kosztowniejsze. Żupnik z Orfanem wszystkiego doglądali i do pośpiechu naglili.

Gdy już komory i izby były opróżnione, żupnik Orfana na stronę wziął.

— A tamci? Graszar? Wink? Boner? — zapytał.

— Pchnąłem do nich kmotra Wilgę z przestroga — odparł Orfan. — Jeśli rozum mają, usłuchają. Jakże? O ich skórę chodzi...

Niebawem wozy ładowne toczyły się ku zamkowi, za niemi szedł Serafin z rodziną i domownikami. W domu jeden tylko półgłuchy z czeladzi został i psy. Orszak posuwał się bez hałasu; żeby nie zdradzić ucieczki, żupnik koła wozów i kopyta koni słomą poobwijać kazał. Jakoż szczęśliwie, bez zwrócenia niczyjej uwagi, dostali się do zamku. Wprawdzie przy wrotach trocha było kłopotu, zanim je rozwarto, ale żupnik i z tem się uporał. Wszyscy go tam znali i zachowanie miał.

Kmotrowi Orfana, Wildze, nie udało się skłonić zagrożonych rajców i mieszczan do przedsięwzięcia środków ostrożności. Powtarzali jedną piosnkę:

— Z wielkiej burzy deszczyk mały spadnie. Wiemy, co warte pogrózki Hocza — warczy on, ale nie ukąsi. I to, że motłochu siła pościagał, także nie nie znaczy. Będzie więcej krzyku i tyle tego. Zapalczywych wiertelnicy przetrzepią, do loszku zamkną, tam ich gorączka ominie. Wstyd przed krzykaczami ustępować.

Dzień się zapowiedział pogodnie i spokojnie. Ludzie, jak zwykle, do swoich zabierali się zajęć — otwierano bramy, na rynku sadowiły się przekupki i przekupnie z najrozmaitszym towarem, w kościołach odprawiały się nabożeństwa poranne. Można było jednak pewien zauważyć niepokój, jakby oczekiwanie na coś, bo tu i owdzie zbierały się mniejsze lub większe gromady

i żwawo o czemś rozprawiwały. Dopiero, gdy w kościołach Msze poranne skończono, zaczęły się ujawniać oznaki, zapowiadające wypadki nadzwyczajne. Oznaką pierwszą była wieść, jako nieznani jaeyś ludzie przemocą klucze od dzwonic kościelnych pozabierali.

Wiadomość piorunem obiegła miasto, wskutek niej niepokój wzrósł, uprzątano stragany, kramy, przed chwilą poroztwierane, znów zamykać zaczęto. Nieco później ulice, a zwłaszcza rynek, zaroily się tłumem ludzi dziwnych, ponurego wyglądu, wielce podejrzanych. Wysuwali się oni z zaułków rozmaitych po cichu, jak żbiki, czające się na zdobycz, w milczeniu rozplywali się po mieście, jedni drugim wskazując, gdzie się udać trzeba i stanowisko zająć. Krakowianie patrzyli na nich trwożnie, usuwali się im z drogi, a co przezorniejsi — w domach się zamykali i jeno z okien poglądając czekali, co też dziać się będzie.

Petruchna, która dnia tego wcześniej niż zazwyczaj wstała, aby babce przy obsłudze gości dopomagać, wrodzoną płochością wiedziona, pofrunęła na ulicę, niby to do kościoła, a rzuciwszy bystrema tu i owdzie, śpiesznie do domu wróciła i bez pytania do izby, gdzie Sulima z towarzyszymi jeszcze krzepko zasypiali, wpadła, wołając:

— Uciecha! Uciecha! Niech ich miłości wstają, będzie na co patrzeć...

Skała, oburzony śmiałością dziewczyny, za ramiona ją chwycił i precz z izby ciągnął, ale rycerze już się byli obudzili, Sulima zaś rozpytywać Petruchnę począł.

— Okrutną będziewa mieli uciechę — mówiła, a oczy jej się śmiały — żupnika i panów rajców będą

tlukli... Hocz pozwoływał siła narodu... Cma tego jest, wszyscy jeno czekają, by zacząć żupnikowi i rajcom sadła gorącego za skórę lać...

W tej chwili od strony rynku doleciały rozgłośnie dźwięki, jakby z nieba spadające. Brzmiały one posępnie, rozchodziły się w przestrzeni, rozpryskiwały w tysiączne drgania, oznajmiając ludziom złą nowinę.

To u Panny Maryi dzwony były na trwozę...

Rychło też ozwały się dzwony innych kościołów i niebawem cały Kraków został ogłuszony przeciągłym, ponurem graniem zwiastunów wieści złowrogich.

Zerwał się na równe nogi Sulima, zerwali się Zbigniew i Świdwa, przyodziali się czempredziej i już nie wpytując dłużej Petruchny, która trzepać i cieszyć się nie przestawała, na ulicę wybiegli, powoławszy ze sobą czeladnych.

Tam ich uderzył widok osobliwy. Wszędy, gdzie jeno oko dosięgło, tłoczyła się zbita niemal masa ludzi, a nad tą powodzią żywą unosiły się pomruki groźne. Wszyscy usiłowali się dostać na rynek, ale to serce miasta było tak szczelnie zalane tłumem, że trzeba było nielada pięści, iżby się tam znaleźć. Sulima jednak z towarzyszami dali sobie radę; pomagali im czeladni, przytem gawiedź, dostojnych panów widząc, jak mogła ustępowała im z drogi, chociaż przychodziło to z wielką trudnością.

Paluch również za panem swoim kroczył, ale Srokacza się trzymał, nawet ręki jego się uczepił. Ciekawość go paliła i jednocześnie trwoga oblatywała, mimo to, jak zawsze, junakował i starał się nie pokazywać tego po sobie, że mrówki mu chodzą po grzbiecie.

— Patrzaj jeno, Srokaczu miły, co to bydlę wy-

prawia — mówił, coraz bliżej do kamrata się cisnąc.— Wścieklizna ich ogarnęła, nie innego. On Hocz (bodaj z piekła nie wyrzał!) blekotu im zadał i we łbach im się pomieszało... Co tu tałajstwa... Jezu miłosierny... a toć przez rok i sześć niedziel nie zracho- wałby tego... Chyba na czarach się zna on Hocz (bodaj mu kości pokręciło!), że tyła motłochu zdołał wykopać... Sprawiają oni rajcom wesele bez korowajów i muzykantów, a Serafinowi i żupnictwa się odechce.

— Cichobyś był i zważał—rzucił mu Srokacz.

— Mogę zważać i gadać mogę, jedno drugiemu nie przeszkadza—nie przestawał Paluch, bo gdy językiem obracał, czuł się jakoś śmielszym. — Dziwno mi, po co panowie nasi do nieswoich rzeczy się wtrącają? Co im do Serafina, do rajców, do mieszczanstwa i wszelakiej hołoty? Zali to rycerska rzecz ocierać się o taki motłoch? Plugawego robaetwa można sobie wśród tej cuchnącej zgrai kupić, nie zapłaciwszy denara... Tfu! tfu! Zresztą, jeśli im się koniecznie zachciało kłaść palce między drzwi, niechby nam dali święty pokój... Co nam po tem?

— Słudze nie rozprawiać, jeno czynić, co każą—rzekł Srokacz... — Tyle lat na świecie żyjesz i jeszcze o tem nie wiesz.

— Wiem-ci ja, co komu przynależy i dlatego właśnie powiadam, że tacyśmy tu potrzebni, jak mucha w miodzie... Hocz (bodaj skołowaciał!) niech sobie wyprawia, co jeno mu się żywnie podoba; niech innym garbuje skóry; niech swoją nadstawia, jeśli go swędzi: nas to ani ziębi, ani grzeje. W takim ścisku smrodliwym niezdrowo i nie przystoi, ani panom naszym, ani nam... Można co oberwać, jak nie, a o oddaniu ani

myśleć, bo przecież ręki plugawic w bójce z taką gawiedzią wstyd... O! o! Jak to się tłoczą niecnoty... Wieprze w chlewie tak się do koryta nie cisną, jak ci obszarpańcy... Dla Boga... rata, Srokaczu, bo mi duszę z ciała grzesznego wyżenią..

Jakoż tłok stawał się coraz nieznośniejszym, z zaulków wciąż nowe napływały gromady, wszystko zaś dążyło ku rynkowi, tam bowiem miało się odezwać hasło do groźnego dramatu.

— Uważam, że tu wiertelnicy nie nie poradzą— zauważył Świdwa. — Jeśli z zamku pomoc nie przyjdzie, źle być z żupnikiem i rajcami może...

— Zaiste na okrutną zawieruchę się zbiera— dodał Sulima— ale przecież w zamku nie będą na to patrzyli z założonemi rękoma? Dziwuję się nawet, że wczas temu nie zapobieżono...

Ogłuszająca wrzawa przerwała Sulimie mowę — a wywołało ją ukazanie się Hocza. Tłum z domu wyprowadził i niosł z tryumfem na rynek ulubieńca, który z nietajoną dumą poglądał na morze głów, wierzących mu fanatycznie i na jego skinienie oczekujących.

— Psi syn!—mruknął Paluch—poniósłbym ja cię, ale tam, skąd się nie wraca... Poczekaj, krewniaku Belzebuba, może to piwsko, któregoś nawarzył, nie na zdrowie ci pójdzie. Kopiesz ty dół pod innymi, a może sam w niego wpadniesz. I stać się tak powinno, inaczej sprawiedliwości na ziemi nie będzie...

Zaniesiono Hocza przed kościół Panny Maryi, tam go postawiono na umyślnie przygotowanym wozie; w tej chwili dzwony umilkły, ucichła też wrzawa, tłum czekał na przemówienie ulubieńca. Hocz nie odrazu



się odezwał. Mierzył stłoczone fale ludzi płonącem wzrokiem, a widać było, że widok ten go roznamiętnia. Wreszcie przemówił donośnie, gorączkowo, unosząc się coraz gwałtowniej:

— Wszystko ma granice swoje, miarę swoją, ma też ją cierpliwość. Nadużywać bezkarnie niczego, a tembardziej jej, nie można. Wyczerpana—odwet sprowadzić musi, zwrócić się przeciwko tym, którzy się nad nią znęcają... A właśnie znęcają się nad cierpliwością naszą od bardzo dawna ludzie, którym dano więcej, którzy opiekować się nami, bronić nas, o dobro naszym zabiegać winni... Wiecie, kogo mam na myśli... Rajcowie sławetni, żupnik Serafin i gromada, równie, jak oni, chciwych mieszczan—oni to, co ojców miasta noszą miano, w samej rzeczy ojczymami są dla miasta najśrońszymi. Może-li tak trwać dłużej?!

— Nie! nie!—rozległy się wśród tłumu okrzyki.— Sprawiedliwość na świecie postanowiona, musi się ona wypełnić! Musimy ją otrzymać!

— Tak, zaiste: struna przeciągnięta, dzień sprawiedliwości nadszedł... — podjął znowu Hoc. — Nie mamy, jako rzekłem, ojców nad sobą, ale upiory, ale strzygi, co życie z nas ciągną, w nędzy trzymają, sami się tuczac tą krzywdą naszą. Sieroty jesteśmy, dręczone przez rzekomo opiekuńcze dłonie najhianiebniej... Czynsze, pobory, opłaty ściągają z nas tak wielkie, o jakich na świecie całym nie słyhać... Sprawiedliwości biedak szuka nadaremnie: burmistrzowie, wójci i ławnicy tłustych zawsze bronią potciów, bo im się to opłaca... Biedaka nie stać na zaskarwienie ich łaski!

-- Słusznie prawi!—zawrzało wśród ciżby.

— W poniewierce takiej zostawać nieposób!

A Hocz prawili coraz namiętniej:

— Tego wszystkiego im mało... I oto zamysłili przywrócić Mieszka Starego czasy, kiedy naród cierpiał równie srogie uciemżenie. Jak za Mieszka Starego, biją złą, nie wartą monetę, i tę nam gwałtem do rąk weiskają, a nikt jej bez dopłaty brać nie chce. Grabież to jest o białym dniu. A przecież Kaźmirz, któremu za mądrość, sprawiedliwość i dobroć słusznie przydomek Wielkiego dano, raz na zawsze rozkazał, mennicę swoją w dzierzawę puszczać, aby zarówno mynca.ze, jako też książęta, biskupi i panowie, mający prawo wybijania monety, uczciwość się trzymali. Powiedział Wielki król w tym swoim rozkazie: „Jako jeden jest monarcha i jedno prawo, tak powinna być jedna moneta, wieczysta i dobra pod względem wartości“. Ale chciwość nienasycona na święte, nienaruszalne prawa nie uważa. Daremnieśmy przeto chodzili na ratusz, daremnieśmy krzywdy nasze przedstawiali i sprawiedliwości się domagali. Chciwość wstąpiła w ojców, obróciła ich serca w kamień, a sumienia ich głuchemi uczyniła...

— Biada nam, jeśli ucisk dłużej potrwa!—przerwały mówcy jękliwe wyrzekania.

— Zguba nas czeka!

— Zginie marnie w takim jarzmie!

Hocz prawili dalej:

— Okrutnie naród cierpiał, gdy mu Mieszko Stary na karku stopę swoją postawił. Wtedy jednak znalazł się obrońca uciemżonych w osobie Gedeona, arcybiskupa gnieźnińskiego. Kapłan on święty \*) wiele

---

\*) Autentyczne. Patrz Kromera i innych kronikarzy.

razy łagodnemi słowy upominał Mieszka, aby trybem przodków swoich przyjaźnie i dobrotliwie panował; przywodził dawne i świeższe przykłady, aby go od zawzięcia przekłętego odwieść. Na to, gdy prócz zajęcia większego nie nie zyskał, sztuczny zamysł wynajduje, jakoby się Mieszko własnym sądem oszacować mógł...

Tedy naprawuje niewiastę, która, odzież nędzną przywdziawszy, przed obecność Mieszka przyszła, gdzie głosem żalonym, narzekaniami i płaczem zmyślonym zawodząc, pomocy od niego wołała. Mieszko, czego żąda, wypytuje, ona zaś:

— Panie miłościwy! Mając trzodę odchowaną owiec, oddałam onę w opiekę synowi, a ten zaś do pasienia porучzył ją owczarzom, u których niedbalstwem wilcy ją poszarpali, skądem, ja, sierota, do ostatniego przyjść musiała ubóstwa.... Błagam cię, abyś sprawiedliwym rozsądkiem, winnego nalazłszy, onemu szkodę wynagrodzić mi rozkazał...

Przypozwani owczarze dają o sobie sprawę, jakoby nie przez ich niedbalstwo, ale przez niecnotę młodzieńca, który nie synem własnym niewiasty, jeno pasierbem jest, szkoda ona urosła. Albowiem on nazbyt będąc myśliwym, psy szkodliwe chował, które część trzody same pomordowały, część zaś po kniejach rozproszywszy, wilkom na drapież oddały. Stał na sąd i młodzieniec, a winę na owczarzów obwalał. Mówił:

— Jam ci psy takie dla ochrony owiec uchował...

Mieszko, wyrozumiawszy sprawę, pasierbowi szkodę zapłacić nakazuje, a wówczas areybiskup Gedeon:

— Sprawiedliwie i mądrze osądziłeś, miłościwy panie—mówi. — Młodzieniec winie ubóstwa macierzyń-

skiego i poszarpania owiec popada, że psy podobne wściekłym miał i one rozpuścił tak, iż owiec od wilków nietylko nie broniły, lecz same częścią pożarły, a częścią w gęstwą leśną zapędziwszy, w paszczkę wilkom drapieżnym nagnały... Ale wtedy dopiero — mówi — urząd sędziów dostatecznie wyrazisz, kiedy siebie samego osądziwszy, dekretowi, przeciwko osobie innej uczynionemu, sam wprzód przez się zadość uczynisz. Ten wyrok słuszny—mówi—ciebie samego potępił. Ty albowiem Polskę, matkę swoją, ojczyznę, wążlisz; tobie ona trzodę swoją i siebie samą do czujnej obrony i opieki wiernej zleciła, — a ty trzodę ową i ją łakomym ludziom oddawasz; ty psy zjadłe, łakome i okrutne sługi twoje, majętnością, i krwią ludzi niewinnych tuczysz... Pamiętaj, jeżeli nie na ludzki, to wżdy na Boski wyrok, któremu żaden zwinąć i uskokczyć nie może... Ty przykład i okazyę wszystkiego złego podajesz, gdy takich psów swoich nie powściągasz, gdy wilków nie odganiaasz. Upamiętaj się, nie przywódcz ojczyzny do zguby... serc ludzkich nie zakrwawiaj... nie przywódcz ich więcej w skwirki!

Tak mówił arcybiskup, a Mieszko się, w gniew srogi wpadłszy, bardziej jeszcze zapamiętałym stał. Wówczas oburzył się naród i złego pana z granic kraju wyświecił.

Przestał Hocz, a rzesze, wpatrzone w niego, niby w obraz cudowny, stały nieme, niespełna pojmując, do czego zmierza. On zaś, odgadłszy to, podchwycił:

— Niestało nam dziś takiego obrońcy, jak arcybiskup Gedeon, sami tedy bronić się musim. Pan miłościwy i rada jego inne mają na głowie sprawy: niech myślą i radzą o nich, my o mieniu i życiu na-

szem i rodzin naszych myślmy... Trapią i nas psy zajadłe, wilki drapieżne: rajcowie, wójci, żupniki i inni sławetni, weźmy się do nich... Idźmy raz jeszcze, ostatni, na ratusz, przemówmy do tłumów sumienia, a jeśli nic nie zyskamy, sami sobie sprawiedliwość wymierzmy... Przepelnili czarę cierpliwości naszej nieprawością—niech precz idą!

Porwano Hocza z wozu i żywe fale popłynęły do ratusza, a roznamiętnienie tłumów było tak wielkie, że nie przed sobą nie widziały, że żadne, by najrozsądniejsze, słowo upamiętać ich nie mogło.

Ale ratusz był dnia tego zamknięty; napróżno kołatano i dobijano się do drzwi żelaznych,—głuche milczenie trwało wśród murów poważnych.

Zawód do ognia oliwy dołał, rozjątrzenie podsycił.

— Kołpak na złodzieju gore!—zawołał Hocz, dla którego ta okoliczność wodą na jego młyn była. — W norach się liszki poukrywały, przeczuwszy, że nadto nabroily, a tem samem do grzechów się przyznając. Ale z nas łowce nie ladajakie! Potrafił je wytropić i by z najgłębszych jam wykurzyć...

— Potrafił to uczynić! Hajże na liszki, na gnębieli, na katów niewinnego narodu!—przywórzono mu.

— Wytropim ich! Wykurzimy z jam!

— Niech do oczu stawają i z win się sprawiają!

Niby potok lawy wrzącej, co z głębin szalejącego wulkanu tryska, i po stokach jego spływa, tak ów tłum roznamiętniony, z dzikiemi wrzaski, wytrząsając w powietrzu pałkami, młotami, co który dźwigał, pociągnął najpierw do domu żupnika Serafina. Tam również pustkę, a do tego niemal gołe ściany zastaw-

szy, jeszcze bardziej się gawiedź rozsrożyła. Wymknął jej się nietylko jeden z głównych winowajców, ale łup obfity, na który pewnie liczono... Gdy się o tem przekonano, z niewysłowioną zawziętością poczęto burzyć, co jeno było można: drzwi wrywano z zawias i łupano toporami, rąbano ściany, piece, sprzęty pozostałe. Półgłuchy stróż i psy zaledwie zdołały ujsć żywo przed wściekłością ludzi, którzy, pod wpływem roznamiętnienia, w zwierzęta dzikie się zmienili...

Z kolei rzucono się na domy Winka, Graszara, Bonera i tych wszystkich, których za winnych uważano. Ci, chociaż przestrogi kmotra Orfanowego, Wilgi, ze śmiechem i lekceważeniem przyjmowali, widząc gromadzące się tłumy, zdążyli także ujsć cało na zamek z rodzinami i czaladzią, ale mienia uratować nie zdołali. Dostało się ono gawiedzi, która w oka mgnieniu opróżniła izby, komory, stajnie i śpichlerze. Rzuciły się mściwe rzesze na dobro znieawidzonych ludzi, niby sępy zgłodniałe na ścierwo, a splondrowawszy wszystkie kąty, szerzyły zniszczenie z niemniejszą, niż u żupnika Serafina, zawziętością.

Hocz zgoła rozszałatego tłumu od grabienia nie wstrzymywał. Spoglądał na to w milczeniu, wzrokiem posepnym, widocznem było, że się nie spodziewał, iżby się rzeczy takim potoczyły torem. Przerachował się w oczekiwaniach: trza było środki ostrożności zarządzić i krzywdzicielom biednego narodu w ucieczce, w ukryciu się, przeszkodzić... Domyślił się odrazu, że nie gdzieindziej, jeno do zamku się schronili, a z zamkiem zadzierać nie chciał... Odważywszy się na krok podobny, mógł ściągnąć piorun na głowę własną i wszystkich sobie oddanych... Nie wiedział sam, co począć?

Stojąc z czołem pochylonem, z rękoma na piersiach skrzyżowanemi, twarzą w ogniach,—oddychał ciężko, rozmyślał i od czasu do czasu wargami poruszał, jakby coś do siebie szepejąc...

Musiał przedsięwziąć i dokonać coś takiego, coby zwołanym i podburzonym tłumom chociaż w części zadosyć uczyniło. Gdyby dał za wygraną, gdyby ustąpił, znaczyłoby, że się za zwyciężonego uznaje, a wtedy jego popularność, jego wpływ na rzesze biedaków sromotnej doznałyby hańby. Czuł, że wtedy w rzeszach tej gawiedzi, która z taką uległością skinienia jego słucha, zostałyby ośmieszonym, straciłby zaufanie i kto wie, czy zdołałby je odzyskać. Wprawdzie winowajcy przez ucieczkę upokorzyli się i do winy niejako przyznali; wprawdzie zostali ukarani. tracąc mienia; to jednak dla tłumu nie wystarczało.

— Przekłęcie! przekłęcia! — powtarzał do siebie szeptem. — Gdziem ja podział głowę? Gdzie oczy? Mamże w połowie drogi ustawać?

— Ojczy nasz! opiekunie! dobrodzieju!... — odezwał się do niego ktoś z ciżby.—A czegoż my tu stoim po próżnicy? Liszki w zamku... widziano ich, jak tam dążyli, aż się kurzyło... Hajże za nimi! Oddać nam ich muszą, dla rozprawy i ukarania... Toć ani król, ani biskup, ani panowie rady słuszności nam do nich nie zaprzeczą...

— Na zamek! na zamek! — zawarczał tłum swawolą ośmielony.

— Nikt nam słuszności do gnębieli nie zaprzeczy! Oddać ich w nasze ręce muszą!

— Nasze miejskie to są sprawy, a my sądy swoje i postanowienia mamy!

— Juścić mamy i król poprzysiągł te przywileje nasze święcie chować...

— I przysięgę powtórzyć ma na wiecu w Piotrkowie!

— Na zamek, nie mieszkając! Szkoda czasu! Raz skończyć! Raz się zmory pozbyć!

— Dalej na zamek! Hocz niech prowadzi!

— Prowadź, ojcze! Prowadź, dobrodzieju nasz!

— Tyś mieczem i puklerzem naszym!

— Prowadź! Niech żyje Przedbor! Sława Hoczowi! On nasz!

Przekonał się Hocz, że znalazł się na drodze, po której iść trzeba do końca: zwyciężyć, albo zginąć sromotnie. Ścisnął skronie dłońmi, podniósł głowę i krzyknął donośnie, jak ten, co wszystko na szale stawia:

— Na zamek! Król nam słusności nie odmówi. Od tego pomazańcem Bożym jest, aby sprawiedliwość rozdzielał...

Runął tłum krzykliwy ku zamkowi, gdzie się także spodziewano jego przybycia, bo wnijsia wszelkie szczelnie były zawarte, a na murach zbrojne zastępy stały, gotowe do walki. Wystawiono je dla postrachu, dla ochronienia powagi majestátu królewskiego, bo nikt nie przypuszczał, aby zaszła potrzeba stoczenia walki z gawiedzią.

Tymczasem tłuszcza szalejąca, wciąż Hocz na czele swoim prowadząc, formalnie napadła na zamek a zastawszy bramy zawarte, dobijać się gwałtownie począła.

— Żupnika nam wydajcie i spółników jego! Serafina nam trza! Garszara! Bonera! Winka! Wszyst



kich katów naszych, co tu schronienie naleźli! — brzmiały wrzaski.

— Do nas oni należą! My sąd nad nimi uczynim!

— Za krzywdy i udręczenia nam sprawiane, głowy ich spaść muszą!

— Żupnika! rajców! gnębicielei tych wydać nacychmiast...

Zuchwalstwo to było niesłychane, majestatowi królewskiemu uwłaczające i wszelkie gwałcące prawa... Zbrojni jednak stali na wałach nieporuszenie, jak posągi, patrząc z wyrazem pogardy na tłum obłąkany, który wrzeszczał coraz donośniej i już się do rąbania bram toporami zabierał. Wtedy nad bramą główną ukazała się rozrosła, żyłasta postać pana Głowacza z Oleśnicy, brata biskupa Zbyszka, marszałka króla, a obok stanęli: Jan z Tęczyna, wojewoda krakowski, pan z Koniecpola i poufny doradca Władysława, słynny już wówczas uczony — mistrz Grzegorz z Sanoka w kapłańskiej szacie. Spoglądali oni na rzesze niesforne z oburzeniem, jeno twarz mistrza Grzegorza politowanie wyrażała. Tłum, ujrzawszy dostojników koronnych, domagania swoje jął zgiełkliwie powtarzać, lecz dobijać się zaprzestał. Z nad bramy pierwszy odezwał się porywezo Głowacz:

— Co znaczy ta napaść? Czego tu chcecie? Zali wiecie, na coście się odważyli? Wiecie, co was za to czeka?

— Wydania krzywdzicieli naszych chcemy!—odpowiedziały rzesze. — Tu się ukryli, a do nas należą! Do rąk ich dostać musim...

— Mileżeć tam... psy parszywe!—krzyknął Głowacz.

wacz potężnym swoim głosem. Milczeć i precz stąd! Do domów się rozchodźcie, jeśli nie chcecie krwawej zaznać łaźni...

— Szaleństwo was opadło! — ozwał się z kolei Tęczyński.—Zali nie rozumiecie jak wielkiej dopuściliście się zbrodni? Na pana swego miłościwego, na Bóżego pomazańca napadać i żądania mu groźne stawiać? Wstrętu równego świat nie widział... Do domów! do warstatów! do kowadeł a miechów! Natychmiast się rozejdźcie, w piersi bijąc...

Przerwał wojewodzie mistrz Grzegorz głosem pewnym siebie, poważnie i przekonywająco:

— Bóg z wami, bracia moi! Zastanówcie się, upamiętajcie! Snać zły duch do was przystąpił, opętał i do takiego przywiódł kroku... Jeżeli krzywda wam się jaka dzieje, na innej drodze można się o nią upomnieć, a nie na drodze rokoshu. Wszelka niezgoda zgubne za sobą pociąga skutki; od nawałnicy nie innego się nie spodziewać — nad zniszczenia, szkody... O tem pamiętajcie.

Słowa, wypowiedziane z godnością i szczerą miłością bliźniego przeniknięte, oddziaływały na ciżbę uspokajająco. Znały mistrza Grzegorza te rzesze i szanowały niekłamanie, już to jako uczonego, już to jako najmiłszego króla i królowej doradcę, a najbardziej jako człowieka pełnego dobroci, który nędzy zaznawszy w latach pacholęcych, gdy się następnie sam, przy pomocy woli żelaznej i pracy usilnej, na stanowisko zaszczytne wybił, wiele świadczył nędzarzom, nie szczędził dla nich grosza, ani wpływu, jaki posiadał. Wiedziano, że się zawsze rządzi prawdą, że nie go do fałszu skłonić nie zdoła, że każde jego słowo z serca

plynie i radę niesie zdrową. Dlatego i teraz, gdy się odezwał, wrażenie wywarł na oszalałe umysły dobroczynne: słuchano go uważnie, zastanowienie wzbudził.

Hocz, widząc to, pośpieszył mistrza chęciom najlepszym przeszkodzić, ratując zarazem chwiać się poczynającą powagę swoją. Ujął się tedy pod boki i przerwał mówiącemu wyzywająco:

— Wężowie o wiosnie łuski z siebie zrzucają, tak i wy, mistrzu, zrzuciliście z siebie skórę, znalazłszy się wysoko... Ha! ha! zwyczajna to rzecz! Kto na czyim wozie jedzie, tego piosnkę śpiewa... Tak samo i wy, mistrzu. Inszym byleś, kiedyś bosonogim, bez koszuli, do Krakowa z Sanoka przywędrował i jałmużną ludzi miłosiernych żył. Wtedy rozumiałeś, co to bieda, co wart denar, w czoła pocie krwawym zapracowany; jak hołubi ludzi matka-nędza... Dzisiaj o tem zabaczyłeś, boś się z objęć nędzy wygrzebał i w dudkę tych dmiesz, którzy ci smakowite podawają pieczenie... Umiesz gładko gadać, ale miechem farbowanym jeno ślepe otumanisz oczy... O zastanowieniu się i upamiętaniu mówisz... o opętaniu... o tem, że krzywdy na inszej drodze dopominać się można, niż na tej, którąśmy obrali? Śmiechu to wszystko warta! Myśmy się długo zastanawiali, długośmy się trzymali w upamiętaniu, ale... pękła cięciwa naszej cierpliwości... Nic nie zyskawszy na onej inszej drodze, jaką zalecasz, musieliśmy skuteczniejszą obrać! Wszak wołaliśmy pełnym głosem: „Sprawiedliwość nam uczynicie!“,—a nawet echo nam nie odpowiedziało. Wtedy przypomnieliśmy sobie, że w Zakonie powiedziano: „Oko za oko, ząb za ząb, krew za krew“, i dlatego nas tu widzisz... Nie przeciw panu miłościwemu, nie przeciw osobie jego

dłonie podnieśliśmy, ale przeciwko tym, którzy nas gnębią. Pan nasz miłościwy mileżał, gdyśmy się sprawiedliwości domagali, niech nam teraz pozwoli wymierzyć sprawiedliwość samym sobie, niech nie osłania winowajców. Do nas oni należą, wydajcie ich, a natychmiast od zamku odstąpić...

— Do nas należą! Wydajcie ich nam! Oko za oko, krew za krew, ząb za ząb! Tak powiedziano w Zakonie i tego się trzymamy... — powtórzyły rzesze na nowo podniecone.

Głowacz, pan z Tęczyna i Koniecpolski wzrokami się porozumieli i byliby może dali upust wybuchowi zgrozy, jaką ich zuchwalstwo gawiedzi przejmowało, gdyby im nie podszepnął mistrz Grzegorz:

— Na Boga! hamujcie się... Zagasić ten pożar trza, a nie podsycać..! Klęskę kraj poniesię, jeśli tej rany, zajątrzonej złą wołą, balsamem uspokojenia nie zabliznim...

A zwracając się do Hocza, rzucił mu energicznie:

— Dokąd dążysz, zaślepięncze? Otchłań przed tobą, a ty nietylko sam do niej zmierzasz, ale bliźnich oszołomiwszy, jako stado owiec nierozumnych, za sobą pociągasz... Wstrzymaj się! Litość nad sobą i nad tymi nieszczęśliwymi miej! Także cię to szatan omroczył, że do fałszów się posuwasz i Zakon fałszujesz? Mówili, prawdać jest, dawni wyznawcy Pana o odpłacaniu złem za złe: ale oni znali jeno Boga mściciela. Odkąd się zjawił Zbawiciel i Odkupiciel, my, Jego wyznawcy, znać powinniśmy jeno Boga wszelkiej sprawiedliwości i w miłosierdziu nieprzebranego, w którego Zakonie stoi: miłuj bliźniego, jako siebie samego! miłuj nieprzyjacioly twoje! czyn dobrze tym, którzy na cię

kamieniem rzucają... Dając wyznawcom swoim Zakon taki, Zbawiciel nie powiedział, żeby złe ostawało bez kary; ale co innego znaczy *kara*, a co innego *zemsta*... Wy zemstą technicie, to grzechem jest! Ani ja, ani pan miłościwy, ani żaden z dostojnej rady jego nie broni przez was obwinionych... Oskarżacie ich? Dobrze. Wszelako oskarżyciel sędzią być nie może. Sąd pozostawcie panu miłociwemu i jego radzie—oni wszystko wymiarkują i sprawiedliwość wymierzą... Posłuchajcie rady zdrowej, jak powiedziałem, tak się stanie, a teraz rozejdźcie się w spokoju...

Hocz szyderczo śmiać się począł.

— A ile miechów, srebrnikami ładownych, wzięteś, mistrzu, od złoczyńców, których tak wymownie bronisz?!—wykrzyknął.—Miodowe są słowa twoje, ale tym miodem fałszywym nie zalejesz goryczy, jaka w sercach naszych wezbrała. W żadne obietnice nie wierzym! Plewy to są, a my nie wróble, aby się na nie złapać... Nie odstępim od swego: winowajcy oddani nam być muszą! Sąd nad nimi do nas należy!

— Tak! tak! — zaryczała zgraja. — Nie odstępim od tego! Mają nam być oddani żupnik i rajcowie! Inaczej stać się nie może...

Hocz jeszcze szyderstw garść w uszy tłumu rzucił i tym sposobem wahających się na swoją stronę przechylił. Znów się zakotłowało pod zamkiem, znów się do wrót rzucono i byłoby do zgrozy wielkiej przyszło, gdyby się, właśnie w chwili największego rozjątrzenia umysłów, nie odezwał głos dzwonu świątyni wawelskiej. Brzmienia owe majestatyczne, przeciągłe, spadły na obłąkane rzesze tak nagle, że rzec można, że nagłością i powagą swoją w okowy ją ujęły. Tłum,

nie wiedząc, co ma o tem sądzić, skamieniał z podziwu: wzniesione do druzgotania wrót młoty i topory zatrzymały się w powietrzu, umilkły wrzaski—milczenie zapanowało wyczekujące...

Niebawem nowa zjawiała się niespodzianka... Wrota główne rozwarły się z ciężkim zgrzytem, a z nich wysuwać się począł orszak, końca, zda się nie mający. Na czele szedł oddział zbrojny od stóp do głowy, torujący drogę wśród tłumu dalszym ogniowom pochodu, które stanowiło duchowieństwo, ze świecami jarzącymi, poprzedzające biskupa krakowskiego, Zbyszka z Oleśnicy. Ten kroczył pod baldachinem złocistym, otoczony prałatami, strój na sobie miał pontyfikalny, a w rękach niósł monstrancję od której luna biła... Za baldachinem kroczyła królowa-wdowa, dwaj synowie jej—król Władysław i królewicz Kaźmirz; dalej panowie rady, wszyscy przeważnie mężowie w bojach osiwiali, podobni do posągów. Za nimi, dzwoniąc zbrojami, sunął znów oddział rycerzy, młodością tryskających, z dłońmi na mieczach, podobnych do sokołów, którzy jeno czekają skinienia, by się do walki rzucić, a oczyma mówią: „Biada temu, na kogo ciosy nasze spadną...”

Z dzwonami katedry połączyły się brzmienia dzwonów innych świątyń, w okoleniu zamkowym stojących, więc św. Michała, św. Jerzego i św. Idziego, a także śpiew duchowieństwa, intonowany przez potężnego biskupa, brzęk mieczów, chrzęst zbroic; wszystko to tworzyło chór tak podniosły, że tłum, przed chwilą groźny i warkliwy, teraz mimowolną skruchą zdjęty, czoła pochylił... Nawet Hocz, który przytomność umysłu

nadzwyczajną posiadał, tym razem uległ wrażeniu, śmiałość go odbiegła, trwogę uczuł i upokorzenie.

Bez przeszkody, krok za krokiem, posuwał się wśród rzesz stłoczonych on pochód, którego słońcem, koroną, był nie król, lecz księżę Kościola.

Kroczył tedy on mąż, dostojny, mądry, sprawiedliwy i wspaniałego umysłu, majestatycznie, zdając się nie widzieć tłumów,—kroczył skupiony w sobie, obłany jakby technieniem mistycznym... Promienie słońca, załamując się w monstrancyi złotej, w rubinach, perłach, dymantach, szmaragdach i innych kamieniach drogich, padały na twarz jego spokojną, jakby z marmuru wykutą, otaczały skronie jego obręczą świetlną, nimbem, jakim wieńcza malarze wizerunki wybrańców Bożych, a dymy wonne, unoszące się z kadzielnice srebrnych, które przed nim ruchem ustawicznym rozżarzały pacholeta, tworzyły dokoła niego jakoby obłoki, błękitem zabarwione...

Spojrzawszy na tę postać, czuło się w niej odrazu potęgę. Był bowiem biskup Zbyszko wzrostu dostatniego, pleczysty, grubej kości, a każdy ruch jego, gest każdy nacechowany był pewnością siebie, godnością, energią nie do złamania. Owa godność, powaga, majestat, owa wola żelazna i umysł podobny, odbijały się w rysach twarzy. Były one tak wyraziste, że raz na nie popatrzwszy, w pamięć się na zawsze wdrażały. Czoło wysokie, kształtnie zatoczone; oczy duże, ciemne, łukami brew nawisłych obramowane od góry, przenikliwie patrzące, świdrujące na wskroś, czytające w głębiach serc; nos orli, policzki blade, usta wązkie, silnie się zaciskające — wszystko, razem wzięte, składało się na całość, godną dłoni mistrzów kunsztu rzeźbiarskiego. A przytem, mimo życia nad wyraz czynnego

mimo pracy olbrzymiej, mimo walk, jakie maż ten z przeciwnikami swymi staczać na każdym musiał kroku — nie znać po nim było znużenia. Przeciwnie, na czole jego i w całej postaci widniała niepożytość ducha, czerstwość umysłu w całej pełni...

Postępująca za nim królowa-wdowa z synami również ową czerstwość duchową zachowywała, a nawet zachowywała urodę, chociaż włosy jej mieniły się od pasm srebrnych. Jak biskup i ona posiadała zdolności umysłu niepospolite, lecz w nieskończenie mniejszym stopniu. Zbyszko był przede wszystkim wiernym synem Kościoła i kraju: królowa Zofia zaś macierzyńskimi powodowała się nadto uczuciami. Tamtemu szło zawsze i na każdym miejscu o dobro i chwałę wiary katolickiej, o potęgę i szczęście ojczyzny; jej o chwałę i szczęście synów. To było jej marzeniem, do tego celu dążyła wszelkimi drogami, sił i poświęceń nie szczędząc.

Zabiegi tej matki wzorowej osiągały skutek pomyslny. To też z dumą poglądała na synów i najlepsze roły się jej nadzieje... Synaczkowie zaś dużo w rzeczy samej obiecywali. Usposobienia ich były odmienne. Władysław z natury więcej do ojca był podobny. W każdej jego krwi kropli drgała rycerskość, marzył jeno o bojach zwycięskich, zdobyczach, kochał się w otoczeniu świetnym, łowach i wszystkim, co orężem, duchem męskości tchnęło. Serce miał, by na dłoni: szczere, otwarte, dla każdego wylane i w tem jeno się różnił od zmarłego ojca, który skłonny był do podejrzeń i nie odrazu ufnością ludzi obdarzał. Ale w szczodrobliwości, w hojności, ojca bodaj przechodził. Miary w tem nie miał. W danej,



bał w każdej chwili gotów był duszę własną oddać temu, kto go pociągnął, do serca przypadł...

To martwiło trocha królowę-matkę, ale nienazbyt; tłumaczyła sobie, że człowiek świętym być nie może, a jeszcze, że monarchowie, którzy w dziejach na zawsze się zapisali, grzeszyli również w tej mierze, jak na przykład, on król, co to go Wielkim nazwano. Więcej ją zasepiało, że Władysław powodować dał sobą. Jakoż ująć go sobie można było nader łatwo, a wtedy czynił, co mu podszeptano. Dlatego troskliwa macierz do boku jego przywołała mistrza Grzegorza z Sanoka, wymiarkowawszy w nim umysł wielki, prawość charakteru i mnogie inne zalety. Miał on króla młodocianego, jako żrenicy oka swego, strzedz, porywy jego miarkować i nieznacznie wskazówki dawać.

Co do Kaźmirza, ten rycerskich zapędów nie okazywał, chociaż nie zbywało mu na upodobaniach w tym kierunku. Jak ojciec był podejrzliwym, ale nierównie więcej skryty i wolę posiadał niezłomną, która też w latach późniejszych się ujawniła. Ze słowami się nie wrywał, za to dużo myślał i z wielką uwagą na wszystko, co się dokoła dzieje, patrzył. Wiedział, że mu panować jest przeznaczonem, ale można było przewidzieć, że rządzić będzie sam, że nikomu nie pozwoli się dotknąć steru nawy państwa.

Różnili się tedy bracia usposobieniem i różnica ta odbijała się na ich twarzach, w ich ruchach, mowie—na każdym kroku. Władysław na wszystko był wrażliwy, co czuł, wypowiadał niemal bez zastanowienia—młodość, ochota do życia, do zaznania wszelkich jego roskoszy, z oczu mu wyglądała. Poryweczy był, gwałtowny, zdolny śmiać się i płakać, karcić i przeba-

czać jednocześnie... Myśl jego z przedmiotu na przedmiot się przerzucała, lecz z tem wszystkiem nie przedstawiał marzyć o jednym: o zdobyciu sławy Chrobrego. Twarz jego, zdrowiem tryskająca, zawsze prawie była pogodną, uśmiechniętą, butną; malowały się na niej świetne nadzieje, wróżby różowe, pewność siebie. Jeżeli kiedy zjawiała się na niej chmura jaka, to jeno na chwilę. Dość było słowa, by ją rozproszyć.

Każmirz rysy miał surowe, nad wiek poważne, spojrzenie głębokie, bystre, powolne, na czole jego często zaduma osiadała. Gdy mu się co niepodobało, usta zacinał, brwi marszczył tak silnie, że pomiędzy niemi bruzdy się tworzyły, a w oczach zapalały się światła złowrogie. Lubił zabawy samotne, od ludzi stronił, knieje go pociągały a ostepy, chętnie wśród ich ciszy tajemniczej długie przesiadywał chwile. Do panów koronnych i do ich synów, rówieśników swoich, nie rad się zbliżał, większe zaufanie okazując Litwinom. Krew go do rodaków ciągnęła.

Pochód dosięgnął rynku, pośrodku którego biskup zatrzymał się, wysoko nad głowę monstrancję podniósł i krzyż nią nakreślił... Poczem ku kościołowi Panny Maryi się skierował, gdzie przed ołtarzem wielkim długo się modlił. Po modłach, zwrócił się do tłumów, wciąż milezących i zdumionych, wzrokiem orlim je objął i, nieco przemilezawszy, mówić począł głosem wyrazistym, dobitnie, surowo, a głos on, nawykły do przestrzegania głów koronowanych, trwożą przejmował zgromadzone w świątyni tłumy:

— Rodzic, zanim skarci dziatki nieposłuszne, upomina one, do ich serca i rozumu przemawia. Tak też czyni pan nasz miłościwy, Władysław, mojemi usty.

Dopuszciliście się zbrodni wielkiej, uwłaczyliście majestatowi, który pod Bożą znachodzi się opieką... Tak-li od pana swego domagać należy się sprawiedliwości, jeśli czujecie się pokrzywdzonymi? Jakto? nie w prochu, nie na kolanach, nie z pokorą, — ale z groźby wrzaskliwemi, ale niby tłuszcza pogańska udaliście się do tego swego monarchy i ojca, któremu wierność i posłuszeństwo zaprzysięgliście na Ewangelii św.?! Pogwałciliście tedy i przysięgę, a już za to samo kara na was spaść winna sroga. Ale pan wasz i ojciec miłości jest pełen, gotów wam serce otworzyć i przebaczyć, bo wie, że działaliście z namowy złych doradców swoich...

Tu biskup utkwiał wzrok w stojącego nieopodal Hocza i prowadził dalej, w zapał kaznodziejski wpadając:

— Odwróćcie się od bezbożnych kusicieli, upadnijcie na kolana przed obrażonym majestatem, a może zyskacie miłosierdzie; może bezprawie zapomniane wam będzie. Upokorcie się i błagajcie, jak psalmista, Ojca w niebiesiech:

„Wołam ze wszystkiego serca: wysłuchaj mnie Panie...”

„Jam maluczki i wzgardzony... ucisk i utrapienie przyszło na mnie...”

„Wołam do Ciebie, zachowaj mnie, a będę pełen świadectw Twoich.”

„Uprzedzam Cię na świtaniu i wołam, na słowa Twoje oczekiwając:”

„Panie! głos mój usłysz, według miłosierdzia Twego, według sądu Twego odżyw mnie, stań przy sprawie mojej, a odżyw mnie...”

I błagajcie jeszcze:

„Panie, zbawienia Twego pragnę, a Zakon Twój jest Kochaniem mojem.“

„Życ będzie dusza moja i będzie Cię chwaliła, a sądy Twoje będą mi na pomocy.“

„Błędzę, jako owca zgubiona, szukając sługi Twego, boć przykazań Twoich nie zapominam...“

Brzmiał głos biskupa coraz donośniej, w załazach kunsztownych świątyni się odbijał i stamtąd w echem grzmiących do uszu ludu strapionego spływał. Hocz, widząc, że powaga Oleśnickiego niweczy jego dzieło, porwał się i usta do mówienia otworzył, lecz biskup gestem mu milczenie nakazał.

— W przybytku Bożym — rzekł — kapłan jeno ma prawo przemawiać. Słowa takiego, jak ty, człowieka, Przedborze, skalałyby te mury poświęcone, boś daleki od świętobliwości, bo dzieci przeciwko ojcu, poddanych przeciwko panu ich, burzysz. Niezbożność to, a niema dla niezbożników zbawienia, bo oni Zakonu nie badają... Zmilknij tedy i jakoś pociągnął one rzesze owiec błędnych do grzechu, tak je do pokory i kajania przywiedź.

Rozejdźcie się do domów waszych w pokoju — kończył, zwrócony ku tłumom. — Sprawiedliwość wam będzie dana, winni już pokutują w zamknięciu, a na pierwszym wiecu, który się niezadługo odbędzie w Piotrkowie, sprawa monety fałszywej i krzywd waszych zostanie pilnie rozpatrzona. To wam przyrzeka pan miłościwy i rada jego.

Monstrancję znów ujął, znów hymn święty zaintonował i pochód znów drogą powrotną ku zamkowi ruszył.

Biskup zwyciężył tłumy urokiem swojej powagi i żelazną stałością. Rozpływać się one zaczęły, a wielu otoczyło nasepionego Hocza i wyrzucało mu gwałtownie, iż rzeczy do tego stopnia doprowadził. Znaleźli się nawet tacy, którzy mu nieżartem grozili. On milczał, zawstydzony przegraniem sprawy, w którą tak wierzył i którą tak mozolnie przygotowywał. Dopiero, gdy go naciśnięto, nie mógł się od wybuchu powstrzymać i straszliwemi złorzeczeniami zionąć począł.

— Słusznie was biskup stadem błędem nazwał, bo w rzeczy samej jesteście stadem, które byle czemu wierzy i lada kogo słucha... Głupcy! tchórze! Nie warto dla was trudu sobie zadawać; nie warto się narażać, karku nadstawiać... Gdybyście byli dotrwali przy natychmiastowem wydaniu winowajców,—wszystko zmieniłoby się dla was na lepsze. Czy myślicie, że winni ukarani zostaną? że o waszem dobru panowie radzić będą w Piotrkowie? Niedoczekanie! Oni się z żupnikiem i rajcami trzymają za ręce i krzywdy im nie uczynią, bo to sowiec im się opłaci. Była chwila dziś właśnie z jarzma się wyprądz, a wy gładkiemi pozwoliliście się obalamucić słowy... Pogorszyliście położenie wasze i wspomnicie słowa moje: gorzko tego żałować będziecie... Idźcie do domów, małoduszni! Tam was czeka nędza, głód, upokorzenie.. Idźcie, psy bezmózgie, a gdy obaczycie żupnika i rajców, padajcie do ich kolan! obejmujcie je i stopy ich liźcie... Jesteście, jako wieprze, przed którymi pereł rzucać się nie godzi...

Splunął z wielką złością i precz szedł, ale na tłumy gorzkie jego słowa wrażenia nie wywarły. Idą one za wrażeniem, zaś tym razem Oleśnicki wywarł na nie wrażenie większe. Przyrzeczenia jego,

u Panny Maryi wypowiedziane, w szatach pontyfikalnych, wśród otoczenia uroczystego, w obecności majestatu Bożego i ziemskiego, miały wagę doniosłą. Dlatego za odchodzącym Hoczem posypały się szyderstwa, których gmin nie szczędzi zwyciężonym i upokorzonym:

— Nie nam się na króla, panów rady i biskupa porywać!

— Z biskupem nie przelewki! Bolko ze Szczepanowskim zaczął i co skorzystał? Kłatwę i wygnanie, chociaż królem był!

— Możesz ty najlepiej chciał, Przedborze, ale za daleko nas poprowadziłeś!

— Sprawiedliwie, że za daleko! Ciarki przechodzą, gdy wyrozumieć, coby się stało, gdyby nie biskup Zbyszko...

— Straszna rzecz stałaby się zaiste...

— Biskup wobec monstrancyi sprawiedliwość nam przyrzekł, tedy nieomylnie nam ją wymierzą...

— Inaczej nie może być! Takie przyrzeczenie więcej waży, niż przysięga!

— Hocz ojcem jest naszym, głowę ma, ale dziś chybił...

Śluchając tych gawęd, Hocz wargi kąsał do krwi niemal, pięści zaciskał i kroku przyśpieszał. Zdało mu się, że każde potępiające go słowo zmienia się w ostrze sztyletu i piersi mu rozpara.

— Głupcy! trzoda! psy parszywe!—powtarzał nie oglądając się za siebie, a większa ogarniała go wściekłość, gdy sobie przypomniał, że znieść jeszcze musi upokorzenie od Melsztyńskiego i jego towarzyszków.

Niedaleko domu ktoś mu dłoń na ramieniu położył: był to mistrz Grzegorz z Sanoka.

— I cóż, Przedborze, zali rad jesteś z siebie? — zapytał, jak zawsze łagodnym głosem.

Żachnął się Hocz i nie patrząc na mistrza, odparł głucho:

— Nie przystoi kapłanowi naigrawać się z leżącego i nogami go kopać!

To rzekłszy, ręką machnął i chciał odejść, ale go mistrz wstrzymał:

— Rozumiem strapienie twoje, Przedborze, lecz samemu sobie winę przypisz. Szczęście, że burzę w taki sposób zażegnano. Gdyby nie biskup, mogłoby do smutnych przyjść rzeczy.

— Byłyby one smutne jedno dla gnębieli biednego narodu i dla tych, którzy ich zasłaniają! — rzucił porywczco Hocz.

Grzegorz głową wstrząsnął:

— Niepoprawny z siebie człek, niespokojny duch... Zamiast się w piersi bić i skruchę czuć, ty miotasz się, pienisz i żałujesz, że nieszczęście odwrócone zostało. Burzę siejesz lekkomyślnie, nie zastanawiając się, jakie stąd wypłynąć mogą skutki. Szczerze mi ciebie żal, tembardziej, że...

— Że co? — bystro na mówiącego patrząc, zagadnął Hocz.

— Sumienia się zapytaj, ono ci odpowie — rzekł mistrz poważnie, a westchnąwszy, dodał — Biskup ma do pomówienia z tobą; mnie polecił oznajmić ci o tem i przyprowadzić cię.

— Biskup? — powtórzył Hocz, na twarzy się mieniając, bo złe przeczucie go tknęło.

— On sam. Pójdźmy, pasterz nasz czekać nie lubi — naglił mistrz Grzegorz.

Wahał się Hocz i ociągał. Wezwanie biskupa po tem, co zaszło, nie pomyślnego mu nie wróżyło oraz czuł się winowajcą względem niego, króla i panów rady w innej jeszcze mierze; wszystko to, razem wzięte, stawiało go w położeniu bardzo niebezpiecznem, z którego dopiero teraz, po doznanej porażce, zdawał sobie sprawę. Gdyby żupnik i rajcy nie zdołali byli do zamku się schronić, innym torem potoczyłyby się rzeczy. Zostałby, jak dawniej, rzecznikiem i obrońcą, ba! wyrocznią tłumów, z którym musiano by się liczyć bardziej, niż dawniej. Jeden krok niedość nierozważny, jedno niedopatrzenie wysadziło go z siodła, na którym siedział butnie i pewnie. Orędownictwo biednego ludu przeszło w ręce króla i rady koronnej; on w tej chwili maluczkiem jest i nie prawie nieznaczącym; chyba traf szczęśliwy przywróci mu stanowisko utracone... Dotychczas i na zamku miał sobie przychylnych, którzy za nim, w razie potrzeby, przemawiali, lecz teraz nikt w jego obronie słowa rzec się nie waży... Co innego wojować z burmistrzami, wójtami i mieszczanstwem—ale on na majestat się porwał... ale on z wrogami króla utrzymuje stosunki...

Takie myśli, jedna za drugą, snuły się po głowie Hacza, gdy go Grzegorz z Sanoka do biskupa Zbyszka wezwał. Kto wie—może nie sądzono mu wrócić stamtąd? może wtrącony zostanie do Dorotki? może jeszcze co gorszego z nim groźny dostojnik Kościoła uczynić zamierza? Ale nie okaże strachu, pójdzie, do dna wychyli kielich goryczy, którą sobie sam przygotował. Niech się stanie, co przeznaczono. Wyroków dłonią Opatrzności sporządzonych, nie cofnąć ani odwrócić...



Wyprostował się, kołpak na spoczonej głowie poprawił i rzekł do mistrza Grzegorza:

— Pójdźmy, jam gotów...

Z rezygnacją to powiedział, dawną zuchwałość odzyskując i zawziętość, co nie uszło baczności Grzegorza, który też przestrozę mu szepnął półgłosem:

— Pasterz nasz chętnie przebacza, jeżeli wina do darowania i jeżeli grzesznik żal uczuwa; ale dla opornych, zakamieniałego serca, żadnej nie ma litości. Dobrze, iżbyś to miał na pamięci, Przedborze...

— Ja winy na sobie nie widzę, a tak mniemam, iż nie na sąd wezwany zostałem—mruknął Hocz opryskliwie.

— Pasterz ma prawo owieczki swoje napominać, sądzić i karcić... A wszakże ci też wiadomo, że w jego ręku rządy spoczywają kraju, dopóki pan nasz miłościwy za pełnoletniego uznany nie zostanie... Miej, Przedborze, na siebie wzgląd, nie igraj z piorunem. Biskup Zbigniew korony na głowy królewskie kładzie i mocen jest je strącać! Prochem jesteś marnym wobec niego.

— Toć mi nożem szyi nie utnie—rozśmiał się sucho mieszczanin.

— Na niewczesne krotchwile sobie pozwalasz, a winienesz pokorą serce twoje nappełnić...

Siedział biskup Zbyszko z królem i panami radnymi, rozważając zdarzenia dnia tego, gdy mu mistrz Grzegorz przybycie Hocza oznajmił.

— Ten-ci jest, który w opętanie popadł i ku zgubie wielkimi krokami dąży—odezwał się wtedy wstając.—Dawniej wydało mi się, że nim żarliwość gorąca, zawdy ulżenie niedoli bliźnich mająca na celu, po-

woduje, ale teraz mam prawo sądzić go inaczej. Poszlaki obarczają go ważne.

— Takiego odrazu się zbyć! — zawołał groźnie Władysław, po mieczu, który go rzadko kiedy opuszczał, dłonią bijąc. — Jeno innych zaraża... Wszak to on sprawcą zaburzenia dzisiejszego...

Uśmiechnął się biskup.

— Niewątpliwie, że on, miłościwy panie—odparł. — On to wszystkim tumultom w mieście przewodzi, ale trzeba przyznać, że biedacy nie bez słuszności od czasu do czasu się burzą. Dziś przyszło do zgorzenia nadzwyczajnego, które należałoby ukarać z wszelką surowością, gdyby i tym razem słuszność po stronie owych tłumów biednych nie stała. Krzywda im się dzieje w rzeczy samej, miłościwy panie: winnymi są żupnik, rajcowie i ci z mieszczan, którzy złym frymarchą pieniądzem. Przestrzegano ich, grożono im — nie słuchali. Mają za swoje. Życie ich ochroniliśmy, ale mienie jeno przezorny Serafin uratował. My, jak przyrzekliśmy, karę na nich wymierzym, a nawet uczyniliśmy to już, bo siedzą w zamknięciu. Niech posiedzą kilka niedziel — to na dobre obydwom wyjdzie stronom. Tłum zażartość wydycha, oni wstydu się najedzą, a powaga twoja, miłościwy panie, na tem zyska...

— Ale ten Hocz! ten Hocz! — przerwał Władysław.—Gdyby tak na mnie... zebrałbym huf i na motłoch uderzył! W taki sposób, wedle mnie, najlepiej wszelkie załatwiać sprawy!

Oczy młodzieńczemu panu gorzały od ochoty, rękoma po bokach się bił, wyobrażając sobie, że gromi rozwichrzone zgraje, a to widząc nieodstępni

jego towarzysze, młodź rycerska w równym jemu wieku (pomiędzy którą wyróżniali się synowie pana z Tarnowa, zmarłego temu trzy lata wojewody krakowskiego, obaj Jaszkwie — jeden Gratussem, drugi Amorem zwany) potrzaskiwała o rękojeście mieczyków i oczyma mówiła, że równie jako król myśli. Cieszyły osiwiałych w bojach rycerzy te porywy, najlepsze nadzieje na przyszłość rokujące; biskup jednak tym razem ich nie pochwalił.

— Pięknie jest, miłościwy panie rzekł — widzieć i w tobie, i dokoła ciebie tyle zapału rycerskiego... Przyda on się może niebawem, boć u nas bój to chleb powszedni. Wszelako zachowaj go na wrogów kraju, na wrogów chrześcijaństwa... Z nimi okaż dzielność, męstwo, okaż się godnym następcą wielkiego ojca, któremu światłość wiekuista na wieki wieków niech przyświeca... Lud twój nie orężem zwalczaj, nie krwi przelewem pokonywaj: ale sercem, ale sprawiedliwością, ale miłosierdziem i cnót przykładem. To jest zadanie wielkiego monarchy... Rzekłeś, panie miłościwy, że najlepiej było rozpedzić tłumy wzburzone przy pomocy hufu zbrojnego. Młodość to porywcze słowa ci podsunęła... A toćżeby wtedy wojna domowa, najstraszliwsza z klęsk, mogła zapłonąć, bo wszak mamy złych ludzi, którzy tylko czekają sposobności, aby ją sprowadzić! Zresztą pod rozwagę wzięwszy, uderzając na rzesze owe orężnie, popełniłbyś, miłościwy panie, grzech jako monarcha i jako człowiek. Wszak ci biedacy ostatecznością, nędzą przyciśnięci, która najgorszym bywa doradcą, sprawiedliwości się domagali, a ty wzamian krwibyś im miał utoczyć? Prawda — takie ich zaślepienie ogarnęło, że ową sprawiedliwość

sami sobie chcieli wymierzyć, na co żadną miarą nie można było pozwolić,—ale też jej długi czas napróżno jej oczekiwali od rajców, którzy, na ich żądanie przystając, siebie sami i najbliższych swoich musieliby skarać. Rajcowie tedy postępowali karygodnie, a to tembardziej, że przeczuwając burzę, nie zaprzestawali niecnego frymarku... Prawda—napadając na zamek, przeciwko powadze twego majestatu zgrzeszyli, ale i to się nędzarzom wyzyskiwanym i poniewieranym przebacza, bo tacy ludzie nie wiedzą, co czynią... I patrz, miłościwy panie, co się stało: kilka słów rozsądnych uśmierzyło burzę. Miasto wre jeszcze gwarem, ale zawichrzenia, pewien jestem, się nie powtórzą... Łukasz św. powiada: „Jeśli ziarno padnie na dobrą ziemię; jeśli prawdy słuchają ludzie z sercem dobrem, uprzejmem i zachowują ono w niem: to doczekają się owocu w cierpliwości.“ Moje słowa, miłościwy panie, do takich serc trafiły...

— Zgrzeszyłem ja, ojcze wielebny, krewkością i brakiem doświadczenia, boć mi dopiero w świat, ale naukę twoją zapamiętam—rzekł Władysław.—Jeno ten Hocz z głowy mi nie może wyjść... Jeślic on burzy i maćci spokój w mieście, to go wyswiecić! Krótka sprawa i słuszna...

— A! Hocz! — powtórzył biskup, po czole ręką z pierścieniem pasterskim, świetlne blaski roztaczającym, wodząc.—Z tym jeszcze nie wiem, co mi uczynić przyjdzie. Poszlaki mam, ale poszlaka to nie dowód. Ludzkie gadki ważyć subtelnie i sprawdzać trzeba, zwłaszcza, jeżeli oskarżenie, przeciwko bliźniemu wymierzone, zawierają. Muszę mu serce przejrzeć na wskroś, a dopiero, gdy się okaże, iż co mi mówiono,

prawdą jest, wtedy dłoń moją ciężką na głowie jego położę... Jeśli miłość bliźniego, nędzę cierpiącego, popychała go dawniej i tym razem do wywołania tumultu popchnęła,—Bóg z nim! W pokoju go ostawię, a tylko do serca jego przemówię, nakażę, izby, gdy będzie o czynieniu poswarków krzykliwych zamyślał, niech sobie przypomni słowa św. Pawła, który tak do Koryntów napisał: „Stałem się głupim, chlubiąc się; wyście mnie do tego przymusili. Bom ja od was miał być chwalony, chociażem nie nie jest.“

Opuścił zgromadzenie panów radnych biskup i sam się udał do izby ustronnej, gdyż postanowił z Hoczem na cztery oczy mówić.

Hocz, oczekując na pasterza, miną nadrabiał, ale gdy ten wszedł, zadrżał całym ciałem i zaledwie zdołał odpowiedź na pozdrowienie chrześcijańskie z garłą wydusić.

Wywierał bowiem zawsze na Hocza wysoki dostojnik Kościoła wrażenie ogromne. Ten wszędzie śmiały, aż do zuchwalstwa, mieszczanin krakowski, wobec niego pokorniał, zdało mu się, że go on maż, o postawie wspaniałej i dziwnie przenikliwym spojrzeniu, wielkością swoją do ziemi przybija. Ale dawniej wrażenie to było wynikiem podziwu dla mądrości biskupa, dla jego duchownej i świeckiej potęgi—teraz zaś z innego płynęło źródła. Teraz Hocz widział w nim nieubłaganego sędziego i mściciela, który wszystkie tajniki duszy jego odkrył i wyciągnął ku niemu tytaniczną prawicę, aby go złamać, jak czerep gliniany skruszyć. I stał oto przed nim ze spuszczonei oczyma, z zapartym w pierśiach oddechem, a biskup, czy doprawdy nie zauważył jego pomieszania, czy też umyślnie udawał, że nie spo-

strzeża, aby mu dać czas ochłonać, bo bardzo się był zajął pargaminem na pulpicie leżącym i z wielką pilnością go odczytywał. Dopiero po upływie dobrej chwili, po izbie się kilka razy przeszedł, usiadł na wprost przywołanego i patrzył w twarz jego badawczo. Wreszcie odezwał się poważnie, ale bez gniewu:

— Przedborze mój, jako ojciec mówić do ciebie i pytać będę, a tego żądam, iżbyś mi serce, jako syn otworzył... Uczynisz-li tak?

— Zawdy prawdą się rządzę, a wiem też przecie, co pasterzowi wielebnemu winienem... — odparł Hocz głosem przyciszonym, niepewnie, oczu nie podnosząc.

— Szczerości w słowach twoich nie słyszę—rzekł biskup.— Taki masz pozór, Przedborze, jak gdybyś się mię obawiał... Jeśli tak jest, musisz coś na sumieniu dźwigać, bo ludzie bez grzechu śmiało każdemu w oczy patrzą i również śmiało odpowiadają... Jakże... zali mój domysł słuszny?

Milczał Hocz, a biskup, wyczekawszy nieco, mówił dalej:

— Dobrze to jest i chwałę ci, synu mój, że w obronie krzywdzonych stajesz, ale pochwalić nie mogę, że się o sprawiedliwość upominasz w drodze nieprawej; że burzysz rzesze nierozumne, doprowadzasz do takich zawichrzeń, jak dziś. Czemu tak postępujesz? Sprawiedliwości nie zyskuje się gwałtem, krzykami, obrazą majestatu. Winni są rajcowie i żupnik, ale i tyś srodze zawinił. Tamci już zostali ukarani, ty również winienes ponieść karę... Czujesz sam, Przedborze, i jeżeli ci to sumienie wyrzuca, zaprawdę, powiadam tobie, słusznie jest...

— Jam do ostateczności doprowadzić nie chciałem... — mruknął Hocz.

— Aleś doprowadził! Aleś, rozżarzając płomień (bo wszystkim wiadomo, że twoja to robota), mógł przewidzieć, że rozjątrzone rzesze, szaleem ogarnięte, do ostateczności się posuną... Nadto wiele masz rozumu, żebyś tego nie przewidział... Stało się. Twoje szczęście, że mamy wzgląd na ciebie; że w rachubę dobre chęci bierzem. Miłościwy pan odpuszcza ci winę, lecz pomnij, aby przekroczenie było ostatniem.

— Ja winy na sobie nie czuję... — odezwał się Hocz ponuro.

— Nie przecz własnemu przekonaniu, nowy tym sposobem grzech popełniasz! — przerwał mu biskup. — Dosyć o tem. Teraz o co innego cię zapytam... Żle o tobie mówią, Przedborze, bardzo źle... Zali to prawda, iż skryte przeciwko panu miłociwemu żywisz zamiary? Że się z jego wrogami łączysz i do tego jeszcze z ludźmi, którzy jednocześnie wrogami matki naszej, Kościoła rzymskiego, są? Co powiesz na to oskarżenie?

Pobladł Hocz jak chusta, cofnął się i wyjąkał:

— Fałsz to wierutny, jako żywo! Każdy ma wrogów, a ja więcej, niż kto inny... Domyślam się, ojciec wielbny, skąd niecne oskarżenia pochodzą... Żupnik Serafin, rajcowie — gadziny te, dręczyciele nasi, jadem na mnie plwają, zgubić mnie, zgniebić usiłują.. Jam na sumieniu czysty! Niech mi dowiodą oskarżenia! niech do oczu staną!

Mówił coraz śmielej i w piersi się bił, ale znać było, że głosem podniesionym pragnie ukryć twogę.

Biskup oczu z niego nie spuszczał.

— Wypierasz się bardzo gorąco — rzekł — radbym szczerze uwierzyć ci, bo zawsze o tobie mniemanie miałem najlepsze. Zapalną w tobie widziałem naturę, Przedborze, ale w niej nie sprzecznego z uczciwością nie postrzegłem... To też zdumienie mnie ogarnęło i żal, gdy oskarżenie tak poważne usłyszał... Domyślasz się w oskarżycielach wrogów? Imion ich nie wymienię, przy mnie one ostaną. Powtarzam, iż radbym szczerze wierzyć ci, wszelako zważ, iż w każdej pogłosce bodaj chociaż cień, choć odbłysek prawdy się kryje... Czasy mamy niespokojne, zgorszenia wszędzie pełno; ci nawet, co wczoraj za takich uchodzili, którym ufać można śmiało, dziś ufność zawodzą. Tobie postawiono zarzuty, których lekceważyć, jako pasterz i jako ten, co wziął na barki swoje obowiązek czuwania nad bezpieczeństwem monarchy i kraju tego, nie mogę. Jeśli nieprawda jest to, co ci zarzucają, powiedz: czemu przyjmujesz i ugaszczasz w domu swoim takich ludzi, jak Melsztyńscy, Straszowie, Rytwiańscy, Zbąscy i tym podobnych? Jawni to są wrogowie pana miłościwego, jawni odszczepieńcy od Kościoła rzymskiego. Zajeżdżają oni do domu twego często i teraz oto tam się znajdują. Czem wytłumaczysz tę ich dla ciebie przyjaźń? Co znaczy, że przybyli zbrojno, a Melsztyński nawet poczt z sobą przyprowadził? Powiadają, że cię na swoją przeciagnęli stronę; że nawet do szatańskiej nauki Jana z Husyńca przyłgnałeś. Powiadają jeszcze, że w razie, gdyby pan miłościwy zamierzył tłumy niesforne orężem skarcić, oni mieli do walki stanąć i rokosz krwawy wywołać, aby tym sposobem własne cele zbrodnicze osiągnąć. Na to wszystko odpowiedz, Przedborze, z ręką na sercu: Kaimem-li je-



steś, czy też człowiekiem sprawiedliwym? Mocą władzy pasterskiej wymagam od ciebie szczerej prawdy. Mów, a strzeż się fałszu!

Wydało się Hoczowi, że mu biskup serce szarpie i do mózgu roztopiony ołów leje. Stał jak wryty, z otwartymi ustami, a w uszach mu huczało, słyszał, że głos jakiś wtłacza do nich złowrogie wyrazy:

— Zgubiony jesteś! Już po tobie! Z życiem się żegnaj!

Na rozpaczliwy zdobył się wysiłek, całą przytomność umysłu i siłę woli zebrał, głosem drżącym, wymownie uniewinniać się począł:

— Ojczye wielebny! toćżę to jawne nastawianie na zgubę moją, na pozbycie się mnie! Żupnik i rajcy nie od dziś na to dybią... Fałsz! fałsz! fałsz! Przeczę wszystkiemu z czystym sumieniem! Na Boga i Matkę Najświętszą! czym do zdrajcy podobny? Ludu biednego zawdym od krzywd bronił i bronić będę do zdechu, ale nie innego w głowie mi nie postało. Prawda, że pan z Melsztyna i jego przyjaciele na dom mój są łaskawi, lecz ta ich łaskawość z dawnych pochodzi czasów. Nie pragnę ich, nie zapraszam. Prawda, że i teraz w domu najdują się moim, lecz w jakich zamiarach przybyli... zgoła nie wiem. Ja drogę mam wytkniętą, po niej idę, a ich zamysły nie są mi znane. Gościny tak możnym panom odmówić nie mogę, inaczey głowę i mienie narażałbym. Wprost mi się narzucają, z czego rad nie jestem. Co do tego, jakoby do nauki Jana z Husyńca przyłgnał — to również potwarz sromotna. Wiernym sługą jestem zarówno Kościoła, jak i pana miłościwego. Tak mi, Boże, dopomóż!

Długo jeszcze bronił się Hocz, a biskup słuchał, trzymając na nim wzrok swój. Na przeszłość swoją

się powoływał nieskalaną; świadków wskazywał, jako wszystkie obrzędy i przykazania Kościoła rzymskiego żarliwie spełnia; na Melsztyńskiego i jego przyjaciół wielce wyrzekął: słowem—wszelkich używał sposobów, aby się w oczach biskupa oczyścić. Mówił z ożywieniem nadzwyczajnem, ale z twarzy Oleśnickiego nie mógł wyczytać, zali go o swojej niewinności przekonać zdołał. Gdy umilkł, biskup ozwał się:

— Bądź co bądź, baczne będę miał na ciebie oko, Przedborze. Każdy twój krok będzie śledzony. Jeżeli zaś prawda jest, że ci się Melsztyński z czeredą piekielników narzuca—odsuń się od niego. Od takiego, jak on, straceńca, co się nawet wiary ojców swoich zaparł, grzech do ciebie łącno przyłgnąć może. Odsuń się od niego, powiadam tobie i nakazuję ci to, Przedborze. Obawiasz się, iżby się na tobie nie mścił? Bądź bez strachu: ja cię osłonię.

To mówiąc, wstał, do pulpitu się zbliżył i pergamin tam leżący wzięwszy, tak ciągnął:

— Posłuchaj teraz, synu mój, co mówi św. Juda, apostoł, brat Szymona, Jakóba Mniejszego i Józefa, zwanego przedtem Barnabą i Sprawiedliwym; co mówi o chytrości kacerskiej i o tem, jak wierny ma się jej chronić. Posłuchaj i każdy wyraz niech ci zawsze w serce wrośnie; niech się stanie dla ciebie przestroga i nauką na całe życie.

Czytać zaczął powoli, kładąc nacisk na ważniejsze słowa:

„Wszelaką pilność czyniąc, abym do was pisał o społecznem waszem zbawieniu, miałem za potrzebę pisać wam, prosząc, abyście bojowali o wiarę, raz wiernym chrześcijanom podaną.“

„Albowiem wtrącili się niektórzy ludzie niezbożni, co Boga naszego łaskę obracają w rozpustność i przą się samego Panującego i Pana naszego — Jezusa Chrystusa.“

„A chcę wam przypomnąć, iż Jozue, wybawiwszy lud z ziemi Egipskiej, zasię te pokarcił, które nie wierzyli.“

„A anioły, które nie zachowali zacności swej, ale mieszkanie swoje opuścili, Bóg na sąd dnia wielkiego związkami wiecznymi w ciemnościach piekła zachował.“

„Jako Sodoma, i Gomorra, i pograniczne miasta, tymże sposobem zewszeteczniawszy i udawszy się za cudzem ciałem, stały się przykładem, ognia wiekuistego karanie cierpiąc: tak i ci ciało plugawia, i zwierzchność odrzucają, i majestat Boga bluźnią.“

„Gdy Michał Archanioł z dyabłem spór wiódł o ciało Mojżeszowe (chciał bowiem szatan, aby ciało Mojżesza w miejscu wiadomem wszystkim pogrzebane było, tem samem — aby Żydzi, za jego pokusą, cześć Boską mu oddawali), nie śmiał podnieść sądu bluźnierskiego, ale rzekł: — Niechaj cię Pan skarcił Niech powściągnie twoje zuchwalstwo i zmusi, abyś nie przeszkadzał pogrzebaniu Mojżesza!

„Michał Archanioł nie śmiał przekleństwem się skalać, brzydząc się niem w najwyższym stopniu: jakże więc nikczemni są ludzie, przeciw Bogu, księżętom i urzędom złorzeczący?“

„Biada im, iż się drogą Kaimową udali, a zwiedzeni Baalamową zapłatą, rozpuścili się i jak on Kore poginęli.“

„Albowiem jak Balaam, spodziewając się zapłaty od króla Balaka, chciał złorzeczyć Żydom,—tak od-

szczepieńcy, kacerze, złorzeczeniem i innemi sposoby, chcą szkodzić Kościołowi, a złym swoim żądzom dogodzić. Przeto ich pochłonie piekło, jak Korego pożarła ziemia.“

„Heretycy, kacerze, bluźniercy są jako obłoki bezwodne, które od wiatrów tam i sam unoszone bywają; jako drzewa, złe owoce przynoszące, nieużyteczne, wykorzenione; jako wały srogie morskie, przez piany zelżywości swoje wyrzucające; jako gwiazdy błakające się, którym barwa ciemności na wieki jest zachowana.“

„A prorokował o nich Enoch, mówiąc:—Oto przyszedł Pan, otoczony hufem aniołów i świętych, aby czynić sąd przeciwko wszystkim i strofować wszystkie niezbożniki ze wszystkich uczynków ich niezbożnych i ze wszystkich przykrości, które mówili przeciwko Bogu niezbożni grzesznicy.“

„A są inni szemracze narzekający, chodzący wedle pożądlivosti swych, pochlebcy dla pożytku.“

„Lecz wy, najmilejsi, pamiętajcie na słowa, które są przedtem powiadane od apostołów Pana naszego Jezusa Chrystusa. Którzy wam powiadali, że w ostateczny dzień przyjdą naśmiewcy, chodzący wedle swych pożądlivosti w niezbożności, co się sami odłączają od Kościoła, Ducha niemający.“

„Lecz wy, najmilejsi, budując się sami na najświętszej wierze, w Duchu Świętym modląc się, sami się w miłości Bożej zachowajcie, oczekiwając miłosierdzia Pana naszego Jezusa Chrystusa ku żywotowi wiecznemu.“

„A karajcie jeno osądzonych, to jest heretyków, których jawne ich błędy potępiły. A wiernych nara-

zonych na podejścia heretyków, zachowajcie, wyrывая z ognia. A chwiejących się w wierze napominajcie.“

„A Temu, który was może zachować bez grzechu i postawić przed oblicznością Chwały Swojej, niepokalanych w radości w przyjęciu Pana naszego Jezusa Chrystusa na sąd ostateczny, samemu Bogu Zbawicielowi naszemu przez Jezusa Chrystusa chwala, wielmożność, rozkazowanie i władza przed wszelkim wiekiem i teraz, i na wszystkie wieki wieków. Amen.“

Skończył biskup czytanie, pargamin na miejscu dawnem położył i do wybladłego Hocza przystąpiwszy, mówił wciąż tonem życzliwym, lecz tym razem w głosie jego brzmiała nieugiętość spiżowa:

— Wiesz teraz, Przedborze, na jakie niebezpieczeństwo naraża się odstępeca od wiary świętej: potępienie go czeka w życiu przyszłym, a także Kościół obowiązany jest potępić go, klątwę rzucić, najsroższymi ścigać karami... Niema dla niego miłosierdzia! niema litości! Zwłaszcza w tym czasie, kiedy zbrodnia odszczepieństwa, z szatańskiego podmuchu, hardo łeb swój smoczy wznosi do góry, należy ją zwalczać wszelkimi sposobami, nie przebierając w środkach. Pozwól chwastom wybujać, a wszystkie kłosa zboża zgubisz. Tak samo z grzechem herezyi... Melsztyńskiego i wszystkich jego popleczników, którzy z nim w grzechu tym trwają, również surowa spotka kara. Powiedz mu to ode mnie. Nie ochroni go ani możność, ani wielki lik przyjaciół. Spadnie na niego grom i to wtedy, kiedy najmniej spodziewać się będzie, jeżeli się nie upamięta. Ty zaś odwróć się od niego, żeby cię zaraza nie chwyciła. Bo heretyk jest jako zapowie-

trzony: ginie wszystko, czego dotknie... Opuuszczam cię w pokoju, ale uprzedzam, że pilnie rachować myśli i czyny twoje będę...

Wyszedł Hocz od biskupa zgnębiony, spiorunowany, niemal bez przytomności. Nie wiedział, jak ma teraz postąpić, co przedsiębrać. Doznawszy dwóch porażek jednego dnia i to tak sromotnych, stracił niemal wiarę w siebie, opuściła go energia, którą się zawsze odznaczał. Czy biskup mu uwierzył? Powątpiewał. Oleśnicki bystre miał oko. Chociażby mu nawet uwierzył, położenie jego było niebezpieczne, a nawet groźne. Biskup w takich razach nie zasypia sprawy; śledzić go będzie dniem i nocą, a w pomoc mu w tej mierze przyjdą liczni jego wrogowie. Żupnik i rajcowie nie pozostaną długo w zamknięciu, niechno na wolność się dostaną, urządzą na niego obławę zawziętą. A przecież liczni ich krewniacy i przyjaciele pomagają im też będą.

Zrywać z Melsztyńskim również niebezpiecznie. Gwałtownik ów nie darowałby mu tego. Więc może byłoby najlepiej opuścić całkiem Kraków i do Czech się schronić? Ale w takim razie spaliłby wszystkie mosty po za sobą, jawnie przyznałby się do winy i myślełby już nie mógł o powrocie do kraju.

W głowie mieszało się Hoczowi. Błąkał się po ulicach, jak pijany, nie odpowiadając znajomym, którzy go co krok zatrzymywali i ciekawie wypytywali, co od biskupa niesie, już wiadano bowiem, że był do niego wzywany. Natarczywych odpędzał mrukliwie, ludzie zaś, markotność jego widząc, głowami kiwali, a ten i ów szeptał:

— Musiał-ci mu Zbyszko solą wątrobę posypać,

skoro tak się rzuca i jadowi... Ano... sam tego chciał. Sam na ogień dmuchał, niech teraz studzi, skoro się oparzył...

Hocz, słysząc, jak go sądzono, zębami zgrzytał i uszy dłońmi zasłaniał. Nigdy nie doznawał takich katuszy; nieszczęścia spadły na niego ze wszystkich stron najniespodziewaniej; wydało mu się, jakoby go nagle otoczyły wielkie odłamy skał, zagradzając wszystkie drogi, tak, że ani się cofnąć, ani naprzód postąpić mógł.

Zmęczony włóczęgą po mieście, ustronny zakątek odnalazł wśród murów nowowznoszonej kamienicy, naprzeciwko domu Sulimy; tam się wsunął i wodze myślom puścił. Słońce zachodziło, ulice wrzały jeszcze gwarem, ale Hocz nie słyszał, tak się był w sobie zatopił. Z nadejściem wieczora wiatr powiał łagodny, oddziaływając na skolatany umysł orzeźwiająco i kojąc go. Zdarzenia przedstawiały się teraz Hoczowi w oświetleniu jaśniejszem, mógł uwagę na nie skupić i pod sąd roztropny oddać. Im więcej je roztrząsał, tem wyraźniej widział, że postępował nader nieopatrnie, ulegając podszeptom Melsztyńskiego. Czynił to w dobrej wierze, ale ową dobrą wiarę nie oddał pod straż zdrowego rozsądku, dlatego w błędnem znalazł się kole. Biskup oczy mu otworzył. Melsztyński okłamał go wmawiając, że jeśli przeciwko królowi i rządowi obecnym powstaje; jeżeli sam naukę Jana z Husyńca wyznaje i kogo może, do tego namawia: czyni to jedynie w szlachetnym celu, dla dobra narodu i ojczyzny. Nie, pan z Melsztyna inne ma zamiary — on myśli o sobie. Za wysoko głowę podnosił, za wysoko sięgał, więc upadł. Za to, że mu skrzydła podcięto,

zemścić się pragnie, miota się, sam dążąc do zguby i innych w tę otchłań pociągając... Biskup prawdę powiedział: pan z Melsztyna wrogiem jest ojczyzny i narodu, również staje się takim każdy, kto w ślady jego wstępuje...

Hocz, jak się rzekło, sam wielce był ambitnym i fanatycznie przywiązany do przekonania, że jemu przypadło posłaniecstwo obrony uciemieźzonych, ale wzдрыgał się na samą myśl zdrady. Wichury wywoływał wierząc, iż obowiązek spełnia, a potrosze dlatego, że miłemu było na czele tłumów stawać. Jeżeli ostatniemi czasy dał się pociągnąć Melsztyńskiemu, to z winy zapalnego usposobienia, ufającego ślepo tym, którzy jego ambicyę głaskać i podsycać umieli. Melsztyński mistrzem był w tej mierze, to też wzięwszy się do Hocz, jak na pasku go prowadził.

Postuchanie u biskupa w pierwszej chwili przeraziło Hocz, jeno dlatego, iż się obaczył nad przepaścią. Wyprzysięgając się zmowy z Melsztyńskim i kacerstwa, myślał tylko o sobie, o bezpieczeństwie własnem. Ochłonawszy i głębiej w rzeczy wejrzawszy, bardziej się jeszcze uląkł, bo obaczył, niby na dłoni, w jak fatalną matnię uwikłał go warcholący możny władca. Przypomniawszy sobie, że podczas, gdy on miazurę jeno do rajców, żupnika, oraz tych mieszczan, którzy krzywdzili biedaków; gdy on tylko ich chciał skarcić i tym sposobem zapobiedz bezprawiom: Melsztyński o tem mówił mimochodem, a zawsze z zaciętką nienawiścią odzywał się o Jagiellonach, Oleśnickich, Tęczyńskich, Ossolińskich i zgoła wszystkich stronnikach panującej dynastyi.

Przypomniawszy sobie, że Spyttek, nieproszony, po



moc zbrojną niby to dla niego sprowadził, a jednak wymknęło się i jemu i, jego towarzyszom, że ów poczt miał się potykać z załogą zamkową. Wszak on, Hocz, ani myślał z zamkiem zaczynać; nie przewidział, iżby z zamkiem do zatargu doszło. Jeśli tak się stało, to wbrew jego woli i sam się dziwił, że dopuścił do tego.

— Zdrajca! kacerz! Oto na jakie miano zasługuję z łaski tego, jak go dobrze nazwał biskup: straceńca...—powtarzał w duchu rozgoryczony. — Potępią mnie ludzie i Bóg nie przebaczy! Gdzie oczy miałem, żem nie widział, dokąd mnie kusiciel wlecze? Zadał mi co chyba, tuman puścił..

Odzież na piersiach szarpał i znów zapytywał siebie: co począć? Sumienie zwracało go do biskupa, mówiło mu:

— Tego słuchaj. Święty to mąż jest, pasterz, pana miłościwego nadto wolę przedstawia...

— A Melsztyńscy? Zali, gdy ich opuścisz, darują ci to? Znasz ich gwałtowność, ich mściwość, ich okrucieństwo...—szeptał głos inny.

— Obwiesić mi się, albo kamień do szyi przyczepiwszy, w rzekę się rzucić! — jęknął Hocz, nękany tą walką.

— Choćbyś, słuchając biskupa, mienie, a bodaj i życie stracił, to duszę ocalisz. Słuchaj go. Zbawienia wiecznego pieniądzem nie kupisz. Pasterz to twój, mąż święty, kraju rządcą. Wyprzysięgłeś się przed nim Melsztyńskiego i wszystkich niecných spraw jego, on ci przyrzekł obronę. Nie popadaj na nowo w kałużę grzechu, łuski ci z oczu spadły, prostą odtąd idź drogą...— przestrzegało sumienie i ostatecznie ono przewagę w sercu Hocz osiągnęło.

— Toż prawda!—podjął ozywiony.—Biskup mnie bronić przyrzekł. Żem też odrazu o tem nie pomyślał... A Zbyszko z Oleśnicy słowa dotrzymuje i kogo on puklerzem swej opieki zasłoni, ten bezpiecznie spać może... Niech szczerze Melsztyński i wszyscy jego spółnicy; więcej im się bałamucić nie dam... Oczywiście, że żagiew chcieli ze mnie uczynić, za pomocą której dałoby się pożar w kraju rozdmuchać, oni zaś przy tych płomieniach pieczenieby sobie skwarzyli... Niedoczekanie! Bóg natchnął biskupa, a on, przez mądrość swoją, i klęsce zapobiegł, i mnie do rozumu przywrócił... Może sobie pan Spytek teraz grać, ja po jego dudce tańcować nie będę... Nie chcę być „drzewem, złe owoce przynoszącem“—jak o heretykach i nasmiewcach czytał biskup. Spowiedzią się oczyszcze, pokajam, Mszę zakupię i szatana raz na zawsze odpędzę.

To postanowienie przywróciło Hoczowi równowagę umysłu, chociaż dalekim był od zupełnego odzyskania spokoju. Wstał, poprawił odzież zmiętą i na ulicę z zaułka, w którym rozmyślał, wyszedł, chcąc do domu się udać, ale nagle zatrzymał się, dostrzegłszy coś niezwykłego.

Noc już zapadła, jasna, księżycowa, z niebem bez chmur. Ulice opustoszały, jeno kiedy niekiedy przemykali się spóźnieni przechodnie, ci mianowicie, którzy się w piwnicach, kośćmi lub trunkiem bawiąc, zaszędzieli. Hocz mniemał, że do takich spóźnionych kosterów i suszykuflów należy gromadka ludzi, która się w jego stronę zbliżała, ale baczniej się przypatrzywszy, nabrał przekonania, że się omylił. Ludzie ci bowiem skradali się ku domowi Sulimy ostrożnie, chyłkiem,

obzierając się po stronach, widocznie z niedobremi zamiarami, a znalazłszy się przed furta, stanęli i półgłosem zaczęli się naradzać. Cofnął się Hocz nieco, w cieniu stanął, tak wymiarkowawszy, że mógł widzieć, co robią i słyszeć, co mówią, sam przez nich nie będąc widzianym.

— Żeby jeno wiertelników na kark sobie nie ściągnąć... A stać się to bardzo może, bo bez wrzasku się nie obejdzie...—odezwał się jeden z nich mrukliwie.

— Wiertelnicy w mysich jamach siedzą i nie odważą się nosa z nich wytknąć, dopóki ratusz będzie zamknięty, a rajcowie z zamku nie wrócą— odparł inny snąc rej wodzący nad wszystkimi.—Chociażby nie wiem jak rozgłośny tumult słyszeli, nie ukażą się, będą myśleli, że to czerń, której w mieście pełno, tak sobie pozwala. Z tej strony jesteśmy bezpieczni...

— A z inszej?

-- Z której? W domu jeno dwoje niedołęgów, dziad i babsko, mieszka i dziewczka. Starzy krzywdy nam nie uczynią. Dziewka pokrzyczy trocha, a może wcale oporu stawiać nie będzie, bo jej takie przygody pachną.

— To więcej tu nikt nie mieszka?

— Jako żywo, nie! Rozpytałem się dobrze. Dom to Sulimy z Włodkowicz, którego rzadko w Krakowie bywa, a teraz, posieczon przez ordę tatarską, z ran się liże. Zresztą, skorośmy już tu, nie pora się cofać. Choćby mi nawet z dyablem przyszło się spotkać, nie ustąpię. Dziewkę muszę mieć, bom smaku do niej nabrał. Istna rzepa. Jeżeli którego z was strach obla-

tuje, niech idzie na cztery wiatry! Odwdzięczę mu się za to...

Mówiący pięścią pogroził i w tej chwili tak się obrócił, że promienie księżyca oświeciły całą jego postać, a Hocz ze zdumieniem poznał w nim syna Łukasza ze Słupcy, Jaszka, osławionego rozpustnika i kosterę.

— Dla Boga! — mruknął — toć ten straceniec Petruchnę, wnukę starego Skała, porwać zamysła...

Oburzeniem zawrzał i gdyby mógł, niechybnie zapobiegłby niecnym zamiarom rozpustnika; ale znając go wiedział, że upomnień rozsądnych nie posłucha, wydrwi je, w dodatku upominającego skrzywdzić może. Siła mogłaby tu co wskórać, lecz Hocz był sam, tamtych zaś kilku, wszyscy dobrze zbrojni. Słumił tedy oburzenie i czekał, co się stanie dalej.

Tymczasem Jaszko ze Słupcy już kołatał śmiało do furty, którą mu Skała nierychło otworzył. Gdy skrzypnęła i stary koniuch głowę z po za niej wychylił, aby poznać, kto się dobija, rozpustnik pechnął ją tak silnie, że biedny Skała upadł z jękiem wewnątrz sieni, a napastnicy wdarli się do domu.

Niebawem dał się słyszeć przeraźliwy głos Petruchny, wzywający ratunku, potem w domu zakotłowało się, szczeł bronii, krzyki i przekleństwa się ozwały, wreszcie na ulicę wybiegła gromada napastników, ścigana przez Sulimę, Świdwę, Zbigniewa z Oporowa i ich ludzi. Pierwszy ukazał się Jaszko ze Słupcy, unoszący Petruchnę pod osłoną swoich towarzyszy, którzy odsiecz mieczami powstrzymywali. Słupecki pędzić począł, ile mu sił starczyło, ale ciężar mu w ucieczce przeszkadzał... Dogonił go Srokacz, za bary porwał

i powstrzymał; tuż przypadł Zbigniew z Sulimą, podczas gdy Świdwa straszliwe innym łotrzykom sprawiał cięgi. Ci bronili się zawzięcie, ale widząc, że przeważającej liczbie nie sprostają, rozpierzchli się w różne strony...

Srokacz wciąż za bary trzymał Słupeckiego, któremu nie bez trudności Petruchnę Zbigniew z objęć wydarł. Pienił się Jaszko, szarpał, obelgi i przekleństwa ciskał — przytomność jakby go odeszła.

— Takiś to, obwiesiu, zuchwały? — odezwał się szyderczo Zbigniew. — Na łotrostwie cię pochwycono, a ty, zamiast w pokorę uderzyć, plugawemi słowy w oczy nam bryzgasz? Pokaż się jeno, ktoś zacz...

Przy pomocy Srokacza i Palucha, który dopiero teraz zuchować począł, na widne miejsce Słupeckiego wyciągnął i przyglądał mu się ciekawie.

— Nie znam cię — rzekł — aleś może któremu z naszych znajomy. Sulimo... Świdwo... popatrzcie na onego rycerza, co po nocach z podwikami wojuje... Zaliście go gdzie nie widzieli?

I wezwani Jaszka ze Słupcy nie znali, co widząc Paluch, ozwał się:

— Proszę ja miłości waszej, co tu się zastanawiać? Wszakci ten gładysz ponocny na czole ma wypisane, że ucziwego nazwiska nosić nie może, chociaż szaty dostatnie na nim i butnie się stawia... Łotrostwa czyni, więc łotr jest i basta! Szata, nawet złotem bramowana, i miecz przy boku, nie tu nie świadczą. Wrony zwykle się w pawie przystrajają pióra, a wilk owczą przywdziewa skórę. Związać go oto grzecznie i, jako na gorącym uczynku schwytanego — gdzie należy odstawić...

— Doczekasz się za twoją radę, psi synu, że ci ozór z paszczęki wyrwę!—warknął ochrypłym głosem Słupecki.—A tobie—dodał, ku Zbigniewowi się zwracając—ktokolwiek jesteś, radzę, puść mnie i wojny ze mną nie wszczynaj... Krzywda moja srogą pomstę ściągnie! Za każdy mój włos strumienie krwi się poleją...

— Oho!—rozśmiał się Paluch — myślisz, że pan Zbigniew Jelitezyk z Oporowa pogrózek się twoich ulęknie?! Schowaj je dla innych, takich, jak sam jesteś. Oto junak! oto zuch do fartuchów i do tego w nocy...

Jaszko ze Słupcy, gdy grubas nazwisko pana swego wymienił, wyprostował się, oczy mu zapłonęły, łyśnął z pod warg dwoma rzędami zębów białych, by u wilka, i szparko wykrzyknął do Zbigniewa:

— Tyś Jelitezyk? Zbigniew z Oporowa? Tyś jest? Tyś?

— Jam jest. Albo co?—spokojnie zapytał Zbigniew.

Rozśmiał się Jaszko, wyraz dzikiej nienawiści na twarzy jego się odbił.

— A! więc tyś Zbigniew z Oporowa? — powtórzył, tak patrząc na Jelitezyka, jakby go usiłował wzrokiem swoim na wylot przeszyć. — Rad cię spotykam... rad poznaję... Mamy już z sobą porachunek, a sporszym się on uczynił dziś, od tej chwili, boś mi znów na drodze stanął...

— Ja z tobą mam porachunek? Ja ci na drodze staję?—zapytał Zbigniew z podziwem.—Upamiętaj się, człeczle! Szalony jesteś chyba... Toćże ja ciebie raz pierwszy w życiu oglądam...

— Choć pierwszy raz oglądasz, porachunek jednak między nami jest!—podchwycił Słupecki.—A może mi dziś na drodze nie stanął? Co ci do tej dziewczki? Jakie prawo masz? Twojąć jest?

— Prawo mam uczciwego człowieka, którego obowiązkiem jest gwałtom zapobiegać i krzywdzonych niewinnie bronić!

— Aha!—znów się rozśmiał Jaszko ze Słupna.—Dziewka jest wnuką sługi pana Sulimy z Włodkowicz, więc pan Sulima tylko zaczepiać mnie o nią może... Zresztą, o krzywdzie tu ani gadania. Zabawić się chciałem z kwoczką, a za to i jej samej, i dziadom sowite dałbym odczepne, chociaż z tego samego cieszyć się powinni, zem na nią oko zwrócił. Uczyniłbym jej cześć nielada, gdybym pamiątkę żywiącą zostawił...

W tej chwili z ciemnych zakątów wynurzyła się spora garść zbrojnych, którzy z szybkością błyskawiczną natarli na Zbigniewa, wyrwali z rąk jego ludzi Jaszka ze Słupna i równie szybko cofać się zaczęli. Zbigniew ze swoimi w pogoń się rzucił, dopędził ich, zawiązała się bójka ponownie, lecz tym razem przeciwnicy o wiele byli liczniejsi, więc bez wysiłku odparli ścigających. Zbigniew jednak zdołał dopaść Jaszka ze Słupna, którego z oczu nie spuszczał, zwał się z nim, wołając:

— Nie ujdiesz mi, zuchwalcze! Musisz sprawę zdać z niecnego uczynku i z tego, coś o jakichś rachunkach szczekał... Choćbyś rodem był z piekła i szatana samego miał ku pomocy, na sucho ci warcholstwa nie puszczę...

— Ano! to próbuj mnie ująć! — nie przestawał śmiać się Słupecki.—Dalej go! Chwytaj! Bierz!

Nagle, otrzymawszy silny cios od Zbigniewa, syknął, na nogach się zachwiał i zaklął:

— Niech cię mór tknie! Dajesz się trądem pokrył od stóp do głowy! Dogodziłeś mi, ale ja tobie lepiej dogodzę, przeklęty Jelitecyku...

Słaniającego się pochwycili towarzysze i unieśli, a Sulima Zbigniewa, który za nim się rwał, wstrzymał uwagą:

— Na baczności się miejmy, kupa tu ich jest, a może w zasadce więcej jeszcze. Głównie nie narażajmy. I tak oberwał, jak miarkuję, że długo popamięta twoją rękę...

Ochłonął Zbigniew, cofnął się ku domowi, powtarzając:

— Kto to, do kaduka? Że łotrowskie nasienie, wątpliwości nie ulega, w każdym razie imię jego rad bym znać.

— Zapewne warchoł, jakich wielu — rzekł Świdwa. — Dziewka mu się udała, może też trunkiem sobie krew więcej jeszcze wzburzył i burda gotowa...

— Proszę waszej cześci—wtrącił Paluch — uważam, że to chyba nie prosty warchoł, a coś od wilkołaka... Bóg żywie, wilczykiem mu ze ślepiów patrzyło, nawet mu się one, jak u wilka, czerwieniły. Trzeba na niego było wodą święconą chlusnąć, a denarabym nie dał, że i on, i jego czereda w borychby się przemienili i z wyciem na bory-lasy uciekli. Doświadczony to na wilkołaki sposób.

— Porachunki ma, mówił, ze mną? — głowił się Zbigniew.—Nic tego nie rozumiem.

— Bajdy prawil, jak każdy łotrzyk—rzekł Sulima.—Spocząć oto pójdźmy, a ty, staruchu, naukę masz,



żeby, osobliwie nocą, lada komu nie otwierać furty. Niechby się opowiedział wprzód...

Ostatnie wyrazy Sulima zwrócił do Skąły, który go za kolana ująwszy, przeproszał i wyrzekł tym kształtem:

— Juścić moja to wina, proszę jegomości. Łeb mi posiwał i wypelzł, a rozumu w nim mało. Ba! któżby się spodziewał... Jam, mój jegomość, jeno trocha furty uchylił, on zaś nienackiem z całej siły narpał... A wszystkiemu winna ta sroka niegodziwa...

— Niby Petruchna?—zagadnął Zbigniew.

— Ona! ona! wietrznica niepoprawna! Utrapienie starych dni moich... Każdemu się pod oczy nasuwa, do każdego twarz układa i do niego też... Sam widziałem, bom ją zdybał na takich gzach przed domem... A jemu w to graj!

— Ty go znasz, stary—przerwał Zbigniew.

— Ktoby go nie znał!—westchnął Skąły.—Toćże to nieodrodny onych potępieńców, Rawitów, smaglak. Dziad jego, Grot, siedzi w zamku Konary, a on przy ojcu, Łukaszu, w Słupnie... Znają ich ludzie szeroko i daleko! Ile oni krwi niewinnej przeleli! ile łez wycisnęli—Bogu Najwyższemu to wiadomo. Przeklęty to ród! Potępio-ny! Nigdy nic dobrego nie wydał...

— A co? Nie mówiłem, że to coś od wilkołaków?—zawołał Paluch. — Mam ja nos nie od parady, zle o ómę stajań zwącham...

— Rawita? Syn Łukasza, a wnuk Grota?—powtórzył do siebie pan z Oporowa.

— Zaiste, straszni to ludzie i słusznie ich potępieńcami nazywają... — odezwał się Sulima. — Nie dla nich świętego niema, tuczą się łzami i krzywdą lu-

dzką. Musisz się ich wystrzegać, Zbigniewie. Trzymają się oni za ręce i kupą zawdy idą... On młody łotrzyk zresztą zapowiedział, że ci dzisiejszego nie daruje, a to krew zawzięta, prawdziwie szatańska.

— Psu wolno szczekać, a łotrowi grozić; tyle ich pociechy. Ani on, któregoś mieczem pomacał, ani wszyscy Rawici, w kupę wzięci, nic mi nie zrobią. Drwię z nich! — rzekł Zbigniew junacko i dodał jeszcze, grożąc w stronę, w której napastnicy zniknęli: — Niech jeno ze mną zacznie, niech mnie zaczepi — gorze mu!

---

#### IV

Jak zwierz dziki, na zdobycz dybiący, niepostrzeżonego miejsca szuka, aby niespodzianą napaścią oszłomić upatrzoną ofiarę i tym sposobem przewagę sobie zapewnić: tak samo w kącie niepostrzeżonym, wśród wzgórz borami porośłych, przytulił się zamek Konary, gniazdo Rawitów, w którym stary Grot, dziad Jaszka, dni grzesznego żywota swego dobiegał. Obronne to były mury, troskliwie wzmacniane i strzeżone. Posępno wyzierały z po za osłony dębów prastarych, brzoź białych, buków i modrzewiów, a ten musiał być świadom okolicy, lub dobre oczy mieć, kto chciał je rychło odnaleźć. Niegdyś do zamczyska droga prowadziła wygodna i znaczna, ale jeszcze za Grotowego ojca porośła ona trawami i mchami, ludzie zapomnieli o niej; wkrótce też od Konar stronić zaczęto i omijać je jak najdalej, bo szeroko rozeszła się wieść, że tędy przejeżdżając, jeśli nie życia, to mienia można się zbyć pewnie. Stało tedy zamczysko w gęstwie leśnej sa-

motne, pozór miało groźny i opuszczony, bór zaś, rozrastając się, coraz bardziej od ludzi je odgradzał.

Słusznie się obawiano w pobliżu Konar przejeżdżać. Ta koleba Rawitów ongi wychowywała mężów czcigodnych, którzy z waleczności, poświęcenia dla ojczyzny, miłosierdzia dla biednych i z serca sprawiedliwego słynęli; aliści nastał czas, że mężów takich zbrakło, natomiast zjawiać się zaczęli w Konarach potępiency, o których ludzie ze zgrozą wspominali. Zaczęło się to od ojca Grota, człeka dumy niezmiernej, a większej jeszcze gwałtowności. Szatan snąc go opętał i do czynów niecnych popychał. Z sąsiady nie mógł utrzymać zgody, waśnił się z nimi o lada co, najeżdżał ich włości, grabił, jak pierwszy lepszy łotrzyk. Zaprawiwszy się w takim życiu, do zgonu je prowadził. Nic nie uszanował, niczego nie oszczędził. Fraszką było dla niego na klasztor napaść, kościół złupić, a już co kupcy, każdy z nich, jeżeli mu tylko w ręce wpadł, bez koszuli wychodził.

Z przekleństwem na ustach zmarł, dźwigając wielkie brzemię krzywdy ludzkiej, świętokradztwa i innych zbrodni. Synowi dostatki zostawił ogromne, a z niemi ową dumę, gwałtowność i serce kamienne. Nic dziwnego, że ludzie odsunęli się od Konar i siedzibą potępienców ją nazwali. Wiedział o tem Grot i nie sobie z niego nie robił. Śmiał się, mówiąc:

— Dobrze tak samemu, co mi po ludziach... Sam czynię, co chcę, grzbietu przed nikim nie uchylam, gadam, co mi się podoba. Z ludźmi żyjąc, i kark podczas giętki mieć trza, i język na wodzy trzymać. To nie dla mnie—życia bez wolności nie rozumiem... Król... prawda... Bóg... sumienie...—wszystko nie potem, wszyst-

ko śmiechu warta. Obroże to są, wolność i upodobania krępujące, niech je nosi, kto chce, ja karku nie poddam. Mnichy o piekle i potępieniu mówią... A kto to wszystko widział? Z tamtego świata nie wraca nikt. Sami oni baśni wymyślają, żeby brzuchy swoje kosztem głupich tuczyć...

Tak bluźniąc, Grot coraz gorszym się stawał, coraz chciwszym i okrutniejszym. Zdało się, że źdźbła uczucia ludzkiego w nim niema. Gromadę sobie zaufanych, straceńców, jak sam, zebrał i z nimi w Konarach przesiadywał, z nimi z zamczyska wycieczki zbrodnicze w okolice i dalej czynił... Jak ognia go się bano — matki dzieci swoje nim straszły, o czem słysząc, rad był i z ukontentowaniem powtarzał:

— Znają moc moją, wiedzą, jako dłoń moja ciężka. Ode mnie się dopiero uczą, jak miłą jest swoboda i że człowiek o tę swobodę starać się wszelkimi siłami winien. Jeno psy na sforach się trzymają, ludziom nie przystoi czyjejbądź woli się poddawać. Przykład daję, jak żyć godnie i w szczęśliwości...

Żonę swoją, niewiastę cichą i bogobojną, zadreczył na śmierć ten okrutny człowiek. Syna, a osobliwie wnuka, kochał nad wyraz, ale było to ukochanie dra pieżne, krwiożercze. Pierwszego wdrażał do życia, jakie sam prowadził i cieszył się, widząc, że on w ślady jego wiernie wstępuje. Niemniej też radowało go, gdy się przekonał, że we wnuku jego krew ze wszelkimi pożądaniami i chuciami się odrodziła. Jaszko chłopięciem był, a już go dziad i ojciec prowadzali z sobą na wyprawy łotrowskie, nazwyczajali do widoku krwi, do słuchania jęków i płaczu ludzi krzywdzonych. Więc rychło w pacholeciu serce skamieniało,

zamarło, rychło srogość napełniła jego piersi, rychło się stał do dziada i ojca podobnym — oni zaś cieszyli się, że innym nie wzrósł.

— O sobie jeno pamiętaj — powtarzali mu obydwaj — bez tego życie za nic... Na ludzi nie zważaj, dobrego ci oni nie wyświadczą. Jedno tylko prawo znaj—moc, siłę. Silnym tedy być się staraj, żebyś nie potrzebował komukolwiek ustępować, a dobrze ci będzie na świecie...

Tak uczyli Jaszka dziad i ojciec, stosowne mu też dawali przykłady; on zaś na podziw dobrym i pilnym okazywał się uczniem. Grot, słysząc, jakie szaleństwa wyprawia, uśmiechał się, brodę gładził, powiekami zaczerwienionemi mrugał i pomrukiwał:

— Nasz jest... Rawitczyk prawdziwy... Zajdzie daleko, bo w szkole był nielada.

Gdy mu w Krakowie przynieśli ulubieńca omdlałego ze krwi upływu, przeraził się, zadygotał, ręce podniósł ze zgrozy. W pierwszej chwili, za miecz porwawszy, chciał biec, aby ukarać tego, który Jaszka tak haniebnie naznaczył, ale mu Melsztyński i syn wyperswadowali, żeby do pory sposobniejszej zemstę odłożył.

— Pierwsza rzecz rannym się zająć—mówił pan Spyttek.—Srodze jest popłątany, do kości... Klechęby jakiego, co się na dryakwiach zna, sprowadzić. W Krakowie takich niebrak.

— Tymczasem tamci umkną i szukaj wiatru w polu...—rzekł Grot—a ja im zapłacić muszę.

— Starczy czasu i na to—hamował go pan Spyttek. — A należeć ich, najdziesz, bo przecież dowiedzieć się można, kto zacz on. Po nici do kłębka się

dochodzi, — tu nam usłużą języki ludzkie, które rozwiązać snadnie, jeśli się do tego wziąć mądrze, jak należy... Słuchaj rady mojej, Grocie, dobra jest. Pobieżysz z odpłatą, — gwałt się uczyni, miasto całe na nogi się zerwie, a mieszczanie za tobą pewnie się nie ujmą, bo nawiści u nich nie masz. Gotowi, i niechybnie takby się stało, z zamku pomocy wezwać, a wtedy kuso byłoby z tobą. Mamy ze sobą zbrojnych nienazbyt. Gdyby na on motłoch można było liczyć, któren Hocz do miasta spędził, a! insza rzecz. Aleś widział, co to za owcze serca. Klecha do nich słowo przemówił i spokornieli w mig. Bydło to jest, ryczeć, wyć i szczekać umie, nie nad to. Zaniechaj szparkości, odpłatę wstrzymaj, a chłopca ratuj, bo widzę, że źle z nim...

Jaszko istotnie był niebezpiecznie popłatany. Krew mu zatamowano, ale przytomności nie odzyskał. Grot mimo to lekarza w szacie duchownej, ani innego świeckiego, co się z ksiąg uzdrawiania uczył, wezwać nie chciał (choć w Krakowie i tacy byli), sam, po swojemu rany wnuka opatrzył, w czem doświadczenia miał niemało, i niezwłocznie go do Konar zawiózł, gdyż zameczysko to bliżej niż Słupca leżało od Krakowa.

Syn również Grotowi towarzyszył. I on chciał w te pędy, jak ojciec, zemstę za pokrzywdzenie syna na nieznajomych wyrzucić, ale ochłonął, skoro pan Spytek wskazał, na co mógłby się wtedy narazić. Zębami zgrzytnąwszy, przyrzekł sobie, że okrutnie da się we znaki temu, kto z żył jego dziecka krwi utoczył. Jednego z przybocznych swoich, Raroga, w Krakowie zostawił, nakazawszy mu, by się dowiedział, co to za

zuchwalec, i będąc pewnym, że wiadomość otrzyma, za ojcem podążył.

Jaszko w drodze od rzeczy bredzić począł, a że szybko jechano, gorączka się zwiększała z każdą niemal chwilą. Dziad i ojciec zwątpili, czy go do Konar żywym dowiozą. Obydwaj, patrząc na szeroko rozwarte, błędne, oczy chorego, na jego twarz pałającą od wypieków, wargi poczerniałe, szeptały wyrazy bez związku—pięści zaciskali i odgrażali się nieznanemu wrogowi. Dowlekli się jednak do Konar jakoś szczęśliwie—w Jaszku duch się jeszcze kołatał. Grot natychmiast posłańców na wszystkie strony pchnął, żeby Rokicinę odnaleźli i żywą, czy umarłą, do zamczyńska sprowadzili.

Trudne to zadanie było, bo Rokicina, zarówno jak i mąż jej, Hrybem zwany, rzadko kiedy zaglądali do rzekomo siedziby własnej—starej, walącej się kleci, co pod lasem, przy drogach rozstajnych, się wznosiła. Dziwne to było stadło, znane szeroko i wielkiem zaufaniem wszędy się cieszące. Ludzie obawiali się ich, lecz w potrzebie, jak w dym do nich się udawali. Oboje słynęli za znachorów, z mocami nadprzyrodzonymi pobratanych, dla których nie tajnego niema. Hryb własności ziół wszelakich znał, praktyki czarodziejskie nie były mu obce, ale chętniej konie i inszy dobytek gospodarski leczył niż ludzi, chętniej w kłopotach rolnych radził. Urodzaj zapewnić, chmurę gradową odpędzić, burzę piorunową zażegnać, deszcz w czasie suszy sprowadzić do tego był jedyny. Przytem żadne wesele, żadna uroczystość rodzinna bez niego się nie obezła. Siła na świecie lat przeżył, sam ich liku zapomniał—sto, a może i więcej, więc doskonale wszelkich

obzędów był świadom. Pieśni zapas niewyczerpany posiadał, powieści, gadki, baśnie, niby z rękawa wytrząsał. Wiedział, co kiedy się stało, jak bywało za Krakusa, jak za Piasta, Mieszków i Bolków. Rad o starych, pogańskich opowiadał bogach, a nawet mówiono, że jeno z pozoru był chrześcijaninem, w rzeczy zaś samej, cichaczem, pogańską wyznawał wiarę. Chodził z sakwami przez plecy i z gęślą, a wszystkie wrota gościennie się na jego widok rozwierały.

Rokicina (takie jej miano narzucono, jako z Rokita, czartem, co w suchych siaduje wierzbach, była w najlepszych stosunkach) dźwigała na barkach też lat niemało. Najstarsi ludzie nie pamiętali jej inną, jeno zmarszczkami pooraną, przygarbioną, z włosami białym, pokudlonym zawsze, chudą tak, że wszystkie kości można było przez poźółkłą skórę zliczyć. Jak Hryb, włościła się od komina do komina, brzozowym kosturem się podpierając. Znała się na wszystkim— z najcięższej niemocy potrafiła wyprowadzić, najgroźniejszy urok zdjąć, najzłośliwsze nasłanie zażegnać. Zdarzyła się gdzie zmora, lub że strzyga krew ludziom wypijała, czy też wilkołak dokuczał, owce porywając— ona skutecznie ich odpędzała. Z włosów i z dłoni o przyszłości wróżyła, a jak zapowiedziała, tak się też zwykle stało. Za przysługę byle czem się zadawała— łyżką strawy, barłogiem, ciepłym kątem. Chociaż wiedźmą była, nikt nie mógł złęgo na nią powiedzieć słowa. Przeciwnie, starała się ludziom wygodzić, o ile to w jej mocy leżało.

Na szczęście dla Jaszka, sama się do Konar przywlekleła, kiedy jeszcze ją gońce po świecie szukali. Łukasz z góry jej zapowiedział:



— Piekielnico ty, masz syna mego do zdrowia przywrócić, inaczej żywą cię stąd nie puszcę. Wiedz o tem. Uda ci się—złotem cię obsypię.

Spojrzała na niego baba z pod oka, usta wyschłe wykrzywiła uśmiechem zjadliwym i głosem skrzeczącym, kaszlem przerywanym, odparła:

— Ho! ho! Jeszczem tchu nie zdążyła do piersi nagarnąć, a jużci wasza miłość grozi... Nie dobrze jest złością tego przyjmować, od kogo się pomocy żąda. Samam tu przyszła, po dobrej woli, bo mi coś do ucha szepnęło, że się przydam, a wasza miłość jak na burą sukę... Ano... ze mnie taka, że gniew od siebie odpędzam. Co tam! Podczas krew się w człowieku innym zagotuje, to i słowo złe rzuci, sam o tem nie wiedząc. Gdzież pan Jaszko?

Zaprowadził starą Łukasz do komnaty, gdzie na łożu, skórami niedźwiedziami zasłanem, leżał Jaszko, wciąż w gorączce, cały rozpalony, nierozpoznający nikogo.

Baba, o kostur się wsparłszy, długo z wielką uwagą wpatrywała się w chorego, aż znecierpliwiony Grot, który opodal siedział, zawołał:

— Bierżże się do roboty, więdźmo! Radź!

Głową pokręciła Rokicina, kostur przy ścianie postawiła, sakwy z ziołami z ramion zdjęła i mruknęła, niby do siebie:

— Snać guza szukał, to i znalazł... A srodze mu się dostało, srodze!

— Będzie-li żyw? Wyprowadzisz go z tego? — zapytał Grot ponuro.

— Radam waszym miłościom usłużyć, ale tu (na psa urok!) trudna sprawa...—odparła baba. — Krwi mu

utoczono dużo... Ano, próbować nie wadzi. Stawiało się na nogi z większych niemocy.

Wody grzanej przynieść kazała i do opatrywania ran się zabrała, czyniła zaś to, choć trzęsącemi się ze starości, grubemi rękoma, nad wyraz zręcznie.

— Ho! ho!—mruczała, przyglądając się ranom — nielada to była garść, co go tak posiekała... I kość przetracona. Jeśli życie się w nim utrzyma, prosto chodzić nie będzie. Gdzież to takiej biedy napytał?...

— Tobie do tego nie!—ofuknął ją Łukasz. — Twoja rzecz złemu zaradzić...

— Sprawiedliwie wasza miłość rzekł. Wiedźma ja, powiadają, a takiej słowa dobrego się nie daje — zaśmiała się baba.—Wiedźmie, gdy bieda, kęs chleba podczas się rzuci, a gdy z biedy wyprowadzi,—psami ją szczwać można, plwać na nią... Tak! tak! Ano, trza też w pamięci mieć, że bieda za biedą chodzą... Z jednej się wygrzebiesz, a pewności nie masz, czy druga na ciebie już nie dybie. Tak! tak! Z oczu tego tracić nienależy...

Opatrzywszy ranę, dziewięciorakich ziół zgotowała w miodzie i naszeptując, wykrzywiając się, okręcając przy łożu, choremu trocha tego napoju do ust wlała.

— Napoiłam synaczka — rzekła — teraz, nim pacierz ubiegnie, sen go mocny zdejmie, że się nie obudzi, aż dobrze po świtanu. Jeśli poty na niego uderzą, do zdrowia przyjdzie rychle.

— A jeśli nie uderzą?—zapytał Łukasz.

— Obaczy się...—odparła wymijająco baba.—Posieczon srodze... Miecz w niedobre trafił miejsce, w tem rzecz. Gdyby nie to, śmiaćby się jeno. Niechaj mi-

łości wasze mnie tu samą ostawią i co do pokrzepienia przysła. Czuwać przy chorym będę sama.

Jakoż rozłożyła się w komnacie i od łoża nie odstępowała, bacznie zważając na każde poruszenie, każdy jęk chorego. Wedle jej zapowiedzenia, Jaszko zapadł w sen mocny, ale nie był to sen spokojny, bo rzucał się, a podczas krzyczał coś niezrozumiałego, grożąc komuś. Przysłuchiwała się temu baba ciekawie, uśmiechała się i głową trzęsła. O północy poty na ciału chorego wystąpiły tak obfite, że bielizna całkiem była zwilgocona. Wtedy Rokicina w dłonie suche plaśnęła i zapewniła pana Łukasza, że za życie chorego głową ręczy.

— Może teraz wasza miłość spać spokojnie — trzepała, dziaśła bezzębne pokazując. — Juścić tak zaraz nie wstanie, ale zanim dwie niedziele ubiegną, na koń będzie mógł siadać.

Odetchnął Łukasz.

— Bacz, by się stało, jak mówisz! — pogroził łaskawie. — Gdyby zmarł, nie uszłabyś stosu...

Chytrze uśmiechnęła się baba.

— Stos? Ej! proszę ja miłości waszej, stos dla mnie nie pisany... Przyjdzie czas, ducha oddam, ale nie w płomieniach.

— To ty wiesz, jaka śmierć ci sądzona? — zapytał Łukasz żartobliwie.

— Może i wiem, ale co o tem gadać, kiedy do tego daleko. Śmierć moja jeszcze za górami, za lasami! Zresztą, co taka wiedźma kogo obchodzi? Nie stanie jej, to się dziura w niebie nie zrobi.

-- A mnie, jaką śmiercią ginać? — wciąż żartobliwie dopytywał pan Łukasz.

— Co miłości waszej po tem?—rzekła baba, ramionami kościstemi wzruszając.—Niedobrze głowę sobie zaprzętać tem, co się stać ma. Śmierć matula nikogo nie zawodzi, nikogo nie mija... Oko baczne ma, w swojej porze z kosą się stawia. Machnie,—głowa jak makówka spadnie i po wszystkiemu. Tak! tak!

— Dlaczego mi wywróżyć nie chcesz? Takas rzekomo znająca...

— Juścić, nie wypieram się... Wie się niejedno, ale... podczas lepiej gębę zawartą trzymać... W spokoju waszą miłość ostawiam, do łoża idźcie, o chorego się nie troskając. Ja go strzedz będę, jak oka w głowie, dopóki będzie trza. Jeno o miodu dzbanuszek dopraszam się miłości waszej, dla orzeźwienia. Krew się trocha stara ogrzeje.

Jaszko obudził się już o dniu nieco spokojniejszy. Leki Rokiciny widocznie na dobre mu wychodziły. Przytomności nie odzyskał, oczy miał jakby szklane, osłupienie w nich się malowało, tak był słaby, że ręką poruszyć nie mógł—ale żar, co go trawił gwałtownie, zmniejszył się o wiele. Bredził jeszcze, lecz nie rzucał się, nie krzyczał, nie zrywał. Wody się domagał co chwila, baba jednak, zamiast wody, zieleń go i miodem co najstarszym poila.

— Tobie, synku — mamrotała, krzątając się przy łożu — wody nietrza. Dobra ona nie dla każdego. Krwi ci ujęto, trza ci jej do żył napuścić. Z wody onej posoki kraśnej nie zaczerpniesz; co innego miód, do tego stary i chmielny. Naści miodu—staruszka, naści słodkiego, synku. Pij śmiało, Rokicina tak powiada, a ona wie, co do zdrowia trza... Zieleń go przypawiłam, ono sen sprowadzi, utuli cię, niby piastun-

ka. A sen dla ciebie, synku-sokole, to dobrodziej, to zbawienie, lek najskuteczniejszy...

Rychło też Jaszko znów w sen zapadł, wtedy zapewniła Grota i Łukasza, że wszystko idzie jak najlepiej.

— Wyznam miłościom waszym — mówiła rada z siebie—żem nielada czego dokazała. Paniczowi niewiele się należało. Do dwóch dni życieby z niego poszło precz... Na włosku ono wisiało, na nici cieniuchnej. Sama myślałam, że nie tu nie podołam. Ale... kupić nie kupić, potargować można. Rzekłam do siebie: Rokicino... co będzie, to będzie. Szkoda takiego sokoła, spróbować trza, zali się nie uda na świecie Bożym go zatrzymać. Żwawiem poczęła, szparko ziela takiego mu zadałam, co to o niem nikt nie wie, bo rośnie w niedostępach, a zrywać je strach... Zadałam, zamówiłam i złe uchodzi. Powoli, ale uchodzi. Sokół odrazu z łoża na nogi się porwie, ano... zdrowie mu krzepkość wróca...

— Toś ty i czaru do ziela przydała, wiedzmo?— zagabnął Grot pochmurnie.

— Com przydała, waszej miłości nie potem. Dość, że panicz zdrowie odzyszcze—odparła i rozśmiała się.

— A jeśli czar się w nim ostanie i co gorszego niż chorobę na niego sprowadzi?—wypytywał Grot podejrzliwie.—Nie bywa-li tak?

— Juści bywa — potaknęła baba. — Bywa, ale tylko wtedy, gdy zła ręka leki przyrządza. Wasze miłości znają Rokicinę, wiedzą, że w niej złości na pokaz niema. Zdarza się, że mnie ten i ów za przysługę słowem plugawem zapłaci; zamiast kołacza dać, kamieniem rzuci... Ja o to żalu nie czuję i pomsta ani

mi w głowie zaświta. Rzekę sobie: poczekaj, jeszcze przyjdiesz na moje podwórko. Taka jestem... Serce litościwe mam...

Przechwalała się stara, lecz nie było w onych przechwałkach prawdy spełna. Rada ludziom pomagała, ale krzywdy nie zapominała. Rzadko się zdarzało, żeby jej kto czem dokuczył; jeśli jednak tak się stało, zaciskała pięści i mruzczała do siebie:

— Poczekaj! Wiedźma ci tego nie zapomni... Gorzko pożałujesz uczynku...

I zawdy tak się przytrafiało, że na dom, gdzie ją niewdzięczność spotkała, wkrótce potem coś niedobrego spadało... To pożar, to strata w dobytku, podczas nawet który z mieszkańców umierał. Domyślano się wtedy, że ono nieszczęście Rokicina nasłała, ale nikt nie śmiał w oczy jej wyrzucać, z obawy, żeby większej jeszcze biedy nie ściągnąć.

Jaszko, z małemi przerwami, do późnego wieczora przespał. Baba zdążyła się wywczasować i raźniej się przy nim zwijała. Że była ciekawą, dowiedzieć się chciała koniecznie, gdzie syn pana Łukasza został tak haniebnie naznaczony. Odważyła się tedy ponownie zapytać Grota:

— A gdzie to ona wojna była, w której panicza posieczono?... Musi daleko, bo nie słyhać, żeby w okolicy zawierucha się srożyła...

Grot surowem ją okiem zmierzył i ostro rzucił:

— A zasię ci z ciekawością! I bez niej do piekła trafisz. Szatan, twój družba, sam ci usłuźnie drogę wskaże...

Baba w żart słowa gniewne obróciła.

— Ot! wasza miłość zawdy krotochwile ma w po-

gotowiu. Z bezpiecznym drużby nie trzymam. Ludzie gadają, aby gadać. Jednemu się durne słowo z gęby wysliznie, drugi i dziesiąty powtórzy za nim, jak one owce, co byle która beknie, — całe stado za nią się drze, nie wiedzieć czego. Komu tam przyjdzie z czarnym kozłem w otchłani tańcować, to się pokaże. A ja, jeśli waszej miłości zapytałam, to nie przez prostą ciekawość. Rana ranie nierówna. Zdarza się zadana bez złości, w poswarku prostym, co przy kuflu, albo innej zabawie powstaje... Zdarza się znowu w bitwie... A jeszcze są i od zamówionego żelaza. Trzeba wiedzieć od kogo cios pochodzi, z jakiej ręki, z jakiej przyczyny, żeby chorego, jak się patrzy, wylekować. Bywa, proszę miłości waszej, że rana się zagoi w mig, ale złość, ale zamówienie we krwi zostanie. Wtedy człowiek niby to ozdrowieje na czas jaki, ale wnet kwękać pocznie, charłać, schnąć i śmierć go zabiera, jak własnego. Oto dlaczego waszej miłości pytałam.

Grot uznał, że stara sprawiedliwie dowodzi, więc namyśliwszy się, rzekł:

— Ano... to ci i powiem. Wszelako pamiętaj sobie: jednym uchem słuchaj, a drugim wypuszczaj, o czym się dowiesz. Żebyś mi ani pary z ust wyparskła...

— A! proszę ja miłości waszej! — zapiszczała stara. — Czym to bez mózgu? Czy dziecko bez pomiarkowania? Oho! mam-ci w makówce mojej olej, chociaż włos na niej zbielał i ucieka. Wiem ja dużo, a przecież cicho siedzę i próżnoby ten zachodził, kto chciałby coś od Rokiciny wydusić. Od mogiły łatwiej się czego dowiedzieć, niż ode mnie.

— Wiele ci nie powiem, bom sam nieświadom —

ozwie się Grot.—Chłopcze, jakto chłopcu... Krew w nim gra szparko, byle liczko gładkie najrzy, jużci go oskoma do niego pcha. Ano... najrzał też Jaszko jakąś tam w Krakowcu i zabawić się z nią chciał. Zwyczajna rzecz. Z prostego stanu nawet szatanica jest... Przysunął się do niej, naraz obrońce się naleźli. Kto? Nie zdążyłem dopytać.

Baba po słówkach wyciągnęła od Grota wszystko, co wiedział. Więc — że poszło o Petruchnę, wnukę Skąły i Ofki; że dziewczkę już był Jaszko z domu porwał, ale mu ją odbito, przytem porąbano tak okrutnie.

— Musiałem chłopca z Krakowa uwieźć, bom go w ręce klechów uczonych, ani też innych znajków, co się u klechów uczą, powierzać nie chciał. Śmierdzą mi tacy—kończył Grot.—Raroga tam ostawiłem, żeby mi się wywiedziało, komu mamy się odplacić. Bo nie daruję krzywdy chłopca, jakem Rawita jest! Odnajdę onego wisielaka, któren mu się przysłużył i bodaj sam, bodaj temi oto staremi dłońmi mu podziękuję. Rawici w długu nie ostają...

Gdy to mówił, błyski mu z pod brwi krzaczastych padały, a głos chrapliwy moey niezwyčajnej nabrał. Znać było, że grozi nie żartem, bo zresztą wiadziano, że bardziej zawziętych ludzi nad Rawitów na świecie niema.

Śluchała baba, oczy przymrużywszy i głowę na kościstych dłoniach wsparłszy, gdy zaś Grot umilkł i po komnacie jał się przechadzać wzburzony, rzekła półgłosem, jakby do siebie:

— Nie chciałabym na grzbiecie nosić skórę tego, co pana Jaszka oszpecił. Niewesoły na niego spadnie



dzionek, jeno patrzeć. Chyba nie wiedział, na kogo się porywa... Bo że miłość wasza go wytropi, to pewna. Z panem z Konar zaczynać... ho! ho! rozumu trza się wprzód pozbyć. Będzie za swoje miał.

Udobruchała temi pochlebnyemi słowy Grota, ale stary znów się rozszrozył, kiedy z Krakowa powrócił Raróg—z niezem. Wszelkie jego zabiegi skutku nie odniosły. Do domu Sulimy dostać się nie mógł, koniuch nikogo obcego nie wpuszczał, pod wrażeniem świeżego wypadku zostając, a i Petruchnie wychodzić nie pozwolił. O tem się jeno dowiedział od sąsiadów Skały, że w przeddzień zaburzenia w mieście, przyjechali do domu Sulimy trzej rycerze, znaczni jacyś, dworno, dzień tam i dwie noce spędzili, potem na zamek się udali. Jak się oni rycerze zowią i czy w zamku pozostali?—tego również Rarogowi nie umiano powiedzieć. Gdyby to się stało w innym czasie, łącznie doszedłby wszystkiego; ale w porze, kiedy miasto wrzało, każdy miał na głowie co innego; a nie podpatrywanie sąsiadów.

Grot i Łukasz trocha Raroga sponiewierali, że się tak niezdarnie sprawił. Wyrzucali mu, czemu przemocą do Skały się nie wdarł i ze starego koniucha wiadomości nie wycisnął; lecz się jakoś zdołał wytłumaczyć, że jeno na dwie garści swoje liczył, więc gwałtu wszeczynać żadną miarą nie mógł.

— Wszakże—kończył to swoje uniewinnianie się—gdzie nie można przeskoczyć, podleźć, albo obejść można. Do głowy mi przychodzi, że czemu nie podołałem ja, sprawi to snadnie więdźma, co pana Jaszka lekuje. Szczwana jest, wszędzie ma wstęp, do każdego zagadać potrafi.

Podobała się ta rada obydwom Rawitom.

— W sednoś trafił! — zawołał Łukasz. — Baba sprawić się może, jak niemożna lepiej. Od niechcienia, gładko, wyciągnie z koniucha wszystko, co jeno zechce i nawet podejrzenia nie wzbudzi, że komuś wiadomości one potrzebne. Zaraz jej do Krakowa nakaże...

Wstrzymał go Grot uwaga:

— A Jaszko? Przy nim ostawać musi, dopóki nie wydobrzeje. Nic nas nie pili, nic w kark nie bije. Odłożyć mogę do czasu słuszną zapłatę tym jakimś. Nawet zwłoka pożytek nam przyniesie, bo będą myśleli, że ścigać ich za krzywdę Jaszka nie zamierzamy. Widząc nas spokojnie siedzących, wszelkich obaw się pozbędą, a z niespodziewającym się łatwiejszy doczynek,

Atoli pośrednictwo Rokiciny okazało się zbyt cieżnym.

W dni kilka, z wieczora, Jaszko ocknął się rzeświejszy, nawet przypodniósł się na posłaniu, wzrokiem zdziwionym dokoła potoczył i mruknął do siebie:

— Co, u kata, ze mną się stało? Gdzie jest? Zda mi się w Konarach... i do tego w łożu... Przecieżemy w Krakowie siedzieli... Trunkiem sobie łeb zalałem chyba...

Spostrzegłszy babę, drzemiącą w kącie nad dzbanem wypróżnionym, więcej się jeszcze zastanowił:

— Rokicina, albo nie Rokicina? Skąd się tu wzięła? Po co? Roi mi się, czy na jawie widzę?...

Usiąść chciał, ale poruszeniem ranę podrażnił boleśnie, więc, jęknawszy, na wezglowie opadł. Baba, jękiem obudzona, do łoża pośpieszyła.

— Ocknąłeś się, sokole-królewiczu...—zapiszcza-

ła. — Czego ci trza? Czemu wyrzekasz? Obaczę, jaka tam zmora sen ci spędziła...

Nachyliła się, aby zobaczyć, czy opatrunek z ran się nie zsunął, lecz Jaszko w troskliwości jej przeszkodził odezwaniam:

— Czego się czepiasz mnie, wiedźmo? Odstąp natychmiast! Precz idź!

Rokicina w boki się ujęła i śmiechem wybuchła:

— Toś ty już taki, sokole? Dur ci z głowy wyszedł? To i dobrze? Anim się spodziała, żebyś tak rychle swój rozum odnalazł. Pociechaż będzie dla dziecka i rodzica... A wszystko to moja robota! moja! Ej... podchmieję sobie na tę radość!

Słuchał Jaszko terkotania baby i dziwował się, nie mogąc jeszcze pomiarkować swego położenia. Przytomny był, ale o wypadku, który go do łoża wpędził, zapomniał.

— Jakże ci, sokole? Powiadaj? — zapytała stara. — Rozum jest, jeno sił nie ma... Ano, znajdą się i one, wróca. Od tego Rokicina...

— Wiedźmo ty! — przerwał Jaszko zniecierpliwiony — nie skrzecz lada czego, a powiadaj, gdzie jestem i co ze mną? Zaliś urok na mnie rzuciła, że ruszać się nie mogę... Sprawię ja ci!

Pięść podniósł, aby pogrozić starej, lecz znów, ból uczuwszy, opuścił ją bezwładnie i zaklął tylko.

— Oh! oh! Powoli, królewiczu-sokole!... — śmiała się wciąż baba. — Cheiałoby się dokazywać, jak za dobrych czasów, a tu ni weź! Takiś teraz rycerz, że cię stara Rokicina jednym palcem zmoże. Daj pokój, sokole, wojowaniu, na potem je ostaw. Teraz słuchać

Rokiciny musisz, czynić, jak ona powie... Ha! ha! panie Jaszku... ot, na co ci przyszło!

— Daj cię szatan w oleju wrzącym skapał, przeklętnico! — mruczał Jaszko, burząc się. — Coś ze mną uczyniła?

— Jeno się miarkuj, mój miłościwy rycerzu! Jeno się gniewności zbądź, bo szkodę sobie wyrządzić możesz — przestrzegła stara już niezartem. — Czartowi oddajecie Rokicinę, przeklętnicą ją zowiecie, a gdyby nie ona, jużby was na tym świecie nie stało. Tak! tak! Rokicina was, rycerzu, zgubie wyrwała i życie przywróciła, które gwałtem z ciała waszego umykało... Chociaż dobre słowo należy jej się za to.

— Bałamuctwa mi w oczy rzucasz... — fuknął Jaszko, wciąż gniewny.

— Ale! Bałamuctwa... — powtórzyła baba. — Popytajcie rodzica albo dziada, zali bałamuctwo to jest, że was posieczono bez miłosierdzia... Gdzie to się stało i kto was takim gościńcem podarował?... Słyszę, że w Krakoweu ta wojna przypadła, a poszła o jakąś dziewczkę, boście tak, w gorączce leżąc, rozpowiadali... Jak tam było, tak było. Napijcie się lepiej miodu z zieleń na pokrzepienie, potem rany wam opatrzę i inszy porządek gwoli ozdrowienia waszego uczynię; wy zaś rycerzu miłościwy, w statku spoczywajcie, żeby naprawiania mego nie zepsować.

Napoiwszy lekiem chorego, płaty czyste drykwia namaściła, którą sporządziła z psiego, kapłoniego i niedźwiedziego sadła, oraz soku z leszczynowej jemioli (leszczynowa bowiem jemiola moc dziwnie kojącą wszelkie bole, a nawet czary odpędzającą, posiada) i on plastr na rany położyła. Z kolei

uwarzyła paproci-korzenia w ługu z dębowego popiołu, do odwaru krwi, z lewego ucha szczenięcia, nasączyła, tem nogi i ręce Jaszka wytarła. Wreszcie jaje kurze, świeżo zniesione, ciepłe jeszcze, wyszukała, długo je w czemś warzyła, gdy zaś rozumiała, że ma dosyć, wrzątek do strumienia, niedaleko zamku płynącego, wylała po prądzie ku dołowi, a samo jaje poczyniwszy w niem dziury, w mrowisko zakopała \*).

Poddawał się Jaszko zabiegom baby już bez sarkania, gdyż przypomniał sobie haniebną przygodę w Krakowie. Napomknienie Rokiciny ostatecznie mu myśli rozjaśniło. Nie marzy tedy—jest w Konarach. Zbigniew z Oporowa nietylko mu przeszkodził w zamiarze, ale jeszcze tak dogodził, że omal życia nie postradał... Rozważając to wszystko, w złość okrutną zapadał i jedno lęk, by krzywdy sobie nie wyrządzić, od porwania się z łoża go wstrzymywał.

Grot i Łukasz uradowali się niezmiernie, widząc, że ich faworyt do zdrowia niemal przyszedł.

— Napytałeś biedy — gromił go łagodnie pierwszy. — Kto słyszał coś przedsiębrać nie wymiarkowawszy, zali się temu sprosta! Szaleńca trza na to... Pokutujesz teraz.

— Gorszą pokutę zadam temu, kto mi tak grzeszny poczęstunek dał... — mruknął Jaszko przez zęby. — Nie rok i sześć niedziel, ale całe życie on popamiętał

— Odgrązasz się, a jeszcze nie wiesz komu—za-

---

\*) Tego rodzaju praktyk i dziś jeszcze znachorzy, zwłaszcza w okolicach Krakowa, się trzymają. Nic tu wymyślonego autor nie dodał.

uważył Łukasz. — Trzeba wprzód w rzeczy się rozpatrzeć...

— Jakto nie wiem? — przerwał Jaszko.

— A nie wiesz, bo i ludzie, co z tobą byli, nie wiedzą — rzekł Grot. — Raróg z naszego polecenia wiadomości o tem szukał, bez skutku jednak.

— Trza było mnie spytać odrazu na to Jaszko.

— Tylebyśmy się od ciebie dowiedzieli, co od spróchniałego pnia! — rozśmiał się Łukasz. — Toćże ciebie bez pamięci przynieśli i dziś dopiero zaczynasz gadać po ludzku. Na włosku życie twoje wisiało; nawet wiedźma łbem kręciła, gdy na ciebie pojrzała...

— Wiesz zatem, kto cię naznaczył? — zagadnął Grot.

— Juści wiem — odparł Jaszko posepnie. — Ten, z którym dawno spotkać się chciałem: Jelitczyk, Zbych z Oporowa...

Spojrzeli na siebie Grot i Łukasz.

— Zdybać pragnąłem onego gładysza nie tak, jak to się stało. Ja powinienem gościńcem go obdarzyć... Poszczęściło mu się teraz, no... niechże się cieszy. Niewiele mu na uciechę czasu pozostawię. Byłem się wylizał... tura dostanie za kura!

— Zaniechaj gniewu — ozwał się Grot — trucizną jest on teraz dla ciebie, w większą cię niemoc wtrącić może. Chceszli rychle wydobrzeć, krwi nie burz. Wiedźma przecież ci to powiedziała.

— Łatwo rzec: nie burz się, przemagaj, spokój chowaj... — zakrzyknął Jaszko. — Drewnu taki przykaz dawać, kamieniom, lodowcom. Jam człowiek. Gdy o wrogu, jeszcze takim, jak Jelitczyk, myślę... płonę cały. Jakże? Dziewkém sobie na żonę upatrzył, jak

malowanie i zaprawdę, że mi serce wzięła, a tu mi Toporeczyki drzwi wskazują, bo ją gładyszowi z Oporowa przyrzekli! Już od chwili, kiedym się o tem dowiedział, znienawidziłem go i sposobności szukałem, żeby się z nim rozprawić. Myślałem... rzekę mu wprost: albo od Halszki odstęp, albo... jednego z nas na tym świecie za wiele. — Sposobność mnie się nie zdarzyła, jemu przecież zdarzyło się znów w drogę mi wleźć... Zaczepił mnie bez słuszności, bo co mu do cudzej poddanki? Snać z umysłu to uczynił, chcąc mnie sponiewierać, a może zgładzić, za to, żem sobie jego przyrzeczoną upodobał. Jam nawet temu nie winien, sam nie wiem, jak mnie Toporzanka opętała. Spojrzała — i rozgorzałem umiłowaniem. Nie pozwoliłbym mu ją pojąć, odkąd ją ujrzałem, ale teraz, doznawszy od niego krzywdy i pohańbienia, to powiadam, że prędzej woda wyschnie we wszystkich morzach i rzekach, zanim on Halszkę małżonką swoją nazwie. Nie-dość na tem: pomsty będę szukał, znajdę ją i wezmę. Krew za krew! Ale skoro ja mu żyły otworzę, juźci z nich z krwią życie ucieknie.

Umilkł, oczy przywarł i oddychał ciężko. Wy-siłek i rozdrażnienie znów gorączkę wywołały, co można było poznać z policzków, na których wielkie plamy szkarłatne wykwitły. Rokicina śpiesznie lek mu zadała uspokajający, dąsała się przytem i sarkała na-prawdę.

— Sam do siebie śmierć ciągnie — mruzczała — za nie upominanie, za nie rady dobre... Krzataj się dniem i nocą, haruj jak ostatnia, nie dojadaj, nie do-sypiaj, a tu ot — masz posłuch! Com skleiała, to w je-dnej chwili w niwecz obraca. Rzucić wszystko i ucie-

kać chyba. A stanie się źle: na Rokicinę wina spadnie. Sobaki wolej nianczyć, niż takich urwiłbów ratować!

— Nie warcz, stara! Nie wydziwiaj! — pogroził jej Grot. — Albo nie wiesz, że w niemocy o pomiarowanie trudno? Zresztą żal go żre, a ta gadzina kąsa tak okrutnie, że niesposób, by słowem sobie nie ulżyć.

Zwrócił się potem do wnuka i tłumaczył mu:

— O sobie przed wszystkim pamiętaj, chcesz-li Toporzankę posiąść i pomstę na Jelitecyku wziąć. Zgryzotą i gniewem mogiłę sobie wykopiesz, a nie łóżnicę małżeńską i odwet przygotujesz. Nie wiedziałem, że ci Toporzanka tak głęboko w sercu utkwiała, ale skoro tak, będziesz ją miał, byleś się niemocy pozbył. Bez tego nic. Dziad ci twój przyrzeczenie daje, że Halszka ostatek twoją. O ukaranie Zbycha także się nie troskaj. I w tem ci, wraz z rodzicem twoim, dopomóżem. W rodzie jeden za drugiego stawać winien, bronić go, za dobre, czy złe należnie się wywdzięczać. Bez twego zaprzysięgania umyśliłem onemu, co ci krwi utoczył, łaźnię krwawą sprawić. Za jedno mi, ktoby to był. Nawet dobrze się zdarza, że z Toporczykami sprawa. Mam do nich ząb nie od dziś. Koso na nas patrzą siła czasu, ano... pora im pokazać, że Rawitów poniewierać nie lża. Wszystko się po myśli twojej, Jaszku, uładzi, byleś nie szalał. Ja w tem, a i rodzic nas nie odbiegnie.

— Jeszczećby! — ozwał się ponuro pan Łukasz. — A cóż to... Jaszko bękart jest, nie rodzony mój?... Jego krew — moja krew! Jego krzywda — moja krzywda.

Zapewnienia te dobry skutek na Jaszku wywarły. Myśl o zemście stała się dla niego ukojeniem z góry się nią cieszył i napawał.



— Gody wyprawię Jelitezykowi takie, jakich się nie spodziewa... — powtórzył. — Pozna, co to z Rawitami zaczynać. Nie ochroni go przede mną nic...

Rany zabiłziały się powoli, ale chociaż się z nich wylizał, tak był osłabiony, że ledwie nogami powłóczył. To go zwłaszcza przeraziło i w nową wprawiło wściekłość, że wyprostować się nie mógł. Miecz Zbigniewa z Oporowa, przeciąwszy mu żyły i kość nadwyrężywszy, garbacizny go nabawił. Chodził jakby skurezony, z głową w ramiona wciśniętą. Rokicina, która to przewidywała, mówiła, żeby Bogu dziękował za utrzymanie życia.

— Z takiego okaleczenia na stu jeden się wygrzebie... — powtarzała, gdy ją lżył, nieumiejętność wyrzucając. — Jamci sama nadziei nie miała waszą miłość przy życiu utrzymać. Gdzie zaś! Przemocą was mogile wydarłam.

— Wolałbym ziemię gryźć, niż pokraką wstać... — wyrzekął Jaszko. — Do czego podobny? Strach ze mnie na wróble, jeno w prosie postawić!

-- Odbijesz to na Jelitezyku — łagodził go dziad. — O niczem nie myśl, tylko o tem, żeby jak najprędzej konia dosiąść. Krzywizna do pomsty ci drogi nie zagrozi. Plwaj na nią, mucha to jest dla ciebie...

Potakiwał Grotowi Łukasz, ale obydwaj czuli oburzenie, patrząc na oszpeconego młodzieńca i pałali żądzą krwawej odpłaty.

Dnia pewnego, gdy o słońca zachodzie przy wieczery siedzieli, zjawił się w Konarach gość niezwykajny. Był to człek w odzieży pańniczej, w którym, dopiero po uważnem przypatrzeniu się, ze zdziwieniem poznali Hocza.

— A tobie, Przedborze, co do głowy przyszło, żeby się w szaty cudackie przystrajać? — śmiał się Grot. — Może do Ziemi Świętej iść zamysliłeś, doznawszy upokorzenia w zamysłach...

Hocz, który w Konarach znalazł się mimo chęci, bo był w drodze zbłądził, odparł, westchnąwszy:

— Dobrze wasza miłość rzekł, iżem upokorzenia w zamysłach doznał, ale to mi właśnie oczy otworzyło i od grzeszenia odwróciło. I to odgadliście, że do Ziemi Świętej dążę...

— Nie praw lada czego! — przerwał Łukasz. — Jakażby cię potrzeba hen, na koniec świata ciągnęła? Oszalałeś chyba...

Głową wstrząsnął Hocz.

— Jeśli szaleństwem jest o zbawieniu dusznem myśleć, tom szalony — rzekł. — Bogu dziękuję, żem wgłął serca własnego wejrzał... Biskup z Oleśnicy nawrócił mnie, a także przytrafunek, któren Weronikę, mieszczkę krakowską spotkał...

— Biskup? — pochwycił Łukasz zjadliwie. — To ty, Przedborze, jego się teraz trzymasz? Odkądże to?

— Odkąd poznałem, żem źle czynił... — półgłosem odpowiedział Hocz.

— Oho! tak gadasz, jakbyś miał klesze suknie wdziać — znów zaśmiał się Grot. — Znaczy się, że teraz na skinienie Oleśnickiego poszedłbyś przeciwko nam?

Hocz, oczy spuściwszy, milczał, Jaszko zaś zagadnął:

— Cóż to za przytrafunek spotkał mieszczkę Weronikę, że aż ludziom we łbach pomógł? Opowiedz nam, bo zgoła nie wiemy...

— A dobrze o nim wiedzieć — rzekł Hocz oży-

wiony. — Dobrze wiedzieć, bo niejako wskazaniem jest od Boga.. Raczcie wasze miłości posłuchać...

Napojem usta odwilżył i tak prawie począł:

— O tem waszym miłościom wiadomo, że przy kościele katedralnym w Krakowie urząd wikarego pełni kanonik i scholastyk Elgot, mąż wielkiej nauki, doktor praw kościelnych, który w rzeczach duchownych biskupa Oleśnickiego zastępuje \*). Tedy do onego księdza, gdy się na nabożeństwie znajdował, przyszła mieszczka, imieniem Weronika, w Krakowie mieszkająca, pobożna i wielce miłosierna. Ksiądz ją raz pierwszy na oczy oglądał, ona też mu nazwiska nie wyjawiała, powiedziała, że nieznaną pragnie zostać, a tylko o posłuchanie prosiła.

— „Czasu nieco mi użyycz — mówiła — wysłuchaj i osądź, co opowiem. Ślub mój spełnić muszę, by uniknąć przestachów i chłosty gniewu Bożego —“. Żdziwiony taką mową ksiądz, chętnie jej posłuchania udzielił, ona zaś tak rzecz wyprowadziła:

„Rok temu, kiedym w dzień Narodzenia Pańskiego na spoczynek się udała, zdało mi się, jakobym w kościele św. Floryana na przedmieściu się znalazła. Stoję oto, a tu z zakrystyi wychodzi procesya, z dwiema białemi chorągwiami na przodku. Moc ludzi za onemi chorągwiami dążyło ku głównym drzwiom kościoła, a byli pomiędzy nimi to w szatach biskupich, to po rycersku przystrojeni, w białą i kraśną barwę, wszyscy zaś z wierzchu mieli kapy. Znajomej twarzy wśród nich postrzedz nie mogąc, zatrwożyłam się i do

---

\*) Zdarzenie przytoczone zapisał w „Dziejach Polskich“ Długosz, w księdze XII-ej.

kąta przytuliliam. Naraz postrzegłam mistrza Mikołaja z Brzegu, kaznodzieję od Panny Maryi. Ten zbliżył się do mnie, zapytał: — Co tu robisz córko? — i odpowiedzi nie czekając, wyszedł za procesyą z kościoła.

„Tedy i jam poszła za procesyą, a gdy się znalazłam wśród cmentarza i żadnego już nie widziałam domostwa między kościołem a murami Krakowa, z tyłu idąca za mną niewiasta jakaś, postawy okazałej, cała w bieli, ozwie się do mnie:—Mistrza swojego szukasz córko? Niema go tam, dokąd dążysz—a wyciągnawszy rękę i wskazując lichy domek, rzekła: — Tam go znajdziesz. Idź i wstap po wschodach, prowadzących na górę..

„To usłyszawszy, pobiegłam do onego domku, ale zaledwie się wcisnąć zdołam, tak wnijscie było szczupłe. Wewnątrz ujrzałam wschody nadzwyczaj wysokie, strome i straszne, nietylko bowiem między stopniami miały bardzo znaczne odstępny, ale jeszcze mnóstwo dziur i szczelin, tak, że wchodzącemu groziły zawaleniem. U szczytu żadnej nie dotykały podpory, zdawały się wisieć w powietrzu...“

— Baśń to wierutna... Szkoda na słuchanie czasu! — przerwał Hoczowi Grot.

— Niech przecież cześć wasza dokończyć mi pozwoli; okaże się, zali czasu szkoda — rzekł Hocz i tak dalej osnowę prowadził:

— „Po tych wschodach gdy mi iść trza było do góry (opowiadała ona Weronika księdzu Elgotowi), zebrawszy, jak mogłam, siły, poczęłam piąć się rękoma i nogami, aż dostałam się do szczytu, który chociaż żadnej nie miał podpory, stopniem ostatnim przylegał do jakiejś podłogi. Na oną podłogę wstąpiwszy, ujrzałam znów drugie wschody, dogodniej

ze od tamtych, a potem trafiłam na trzecie, już wcale nie wysokie, światłem na podziw jasnym i miłym oblane. Było bowiem nad niemi okno, przez które blaśki promienne padały... Okrom tego obaczyłam tam w górze izdebkę, do której gdym weszła, uczułam się uradowaną dziwnym tego miejsca powabem.

„W izdebce nie było nikogo. Poczęłam oglądać się stronami i postrzegłam na prawo drzwi uchylone, bardzo niskie. Zajrzałam, wcisnąwszy się sobą ledwie przez połowę, i zobaczyłam łoże wielce nadobne, które całą izbę od ściany do ściany zajmowało, a na niem niewiastę, z twarzą wielkie wzbudzającą poszanowanie, odzianą bieluchnem przykryciem i z rąbkiem na głowie... Przy wezgłowiu był stołek, na nim siedział mistrz Mikołaj z Brzegu, słuchając, co mu ona niewiasta mówiła szeptem. Cofnęłam się na ten widok, lecz mistrz rzekł: — Po coś tu przyszła, córko? Wracaj do domu, ja zaraz pójdę za tobą. — Zaczęłam tedy zstępować ze schodów, alic gdym zeszła do onych ciasnych, spotkałam niewiastę otyłą, przybraną w żupicę purpurową i w płaszcz żółty. Twarz jej, rumiana i wabna, pociągała oczy i snadno w mężach obudzała żądze. Zawojka na głowie obszerna, tudzież suknia spodnia i rękawy, wielką wykwinność, pychę i próżność światową wydawały. W ręce lewej niosła dzban srebrny, na podziw wielki. Taki ciężar dźwigając, ledwo mogła iść po wschodach, a z utrudzenia oddech jej zmienił się w głośnie sapanie...

„Miejsce było nader wązkie, skurczyłam się tedy, jak jeno mogłam, żeby jej przejście wolne zostawić, ale ośmieliłam się zapytać: coby tak ciężkiego dźwigała? — Wino — rzecze — chcę bowiem posilić osobę,

którą widziałaś, skoro tylko odejdzie kapłan, wielki wróg mój.

„Zeszłam na dół, a gdym ku miastu się zbliżyła, obaczyłam, że z bramy znów wychodzi procesya, ta sama, com ją w kościele oglądała. Cofnęłam się na stronę, by zaczekać, aż przejdzie. Naraz procesya stanęła, od niej odłączyli się dwaj męże i ku mnie zmierzali. Jeden szaty pasterskie miał, na głowie infułę; drugi pas rycerski i karwatkę jeźdźca. Pierwszy rzekł:

„—Co tu porabiasz, córko?—a gdym milczała strwożona, dodał: — Nie lękaj się, wiemy, skąd przybywasz i coś widziała. A ponieważ tego nie rozumiesz, objaśnimy cię, ty zaś zważ, co masz uczynić. Oto ja i towarzyszy mój najukochańszy, którego tu widzisz, święty i uwielbiony męczennik Floryan, nawiedziliśmy błogosławionych ojców i rodaków naszych, Stanisława i Wacława, oraz kościół ich na zamku tutejszym, który to kościół niegdyś przenantajwalebniejszy wyznawca, Stanisław święty, ofiarą męczeńskiej krwi swojej Bogu Wszechmocnemu poświęcił i miłym Mu przybytkiem uczynił. My bowiem czterej, to jest trzej wymienieni poprzednio męczennicy i ja, Wojciech, dani jesteśmy ojczyźnie twojej na jej osobliwych patronów i orędowników, wstawiamy się nieustannie przed obliczem Najwyższego za narodem polskim.

„Przerwał trocha pasterz, wnet jednak mówić znów począł:

„—Cieszcie się, zwłaszcza w dniu dzisiejszym, w którym Marya Zbawiciela świata dała. Wiedz atoli, córko, o tem, że w ojczyźnie twojej i w krajach sąsiednich jest bardzo wielu, którzy dzień dzisiejszy obcho-

dzą ze smutkiem i żalem, są bowiem srogiemi okryci ranami, bądź pozbawieni rąk, nóg i wzroku, bądź w ciężkie zakuci więzy, bądź z majątków i własności wszelkiej wyzuci... O nich wy bynajmniej nie pamiętacie, żadnego nad nimi nie macie politowania, lubo ich płacz i jęki dochodzą do przybytków Zbawcy. Uważ, córko, i dobrze zapamiętaj, co ci zalecimy. Oto wszystkie klęski i utrapienia spadną na ojczyznę twoją i naród twój, jeśli rychła pokuta nie odwróci miecza gniewu Pańskiego. Do tej chwili Bogarodzica oraz my nieustannie wstawialiśmy się do Boga o pomyślność ojczyzny twojej; lecz przebrała się miara występków, gdyż codziennie tak ich wiele przybywa, że wywołują już nareszcie gniew Boży. Iżbyś to lepiej wyrozumieć mogła, dano ci oglądać miejsce, z którego powracasz.

„Wojciech święty, wskazując dom, z którego wyszłam przed chwilą, prawił dalej:

„— Wschody owe, najpierw przez ciebie spotkane, tak trudne do wniścia i straszne, są to grzechy całego świata, osobliwie zaś twego kraju i ludu. Nie mają one żadnej podstawy, runą prosto z człowiekiem, przeciwiającym się przykazaniom Bożym. Drugie wschody, krótsze, oznaczają lud powszechny, tych zwłaszcza, którzy pragną służyć razem—i Bogu, i światu. Trzecie, najkrótsze, jasnemi blaski opromienione, wyobrażają co dostojniejszych kapłanów. Tych, osadzonych na świeczniku godności, miłuje Bóg i sam Chrystus, prawdziwe Światło, z łaską Swoją w nich mieszka, jeśli starają się gorliwie o dobro powierzonej im trzody. Ale niestety! i oni często milczą, opuszczają ręce z bojaźni przed tymi, którzy potęgę dzierżą świecką. Ona niewiasta wabna, na łożu zdobnem spoczywająca, w miej-

scu tak przyjemnem, a jednak szczupłem, to święty Kościół katolicki, jaśniejący cnotami, lecz zdroźnościami bezbożnych zewsząd uciśniony. Mistrz z Brzegu wyobraża świętych doktorów i kaznodziejów, których wymowa i nauka apostołska dla społeczeństwa wiernych Chrystusowych nieustanną staje się podpora. Niewiasta znów, którą napotkałaś przy wyjściu, to szatan, co do wielkiej próżności, pychy, zbytku i łakomstwa, lud nasz z całą usilnością i najwymyślniejszymi podstępami nakłania, wciąga i popycha... Wyraża to oblicze niewiasty, odzież strojna, rąbek na głowie, wysiłek przy wspinaniu się do góry. Barwa żółta zwierzchniego odzienia znaczy ogień piekielny, przygotowany dla wszystkich grzeszników. Dzban wina oznacza szepną żądę rozpusty, którą szatan stara się upoić wszystkich bez różnicy. Już bowiem nietylko między gminem, ale w wyższych stanach świeckich, nawet (co zgroza wyrzec) — w klasztorach, Pan Jezus od wybrańców Swoich, których ludowi za przykład stawił, doznaje obelgi i bluźnierstwa. Takie są więc grzechy, które dochodzą do uszu Wszechmocnego i swą wielkością słusznie o pomstę wołają.

Mówił krom tego Wojciech święty Weronice o ucisku biednych, o łotrowskiem ograbianiu podróżnych, przez tych osobliwie, co powinni być ich obrońcami; mówił, jak wielu za pieniądze osiąga urzędy i najwyższe godności, które nadewszystko cnoty, prawości duszy wymagają; mówił, że jeśli król miłościwy wytrwa w cierpliwości, łagodności i pokorze ducha, to pomoc Boża i mądrość Najwyższego zostanie z nim...

I jeszcze dużo rozwodził się męczennik święty o nadużyciach rycerzy, oraz panów możnych, a skoń-



czywszy, rozkazał Weronice, iżby do kapłana, zastępującego w sprawach duchownych biskupa, się udała, widzenie swoje mu opowiedziała poszczególnie i to przydała, aby, dla przebłagania gniewu Bożego, modły w kościołach i procesye zarządził, kaznodziejom lud do skruchy i upamiętania wzywać polecił. Żeby zaś słowom Weroniki uwierzył zastępca pasterza, Wojciech święty oznajmił jej, co on zastępca niegdyś w młodości swojej, w takim a takim miejscu, popełnił, o czem nikt nie wiedział i to mu Weronika powtórzyć miała...

Gdy widzenie znikło, obudziła się Weronika, a tak się czuła utrudzoną, jakoby po ciężkiej podróży. Nie uczyniła wszakże, co jej Wojciech święty rozkazał w opieszałości przetrwała czas długi, aż znów widzenie to samo się powtórzyło. I wtedy jeszcze nie poszła do kanonika Elgota. Nazajutrz we śnie usłyszała głos:—Skoro rozkazowi Bożemu się sprzeciwiasz, karę odniesiesz! — Jakoż ocknęła się z lewą ręką zupełnie martwą, tak, że ją ledwie podźwignąć mogła. Zafrasowała się wielce, na kolana upadła, z płaczem błagała Boga o miłosierdzie, ślubując wszystko wypełnić bez zwłoki. Po modlitwie w oka mignieniu odzyskała zdrowie, a gdy się to stało, do zastępcy biskupa podążyła.

Kanonik Elgot z uwagą jej wysłuchał i nie lekceważył wyznania, bo mu na znak wiarogodności opowiedziała z wielką dokładnością czyn, jaki w młodych latach popełnił, a o którym istotnie nikt wiedzieć nie mógł. Sam on zresztą mocno bolał nad cierniem występków, które głęboko w duszę ludu się wpiły; sam gromił krakowian, zwłaszcza niewiasty, za życie rozwiązłe i zbytek w strojach. Boć mieszczki krakow-

skie, zgroza powiedzieć! nie wstydzą się nosić biretów po dwadzieści i trzydzieści grzywien, a naramienniki takiej ceny, jakie dla najznakomitszych pań są zbytkiem... Nietajno to i waszym miłościom przecie... Kanonik tedy opowieść Weroniki biskupowi Oleśnickiemu powtórzył, a ten gorliwie się zabrał do karcania złego. I oto odbywają się w całym Krakowie procesye, a w kościołach kaznodzieje lud do skruchy wzywają... Jam, miłościwi panowie, rozważywszy widzenie Weroniki i w głąb serca swego wejrzawszy, uczułem potrzebę szczerego pokajania się, przeto ślubowałem do Grobu Świętego iść, tam błagać Boga o grzechów odpuszczenie i umocnienie w dobrem. Owo tedy szaty pątnicze przywdziałem i idę tam, gdzie Zbawiciel umęczon został. Może też modlitwy i skrucha miłosierdzie Boże na mnie sprowadzą i na bliźnich moich, na rodaków...

Umilkł Hocz, a Łukasz drwić począł, mówiąc:

— Wszystko to brednie, wszystko wymysły kleśze, gwoli otumanienia głupich i wyciągania z nich ofiar, rzekomo dla oczyszczenia duszy. Znamy się na tem, Przedborze. Inszy wprost trzosi łupi, a klecha, grożąc szatanem i otchłania, je opróżnia. Dzieje się tak nie od dziś...

Uszy zasłonił sobie Hocz.

— Nie godzi mi się nawet słuchać takiej mowy— rzekł—błźnierczą jest...

— Takiś już święty?—pochwycił szyderczo Jaszko.—A niedawno sam klechom rzymskim uragałeś?

— Błądziłem, alem się w grzechu zatrzymał — odparł Hocz. — Odrąciłem pokusy czartowe i mocne w sercu postanowienie powzięłem stronić od nich sta-

tecznie. Mizerny ze mnie robak, ale ośmielę się uwagę uczynić, że i waszym miłościom, osobliwie panu Jaszкови, przystałoby wejrzeć w serce swoje. Ocalał z przygody ostatniej, widzę, niechże się sprośności wyrzeknie...

Poskoczył do niego Jaszko i, pięścią wygrażając, zakrzyknął:

— Kazania nam prawisz, zuchwalcze?! Skąd wiesz o przygodzie? Powiadaj zaraz!

— Wiem, bom widział, jakieście się do domu pana Sulimy z Włodkowicz podstępnie zakradli i Petruchnę stamtąd porwali; widziałem też, co was potem spotkało. Zaiste, szpetnie został wasza miłość posieczon, myślałem, że dusza z was ujdzie...

— Widziałeś? Ty widziałeś? Możesz do tych należał, którzy przeciwko mnie stawali?

— Dali oni sobie sami radę, pomagać im nie potrzebowalem... Skoro jednak wasza miłość przy życiu ostał, należy Bogu wdzięczność okazać i zgorszenia się wyrzec.

Zamierzył się na Hocza Jaszko, chcąc raz wymierzyć, ale go Grot wstrzymał:

— Schowaj siłę na co innego, Jaszku, szkoda ręki na takiego, który się przedzierzga z kozła w barana. Zdrajcą jest taki człek, odstępcą. Inszej kary warta.

Z kolei do Hocza się zwrócił i rzekł szyderczo:

— Za grzeczną radę, grzecznie też podziękować ci musim, święty człowiecze. Myślę, że zanim się w dalszą puścisz drogę, wypoczynek ci się przyda. Mam ja tu, w Konarach, miejsce zaciszne, do rozwa-

zań pobożnych jak nie można lepiej stosowne. Tam sobie spocznie, Przedborze, do woli.

W dłonie klasnął, na ten zaś znak Raróg się ukazał niezwłocznie.

— Weźmij tego oto pątnika świętobliwego i do lochu zamknij!—rozkazał mu Grot.—Strzedz go bacznie. Zdrajca jest i zuchwalec, którego rozumu nauczyć trzeba...

Posunął się Raróg ku Hoczowi, a ten poblądł, odstąpił nieco i zapytał:

— Za co mnie miłość wasza więzić zamysła? Za-  
lim co złego uczynił?

— Uczyniłeś, sprośność i inne występki nam zarzucając!—odparł Grot.—Na Rawitów ani dłonią, ani mową następować wara! Jeśliś o tem nie wiedział, dowiedz się teraz...

— Toć gwałt niesłychany! — bronił się Hocz.—  
Wasza miłość sumienie nowym obarcza grzechem...

— Precz z nim!—przerwał Grot, gestem rozkaz popierając.—Precz! a dobrze drzwi obwarować, by nie wyfrunął z klatki...

Raróg, przy pomocy ludzi, zawłókł nieszczęsnego Hocz do lochu zamkowego, a Grot ozwał się do Łukasza i wnuka:

— Doskonale się złożyło, że powód sam do uwięzienia dał. Ptak to o grubych piórkach, takiego skubnąć warto. Nie wypuszczę go bez sowitego okupu.

I ręce zatarł z ukontentowania, śmiał się głośno, a syn szczerze mu wtórował, dogadując:

— Gratka nam się trafiła. Juści z kogo, jak z kogo, ale z Hocz a pociągnąć można. Pełne komory

ma wszelkiego pożytku, w domu jego aż jasno od srebra i złota...

Jaszko zadowolenia dziada i ojca nie podzielał. Hocż przypomnieniem doznanego upokorzenia złość w nim wzbudził, więc miotał się i burzył, pomrukując:

— Padalec! Obwiesić go było odrazu...

— Zacheciałeś!—zwrócił mu uwagę Łukasz.—Cóżbyśmy zyskali, życie mizerne mu biorąc? Niech sobie żywie, byle nam się okupił. Z takiego polcia okroić się powinno znacznie.

— Okrawajcie, jako chcecie, wszelako nie zaprzstawajcie o Jelitezyku myśleć. To wam mówię, że spokoju nie zaznam, dopóki porządku z nim nie uczynię. Wszystko we mnie gore, gdy o nim wspominam. Krwi mi jego koniecznie trza!

— Nie frasuj się o to, nasycisz się nią, masz przecie naszą pomoc—znów go zapewnił dziad.—Ale mając jedno na oku, czego innego, co pożytek daje, nie należy omijać. Sprawimy się z Jelitezykiem i Toporezykami swoją drogą, swoją zaś oskubiemy Hocza. Głupiec! Sam się o to prosił, trza mu zadość uczynić...

Na uciechę do dzbana się przysiadł i z synem do późnej nocy zapijał wydarzenie pomyślne.

## V.

Trzymali się Zbigniew z Oporowa, z Sulimą i Świdwą, jako sobie przyrzekli byli, w gromadzie. Dwór królewski wcale sobie zachwalali, bo doznali na

nim przyjęcia jak najlepszego. Ciągnął do nich sercem i pan miłościwy, i królewicz Kaźmirz był dla nich łaskaw, i biskup Oleśnicki, i panowie radni — zgoła wszyscy im życzliwość okazowali. Nawet królowa-matka, tak zawsze w wyborze otoczenia synów wybredna, nie tała, iż rada jest, że przy boku Władysława pozostaną. Mówiła do mistrza Grzegorza z Sanoka:

— Na tych trzech liczyć można w każdym wypadku. W boju zasłonią i zaufania nie zdradzą. Z oczu im dobrze patrzy. Krew przytem w nich płynie zaena. Takichby najwięcej przy Włodku.

Mistrz Grzegorz potakiwał, szczerze przekonany będąc, że się nie myli.

W listach biskupa poznańskiego, Ciołka, przywiezionych przez Zbigniewa, a pisanych do biskupa Oleśnickiego i Grzegorza z Sanoka, groźne mieściły się nowiny. Zawiadamiał Ciołek, że Melsztyński snąc o wywołaniu poważnego rokoshu zamyśla, bo z pośpiechem gorączkowym gromadzi stronników, husytów z Czech ściąga i kacerstwo szerzyć się stara. Z jego to polecenia Abraham ze Zbąszyna, sędzia poznański, też podtrzymywał i szerzył odszczepieństwo w Wielkopolsce, sprowadził do Zbąszyna wielu duchownych husyckich, polecając im zgubną nauką swoją zarażać zwłaszcza prostaczków i nieświadomych rzeczy. Biskup Ciołek wszelkimi siłami starał się o wytepienie tej sekty, wzywał przeto do siebie Abrahama i podejrzanych o odszczepieństwo, lecz Abraham stawał w otoczeniu licznem krewnych oraz przyjaciół i nie tylko kacerzy bronił, ale jeszcze znieważał obelgami pasterza, prałatów i kanoników poznańskich, a surowiej na niego powstającym śmiercią groził. Zaczem Ciołek Abra-

hama i wszystkich kacerzy klątwą obłożył, na Zbąszyn interdykt rozciągnął, a sam, nie czując się bezpiecznym w Poznaniu, na czas pewien do Krakowa zjechać zamierzał.

Oleśnicki już był nieco wiedział o tem, że pan z Melsztyna coraz gwałtowniej i zajadlej przeciwko rządowi obecnemu i wierze katolickiej poczyna, ale mniemając, że zdoła jeszcze do przekonania szalejącego możnowładcy trafić, z całą surowością występować przeciwko niemu nie chciał. Krom tego, zawsze roztropny i przewidujący polityk, obawiał się ściągnąć na kraj i naród klęski. Pamiętał, że za Melsztyńskim stało stronnictwo potężne, że nie pora była waśni krwawych w domu rozpoczynać, chociaż wielu domagało się, iżby raz wyrwał ów cierń dokuczliwy, który wszystkim we znaki się dawał. Naciskany, oświadczył zaufanym:

— W uroczystość Poczęcia Najświętszej Panny wszakże wiecować mamy w Piotrkowie. Że Melsztyński tam ściągnie, to więcej niż pewna. Przemówię wtedy do sumienia jego i skutku poczekam. Może Bóg łaskę Swoją na niego spuści...

Wątpiono o tem, lecz pasterz postanowień zmieniać nie nawykł.

Królowa-matka silnie w tej mierze pasterza poparła, miała zaś w tem względy osobiste.

Kochając synów nad wszelki wyraz, pragnęła ich widzieć w całym blasku potęgi; usiłowała przeto wszelkimi sposobami korony czeskiej i węgierskiej dla nich uzyskać. Rada królewska, po koronacji Władysława, z jego poduszczenia, umyśliła wysłać do cesarza rzymskiego i króla węgierskiego, Zygmunta (a dodać należy, że po śmierci Wacława także tron czeski Zygmuntovi, jako

bratu zmarłego, przypadają, lecz zarażone kacerstwem Czechy uznać go nie chciały, ponieważ głównie do śmierci Husa się przyczynił), poselstwo, aby go skłonić do związków powinowactwa, przez oddanie Władysławowi za małżonkę córki Alberta, arcyksięcia rakuńskiego. Tuszyli panowie koronni, że przez ów związek odbiorą Krzyżakom, odwiecznym a zawziętym wrogom Polski, wszelką nadzieję pomocy niemieckiej a Polsce odłoni się widok znacznego wzrostu i pomnożenia w razie śmierci cesarza Zygmunta i arcyksięcia Alberta, niemającego wówczas potomka płci męskiej.

Oleśnicki niezupełnie się z tem zgadzał. Węgry zdały mu się nabytkiem pożądanym, bo monarcha tego kraju, mając poparcie innych mocarstw, mógłby snadnie potęgę turecką złamać i Grób Zbawiciela z rąk pogańskich wydrzeć, z czegoby urosła dla Polski na wieczne czasy chwała. Co do Czech, obawiał się, by z nich nie napłynęła do Polski powódź kacerstwa, a za nią gniew Boży i wszelkie zdrożności. Po namyśle atoli na poselstwo przystał.

Miały się w onem poselstwie udać głowy sprawne: Jan z Koniecpola, kanclerz, i Jan z Oleśnicy, marszałek państwa, wszakże poprzedził ich, z rozkazu króla, rycerz Jan Gamrat, aby o przybyciu ich wcześniej uwiadomił cesarza i przejazd im bezpieczny zapewnił. Ale Gamrat, namówiony, niewiadomo z jakiego powodu, przez Piotra Szafranca, wojewodę krakowskiego, oznajmił cesarzowi, jako posłowie przybędą z prośbą, by przyjął rządy królestwa i opiekę nad królem małoletnim. Uśmiechało się to Zygmunтови, pochlebiało mu to niezmiernie, chwalił się przed elektorami cesarstwa, tem większe przeto było rozczarowa-



nie, gdy się zgoła o czem innem dowiedział. Zagniewany, o układach nawet słuchać nie chciał.

Nawiązano je powtórnie. Tym razem szło o skójarzenie małżeństwa pomiędzy królem Władysławem i bratem jego, Kaźmirzem, z jednej, a dwiema wnuczkami cesarza, arcyksiężniczkami rakuskiemi, z drugiej strony. I one do skutku nie doprowadziły: zanim posłowie polscy zdążyli przybyć, Zygmunta śmierć zaskoczyła.

Królowa Zofia jednak nie ustawała w zabiegach nad przeprowadzeniem swoich planów i jakoś na to się zanosilo, bo Albert rakuski objął wprawdzie bez przeszkody po zmarłym teściu Niemce i Węgry, lecz większość Czechów wezwała na tron Kaźmirza Jagiello nowego. Władysław zwołał panów radnych do Nowego Korczyna, tam uchwalono, aby wezwaniu Czechów uczynić zadość i Kaźmirza do Czech z wojskiem znacznem dla tronu objęcia wysłać. Jakoż, dla poparcia elekcyi Kaźmirzowej, udali się do Czech dwaj wojewodowie: poznański — Sędziwój z Ostroroga i sandomierski — Jan z Tęczyna.

O czem się dowiedziawszy, śle z kolei Albert do Władysława posły, praw mu swoich do Czech dowodząc i odwołania Kaźmirza żądając, w przeciwnym zaś razie — wojną grożąc. Odpowiedział Władysław, że Kaźmirz, obrany przez naród, prawnie tron zajmie, wojny się nie lęka, a praw Alberta nie uznaje. Po tej odpowiedzi, Albert ubiegł Pragę, tam ukoronować się kazał, wojsko z Niemiec i Węgiei sprowadził. Do bitwy wszakże walnej nie przyszło, z powodu braku żywności; rycerstwo polskie, część Śląska zajmwszy, wróciło do domów.

Znów przeto zamysły królowej Zofii jakoby porażki doznały; lecz była to pani, zwłaszcza, jeśli o synów chodziło, woli nieugiętej, przebojem dążąca do celu. Tak wykręciła rzecz całą, że sprawa korony czeskiej znów podczas wiecu w Piotrkowie podjęta być miała. Wobec tego nie na rękę jej było rozpocząć z Melsztyńskim, gdyż to mogłoby uwagę ogólną od załatwienia się z Czechami odwrócić, a nawet myśl tę pogrzebać zupełnie.

Każmirza tron czeski nie nęcił. Marzył o Litwie ukochanej, o jej puszczech leśnych, pełnych turów brodatych, odyńców, rysiów i innej zwierzyny, która się wśród niedostępów ukrywała, osłaniana nieprzebytymi bajorami i rozrostłymi piersiami dębów sędziwych, w płaszczach ze mchów; o gajach nigdy świętych, w których słowiki zawodziły cudne pieśni podruzgotanym Perkunom, dawnym władcom tamtejszych obszarów; tęsknił do pieśni, pełnych nieokreślonego smętku; do obyczajów prostych, szorstkich, zabarwionych jakąś tajemniczością; do *żiniu karaliste* (królestwa czarów), o którym tak składnie umieli opowiadać starce srebrnówłosi.

Bo skłonność do zabobonu, do rzeczy nadprzyrodzonych, po ojcu odziedziczył. Całemi godzinami, kiedy tylko mógł, zatrzymywał przy sobie ślepców litewskich i baśnie kazał im prawić. O czym oni nie wiedzieli... *Kaip Panas Dievas ubagais zje* (jak Pan Bóg zebrał); *Kaib ragana mokin savo vaika* (jak czarownice uczy swoje dziecko); oni go nauczyli starolitewskich modlitw pogańskich, zamawiań i błogosławieństw.

Baczył jednak, aby pociągu do zabobonności nie

zauważono, nieraz już bowiem ochmistrz duchowny karcił go przycinkiem za odprawianie „nabożeństwa pogańskiego“.

Gdy mu Władysław powtarzał:

— Czekaj, Każku, trocha, a królestwo ci wywojuje... Istny raj mieć w Czechach będziesz. Tobie wśród ludu czeskiego żyć, pod jasnym niebem, wesoło, a nie tam, jak na Litwie, gdzie chmury z ołowiu zamiewają słońce, a ludzie niedźwiedziem patrzą...

Każmirz marszczył się, usta zaciskał, mrużąc:

— A kysz! a kysz! Jeszcze mi do Czech daleko, a już mi kółkiem w gardzieli stoją. Gdybym mógł, ostawiłbym ci tę koronę czeską i podziękował za to, żeś ją wziął. Pachnie mi Litwa, bom Litwin i za złe ci uważam, że kraj swój tak poniewierasz... Bo i ty chyba krwi litewskiej się nie wyrzeczesz?

— Mowy nawet o tem niema! — tłumaczył się Władysław. — Zważ wszelako, że starunek o potęgę Polski Litwę także potężniejszą czyni. Powtarza to nam matka, biskup Oleśnicki, mistrz Grzegorz i każdy zresztą. Obowiązkiem jest synów puścićnę po ojcach przysparzać...

— Ano dobrze. Powiedz jednak, co będzie, jeśli przez objęcie Czech krzywda się Litwie stanie?

Nie stanie, Każku mój! — zapewniał Władysław. — Czym to ja malowany?

Ramionami wzruszył Każmirz.

— Albo ci to w Polsce usiedzieć pozwolą? — rzekł. — Ciebie, wiesz o tem przecie, na Węgrzech chcą osadzić... Obydwaj będziemy mieli ręce spętane...

— A biskup? A rada koronna? — rzucił król. — Juści to taki obyczaj, żeby panowie radni za królów myśleli...

— Zły to obyczaj! — mruknął Kaźmirz. — Kto koronę nosi, sam w garści wszystko trzymać winien. Tak — wszystko i wszystkich!

Mówiąc to, twarz miał nad wiek poważną, policzki mu się wydłużyły, a mięśnie jakoby się przeobraziły w stalowe. Władysław, niechętny w dociekania się zapuszczać, dłonią machnąwszy, biegł pomiędzy rycerstwo z łuku lub procy groty ciskać, miecza próbować, konia zażywać, o bitwach rozprawiać, lub Ademara słuchać, w którego pieśniach i głosie nader by sobie upodobał. Często też ze Świdwy żartował, wymawiając mu jednoocześnie dobrowolną; to znów wypytywał go o cudzoziemskie obyczaje rycerskie. Wszyscy serdecznemu panu ulegali chętnie, bo coś miał w sobie, co mu ludzi jednało.

Zbigniew z Oporowa, po kilku tygodniach pobytu na dworze, pozór wymyśliwszy, że to rzekomo do macierzy zajrzeć musi, dostał pozwolenie na wyjazd z Sulimą i Świdwą, z tym warunkiem, żeby przed zjazdem w Piotrkowie z powrotem się stawili. Atoli Władysław, udzielając im tej łaski, lutnistę przy sobie zatrzymał.

— Może to Świdwa ode mnie was wyciąga, żeby swego miłowania szukać — mówił śmiejąc się. — Pewnie tak, bo mu trudno okiem jednym dobrze pozierać, więc pomocy mu trza... Ale jeśli on mnie waszego towarzysztwa pozbawia, niechże za karę bez pieśni się obchodzi. Wiedźcie, jakim srogi!

Juścić łatwo się dorozumieć, że Zbigniew nie do macierzy, jeno do Ossolina, do Halszki Toporzanki podążył, czego jednak królowi nie wyznał, wiedząc, że do gładkich liczek łatwo, chociaż bardzo młody, się za

pala; nie chciał tedy na swoją głowę nieprzyjemności jakiej, albo zgoła nieszczęścia ściągnąć, co mu też przyjaciele pochwalili.

Z panami swoimi wybrali się także nieodstępni Paluch i Srokacz, oraz kilku jeszcze ludzi, bo w domu kasztelana wiślickiego (rodzic Halszki tę właśnie godność piastował) wypadało stawić się dworno, osobliwie takiego rodu i takiej możności rycerzom. Paluch wybierał się ochoczo, czując się bezpiecznym i wiedząc, że w Ossolinie Kostuch, acz zrzęda, nie omieszka go przyjąć z należną gościnnością.

— Nie źle mi—zwierzał się w drodze Srokaczowi—z łaski króla miłościwego i mojego pana, w Krakowie; grzechem byłoby się uskarżać; ale dobrze jest coś niecoś się przewietrzeć i z innego pieca chleba zasmakować. Taka ciekawość do zdrowia pomaga i zdrożną nie jest. Siedząc w miejscu, człowiek kiśnie, pamięć traci i wigor wszelaki. To masz wiedzieć, Srokaczu miły, chociaż wątpię, czy zrozumiesz, bo inszy baran lepszym niż ty łbem pochwalić się może.

Srokacz, który już doskonale wiedział, jak ma zająć grubasa, żeby mu pięknem za nadobne odplacić, ozwał się, niby całkiem bez żartobliwości:

— Mówiłeś kiedyś, że kamień na miejscu obraża... Jam wówczas przeczył, ale teraz przyznam, że co do tego, masz słuszność...

— Ale ot! Mówiłem, że psiej wełny nie wartają peregrynacye gdzieś tam za góry, za rzeki, do krajów wiary pogańskiej, w których szatan gospodarzy, a wiedźmy do traktamentu zapraszają. Mówiłem i to samo powtarzam. Ale taka per grynacya, jak teraz

oto nasza, zupełnie insza rzecz. Człowiek pewność ma, że wróci syt i wesoły.

Gestem zaprzeczył Srokacz i dodał:

— Wie, albo i nie wie.

— Jakto nie wie?—rozśmiał się tłuścioch.—Myślisz, że Ossolina nie znam? Daj mi Boże podobnych gościń do końca życia! Lipiec mają taki, że głaszeze po wnętrzu, a piwo piękniejsze melodye w brzuchu wyprawia, niż on grzywiasty wyjec zamorski twego pana. Oho! Mnie wierzyć można!

— A słyszałeś przecie, że łotrzyki całemi gromadami się włóczą po wszystkich gościńcach, bo Melsztyński ich zewsząd do Polski spędził i przykazał, aby wszystkich, którzy z królem i biskupem trzymają, na pal wbijali!

— Niechże jego samego szatan wbije na szczyt wieży Panny Maryi!—wzdrygnąwszy się mimowoli, wykrzyknął grubas.

— Z Melsztyńskim strach. Jeśli jego zauszników unikniem — to spotkamy się z nim samym w Piotrkowie. Głośno gada, że z siłą przyjdzie srogą i pasy drzeć z nas będzie...

Dlaczego z nas? Z ciebie, jak z ciebie, mój Srokaczu, ale dlaczego ze mnie? Do kata! Zawdy coś powiesz, aż w krzyziech łupnie...

— Z nas, bo tam pojechać musim, a bez przeprawy z nim się nie obejdzie.

— Niechże go wprzód na tamten świat przeprawią! Należy się wszetecznikowi temu...

— A może też w insze ręce lada chwilę wpadniem — dogadywał wciąż przekornie Srokacz.

— W czyje znów? — sarknął Paluch. — Zapamiętałeś się, Srokaczu, chociaż całe chłód na dworze.

A Srokacz nachylił się do niego i szepnął:

— Jakże? Zapomniałeś już o Rawitach? Wszak-  
ci jednemu z nich krwawą sprawiliśmy łaźnię, a tacy  
odplacają z nasypem... Potępieńcy są!

— Dla Boga, wypluń zaraz, coś powiedział, Sro-  
kaczu! — przerwał mu Paluch wystraszony. — Aleć  
przecież my nie sami...

— Myślisz, że oni sami chadzają? Osobliwie te-  
raz, gdy nas wietrzą (co jest z wszelką pewnością...),  
należycie się do odwetu przygotowali... A zważ, że pono  
nawet w pobliżu Konar, zamku, gdzie stary Grot prze-  
siaduje, mamy przejeżdżać...

— Trąd z gęby wypuszczasz, który bodaj zmar-  
niał, czego i Rawitom po chrześcijańsku życzę.. Tfu!  
tfu! Człowiecze... takieś mnie całego skwasił, że gdy-  
bym teraz miodu nawet z królewskiej piwnicy się na-  
pił, strułbym się niezawodnie... Katem ojciec twój mu-  
siał być, od niego przejąłeś upodobanie ludzi na męki  
brać... Urojone strachy wymyśla i rad temu. Szelmą  
ostatnią trza być...

— Nie gadaj hoc,—aż przeskoczysz...

— Hocaj sobie, kiedyś taki żwawy, a ode mnie  
się odczep.

— Naści za radę przyjacielską! Ja cię przecież  
ostrzegam, boś wówczas młodemu Rawicie najbardziej  
nadogryzał; mówię tedy: teraz miej się na ostrożności,  
bo on naprzód się do ciebie weźmie...

— A do niego niech się całe piekło, z wszystki-  
mi szatanami i potępieńcami, weźmie! Dość już! Zanie-  
chaj! Słuchać o tym wilkołaku nie mogę...

Rozśmiał się wtedy Srokacz i rzekł:

— Trzymaj duszę swoją, bo ci już na ramieniu siedzi... Zakuty z ciebie chłopisko! Lada baba wrze-  
cionem za dziesiątą granicę cię wysforuje. Siłacz je-  
steś, zuch, ale w języku—przy misie i pełnym dzbanie.

Koso oczyma łypnął Paluch, srożył się, ale śnać  
rozmyśl mu przyszedł, że ze Srokaczem zwada niepo-  
tem, tedy bez gniewu odparł:

— Gadasz sam nie wiesz co... Dusza moja zaw-  
dy w swoim miejscu przesiaduje i jeszcze się ten nie  
urodził, ktoby ją na ramieniu mojem widział. Znają  
Palucha ludzie! Wiedzą, że z nim nie przelewki. I ty  
się, Srokaczu, przekonasz, jak się sprawiam, gdy krew  
we mnie zagra. Straszny jestem wonezas, na nie  
nie zważam... Jeślim się teraz trocha zmarkocił, to  
dlatego, żeś plółł to i owo... Zmarkociłem się, ale nie  
zestrachalem. Chociażbym się nawet i wzdrygnął, to  
nie wstyd, bo insza rzecz do czynienia mieć z takim,  
co mi wprost do oczu staje, a insza z potępieńcami,  
którzy z mocą szatańską kmoterstwo trzymają. Na to  
baczyć trza...

— Kręcisz, ale nieraźnie ci idzie! — zauważył  
drwiąco Srokacz.

— Oto nie kręcę, całkiem składnie rzecz wypo-  
wiadam — bronił się gorąco tłusćcioch. — Jeśli strach  
uczulem, to nie o własną skórę, bo wiem, że do niej  
trudno trafić; lęk mnie zdjął o pana Zbycha, dla któ-  
rego, zaiste, jako rodzic i macierz jestem. Toćże to  
mój wychowanek, źrenica mego oka. Pod moją pieczę  
wyrósł, jam go na rycerza ułożył, że równego, choć-  
byś świat zjechał, nie najdziesz. Zda mi się jakoby  
moja krew w nim płynęła... Skoroś, Srokaczu miły,



o onych potępieńcach (bodaj sparszywieli) wspomniał, zarazem sobie pomyślał: a nuż nas w mocy wielkiej napadną, mogliby krzywdę panu Zbychowi zadać... Boć na niegoby się cisnęli, nie na mnie. Sam słyszałeś, jak się on młody wilkołak (bodaj go zła krew zalała!) wykrzykiwał, że porachunki z nim ma... (Oj! porachowałbym ja ci pacierze na grzbiecie, taki a taki synie, żeby lepiej ich żarna nie zmełły!). Tedy o pana Zbycha markotność mnie zdjęła, w czem nie zdrożnego niema. To trudno,—kto kogo miłuje, ten się o tego troska. Jabym się tobie, Srokaczu, nietylko nie dziwił, gdybyś zmarkotniał, przeczuwszy, iż mnie coś grozi, bośmy przecież druhowie...

Odechrząknął i nachyliwszy się do towarzysza, ciszej dodał:

— Nawet poproszę cię (bo ty masz serce, jenoś w gębie sromotnie swarliwy...), poproszę cię, żebyś w potrzebie baczył na mnie. Widzisz... ja o sobie pamiętać nie mogę, pana Zbyszka na oku mieć muszę... Obowiązek to mój święty. Zaprzysiągłem jego rodzicowi, gdy z tego świata odchodził; także zaprzysiągłem macierzy jego, gdyśmy z Oporowa się wyprawiali: że strzedz go będę, jak najdroższego skarbu,—więc słubowania dotrzymać trzeba. Jakże Srokaczu, prawda, że to uczynisz?

-- Niby co? — zapytał przemyślny Srokacz, bawiac się strachem grubasa.

— Udajesz, żeś z cichapek, a ty... obo! Dość ci dwie słowie. Ano, toć jasno, że kiedy ja sam na siebie baczenia dać nie mogę, tyś winien krokiem mnie, druha mój, nie odstępować. Przyjdzie pora, z nasympem ci odslużę. Wiesz przecie: ręka rękę... noga nogę...

— Juści nie odstąpię, Bartosie, i przypatrować się będę, jak z Rawitami się zewrzesz, bom okrutnie twojej sprawności ciekaw — odparł Srokacz. — Tyleś o niej powiadał, że uważam, jako nauczyć się można od ciebie brania do rzeczy.

Nosem czmychnął Paluch i mruknął:

— Tobie wesółkiem być i na mieszczańskich godach za łyżkę barszczu krotchwile trefne wyprawiać...

Odwrociwszy się, jechał pewien czas w milczeniu, śnać rozmyślając o tem, co mu Srokacz w głowę nakładł. Wreszcie, nie mogąc dłużej przyrodzonego na wodzy utrzymać gadulstwa, znowu do przyjaciela się zbliżył i zagabnął z wahaniem:

— Słuchaj jeno, Srokaczu miły... te, jakże zowią, Konary (żeby się w ziemię zapadły!...) dalekoż od nich jesteśmy?

— Nocą nam przejeżdżać około nich wypadnie — odparł Srokacz.

— Jakto nocą? — podchwycił tłusciuch z ożywieniem. — Jeszcze czego! Noc od spania jest, a nie od włóczęgi. Przecież trafić się musi do wieczora jakaś gospoda zacna, gdzie bezpiecznie głowę złożyć będzie można, albo też dwór grzeczny. Kto słyszał po nocy harce wyprawiać w polu o tak burzliwym czasie? Ja na to oskomy nie mam. Nocą tylko więdźmy na ożogach hareują i moce nieczyste... Żeby jeszcze nas kto w kark pięścią tłukł, ale przecież nie do ognia jedziem. Cały dzień stercz na człapaku, aż się kości rozchwiewają, jeszcze i w nocy ma być to samo? Człek nie z drewna!

— Ja także wolałbym wypocząć, jako się patrzy

i godzi, ale twojemu panu pilno — zauważył Srokacz. — Obaczysz, że nam nie pozwoli noclegować, jeno dalej popędzi.

Popędzi albo nie popędzi — mruknął Paluch i sparszył konia, do pana swego się przysunął.

— Czego ci brak? — zapytał Zbigniew.

— Proszę waszej miłości... — począł zachodząc z boku Paluch — a gdzie nam nocleg wypadnie?

— Gdzie Bóg da. Czemu się pytasz?

— Sługa przezorny zawdy o wygodzie i bezpieczeństwie pana winien pamiętać, a że, proszę waszej miłości, o bezpieczeństwo w tych czasach i w tych stronach, osobliwie dla nas, zgoła trudno, o czem miłość wasza, ile miarkuję, sam nie pamięta, tedy przypominam, iż na nocleg trza wybrać miejsce pewne.

— Co ci się znów przytroiło, skórko zajęcza? Skąd ci niebezpieczeństwo? W twoim łbie ono chyba!

— Pokornie dziękuję waszej miłości za podarunek. Skórka, bodaj zajęcza, przed zimą się przyda, a co się tyczy łba mego, juści w nim nie siedzi, jak nie przymierzając u waszej miłości, żadna faramuska ze ślepkami by tarki, jeno rozsądek, który baczy, by Pana Boga o spuszczenie złej przygody nie kusić...

— Nie kuśże ty mnie do zamknięcia ci tyrkotliwej gęby! — przerwał Zbigniew. — Myśli jeno macisz.

— Klaruję, nie macę — przerwał tłusciuch, na groźbę nie zważając. — Chyba wasza miłość tego nieświadom, że nam droga około Konar wypada?

— Cóż z tego?

— Wiele z tego! Bo w Konarach siedzi stary Rawita, którego wnuka wasza miłość usiekl. On mło-

dy potępieniec poczęstunku waszej miłości nie daruje, a pono coś z dawnego do jegomości ma...

— Krztuś prędzej, bo nudzisz!

— Owo, kto wie, czy się o naszej wycieczce do Ossolina nie przewidział i gdzie w stronie Konar sieci na nas zdradzieckich nie zastawił... Może to być.

— A może... To się okaże.

— Wasza miłość tak lekko do serca takie sprawy bierze? — gorąco jął perswadować grubas. — Panie! panie! Miejcież Boga w sercu i zastanowienie! Przecież jeśli się Rawita na nas zasadził, to nie z gołą pięścią, ale z gromadą srogą takich, jak on, wisielaków... Waleczny z was rycerz, trudno wam sprostać, wszelako gdy się siła na jednego zbierze, i najwaleczniejszy oberwie... Mieliśmy jechać do Ossolina, a ja widzę, że albo wcale tam się nie dostaniem, albo z guzami...

-- Nie twoja w tem głowa...

— Aha! nie moja! Niby to on wilkołak głowy mojej oszczędzać będzie. Do mnie pierwszego się zabierze, bom mu dogodził. Wprawdzie nie mieczem, jeno słowem, ale zapisał on to sobie w pamięci...

— Wracaj tedy do Krakowa, skoro tak się Rawitów strachasz, a mnie głupiem gadaniem głowy nie zaprzataj.

Odprawiony tak szparko Paluch odął się, w bok odjechał i w duchu się użalał na pana Zbigniewa, że pomiarkowania żadnego nie zna:

— Halszka mu rozum zaćmiła tak, że nie po za nią nie widzi. Nie moja w tem głowa! Juści nie moja będzie, jeśli mi łeb, przez jego zaślepienie, on wilkołak zetnie. Boże miłosierny,—spraw, aby nas ci prze-

kłębicy, jeśli gdzie na drodze dybia, prześlepił! Już-  
bym świecę wielką na ołtarz patrona mego świętego  
ofiarował...

— A co? Cóżes wskórał z swoim panem? — za-  
pytał Srokacz, w bok go trącając.

— Co? Tom wskórał, co z każdym, któremu  
dziewka w łbie klepki pomieszała... Aleć jeszcze do  
wieczora daleko, może też się rozmyśli i rady usłucha.  
Dobrzebys zrobił, Srokaczu miły, panu Świdwie pod-  
suwając, jako szaleństwem jest bezpieczeństwa nie sza-  
nować... Najlepiej na inną drogę skrócić, jak najdalej  
od onych przeklętych Konar (żeby je smoła piekielna  
zatopiła!). Uczyń to!

— Niechże mnie Bóg bron! Pomyślałby mój je-  
gomość, że mnie tehórz bierze... Co będzie, to będzie.  
Nie frasuj się Bartosie! Panowie nasi dostoją, ty się  
też nie dasz...

— Że się dawać nie będę, wiadomo; ale czy oni  
mnie nie wezmą, o tem dużoby gadać. Ckliwo mi ja-  
koś, a to zła wróżba...

— Et! Bartosie... rozważywszy dobrze—za jedno  
człowiekowi dziś, czy jutro umierać! Pluń na to  
i basta...

— Plwaj sam! Mnie śliny szkoda. Patrzajcie  
go: za jedno mu, kiedy życie straci. Ale mnie, mój łbie  
barani, nie za jedno, żebyś o tem wiedział!

Przez całą drogę Srokacz grubasa straszyl, omal  
duszy z niego nie wypędzając, to też Paluch radośnie  
wykrzyknął, gdy Ossolin ujrzał. Wnet otucha w nie-  
go wstąpiła, pełną odetchnął piersią, fantazyę odzyskał  
i już o żadnych obawach nie wspominał, nawet junacko  
rzekł:

— Ano, mogą teraz Rawici walić na nas całą gromadą. Ossolin warowny, a przy panu kasztelanie ludzi podostatkiem. Widzisz, Srokaczu, takieś się lekkał, a jednak zdrowo przybywamy... Choćby nas byli w drodze zaczepili, nauczylibyśmy ich, co to nas kasać! Tyś już ze strachu ostatni dech wypuszczał, aż mi było wstyd za ciebie. Ale przy mnie i przy moim panu włosby ci z głowy nie spadł...

— To ja się strachał, a ty? zapytał Srokacz, śmiejąc się.

— Ja? Alboż mnie kto kiedy zestrachanego widział? — odparł buńczucznie Paluch. — Bywa, że podczas udam obawę, ale dlatego, żeby się kosztem innych zabawić, choćby na ten przykład... twoim.

— Poczekajże, bratku! — rzekł do siebie Srokacz — zakarbuję ja sobie w pamięci i nie wiem czem będę, jeśli się twoim kosztem nie zabawię.

Przyjął kasztelan gości nader serdecznie. Był to mąż w latach podeszłych, ale od zgrzybiałości daleki; postawę miał wspaniałą, wyraz twarzy szlachetny, spojrzenie jasne, pogodne, świadczące, że żywot pędził w poczciwości i na sumieniu swoim krzywdy ludzkiej nie dźwigał. W mowie trocha był szorstki, ale szorstkość ową z obozów wyniósł, bo na wszelkie wyprawy rycerskie rad chadzał i wołał, sam mówił, spoczynek w namiocie, niż w domu, na łożu. W pożyciu z ludźmi nie było nad niego lepszego człowieka. Pod twardą powłoką rycerską, kryło się serce jeno prawdę znające i ku niej skłonne, a przytem miłosierdzia pełne. Dbał o godność rodu, o jego niepokalaność, ale przedewszystkiem dobro ojezyny na pierwszym stawiał miejscu i umiał dla niego widoków osobistych się wyrzec.

Słowem był pan z Ossolina postacią czeigodną, słusznem uznaniem się cieszył, a słowo jego miało w radzie koronnej, bądź też u dalszych i bliższych sąsiadów, znaczenie poważne.

Trza wiedzieć, że główna możnowładztwa małopolskiego potęga spoczywała wówczas w dwóch społecznościach rodowych, w szeroko rozrastających się domach dwojga najslawniejszych w tej stronie znamion herbowych \*): Topora i Leliwy. Pierwszy z tych herbów, inaczej Starzą zwany, rozszczepił się w ciągu wieków w dwa różnoimienne, lecz zawdy spólnością przywilejów i sprawy połączone klejnoty: Topór i Stary Koń, albo Zaprzaniec. Rozszczepienie zaś owo z tego wynikło powodu:

Za czasów Bolka Krzywoustego, jedna z gałęzi rodu Starzów składała się z sędziwego już ojca i trzech jego synów: Sędziwoja, Nawoja i Żegoty. Siedzieli oni z prastarych czasów podług Krakowa, posiadali mnogie włości wzdłuż Wisły, a było to gniazdo tak rozrodzone, że gdy zapalono wici na wojnę i okrzyknięto: „Starża!“,—tysiące ludzi stawało pod tem zawołaniem. Z onych trzech braci Starzów, Żegota okrutnie był świata ciekaw, prosił tedy ojca, aby go puścił po obcych krajach się rozejrzeć, ale stary na to:

— Siedz doma, masz tu co do roboty.

Żegotę przecież korciła chętka poznania stron cudzoziemskich, tedy cichaczem, nikomu się nie zwierając, konia sobie ułożył, porządek rycerski przygotował i rana pewnego już go w domu nie było. Pojechał do Niemiec, tam do oddziału cesarza Henryka się zacią-

---

\*) Szajnócha, Paprocki.

gnął, z nim też aż do ziemi italskiej chadzał wojować i przeciwko Frankom. Siła czasu po obcych stronach się włóczył, wreszcie tęsknica go dojechała za domem. Jakoż wrócił, ale ojca już nie zastał przy życiu, a bracia przyznać go za swego nie chcieli.

— Tyś nie Żegota — mówili — nie nasz rodzony Żegota dawno już temu na obcej ziemi usieczon został w boju, o czem świadectwo mamy.

Strapił się mocno Żegota, ani się spodziewał od braci takiego przyjęcia, ale jeszcze co gorszego spotkać go miało. Usiłował do ich serca przemówić... gdzie tam! Jeno się na szyderstwo i naigrawanie naraził. Wypierali się zaś owi bracia niedobrzy krwi rodzonej, dlatego, że żal im było oddawać Żegocie należną mu część ojcowizny, którą już pomiędzy siebie byli rozdzielili. Przyszło w końcu do tego, że chcąc się od niego zabezpieczyć, do lochu go wtrącili i postanowili trzymać tam dopóty, dopóki się nie wyrzekł siebie albo też marnie nie zginął. Aliści Bóg srodze ukarał złych braci, bo oto znaleźli się słudzy, którzy poznali Żegotę i litując się nad jego losem, dali znać królowi, jaka mu się dzieje krzywda. Bolesław Krzywousty gniewem zawrzał, sam zjechał do Starzów, kazał Żegotę z lochu wyprowadzić i stanąć przed sobą, aby wykazał, jako sprawiedliwie za Starzę się podaje. Uczynił to Żegota bez trudności, a król przekonany natychmiast braciom część ojcowizny należną mu wydzielić kazał i za poniewierkę zadosyć uczynienie dać. Wówczas Żegota tak się ozwał:

— Część ojcowizny, miłościwy panie, wezmę, ale braci znać nie chcę i zawołania z nimi trzymać nie będę.



dę. Wolę się zwać od starego konia, co mi służy tyle lat pocziwie.

Jakoż przezwiał się Zaprzańcem, obrał sobie zawołanie Stary Koń i dzieciom to imię przekazał.

Atoli, jak się rzekło, spółność przywilejów i sprawy zawdy jednoczyła te klejnoty; ródy Toporów i Zaprzańców wzrastały w potęgę i doszło do tego, że przed usamowolnieniem szlachty w Koszycach, przyznano im prawa i przywileje książęce, jakich żaden ród inny nie posiadał. Zwłaszcza mieli Toporowie i Zaprzańcy wszelką władzę sądowniczą nad swymi kmiećmi, a gdy za króla Kaźmirza Wielkiego mieszczanie lelowscy pozwali kmieci Jana Płazy, Zawiszy i Jana Nekandy z Grzegorzowic, Płaza, stanąwszy przed sądem, oświadczył, że wszyscy trzej wymienieni dziedzice są Toporezykami i Staremi Końmi; że pochodzą od jednego przodka i od jednej prozapii; że używają oddawna wszyscy jednego prawa, jako nikt, — ani sam król jegomość, ani sędzia, ani podsędek, ani ktokolwiek z wojewodów i kasztelanów, ani jakikolwiek oprawca nie ma władzy sądzić ich kmieci i służebników, jeno oni sami. I Płaza dowiódł tego przywileju zaenymi i wiarogodnymi świadkami, jako to: Andrzejem wojewodą krakowskim, braćmi jego, Jaśkiem Owcą i Januszem z Morawic, Gniewomirem i Tomkiem Żrebem z Miedźwiedzia, oraz wielu innymi. Król Kaźmirz kazał wówczas wydać Toporezykom nowy przywilej, potwierdzający ich władzę sądowniczą nad kmiećmi.

Juści za takim możnowładztwem szła często bądź zuchwałość nadzwyczajna, bądź chciwość niepomiarowana, a przykładem może służyć Toporezyk Otto ze Szczekarzewic, w ziemi lubelskiej, nad granicą li-

tewską, za Kaźmirza Wielkiego zamieszkały. Dał on się uwieść pokusie i żeby zabezpieczyć włości swoje od napadów Litwy, związał się z nią, a nawet służył Litwinom za przewodnika podczas ich napaści na Małopolskę. Kiedy zdrada się wykryła, król Kaźmirz odebrał zdrajcy wszystkie włości, a że kara podobna także za inne paść mogła wykroczenia, tedy odtąd starali się wiece Toporezykowie o niepokalaność herbu. W tym celu sami sędzili między sobą wszelką winę i prowadzili dzieje spraw swoich niemal od początku Polski, do których zapisywali każdy chwalebny bądź naganny czyn Toporezyków, a skutkiem tego żaden splamiony jakakolwiek zdrożnością brat herbu nie śmiał stanąć w domu krewnych, ani wrócić do domu po dopuszczeniu się winy. Zdarzyło się oto za Kaźmirza Wielkiego, że jeden z nich, Nawój z Tęczyną, wyprowadziwszy oddział zbrojny na nieszczęśliwą wyprawę bukowińską, rozбитý z całym wojskiem królewskim przez Wołoszę, w trwodze powszechnej pierwszy tył podał, ale z trwogi ochłonawszy, uczuł się przejęty takim sromem, że nie chcąc się pokazać ojcu ani braciom, uszedł z Polski aż do Rzymu i tam sukienkę duchowną przywdziałwszy, wrócił do ojczyzny wtedy, gdy godność kanonika krakowskiego uzyskał.

Najświetniej się z rodu Toporezyków rozwijały domy Tęczyńskich i Ossolińskich, pochodzące od jednego i tego samego przodka, Nawoja, który się piisał z Przegini pod Krakowem, a był wojewodą sandomierskim za panowania Łokietka. Na rok przed koronacją tego króla, pozwolił Nawój komornikowi swemu, Sandowi, w Przegini, w lesie zwanym Tęczyno, założyć wieś, która miała się rządzić prawem nie-

mieckiem. Także około tego czasu sam wojewoda zbudował w onym nowym Tęczynie, na znacznej wyniosłości, zamek wspaniały. Zamek wkrótce przyćmił Przeginię i już synowie Nawoja (dwóch ich było) nie chcieli się zwać od dawnego, ubogiego gniazda, ale jeden z nich, Andrzej, wojewoda krakowski, począł się pisać z Tęczyna; drugi zaś, Jaśko Owca, piastujący za króla Ludwika godność marszałka koronnego, wybudował sobie Ossolin i od tej miejscowości się nazywał. Za województwa Andrzeja, ród jego był najmożniejszą gałęzią Toporezyków. Gdy królowi przyszło ciągnąć na Bukowinę, wszyscy Toporowie stanęli pod chorągwią Tęczynskich.

Po śmierci wojewody Andrzeja, sława Toporezyków nieco przygasła, ale wojewodzice wszelkimi siłami starali się ją do dawnej przywrócić świetności. Nie powiodło się to starszemu Nawojowi (onemu zbiegowi z Bukowiny, któren zbroję rycerską na suknię kanonika krakowskiego zmienił), natomiast dokonał tego młodszy Jaśko, kasztelan wojnicki, a za sposobność ku temu obrał oddanie się sprawie królowej Jadwigi. Tę również drogę, w celu podniesienia świetności rodowej, obrał inny Toporezyk, Sędziwój, wojewoda kaliski i starosta generalny krakowski, od którego dom Szubińskich poszedł. Był on z początku stronnikiem dworu Ludwika i doradcą Zygmunta, ale podczas zjazdu w Radomsku, połączył się ze stronnictwem narodowem. Otrzymał godności wysokie, posiadając zaś umysł niepospolity, istotnie rodowi Toporezyków nowej chwały przysporzył.

Atoli największe zasługi co do tego położył Otto z Pilicy, wojewoda i starosta sandomierski, pan mo- żności nadzwyczajnej, który domowi Pileckich dał po- czątek. Za czasów Kaźmirza Wielkiego i z jego roz- kazania, należał do sprawy z biskupem krakowskim Bodzantą, w której to sprawie, za pociąganie kmieci biskupich do danin i robocizny dla korony, i on sam, i król popadli kłątwe kościelnej, a za doręczenie kró- lowi wyroku kłątwy, wikary katedry krakowskiej, Ba- ryczka, do Wisły wrzucony został. Potem, za królo- wej Elżbiety, z jej rozkazu, udał się Otto do Wielko- polski, jako starosta generalny, ale nie miał tam za- chowania, mimo hojności, nawet mimo rozrzutności swo- jej. Wrócił tedy na województwo sandomierskie i w dzie- dzicznym grodzie swoim, Łańcucie, wraz z małżonką, najczcigodniejszą z ówczesnych matron polskich, przy- szłą matką chrzesną rodu Jagiellońskiego, dwór nad- wyraz okazały utrzymywał. Panował tam niby król, otoczony dworzany i domownikami, którzy sami też byli panami dziedzicznymi, a także mając na zawoła- nie licznych urzędników, sołtysów i włodarzy, którzy mnogimi włościami, należącemi do kluczów: Pileckie- go, Łańcuckiego i innych, zarządzali. W tym czasie ów możnowładca zakładał coraz to nowe osady, miał pieczę o dobrach królewskich i niezmierne bogactwa gromadził.

Wszystkie zaś skarby i zaszczyty objąć miała dziedzictwem córka jedynaczka, która, wedle zwyczaju małopolskiego, tem świetnem wianem z kolei obdarzyć miała małżonka przyszłego. Toporezykowie wszyscy jako jeden mąż, czuwali nad tem, żeby on małżonek nie był innego herbu; z tego też powodu bacznie strze-

ono w zamku pileckim bogatą dziewczkę. Ale dla chciwości ówczesnej nie istniały dość warowne zamki. Wkrótce rozpoczęły się istne wyścigi o rękę „Złotej Elżki“, które trwały niemal przez całe jej życie. Więc naprzód uwiózł ją z Pilicy, serce pozyskawszy, jakiś Wisław, rycerz z Moraw; temu odbił ją inny Morawczyk, Jańczyk Hyczyński; gdy zaś Wisław zwrotu małżonki się domagał, Jańczyk śmierć mu zadał i sam z Elżbietą się ożenił. Elżbieta po kilku latach owdowiła, wtedy do opieki nad nią urosił sobie prawo jeden z możniejszych Leliwitów i przemocą wydał ją za kasztelana nakielskiego, Wincentego z Granowa, swego powinowatego. Wreszcie sam król polski, stary wdowiec, połakomił się na skarby Elżbiety, pojął ją za małżonkę i obok siebie, na tronie, posadził.

Takimi oto rodami szczyła się społeczność herbu Topór, do której pan z Ossolina, ojciec Halszki naderobnej, należał. Niedziwota, że zabiegał, ile możliwości, aby oną świątynią klejnotu godnie podtrzymywać, co mu się też pomyślnie darzyło. Oprócz Halszki, Bóg mu dał syna, którego Janem nazwał i do stanu duchownego przeznaczył. Jakoż syn, święcenia kapłańskie otrzymawszy, na parafii dostatniej Dwiekozy osiadł, a rodzic wiele sobie po zdolnościach jego obiecywał, marzył nawet o infule biskupiej dla niego, która zresztą w domu Toporezyków osobliwości nie stanowiłaby żadnej.

Leżał Ossolin w miejscowości skalistej i, jak wszystkie osady panów możniejszych, dobrze był zabezpieczony od wszelkiej napaści. W czasach niespokojnych, kiedy siła przeciwko sprawiedliwości się buntowała; kiedy lada chwila nieprzyjaciel mógł jakoby z pod ziemi wyrosnąć; kiedy na dostatki czyhali nie-

tylko obcy, ale i swoich chciwość do wydzierania ich bliźnim bez żadnego powodu, bądź też z powodów urojonych popychała: trza było przezorność i baczność zachować każdemu, tembardziej mężowi takiemu, jak kasztelan wiślicki, który, według opowieści, złoto, perły i inne klejnoty korcami mierzył. Uplęnęło tedy nieco czasu, zanim się goście dostali do zamku, bo musieli się naprzód otrąbić, potem wrotnemu opowiedzieć, wreszcie w izbach, przez marszałka im ofiarowanych, roztasować i tam szaty przystojne, miasto podróżnych, przywdziać.

Jednym z pierwszych, który ich przywitał, był Kostuch. Ten zwykłej gderliwości na razie zapomniał i rozrzewnienia nie tając, szepnął do Zbigniewa:

— Nareszcieśmy się miłości waszej doczekali! A czas był srogi, bo jego cześć, pan kasztelan, to i owo myślał, nawet wąsa już motał... Gdy zaś on wąsem bawić się pocznie, to nic dobrego się nie spodziewać...

— Jakoś się to wszystko uładzi, staruchu mój— odparł swobodnie Zbigniew—potrafię ja przed kasztelanem się sprawić tak, że burza pomiędzy nami się nie porwie. Cóż Halszka?

Ręką rzucił Kostuch.

Ot... po swojemu dokazuje, a na wszystko jej wolę dają. Nad rodzicami to oczko w głowie przewodzi, jako chce.

— Niech dokazuje, póki ma czas — wtrącił Paluch. — Skoro czepiec włoży, jużci figłów, ze stanem białogłowskim niezgodnych, jej się odechce. Za ciężką się stanie do skoków w kniei.

— Gdzieby ona tej krewkości się pozbyła!—mruknął Kostuch.—Natury nie przerobić...

— Sama się natura przerobi, a możesz mi wierzyć, że się tak stanie. Będzie bo miała około czego inszego skakać, obaczysz. Pan Zbych drobiazgiem ją zasypie, jeno od ołtarza odejdą. Nie malowany będzie z niego małżonek.

Aż strofować musiał gadułę Zbigniew, tak język rozpuścił, nie gniewał się przecież, czując w piersi rozradowanie wielkie, co widząc Świdwa wzdychał i powtarzał:

— Szczęśliwy z was człowiek, Zbigniewie... Na kogo Bóg łaskaw, temu niczego nie skąpi..!

— I dla was się okaże szczodrym, Świdwo miły, jeno patrzeć...—pocieszał go Zbigniew. — Ani się spodziewacie, kiedy balsamem serce wasze się napelni. Za cierpliwość i wyczekiwanie długie stokrotną odbierzecie nagrodę.

Kasztelan, gdy goście do komnaty, w której oczekiwał, weszli, z krzesła z poręczem wstał i ręce do nich wyciągnął, witając, jako pożądaných.

— Ano, Zbychu!— przemówił nie bez wzruszenia—gdyby nie pamięć na rodzica twego, na przyrzeczenie, któreśmy sobie z nim wzajem dali, i na to jeszcze, zem cię szczerze pokochał, o poceziwości i dzielności twojej słysząc: winienem z tobą rozbrat wziąć, albo chociaż srodze się na ciebie pogniewać... Jakże? Znikasz naraz i ani cię oko w Ossolinie, zgoła o tobie słuch zaginał... Tak się nie robi, junaku. Zauważ, że wszystkim wiadomo, jako jeszcze przed urodzeniem się twojem i Halszki, byliście już sobie zaswatani; z rodzicem twoim (Boże! spokoju i światłości wiekui-

stej mu użytecz...) przyrzekliśmy sobie, że koniecznie zawołania rodów naszych, już przez powinowactwo połączone, związek wasz ściślej jeszcze zespoli... Taki ślub dopełnionym być musi. Tymczasem ty, Zbychu, jakobyś go lekceważył, a przez to znieważał mnie, druha rodzica twojego i ród mój cały. Bo cóż mogłem sądzić sam, co zresztą ludzie mogli mniemać o tem, żeś ni stąd ni zowąd o Ossolinie zabaczył? Nic innego, jeno, że gardzisz związkiem z rodem Toporów, że umyślnie stronisz od domu naszego, aby zamierzone skojarzenie się z Halszką zerwać...

— Kasztelanie mościwy, ojciec mój, nigdy mi nie podobnego do głowy nie przyszło...—wyjąkał Zbigniew zafrasowany i wstydem przejęty.

— Wierzę w to, a nawet znam potrosze powody, dla którychś w Ossolinie odwiedzin zaniechał — przerwał mu z łagodnością ujmującą kasztelan.—Młodości wybacza się krok nierozważny, jeśli ze złych nie pochodzi pobudek. Ja ci też szczerem przebaczam sercem i urazy do ciebie nijakiej nie żywię... Bylesz nie grzeszył więcej!

Palcem młodzieńcowi pogroził, do piersi go przygarnął, a Świdwa, rzeczy świadomy, ozwał się:

— Otoście postąpili, cny kasztelanie, jako postępować winien mąż w mądrość, z doświadczenia płynącą, zasobny i jako chrześcijanin prawy. Zbigniew, z jego wynurzeń to wiem, wzdragał się lat dochodząc do Ossolina zaglądać, bo mu się poznać chciało świat, i swobody pragnął zażyć, o jakiej po zawarciu związku nie będzie mógł już myśleć. Mniemał też, że mu coś dla ojczyzny uczynić należy, bo niepięknie jest ognisko tworzyć rodzinne, niczego nie dokonawszy. Na



małżonka bez zasługi niewiasta patrzy obojętnie i szacunku dla niego mieć nie może. To wszystko wstrzymywało Zbigniewa od urzeczywistnienia rodzica jego i waszych, cny kasztelanie, chęci... Przydajcie jeszcze, że serce miał wolne. Lęk go miał, zali z dziewczką waszą przypadną do siebie... Dopiero, gdy ją po latach kilkunastu ujrzał, przekonał się, iż w zamysłach waszych wola Opatrzności tkwiła. Odtąd rwał się do Ossolina, jak młody orzeł do lotu, i skoro jeno pozwolenstwo pana miłościwego uzyskał — oto go macie, a z nim i natrętów w naszych osobach.

— Wyłożyliście, Świdwo, niby kapłan na ambonie, z czego poznać można bywalca, co świat, jak długi i szeroki, zjeździł, a przytem, że w sercu waszem Zbigniew nielada zachowanie posiada. Niech już mowy o tem nie będzie, co się stało, i na Boga was proszę, żebyście osób waszych natrętnemi nie nazywali. Dla mnie są one drogie i pożądane, a na dowód — do dna puhar za pomyślność waszą i nawiedzenie domu mego spełnię.

Klasnął w dłonie i stół zastawić kazał, co gdy sprawna służba w mignieniu oka uskuteczniła, zasiadł z gośćmi do statecznej biesiady.

Zbigniew po stronach pozierał i niespokojnie się na miejscu kręcił, co nie uszło uwagi spółbiesiadników. Zagabnął go kasztelan, rzekomo obojętnie:

— Ale jakoś nasz młody dziedzic Oporowa nie-swój? Jakoś mu nie w smak chleb Ossolina, a może obcowanie ze mną, starym, niemiłe? Ejże! Zbigniewie, co ci?

Uśmiechnął się Sulima pod wąsem, Świdwa zaś westchnął i dodał z cicha:

— Łacno się domysleć, czego mu brakuje... Halzki nadobnej ocząt... gardło dam za to.

— I pewnie—potaknął Sulima — czuje on, że są gdzieś po za ścianą, a ręczę, że oddałby wszelkie biesiady na świecie, gdyby mógł w nie popatrzeć...

Rozśmiał się kasztelan i rzecze:

— Takżeś to zapłonął miłowaniem, Zbigniewie, chociażście się z Halszką krótką widzieli chwilę?

— Przed oczyma mi wciąż stoi—szepnął młodzian, głowę spuszcżając.

Świdwa zaś, który się nader lubił rozwodzić o wszystkim, co spraw sercowych dotyczyło, żywo podjął:

— Bo serce, cny kasztelanie, to nie dworak, któremu to lub owo nakazać można. Gdy się w niem miłowanie budzi, całego człowieka porywa. Szkoda, że pan miłościwy Ademara, lutnisty mego, nie pozwolił mi tu przywieść z sobą, byłby nam zaśpiewał wielce piękną pieśń o udęczeniach miłosnych Trystana, siostrzeńca króla Marka, i żony króla onego, Izoldy. Aleć, jeśli wasza wola, gotów jestem zastąpić lutnistę opowieścią, bo rzecz godna uwagi mi się wydaje...

Otrzymawszy zezwolenie spółbiesiadników, Świdwa temi słowy historję rozpoczął:

— Dwoje tych ludzi wypilo przypadkiem napój czarodziejski i odtąd taką wzajem uczuli miłość, że żyć bez siebie nie mogli. Płomienna owa namiętność o śmierć ich przypawiła. Bo też nazwać ją można szaleństwem. Trystan razu jednego tak wyraził uczucia:—Dzieje się ze mną to samo, co z powojem, kiedy dokoła smagłej leszczyny się owinie: dopóki w spokoju rosna razem, dopóty istnieć mogą długo; ale jeśli ich kto rozłączy, leszczyna umiera, a z nią również powój ginie.—Izolda zaś na to:—Bez ciebie wszystko mnie udęcza, wszystko mi ból sprawia.—Trystan ra-

mieniem ją objął i pyta:—Więc udręczenia twoje z serca pochodzą? — Tak—odpowiedziała—miłość jest mem udręczeniem, ona duszę mi uciska, ona boleść mi sprawia... — On rzekł: — Zaprawdę i mnie miłość dręczy. Miłość i ty zakłóciliście mi duszę i szarpiecie umysłem moim. Jam już nad sobą panowanie stracił i nigdy spokoju nie odzyskam. Na cokolwiek rzucę okiem, wszystko mnie trwoży, wszystko wstrętnem się wydaje, bo jedynie drogą memu sercu ty jeno jesteś!

A gdy się wzajem zwierzyli i odkryli w sobie myśl jedną, jedną wolę, jedno serce, doznali ukojenia błogiego. Odtąd śmielej na siebie poglądali, rozmawiali śmielej, zniknął pomiędzy nimi przymus wszelki. On ją całował, ona też jego wielce tkliwie—i tak oto oboje napawali się zdrojem słodkim, co z serca płynie...

Kasztelana nie zachwycała opowieść Świdwy.

— Wężu mój! — rzekł — grzeszne to było miłowanie, bo jako na bagnisku zielsko trujące wyrasta, tak ono z czarodziejskiego zapłonęło napoju. Grzeszne tembardziej, że do cudzołóstwa prowadziło. Niech kto chce chwali takie zdrożne szaleństwa, ku potępieniu wiodące. Co do mnie, rozumiem, że miłowanie winno być czyste, jako kwiat lilii; tak śmiało, żeby każdemu w oczy pojrzeć mogło. Wtedy może się do niego przyłączyć tęsknica, ale nigdy jakiegoś katowskiego udręczenia. Tak miłowali praojcowie nasi, tak i my miłujem, sądzę oraz, że Zbigniew z Halszką takim również uczuciem serca skojarzą. Ano, Zbigniewie, jak powiadasz?

— Niewątpliwie, kasztelanie miłościwy — odparł

młodzieniec. — Gdyby miłowanie ludzi nieszczęśliwymi czyniło, każdy stroniłby od niego, jak od zarazy...

— Świdwa, w obcych stronach tyli czas siedząc, na tamtejsze obyczaje patrząc, przesiąkł też niemi i często do nas cudzoziemski łokieć przystawia — zauważył Sulima. — A pono to go skłania do podziwu udrężeń miłości, że z italskiej krainy cierń w sercu przywiózł, którego się do dziś dnia pozbyć nie może...

— Wiem i ja coś o tem — rzucił żartobliwie kasztelan. — Co robić: na ryby są wędy, na serca mężczyzn gładkie liczka niewieście. Aleć przecież, chociaż Świdwa o takie liczko zahaczył, nie znać po nim, żeby doznawał nazbyt srogich udrężeń. Wzdycha sobie, tęskni i na pociechę, obyczajem cudzoziemskim, lunistom szalenstwa różnych miłośników wyśpiewywać każe... Niech poczyna, jako mu do zdrowia potrza. Może też one kanty dojdą uszu bogdanki, sprowadzą ją do niego, a z nią ukojenie i rozkosze, o jakich marzy. Oby się tak stało. My obyczaju starego się trzymajmy.

Gdy to mówił, drzwi się rozwarły, a w nich z matką ukazała się Halszka.

Szła tuż za panią Jazkową, matroną, one rzymskie przypominająca, leciwą wprawdzie, lecz jeszcze gładkości wspaniałej, jaką cnotliwość i rzeźkość duszy długo przechowuje w niewieście. Szła tedy za matką swoją dziewczka nadobna, a trudno było w niej poznać harcownika, co z wiatrami w zawody biegł, za zwierzem się uganiając w kniei. Suknie ją zmieniły dziewczęce i zachowanie się powściągliwe, miarkowane, skromne i ciche. Główkę, na której wianuszek z polnego kwiecia spleciony włożyła, na dół przechy-

liła, jedną rączką szatki unosiła rąbek, jakby umyślnie dla ukazania maluchnej, dziecięcej stopki, ozutej w trzewik zgrabny; drugą na piersiach trzymała, zda się żwawsze uderzania serca tamując.

Jeśli w męskim przystrojeniu urodą Halszka jaśniała i porywała oczy, to stokroć wabniejszą była w szatach płci swojej właściwych, łagodna i cicha, jako gołębica. Wszyscy też z lubością na nią poглядali, a Zbigniewowi dech się w piersiach zaparł, serce zaczęło mu kołatać silnie, oczy zaś jego doznały takiego olśnienia, jak gdyby tysiące słońc blaskami swemi naraz je zalało. Z miejsca skoczył, omal w głos nie wykrzyknął, omal ku niej się nie rzucił—ale się przedz zdołał i, jako należało, naprzód do pani Jaskowej się zbliżył, kolana jej uściśnął, witając, za co otrzymał pocałunek macierzyński w czoło; potem dopiero ku Halszce się zwrócił i stłumionym ze wzruszenia głosem szepnął:

— O to i ja, sobolu mój!

Ona skłoniła mu się z dala, również miarkując pragnienie, które ją w objęcia młodzieńca pchało i stała obok matki wciąż ze spuszczonei oczyma, z twarzy czką rozrurrienioną, wciąż łagodna, mileząca, słodka i piękna, niby lilie białe w pełnym rozkwicie.

Widziała matka, jak się te dwa młode serca do siebie rwały i rzewność uczuła, co się na jej licu poważnem odbiło; widział to i ojciec i również ukontentowanie uczuł, węża podkrecił, uśmiechnął się dobrotliwie. Oboje myśl jedna przeniknęła i błogosławili w duchu młodą parę, szczęśliwości jej życzyli wszelakiej...

Z kolei Sulima i Świdwa (który na widok Hal-

szki wzdychać począł okrutnie i okiem niezastłoniętem przewracać) witali niewiasty, poczem ozwał się kasztelan do żony:

— Uważam, Zbycha chcesz wyłajać. Nie czyni owo tego, jużem sam to uczynił, a że się pokajał i grzeszenia na wieczne czasy zarzekł, tedy zaniechaj gniewu i zapomnij mu winę. Boś się zarzekł grzeszyć, chłopcze? Powiadaj?

— Tak mi, Boże, zbawienie duszne daj! — odparł Jelitzyk, oczu z Halszki nie spuszczać.

— Pamiętaj! — ciągnął kasztelan. — Ano, Halszko, na zgodę napij się do niego, wedle zwyczaju... Obyście z sobą wieku dożyli w złotej zgodzie i miłowaniu szczerem, jako my z macierzą dożywamy. I my też, goście mili — dodał, ku Świdwie i Sulimie zwrócony, kubek ująwszy — spełnijmy przedzrowie młodych, boć ani wątpię, jako życzliwość dla nich zawdy chować będziecie...

Halszka kubka z miodem ustkami wiśniowemi dotknęła, potem Zbigniewowi go oddała, a wszyscy, spełniając toast, powtórzyli za kasztelanem:

— Setne wam lata!

— Przyznam ci się, Zbychu — ozwał się kasztelan, gdy się ceremonia powitalna skończyła i każdy zasiadł, gdzie mu przypadało — przyznam ci się, żeś poniekąd nie bez słuszności od Ossolina stronił. Przrzeczenie przyrzeczeniem, a własna skóra zawsze skórą własną się ostaje. Co tu gadać! Bliższa koszula ciała... Snać zasłyszałeś, jaka dziewczka moja jest — i obawa cię zdjęła... Zaprawdę, jest się czego obawiać. Sam nie wiem, w kogo się Halszka wrodziła: ni to chłopiec, ni to dziewczka... Bóg wiedzieć raczy

co! Dwie natury ma w sobie pomieszane, wciąż się jedna z drugą kłóca... Świat tak niesfornego i upartego stworzenia nie oglądał... Będziesz miał, Zbychu, z nią kłopotu po uszy! Głowę ci skotłuje, scuduje, a jeśliś miękkiej ręki, osiodła cię i hasać na tobie będzie, jak na łysym człapaku... Przygotuj się na to.

Mówił pan Jaszko żartobliwie i oczyma mrugał, a Zbigniew rzekł wesoło:

— Niechaj! Sam strzemię podstawię, żeby jej łatwiej było na siodło się dostać...

— Nie junakuj, bo źle się tam dzieje, gdzie ogon rządzi — znów zażartował kasztelan. Jabym ci radził, chociażem ojciec, odrazu ją krótko wziąć, ani na krok nie ustępować, trzymać w grozie... Inaczej z nią ładu nie dojdiesz...

— Juści! Niechby spróbował! szepnęła Halszka i oczy jej się zaśmiały.

— Słyszysz, co ta sroka wygaduje?—podechwycił kasztelan.—Patrzaj ją: „Niechby spróbował!“ Czekaj, spróbuje on i rogów ci przytrze, co ci z wywróconej na wspak głowy wyrastają...

— Przytrze, albo nie przytrze... Na wodzie to jeszcze pisane—ozwała się Halszka rezolutnie, prostując się na siedzeniu i zuchowato na Zbigniewa patrząc.—Widzi mi się, że my ze Zbychem jakoś się pogodzimy. To już nasza rzecz...

— Macie ją!—rozśmiał się kasztelan do gości.—Taka już od koleby. Jeno jej łuk, miecz, włócznię, a w pole na Krzyżaków, albo na Tatarzyna ruszy... Odmienica jakaś. Chyba ją boginki podrzuciły...

Na wspomnienie złej mocy, pani Jaszkowa nabo-

źnie się przeżegnała i splunęła ukradkiem, a Zbigniew rzekł:

— I ja myślę, że się z Halszką pogodzimy. Przypadliśmy sobie do serca, to grunt; na takim w rodzinie chwasty się nie rodzą...

— Obaczmy! — kręcił głową z zadowolenia kasztelan, brodę gładząc. — No, no... oboje pewni jesteście siebie... no, no... Wszelako, Zbychu, o radzie mojej nie zapominaj. Od przypadku się zda...

Halszka, która już dłużej w przybranej skórze trusiątka wytrzymać nie mogła, porwała się na nogi.

— Toć już chyba nie słuchaj, Zbychu, boś się gotów przeciw mnie zbuntować—ozwała się szparko. — Pójdźmy lepiej do szopy, konie moje oglądniesz... Psy ci pokażę i sokoły... A! jakież bo mam niedoścignione... By z najsilniejszą czapłą się sprawią... Pójdź, mówię ci...

Pociągnęła go za rękaw, na pięcie się wykreciła i wybiegła żwawo, a za nią Zbigniew, który czekał na to, iżby mógł z przyrzeczoną swobodnie pogwarzyć.

W sieni Halszka ramienia Zbigniewa się uczepiła i nuż się zwierzać:

— Dla Boga! ledwie tchnę... Skoro się ojcowie dowiedzieli, że przyjedziesz, dalejże mi w głowę to i owo kłaść: a taka bądź! a tak się zachowaj! a miaruj się!... E! czy ja tam pamiętam wszystko... A teraz, kiedy cię oznajmiono, macierz na wszystkie świętości mnie zaklinała, bym cichą udawała kwoczkę, no i przyrzekłam, alem...

— Alem nie dotrzymała — uśmiechnął się Zbigniew.

— Co chcesz, nie mogłam! No, nie mogłam i już!—



odparła, ręce rozwodząc. — Bo te układności, to udawanie... do czego to? Kłamać grzech, a to kłamstwo przecież. Jaką mnie Bóg stworzył, taką jestem... Zre-szta, jużś mnie poznał, Zbychu i powiadałeś, że nie złego nie czynię. Prawda, żeś powiadał? Powtórz mi to teraz!

— Powiadałem i powtarzam — rzekł, wciąż się uśmiechając.—Ale też powiem, żeś źle uczyniła, przy-rzekłszy, a nie dotrzymując. Tak, Halszko moja, tak...

— O! o! Już cię zbuntowali... Chceszli gniewu ze mną, to mi dojadaj...

— Ani ja z tobą gniewu chcę, ani też dojadąć myślę, sobolę mój. Boże mnie od tego chowaj. Jeślim ci uwagę uczynił, to dla wspólnego dobra naszego...

— Chyba przez złość...—oburknęła się.

— Ale zastanów się, dziewczko, czy u mnie złość przeciwko tobie może być, skoro cię tak miłuję, że krwi z pod serca żądam, a niezwłocznie ci utoczę... Zważ, co rzekę. Człek do złego łącno się przyzwyczaja; ma ono w sobie coś, by smoła: gdy przyłgnie, trudno się od niego odczepić. A zdarza się, ba! jak często... że dziś coś złego uczynisz bez myśli, ot... z krewkości, a ono ci się powtórzy jutro, pojutrze i za niedzielę, i za dziesięć, wreszcie w nawyk wejdzie i z najlepszej sekutnicy uczyni, że nie daj Boże... Dziś nie dotrzymałaś słowa macierzy, powtarzaj takie zdradliwości, a kto wie, czy i mego zaufania nie zdradzisz...

Usta mu zatkała piastką drobną, wołając:

— Zaniechaj! zaniechaj! Od rzeczy gadasz. Pe-wnym bądź, że ci wiary do skonu dotrzymam, byleś ty mi zawsze wiernym ostał. O! woneczas nie da-rowałabym ci, nie! W inszych rzeczach łatwo prze-

baczę i zapomnę, ale przენiewierstwa w miłowaniu — nigdy!

On za rączęta ją ujął, ku sobie pociągnął i zapytał wzruszony:

— Więc miłujesz mnie naprawdę i miłować obiecujesz do skonu?

— Przekonasz się, a to na zadatek weź...

Wspięła się na palce i pocałowała go, — w Zbyszku zaś krew z rozradowania zagrała, przycisnął ją do piersi męskim objęciem, w dziesięcioro za pocałunek zapłacił, szepcząc półgłosem:

— Bóg ci zapłać, królewno moja... Juści chyba szczęśliwi będziem, jeśli takie mamy ku sobie chęci...

Szli do stajen, które podziw w Zbigniewie wzbudziły; tyle w nich znalazł rumaków i w takim doborze, iż chyba mogły z sułtańskimi się równać. Bo pan Ossoliński kochał się w biegunach, z zamięłowaniem je hodował, a niech jeno się dowiedział o jakiej maści osobliwej lub zaletach niepospolitych, koniecznie tę sztukę musiał dla siebie dostać. Więc stały w jego szopach i gniadosze, która to maść za najpierwszą i najlepszą uchodzi; i wrone, i cisawe, i jasno-gniade, i złote, i jabłkowate, co to mówią, że są nie do zdarcia; kasztany cudne, izabelowate, bułane, cisawo-pleśniwe, o których gadka, że są dla rycerzy szczęśliwe; lśniaco-masłowate, mrozowate, dropiate, białe całkiem, o których znów powiadają, że „biały cały, to albo wszystek dobry i chrobry, albo wszystek pies...“; z gwiazdkami i w pończochach, i z odwrotami czyli piórkami orlemi: zgoła mnóstwo wielkie, któreby mogło dla znacznego oddziału wystarczyć... Dziwował się temu bogactwu Zbigniew i jako rycerz, któren już we krwi

upodobanie do rumaka przynosi na świat, zachwycał się niem. Co go jednak najbardziej zastanawiało, to, że Halszka wszystkie sztuki co do jednej znała i powiedzieć mogła nietylko, jakie każda przezwisko ma, ale jeszcze jakiego każda jest narowu lub zalety. Szlachetne stworzenia także ją znały doskonale, bo spostrzegłszy ją, rżały przyjaźnie, łby do niej zwracały, uszami strzygły, karki nachylały, jak gdyby dopominając się o pieszczotę.

— No! no! — kręcił głową Zbigniew — widzę, żeś ty tutaj całkiem gospodyni i bodaj swobodniejszą się czujesz, niż w komnatach i komorach. To prawdziwie dziw!

— Jaki dziw? — rozśmiała się wesoło, bo jej to powiedzenie Zbigniewa pochlebiło. Ot... ciągnie mnie zawsze coś, to i przesiaduję, dopóki Kostuch przemocą niemal na zamek mnie nie wypędzi... I tobie, Zbychu, stąd dozierać będę, obaczysz, że to umiem. Musim najręczniejszych i najwytrzymalszych biegunów się dochować, to na siebie biorę...

Nagle do głowy jej coś strzeliło, bo szybko zmieniła ton mowy:

— Zbychu... pojechaćby trocha w pole, albo co? Dobrze? Ciasno tu i duszno pomiędzy ścianami. Zaczekaj jeno na mnie, inne szatki jeno włożę, bo w tych na siodle nijako...

I odpowiedzi nie słuchając, frunęła ku zamkowi, Zbigniew zaś wąsa podkręcił, uśmiechnął się i szepnął do siebie:

— Ogień nie dziewczka, ale takie bywają najlepsze. Serce by na dłoni, skrytości nie zna, a z cza-

sem się umiarkuje. Okrutniem się w niej rozmiłował i... i dobrze mi z tem!

Zanim Halszka w męskie przyoblekła się szatki, Kostucha i swego grubasa odnalazł, polecił im, żeby mu w wycieczce z przyrzeczoną towarzyszyli.

— Ludzi kilku dobierzcie od wszelkiego wypadku, bo strzeżonego Bóg strzeże.

— Widzi miłość wasza sam, jaka ta Halszka nasza jest! — gderał Kostuch. — W kogo się to wrodziło, że takie czubate rośnie,—ani wiem... A upór taki, że jak się jej czego zachce, na swoim postawić musi... Nasłanie, czy co?

— Gderaj sobie, staruchu, gderaj! Tyle twego — rozśmiała się Halszka, która właśnie w tej chwili przybiegła, gotowa do harców.

— Juści, że tyle jego, — mruknął Paluch, skwaszony niespodzianą wycieczką. — Znają go ludzie (a ja najbardziej), że gotów słońcu wymyślać za to, że w dzień, nie w nocy, przyświeca... Ale co z tym wyjazdem, to, zda mi się, słuszność po jego stronie. Tak ni stąd ni zowąd jakoś mi się nie widzi... Chyba, że daleko nie pojedziem. Słysząc tu o przeróżnych łotrykach, więc z małą garścią niebezpieczna rzecz wyruszać...

W głowę się drapał, patrząc na Halszkę, czy jej od zamiaru wycieczki nie odwiedzie, ale Halszka tylko ramionami wzruszyła i, już na koniu siedząc, rzekła:

— Słyszałeś, zem czubata i że na swoim zawdy postawić muszę. Czyni, co ci pan rozkazał i tyle...

A Kostuch przyrzucił na dobitek:

— Masz za swoje! Piecuch jesteś, ostań, jeśli

ci o utrąśnienie sadła chodzi... Patrzaj go, będzie naszej Halszce nauki prawil... A zasię!

— Zasię! zasię! — powtórzył tłuścioch. — Człowiek się z jednej drogi nie wysapał i hajda w drugą... Gdzie tu rozum? Sam niestworzone rzeczy wygaduje na panienkę, a gdy ja uwagę godziwą czynię, on na mnie, jak na szkodnego Burka. Stary chrzan!

— Mnie gadać wolno, bom Halszkę na rękach, jako wiesz, wypiastował, tedy to i owo powiedzieć prawo mam...

— Ja większe mam prawo, bo to przyrzeczona mego jegomości i rychło za małżonkę ją pojmie.

— To i co z tego?

— To, że jako sługa przyrzczonego, więc niemal małżonka, mogę bez uchyby słowo rzec, jeśli mądre jest. A że zawsze takie na pogotowiu najdę, z tegom znany, nie jak ty, któren byle gderać i kwas z siebie wyrzucać...

— Tak mocno o sobie trzymasz?

— A tak. Wiedz, że kto o sobie lekko trzyma, denara złamanego nie warta... Juści, mój Kostuchu, bez chwalby, ty o sobie nie możesz powiedzieć, żeby ci się rozum przelewał, bo chociażby kto twój łeb w żarnach nie wiem jak ścisnął, nic okrom złości nie wyćisnie.

— I sobace wolno na Bożą mękę szczekać...

— Jeśli w szaleństwo wpadnie ze starości, albo jakiej inszej przyczyny...

Zbigniew i Halszka, sobą jedynie zajęci, tego swaru sług swoich nie słyszeli. Jechali tuż obok siebie, tak, że konie łbami się trącały. A piękną istotnie była ta para, fantazyi pełna, z rynsztunkiem łowiec-

kim (bo Halszka nigdy bez oszczepu, łuku i innych przyrządów myśliwskich z domu nie wyruszała). Piękną była ta para urodziwa, z wielką nadzieją w świat patrząca, rozmiłowana w sobie, jak jeno serca niewinne, bez skazy, miłować mogą. A nie było ono miłowanie z pożądliwości zmysłowej płynące, nie było tem pragnieniem poniżone,—lecz czyste jako łąza, wykwitłe jeszcze w pacholeństwie, odnowione snąc przy pomocy Opatrzności i przez rodziców z góry ubłogosławione; więc trwała miało podstawę, tem trwalszą, iż oboje, zarówno Zbigniew, jak i Halszka, po staremu się chowali, w bojaźni Bożej, w miłości dla bliźnich i wielkim szacunku dla wszelkich stosunków rodzinnych.

Jechała tedy para urodziwa tuż przy sobie, nawet głowy wzajem nachylili i w oczy patrzyli, nie zważając, jak tam rumaki biegną, w którą stronę i co się dokoła dzieje. Co dla nich znaczył świat, ludzie — oni sami byli światem dla siebie, posiadali w uczuciu wzajemnem królestwo, którego nie oddaliby za wszystkie korony, wszystkie skarbnice... Mówili mało, słów im brakło, zresztą oboje rozumieli się doskonale bez wyrazów. Kiedy niekiedy Zbigniew rzucał pytanie raz może setny:

— Miłujesz-że mnie? Naprawdę miłujesz?

Ona mu na to:

— Jakżeby inaczej? Toć tak musi być.

Na co znowu on:

— Mój ty sobolu! Mój tysiącu! Moje słonko!

I aż ręce składał z rozrzewnienia, aż kołpak na głowie przesuwiał z fantazyą, to w bok się ujmował, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Otom pan, Halszka moja i o nic nie dbam!

Po długiej chwili wreszcie, Zbigniew, z rozmazania się ocknąwszy, rzekł:

— Bodajże ciebie, Halszko, takieś mnie uroczyła, że nie widzę, dokąd jedziem. Ej, dziewczko! chybaś po to na ziemię zesłana, żeby ludziom w głowach mroczyć...

— Chyba tobie jednemu... — rozśmiała się. — Ale tak jeno powiadasz, bo na omroczonego nie wyglądasz...

— Bogać-ta! Omroczon jestem twojem liczkim, twojemi ślepkami, twoim głosem... całą twoją urodą, całą tobą. Na kolanaby cię wziąć, przygarnąć i całować, a hołubić — do skończenia świata...

— Oho! czego mu się zacheiewa... Będzie na to czas...

— A gdybym się uparł, cobyś uczyniła? — pogroził żartobliwie.

— Spróbuj! Nie takam, żeby się pogrózek bać ladajakich...

— Cobyś uczyniła jednak?

— Spróbuj, a obaczysz — powtórzyła.

Zbigniew ruch uczynił, jakoby ją zamierzał w objęcia porwać, lecz baczna dziewczka w bok uskoczyła i pędzić na oślep poczęła, wołając ze śmiechem:

— Jużci mnie masz? Aha! aha! Trzymaj!

— Nie mam, ale dobędę, ale ujmę! — zawołał z kolei Zbigniew i, sparszy konia, pośpieszył za uciekającą.

Kostuch o kilkanaście kroków z tyłu jadący, zwrócił się do Palucha i towarzyszących mu ludzi:

— W konie! Trza krokiem ich nie odstępować, bo do boru wprost pędzą, a tam jary, w których można łatwo biedy napytać...

Poskoczyli kasztelańscy żwawo za nim, bo jako starego sługi, łaską cieszącego się pańską, nawykli słuchać bez sarkania, a do tego takie hasanie szalone za panią nie było dla nich nowiną, tembardziej, że wszyscy byli do koni sprawni; ale Paluch, oszołomiony tym nagłym zwrotem i wcale ochoty nieposiadający kości sobie trząść, zamiast również konia poprzec, jął wołać, aby się lepiej na karkołomne harce nie narażali.

— Zastanówcie się ludzie... ot! gdzie rozum. Młodym kaduk w głowach zapalił, a oni w te pędy za niemi, jakby im kto w pięty szydła powwiercał... Kostuch... a! grzybie stary... Kostuch! Żeby cię tam po drodze... Boże! jeszcze gotów w złą godzinę nastanie sprowadzić... Kostuch... pokrzywo prażać... Toć czekajcie do dyaska... Młodzi sobie nie złego nie uczynią... Snać umyślili swobodnie pogadać i wysforowali się przodem... Kostuch! miso wyszczerbiona od starości... sam przecież powiadałeś, że Halszki wola dla ciebie święta...

Lecz nikt na jego rozpaczliwe wołanie ani się odwrócił, a że konia nie popędzał, tedy rychło sam się znalazł, wśród bezdroża. Z początku strach go zdjął.

— Masz babo kubrak i... bodajto psi jedli, z takimi szaleńcami družbę trzymać. Sam jestem, jako palec, a nade mną jeno patron święty z obroną. Sam jestem, dokoła żywego ducha. Żeby choć pies z kulawą nogą... Ano, teraz tylko brakuje, żeby mi kat do towarzystwa przysłał gromadę łotrzyków, takich naprzykład Rawitów. Dopierożbym pięknie śpiewał! Patronie święty! zawdyś dotychczas mi w potrzebie orędownął, nie ostawiajże biedaka i teraz bez swego puklerza.



Sam jestem najoczywiściej, nawet mucha nie zabrzęczy... Co tu począć? Modłę ja się i wzdycham do patrona, ale on wysoko; zresztą, kto wie, w jakim go prośby moje zastają humorze... Gotów powiedzieć: — „Nie nudźże mnie, kpie jeden!—“ i tyle... Co począć?! Co począć?! Oto mi nawarzyli piwa... zali mi ono na zdrowie pójdzie, gardła za to nie dam. A coś mi szeptało, żeby dziś w zamku nie wyjeżdżać... Mam za swoje...

Po namyśle, zaczął pędzić za kompanami, ale śnać zboczył z drogi właściwej, bo ani ich śladu nie znachodził. Zmęczony, potem oblany, zatrzymał się.

— W ziemię wpadli, albo w którym z jarów karki poskręcali... Nieby dziwnego nie było: szaleństwo zawdy bokiem wyłazi... Mniejsza o nich—w kupie są, radę sobie dadzą, ale ja?

Ręce załamał.

— Ten mój Zbyszko! Ten Zbyszko! Dobry pan, hojny, łaskawy, przywiązałem się do niego, jak sobaka, chociaż on mnie czasem po kociemu drapie — cóż z tego, kiedy pstro w głowie ma... Zawdy tam lezie, gdzie nie trza...

Próbował wołać, hukać, aż się szkapa ze strachu wstrząsała, ale nikt mu nie odpowiadał. Głowę tracił.

— Ano... nieładnie jest wracać bez pana, Srokacz na ozór z wszelką pewnością mnie weźmie i ze dwie niedziele będzie mnie na nim obracał, by pieczeniem na rożnie, ale nic innego nie pozostaje. Tamci się gdzieś zaprzepaścili, wszelako Ossolin na miejscu ostał. Dalej z powrotem!

Był mocno przekonany, że do Ossolina dotrze bez

żadnej trudności i rychle, ale i co do tego nadzieja go omyliła. Zajeżdżał z prawej i z lewej strony — zamek Toporeczyków jakby pod ziemię się zapadł.

— Jezu miłosierny! Panno Bolesciwa! Bartłomieju święty! a to co? Chyba czary... — szepnął, żegnając się i oczy przecierając. — Tamci, jak kamień w wodzie i Ossolin też gdzieś się zapodział... Czy mnie kaduk wodzi...

Znów rozpoczął poszukiwania i znów bez skutku, a tu szarzeń poczynąło.

— Obwiesić się chyba! — wyrzekął. — Nic nie rozumiem... Głowę przecież mam bez chmielu, bo mi jej one kilka wiaderek żadną miarą zaproszyć nie mogło. Oto los: przyjdzie w szczerem polu nocować... Trzyma mnie coś przy panu Zbychu — mam nagrodę... Nietylko, że mnie beszta niepoczeiwie, jak ostatniego, gdy mu co na wasie osiadzie, ale jeszcze ostawia samiotkiego w taki czas, że niewiadomo kiedy jaki rabuś, czy też Rawita (tful! żeby w złą godzinę nie wymówić) wyskoczyć tuż z pod stóp człowieka może i bez gadania na pierwszej lepszej gałęzi zaczepić. Aleć, na miły Bóg, niepodobna, żebym Ossolina naleźć nie miał! Toć nie puszcza. A jeśli nie Ossolin, to jaki grzeeczny dwór, Bartosie święty, mi zdarz, gdzieby mi drogę wskazano. Ano, Paluchu, wszak głowę na karku masz, nietylko, żeby ją kołpakiem nakrywać...

Pokrzepiwszy się temi słowy, puścił koniowi wodze (a był ten koń z szopy pana Toporeczyka, bo swego zdrożonego, w Ossolinie zostawił), po karku go poklepał, mówiąc:

— Niewiele ja dufam w mądrość bydleca, ale podczas się trafia, że bydlę najmądrzejszego człowieka

z matni wybawi. Łaskę ci czynię, szkapo, przysługę oddać pozwalając mojej osobie. Rozewrzej chrapy dobrze, powinnaś w mig przewąchać, w której stronie twój żłób i tam śmignąć. Szkoda, że o tem odrazu nie pomyślałam... Nuże! Ruszaj z kopyta do Ossolina! Jeno po manowcach się nie kręć, po same uszy mamy tego kołowania. W drogę! Hop!

Bułany łbem wstrząsnął, a uczuwszy, iż go jeździec nie wstrzymuje, ruszył istotnie z kopyta.

Ale konisko, dźwigając długo po przeróżnych wertepach tak znaczny ciężar, jakim był grubas, przedewszystkiem pragnienie czuło i bez wahania tam skierowało, gdzie mu zmyślność wodę wskazała. Klusowało tedy w stronę boru, co wprawdzie jeźdźcowi się nie podobało, mimo to nie ściągnął wodzy, mniemając, że bułany wszelkie przełaje zna i tą drogą najprędzej do miejsca dotrze.

Bułany celu zamierzonego dopiął: rychło strumień się ukazał, atoli Paluch przestraszył się okrutnie, ujrawszy opodal namiot dostatni, dokoła którego ludzie jacyś zbrojni wyczywali.

Spostrzedz małuczkiego obozu tego wcześniej nie było można, bo go drzewa grube i rozłożyste zasłaniały.

Paluch głowę gromadami zbójceckimi mając nabita, pewnym był, że na jedną z takich się natknał, tedy wodze porwawszy, gwałtownie bułanego w tył pociągnął. Bułany, rumak korny, nieznarowiony, przytem w pysku miękki, byłby wedle woli jeźdźca postąpił, ale szarpnięcie było zbyt silne, tak, że dęba stanął, a tylnymi kopytami na wielki odłam szklatego krzemienia nastąpiwszy, pośliznął się i upadł, jeźdźca za sobą na ziemię pociągając.

— Oto mi się wiedzie... — mruknął Paluch, gramoląc się z pod konia, który go całym ciężarem swoim przycisnął.—Teraz amen ze mną: jeśli mnie zbóje nie zadźgają, to niechybnie ona szkapa zdradliwa duszę ze mnie wygniecie...

Wygramolił się przecież szczęśliwie, a widząc, że ludzie przy namiocie leżący złych zamiarów nie okazują, leżą jak leżeli, śmiejąc się z jego przytrafunku, ducha nabrał.

— Ubrdali mi się zbóje—rzekł do siebie—to śnać spokojni jacyś ludziska. Zbój napada w oka mignieniu i do rzemiosła sprośnego zabiera się bez śmiechu... Lepiej nawet, żem ich znalazł, przynajmniej drogę mi wskażą. Trza jeno zagadać godziwie, żeby wiedzieli, z kim do czynienia mają...

Przywiązawszy do drzewa bułanego, pył z szat otrzepał i zbliżywszy się do nieznajomych, uprzejmie się odezwał:

— Bóg pomóż, waszym miłościom.

Na to jeden z wypoczywających:

— Patrzajcie, jak! nabożny! Z kleszego dworu śnać jesteś i może chcesz w drodze nabożeństwo odprawić...

Tknęło to Palucha, ale pomyślał, że z takim gada, co sobie podpił, więc tonu uprzejmego nie zmieniając, rzekł:

— Nie z kleszego ja dworu, jeno ze znacznego rycerskiego, chociaż i na kleszym radbym siedział, gdyby mi tam równie dobrze było. A witam was po Bożemu, bo u nas w Polsce taki obyczaj, że od Boga

wszystko się zaczyna i wszystko z Bogiem kończy. Zali mi tu, obok was, pozwolicie odetchnąć?

— Miejsca nie brak—odparł ów, który pierwszą dał odpowiedź, przytem jakoś bystro grubasowi się przypatrywał.

Nie zauważył tego przypatrywania się Paluch, bo właśnie zoczył przy nieznanomych resztki posiłku, a ten widok uczucie głodu w nim wzbudził i rozważanie, jakim sposobem się przymówić, iżby go do spożycia chociażby tych resztek wezwano. Westchnął tedy i nibyto obojętnie rzucił:

— Setniem utrudzon. Tak, na rycerskim służę dworze, ba! jeszcze na jakim!... Ale cóż... pan mój (czyli raczej wychowanek, bo od małości pieczę mi nad nim powierzono), pan on mój młody jeszcze i mimo, że w sztuce rycerskiej równego mu niema, wszelako, jak zwykle młodemu, i jemu też w głowie świta. Z jego przyczyny dniem i nocą trząść kości muszę na koniu, a dzisiaj tom nawet przez niego zbłądził i trafić, gdzie potra, ani weź... A niemal od rana gęba, prócz śliny, niczego nie zaznała... Taki to już mój los...

Znów westchnął, coraz pożądliej na jadło pozierając, ale żaden z nieznanomych śnać nie zrozumiał, do czego te skargi zmierzają, bo żaden mu posiłku nie zaofiarował. Więc Paluch, mniemając, iż nic zdrożnego nie uczyni, wręcz już rzekł:

— Pismo głodnego nakarmić i spragnionego napoić każe. Uważam, żeście syci... przeto nie wyrządę wam krzywdy, jeśli się okruciami po was pożywię... Bóg was za to wynagrodzi...

— Nie tkajże nam wciąż pod nos Pana Boga — różmiał się pierwszy nieznanomy.—My z Nim się nie

zabawiamy. Całkiem głupia to zabawa. Wolimy, gdy się potrzeba zdarzy, szatana w kumy prosić...

A drugi nieznajomy przerwał mu:

— Czekaj, Gacku, bo tu się z tego grubego coś wyklaruje...

I zwracając się do Palucha, zapytał:

— Powiadaj, faso baraniego łoju, jak się zowie twój pan? He?

Dreszcz przebiegł po grzbiecie tłuszciocha.

— A wam na co się przyda ta wiadomość?— zagabnął.

— Tobie wiedzieć nic potem. Odpowiadaj, skoro pytają...

Paluch wstał pośpiesznie, a cofając się ku bułanemu, rzekł:

— Zawdy odpowiadam na pytania przystojne, ale z takimi, którzy, Boga się wyrzekłszy, szatana w kumy zapraszają... trudno gadać.

Raróg, gdyż on to był jednym z nieznajomych, coś do ucha szepnąwszy innemu z towarzyszków, sam do namiotu podążył, a ów nauczony przez niego zastąpił grubasowi drogę:

— No, nie śpiesz się tak... Mniejsza z tem, komu wola z kim trzymać, a głodnego i spragnionego z niczem się nie odprawia. Masz tu, pożywaj, chyba wystarczy dla ciebie, chociaż tura dochodzisz. Daj cię katu, jakiś brzuchasty! Pożywaj, i napitek grzeczny się najdzie. Zgoda z nami!

Dał się skusić Paluch, rozsiadł się na pniu zwalonym i jął zmiatać schab odyńca, popijając go miodem obficie. Gościnność nieznajomych znów go uspokoiła i rozbroiła.

— Dobrzy z was ludziska, jeno dziwni — mówił, usta pełne mając. — Trudno: rozmaite na świecie zdobyje się natury...

— Słusznieś rzekł... — ozwał się Raróg, wróciwszy z namiotu, w którego wnijściu stary Grot się ukazał, niedostrzeżony jednak przez Palucha, bo ten tyłem do niego był zwrócony. Ale słuchaj, bracie zali my się nie znamy?

Paluch trocha mu się przypatrzył, potem głową wstrząsnął:

— Chyba nie... Jako żywo nie... Dobrą mam pamięć, kogo raz w życiu obaczę, tego nie zapominam do skonu.

— A mnie się coś ochapia...

— Bywają podobieństwa — przerwał Paluch rozochocony, okiem jednym pomrugując. — Widzicie... dużom się tędy i owędy włóczył, a urodę posiadając nadzwyczajną (i dziś, jako pomiarkować można, nie jestem od macochy), otóż przy urodzie nadzwyczajnej, niejednej niewieście byłem do smaku. A wiadomo, że dzieci, zwłaszcza synowie, często są do ojców podobni. Mniemam, że to powód, dla którego mnie za kogo innego bierzecie...

— Być to może, jeśliś kur tak sprawny, chociaż... nie wydaje mi się, iżbym w błąd popadł.

Tu Raróg miodu Paluchowi dolał, poczem znów badał:

— Okazuje się, że miło z tobą gadać, a chwila temu takiś się zaciał, kiedym się o twego pana zapytał... Czemu?

— Boście się wtedy tak jakoś pytali... Sam nie

wiem, ale coś mnie aż podniosło i język w trąbkę zwinęło...

— I teraz zechcesz taić nazwisko twego pana?

— Teraz całkiem insza rzecz: jakie pytanie, taka odpowiedź; jaka gościna, taka u gościa mina. Widzicie, okrutnie nie lubię wszelakich nieprzystojności. Wy z początku taką przybraliście postawę, jakbyście mnie za kark ująć chcieli, a mój kark dla obcych garści kolezaty...

— Jeź w nim siedzi?

— Jeź, czy nie jeź, dość, że lepiej w spokoju go ostawić. Zapytajcie tych, co z nim doczynek mieli, ot—bodaj Jaszka Słupeckiego, któremuśmy we dwóch z panem moim, Zbigniewem z Oporowa, niedawno temu w Krakowie tak chwacko rozumu do łba napędzili, że nie wiem, zali dycha jeszcze, chociaż lepiej byłoby, żeby go szatan do ciemnej swojej chwały, pospołu z jego ojcem i dziadem, zabrał...

Raróg odchrząknął, spojrzął nieznacznie na Grota, jak gdyby mówiąc: „to ten“, a stary Rawita jeno czekana, którym się zwykle wspierał, ścisnął, lecz z miejsca się jeszcze nie ruszał. Zrozumiał Raróg, że ma w dalszym ciągu gadułę za język ciągnąć, więc rzucił:

— We dwóch jednego zmóźdz, to nie sztuka... I za coście onemu Jaszкови taką skroili kurtę? Krzywam był...

— Naprzód — odparł, usta szerokie po jedzeniu obcierając, Paluch — macie wiedzieć, że taki z czeluści piekielnych pomiot, jak on Jaszko i wszyscy zgoła, którzy jego są, nie chadzają pojedynkiem, jeno z gromadą im podobnych obwiesiów. Na nas dwóch, okrom znoska Rawitów (bodaj im ograżka ręce i nogi połamala!), było tych psich synów, żeby nie skłamać, z pół



sta, a przecież zemknęli, aż ziemia dygotała. Ot, co jest!

— Nie łiesz aby?—ozwał się Grot, wciąż u wejścia do namiotu stojąc i całkiem je zasłaniając.

Paluch głowę odwrócił, a spostrzegłszy Grotą, zrozumiał, że go zapytuje pan drużyny owej podróźnej, tedy powstał, skłonił się, jako osobie sędziwej i znacznej należało, i odparł:

— Kłamstwo języka mego nigdy się nie ima; uczciwością żyje, a od wszystkiego, co ją odbiega, odżegnynam się, jako od potępienia wiekuistego...

— Powiadajże o przygodzie z Rawitą, ciekawość we mnie zażęgł—przerwał mu Grot.

Paluch, miodem podniecony, nuż niestworzone rzeczy wygadywać, tak, że z burdy, spowodowanej przez młodego Słupeckiego, urosła w jego opowieści niemal walna bitwa, której bohaterem był przedewszystkiem on. Przytem Rawitom srodze urągał, z błotem ich mieszał, bezcześcił do ostateczności.

Słuchał tego wszystkiego Grot, głową kiwał, ni-byto dziwując się, a chociaż gniew tak nim miotał, że mu żyły na skroniach i karku jak postronki nabrzmiały, od wybuchu zdołał się wstrzymać. Gdy grubas mówić przestał, zapytał go:

— Tacyż to źli ludzie owi Rawici? Tacy naprawdę straceńcy?

— Proszę waszej cześci, a skądże wasza cześć tu przybywa, że o nich nie słyszał?!—zawołał zgorszony Paluch. — Jak świat światem podobnych nie było. Matki nimi po chałupach dzieci straszą... Co tu gadać: nikt inaczej ich nie nazwie, jak potępieńcami. Niema zbrodni, żeby się na nią nie ważyli... Przeciwno

królowi zdradę z Melsztyńskim knowają, świętej wiary katolickiej się wyrzekli, po drogach nawet napadają i grabią każdego, kto tylko w ich łapy wpadnie. Niedziwota — do wszystkiego szatan ich popycha, któremu cyrografem się zaprzędali...

— Pewna to rzecz?—ledwie dysząc rzucił Grot, a czekan mu w ręku latał.

— Najpewniejsza! — ręczył Paluch. — Zaprzędali się szatanowi, z nim na Łysej górze msze czarne odprawują, a potem go, w kozła przedzierzgniętego, z pozwoleniem, w brodę na klęczkach całują...

Już się miał rzucić na grubasa Grot, już czekan podniósł, ale jeszcze się wstrzymał.

— A tyś się tutaj skąd wziął? Sam od pana zbiegłeś, czy on cię odpędził?—zapytał.

— Prędzej kto Rawitę mianem grzecznem uczci, niżbyśmy się z panem moim kiedykolwiek rozstać mieli—jął się chwalić Paluch.—On beze mnie w żaden żywy sposób obejść się nie może, ja bez niego też. Przyjechaliśmy do Ossolina (bo dziewczka pana Toporczyka przyrzeczoną rycerza mego jest, rychło się gody odbyć mają), i coś podkusiło młodych w pole się wybrać, dla koni zażycia... Krotochwilili sobie, zwyczajnie, jak młodzi, i tak się owo stało, żem się sam nalazł, a myszkując za drogą, całkiem zbłądziłem. Szczyście, żem na ludzi trafił, którzy mi drogę do Ossolina wskażą...

— Dość tego dziadu! Wiemy już, co potra, więc skończyć z tym niecnotą, a potem jedźmy, gdzie należy...—zawołał Jaszko Słupecki, który dotychczas stał w namiocie, zasłonięty rozrosłą postacią dziada, że go z zewnątrz dostrzedz nie było można, a teraz rap-

townie naprzód wyskoczył.—Skończyć z nim! Sam mu ózór parszywy wyrwę i łeb rozmiażdżę...

Darł się do Palucha gwałtem, miecza dobywszy, ale Grot, odsunawszy go, rzekł krótko:

— Zaniechaj!

Zbliżył się następnie do grubasa, po ramieniu go uderzył, a śmiejąc się piekielnie i przesywając go wzrokiem okropnym, jał cedzić wyraz po wyrazie:

— No i cóż, waleczny sługo Jeliteczyka... no i cóż? Szczeńliwieś trafił, na ludzi, którzy ci, zaiste, wskażą, drogę, ale... nie do Ossolina...

Paluch młodego Rawitę odrazu poznał, a poznawszy, jak chusta zbladł, w uszach mu zaszumiało, zacięmiło w oczach, kołomąt w głowie uczuł, zachnął się, zatoczył, omal nie upadł. Przyszedł jednak do siebie natychmiast i rzekł w duchu:

— Zdechnę ja i wszelki owad na mnie! Łupnia mi zada! Amen ze mną, inaczej nie może być...

Pomiarkował bowiem, że stary, co go wypytywał, to Grot z Konar, a ujrzawszy wysuwającego się za Jaszkiem Łukasza, domyślił się, że to Rawita ze Słupcy. Zresztą domysłu nie było potrzeba, bo Jaszko jednego i drugiego mianem odpowiedniem nazywał. Wymiarkowawszy to wszystko, głowę zwiesił, lecz pilnie nadśluchiwał i niemniej baczone spojrzenia rzucał na trzech potępieńców, a widząc ich wściekłością tryskające oblicza i wzroki piorunowe, doznawał wrażenia, jak gdyby mu do żył lodu kładziono.

— Co z nim ceregiele czynić, kiedy nam gdzieindziej czas!—rzucał się Jaszko.—Zadźgać, jak sobakę i ścierwo dla kruków, czy wilków ostawić, albo na gałęź!

— Zaniechaj, powtarzam!—ostro ofuknął go Grot. —Zawdy ci się we łbie pali, nigdy na rozwagę nie bierzesz... Dobrze jest, iżśmy się dowiedzieli, gdzie tamten, ale przecież po sprawiedliwości pierwszeństwo temu szczekaczowi się należy. Wynagrodzić go trza za to, że nas tak wynosił.

Umilkł Jaszko, a wszyscy przeczuli, że stary o czemś okrutnem zamyśla; Grot zaś zwrócił się do Palucha, który daremnie modlić się usiłował, bo mu słowa pacierza z pamięci gdzieś uleciały—i oczyma płomiennemi go świdrując, z brwią nawisłą, czołem po-fałdowanym, mówił powoli, z naciskiem, jak gdyby chcąc każdym wyrazem kęs ciała z ofiary swojej wyszarpnąć:

— Tyleś nagadał o Rawitach, aleś nie powiedział, boć może o tem nie wiesz, że zawdy szczodrością słynęli. Jeśli nie wiesz, świadectwo ci dam, pozwalając śmierć wybierać. Ano, co wolisz: czy ze skóry mam cię oblupić i żywe ciało, smołą oblawszy, zapalić, byś spłonął, jako pochodnia? czy końmi roztargać? albo może na sztuki porzezać, upiec i panu twemu (skoro się tak miłujecie wzajem) na stół godowy, podczas wesela z kasztelanką, postawić? Powiadaj...

-- Trudny tu wybór, bo jedno od drugiego lepsze!..—mruknął, wzdrygając się, Paluch.

— Powiadajże! czemuś zawarł gębę plugawą... Dopiero byłeś taki mowny, niecnoto! — nalegał coraz groźniej stary Rawita.

— Toć jabym rzekł... — westchnął nieszczęśliwy grubas, daremnie szukając w głowie fortelu, za pomocą którego mógłby się wywikłać z fatalnej pułapki,

w jaką go wtrąciło dziwne zrządzenie.— Jaby'm rzekł, ale nie wiem, czy mi się godzi tyle śmiałym być...

— Powiadaj!—raz trzeci powtórzył Grot, a Paluch śpiesznie:

— Więc powiadam, że waszej miłości po mojem życiu nic. Warta ono coś dla mnie, może też dla kogo innego, ale dla waszej miłości co? Czy takie oto chłopisko, jak ja, żyje na świecie Bożym, czy nie, dla pana Rawity za jedno. Odpuście mnie, wasza miłość, ja na wszystko co mam świętego, zarzeknę się w oczy wam leźć... A że dotrzymam, to pewna.

— Kukło ty Jelitczyków, swawolić śmiesz?

— Zachowajże mnie od tego Bartosie święty! Szczerze mówię: odpuście mnie, wasza miłość, bez ceregielów... Bo i za co miałbym śmierć ponosić?

— Jeśli nie za szczekanie uragliwe, to za to samo, żeś Jelitczyka sługa, tego poganina, co mi ono na życie wnuka godził...

— Mój pan poganinem nie jest, wnuk waszej miłości sam guza szukał, to i znalazł... a wasza miłość, duszę moją gubiąc, na same dno otchłani piekielnej się pograżasz, gdzie Iskaryot w łańcuchy skuty siedzi i łoże Madejowe na potępieńców czeka.

— Jeszcze warczysz?

— A tak... I dodam, że jeśli z Jelitczykami wojnę rozpoczniecie, to prędzej was szatan uchwyci, niż wy myślicie. Ma pan z Oporowa kim się zastąpić, a jego ucziwej dłoni zaprzędana piekłu nie zdzierży. O tem wiedźcie.

Desperacya uczyniła Palucha zuchwałym, bo wiedział, że koniec jego przyszedł, a Grot aż się zapienił i krzyknął:

— Rozgrzać go ino na gałęzi!

Porwano Palucha, obnażono całego, ręce mu w tyle skrępowano powrozem, na drzewie zawieszono i tuż pod nim zapalono stos suchych gałęzi. Grubas w tej dla siebie chwili ostatecznej, znikąd się ratunku nie spodziewając, o oporze nie myślał, usta zaciął, milczał, choć mu zewsząd dogadywano. Płomień stopy jego lizać począł, przepalona skóra pękała, swąd wstrętny roznosząc, on słowa nie rzekł.

— A teraz co powiesz o Rawitach? — śmiał się Grot, w boki ująwszy.

— Powiem, żeście chwostu za szatanem nosić nie warcie, skoro na lepszy dowcip zdobyć się nie możecie! — odparł dręczony.

— Jeszcześ się nie rozgrzał... — syknął Grot. — Poczekam mało-wiele, inaczej zaśpiewasz...

— Będziesz do dnia sądnego czekał...

Płomień podniósł się ku kołanom grubasa, wtedy Grot, znów zapytał:

— Jakże? Nie zmiękłeś?

— Tak zmiękłem, żebym ci w pysk dał, gdybym mógł...

Szarpnął aż brodę Grot, a jego czeladź wyuzdana zaczęła wołać ze śmiechem:

— Twardy wesolek Jelitezyka! Twardy!

Zastanović mogło, skąd u Palucha, który trwożliwego serca był, tyle wytrzymałości i rezygnacyi się znalazło. Lecz taka była jego natura, że gdy go co dobrze przycisnęło, zdobywał się na odwagę i wolę nadzwyczajną, a to snąć wprost z rozpaczy pochodziło. I teraz, choć mu płomienie nogi żarły, ból dojmujący nad wszelki wyraz sprawiając, on głosu nie wydał, jeno

ze skrzywienia twarzy poznać było można, jak cierpiał srodze.

Grot, który nawykł do jęków i skamlań o łaskę ofiar przez siebie dręczonych, spokój grubasa burzył niezmiernie. Patrzył na niego czas niejaki, naraz coś innego wymyśliwszy, krzyknął:

— Zdjąć go!

Natychmiast ogień zgaszono i spuszczone Palucha na ziemię. Biedny tłusciuch, wpół omdlały, leżąc, oczekiwał na srozsze męki, bo odgadł, że go nie po co innego stary okrutnik z płomieni wyrwać kazał.

Jakoż Grot szepnął Rarogowi na ucho słów kilka, ten rozkaz powtórzył towarzyszom, którzy pośrodku polany, opodal się znajdującej, toporami i mieczami dół kopać zaczęli.

Jaszko ramionami wzruszał, krzywił się pomrukując:

— Tyle z prostym chamem kłopotu! Jabym skończył odrazu, on nie nad rozwalenie łba nie wart..

Ale Grot byleczem się nie zadawałał. Dla zupełnie niewinnych ludzi udęczenia niezwyčajne wymyślał, a cóż dopiero dla takiego, od którego tyle urągowiska doznał. To też rzekł do wnuka:

— Nie lża, Jaszku mój, wszystkiego jedną miarą traktować. Odrazu takiemu życie wziąć, toć dobrodziejstwo... Należy mu się raz ukaranie za to, że Jelitczykowi do pokrzywdzenia cię pomagał, a jeszcze za to, co tu wygadywał. Umrzeć musi, gadania żadnego niema, ale niechże przynajmniej ma śmierć osobliwą... Łeb rozwalić potrafi pierwszy lepszy, \* a myśmy przecież potępińce. Tak nas sam nazywał, niech pozna, co umiemy.

To mówiąc okrutny człowiek ręce zacierał i śmiał się.

— Żywcem zakopany ma być? — zagabnął Łukasz ze Słupcy.

— Obaczycie, jeno trocha cierpliwości...

Gdy dół był dostatecznie głęboki, wpuszczono Palucha do niego w postawie stojącej, tak, że tylko głowa i nieco barków wystawało na zewnątrz, a następnie próżnię znów zasypano ziemią, którą mocno udeptano, by ofiara żadną miarą wydobyć się nie mogła. Grot kazał jeszcze przed oczyma zakopanego postawić mięsiwa kawalec, wody i miodu w kubkach, dopiero wtedy zawołał z uciechą:

— Ano, teraz ma dobrze! Teraz mu dogodziłem, że się chyba nie poskarży...

Biedny Paluch został skazany na okrutną śmierć głodową, tem straszniejszą, że czując męki głodu i pragnienia, będzie musiał patrzeć na jadło i napój, a dosięgnąć ich sposobu nie znajdzie.

— Bądźże sobie rad, wierny służko Jelitczyków — naigrawał się z ofiary swojej stary zbrodniarz. — Odplacił ci się Rawita, jako mógł. Ważyłeś się smagać ród pański, chamie ty jeden, ozorem twojem przebrzydłym, będziesz teraz ryczał z boleści, skoro ci głód kiszki skreći, a pragnienie wątrobę żarem palić pocznie. Masz za swoje, znaj szczodrość Rawitów... A wiedz, że jeśli nam się uda twego Jelitczyka uchwycić, do kompanii obok ciebie go posadzim. Obaście warci jednego.

— Ty nawet katowskiej dłoni nie wartasz, stary pociotku czortowy! — rzekł Paluch.

— Szparki w języku! — zębami zgrzytnął Grot. —



Ostawajże tu sobie — dodał — niech ci będzie wesoło...  
Czekaj, niech oblicze twoje najrzę lepiej, żebym cię  
mógł poznać, spotkawszy na tamtym świecie...

Nachylił się tuż do oczu Palucha, ten, ślinę zebrałszy, w twarz mu plunął, mówiąc:

— Arcypies jesteś!

Tej obelgi Grot ścierpieć nie mógł: zapomniawszy, że przeznaczył nieszczęśliwemu śmierć powolną, wznosił czekan i po głowie, nad ziemię wystającej, z całej siły uderzył.

Głowa krwią spłynęła — Paluch jęknął głucho:

— Jezus Marya! — i zda się ducha wyzionął.

Grot natychmiast opamiętał się i pożałował swej szparkości.

— Zdechł! — mruknął. — Szkoda, byłby się trochę pomęczył... Ano... stało się.

Dosiadł konia i zwracając się do ludzi, którzy tylko na niego czekali, zawołał:

— Do Ossolina, jako chce pan Jaszko! W koniel

Pomknęli, zostawiając po sobie garść niedopalonych gałęzi pod dębem, a na polanie zakopanego po barki Palucha, na głowie którego krew krzepła powoli, całą twarz osłoniwszy, niby larwą.

---

## VI.

Pędził Zbigniew z Halszką po otworzystych błoniach, mknęli tak rączo, jak one chmury, co je wicher po sklepieniu niebieskiem przed burzą gna. Rumak Halszki nie potrzebował naporu, znał dobrze swoją panią, wiedział, że kiedy się w niej ochota rozigra, to

trza sił wszelkich zdobyć, skrzydła sobie przypiąć, od strzały lub błyskawicy lotu wziąć, inaczej się jej nie wygodzi. A wygodzić pani usiłowało szlachetne zwierzę, bo był to ze wszystkich biegunów w stadzie jej najulubieńszy, więc zawsze pieszczony, głaskany, dłonią karmiony, stąd rozumiejący ją i jakoby wdzięczność odczuwający. Mknął tedy wichrem-burzą, z grzywą falującą w powietrzu, z szeroko rozwartemi chrzypami, od czasu do czasu łbem wstrząsając, parskając i rżąc rozgłośnie; rumak zaś Zbigniewa, snąc pobudzony tą jego szparkością, wyciągał się ile mógł, żeby panu swemu wstydu nie przynieść. Chyżość i on posiadał, ale się tamten pod Toporzanką z miejsca dobrze naprzód wysunął, więc Zbigniewa odrazu zrównać się z nim nie mógł. I trwał ten wyścig szalony długo, długo, jak gdyby na wieczność rozpoczęty, a ktoby zoczył ścigającą się parę, pomyślałby, że to nie ludzie, jeno jakieś zaziemskie istoty wyrwały się ze światów nieznanych i mkną unoszone czarodziejską mocą.

— Ujmę cię, sobolu mój! Nie morduj się próżnie... — wołał Zbigniew, a Halszka odpowiadała ze śmiechem:

— Ujmij! bierz! Jużci mnie masz! — i pędziła dalej zdyszana, z ustkami rozchylonemi, oczętami błyszczącemi, by gwiazdy, z liczką, na które krew zbiegła, czyniąc je podobnem do brzasków jutrzeńki.

— Ujmę! dostanę! pochwycę, żebyś nie wiem jak się siliła... — groził znów Zbigniew, a znów śmiech srebrny w odpowiedzi odbierał i żartobliwe:

— Aby prędzej! Dalejże! Toć czekam!

Ów wyścig szalony, na skrócenie karku, oszołomił

dwie młode głowy, piersi błogością napelnił — oboje doznawali wrażenia, jakoby opuścili ziemię i porwani jakimś wirem rozkosznym, unosili się coraz wyżej, w krainę wiekuistej szczęśliwości. Atoli gdy do boru wpadli, Zbigniewowi pomiarkowanie przyszło.

— Dość już, Halszko! — krzyknął. — Dość, powiadam! Pokazałaś, czego dokonać możesz z koniem... Ano, wstrzymaj się, bo gotowaś mi się tu gdzie zaszyć i zginać...

— Twoja będzie rzecz szukać i naleźć... — odparła, przedzierając się przez krzaki, i byłaby nie wiedzieć pokał pędziła, gdyby nie gąszcz, który jej drogę zatamował. Zwróciła się wtedy rozpromieniona, różowa, ciężko dysząca do Zbigniewa i zapytała:

— A co? Kto pokonany? Może nie przyznasz?

— Wszystko przyznam, co jeno chcesz — rzekł Zbigniew — to nawet, że nam oboje czegoś w głowie nie dostaje...

— Chwal się z tem, a mnie ostaw... Skąd ci przyszło takie nie do rzeczy gadać?

— Stąd przyszło, żeśmy bez potrzeby i konie zameczyli, i sami ledwie dychamy. Szczęście, żeśmy przypadku nie dopytali...

Skoczył na ziemię i Halszce rękę podając, dodał:

— Chwilę trza dać koniom wypocząć, patrzaj — obydwu spienione i mokre, jak po splawieniu...

Halszka, rękę przyrzeczonego ominawszy, sama na ziemię skoczyła i konia swego pieszcząc, ozwała się:

— Lepszy on od twego? Co? Może nieprawda? Słowam nie rzekła, palcem nie dotknęła, a pędził, że ha! Tyś swego bość kolanem musiał i nawoływać...

— I to ci przyznam, chociaż tak nie było —

uśmiechnął się Zbigniew. — Puść go oto wolno, niech się wyparska i wytarza, a my siądźmy i tchu zaczerpmy. Setnieśmy zaiste pędzili.

— Widzisz, ja tak zawsze! — rozśmiała się z ukontentowania Halszka, na kamieniu mchem obrosłym siadając. — Jeździć, to jeździć, żeby przynajmniej dusza miała uciechę...

— I podczas z ciała się wymknęła, kiedy jeździec czerep sobie o jaki pień lub głąz rozbije, z konia zostawszy wysadzonym, co przy takiej wścieklej ganimance łącno — dokończył Zbigniew, tuż przy niej siadając. — Ej! Halszka! ty Halszka! Słusznie na ciebie Kostuch wyrzeka: cudnie piękna jesteś, rajską urodę posiadasz, ale też coś osobliwszego w tobie tkwi... Zali ci to nigdy nie wywietrzeje z głowy?

— A gdyby nie? — zapytała, ręce na ramionach jego wspierając i w oczy mu patrząc.

— To dziwnieby jakoś było — rzekł, głową kręcąc. — Nie bylibyśmy małżonkami, jak wszyscy dookoła, gdzie mężowi insze zachody przypadają, a niewieście insze, ale coś niby towarzyszami z obozu. Tak przecież nie lża.

Obruszyła się.

— Czemu? Co w tem złego? Ja właśnie będę ci towarzyszem w każdym przypadku — i w domu i na łowach, i gdy na wojnę wyciągniesz. Waruję to sobie i zapowiadam, że cię na krok nie odstąpię. Wyruszysz-li na wroga i mnie nie weźmiesz z sobą — sama pojedę.

— A nuż zakażę?

— Nie posłucham!

— A nuż zamknę?

— Na zamknięcie jest sposób odemknięcia. Dla mnie dość warownych zasów nie najdziesz...

— Oho! — rozśmiał się.

— Ty się nie śmiej, bo mówię ci, jak będzie — zawołała z dąsem i zaraz liczko wyjaśniła, po głowie go zaczęła gładzić i uspokajać:

— Ale też się przyszłością nie trwóż i nie rozmyślaj nad tem, co będzie, bo jak najlepiej się wszystko ułoży, skoro ja do ciebie mam serce, a ty do mnie... Rad winienesz być, że pragnę towarzyszyć ci nieodstępnie wszędzie, na każdym miejscu... Jakże? Żle pragnę?

— Dziwnie, ale dobrze — odparł, kładąc głowę na jej kolanach i w twarzączkę się wpatrując, z której jeszcze rumieńce, zmęczeniem wywołane, nie zeszły. Dobrze, bo o czem taka duszyczka zaroi, to wszystko musi być piękne i dobre...

Gadasz, aby gadać, ja przecież całkiem naprawdę przed tobą się wyznawam...

Zamyśliła się trochę i przez chwilę kędziorami Zbigniewa się bawiła w milczeniu, to je rozgarniając, to na paluszki drobne nawijając; on zaś z niej oczu nie spuszczał, jak w tęczę w nią patrzył, coraz nowe powaby odnajdując. I słodkość mu serce napełniła miodowa, tak, że uderzać mu zaczęło mocniej; i pod wpływem onego uczucia zdało mu się, że się rozplywa, topnieje w nadmiarze rozkoszy, niby wosk na słońcu. Ruchem bezwiednym kibić dziewczyny objął, ku sobie nachylił, a gdy nad głową jego zawisły usta, by wiśnia rozkrojona, z zapalem swoje do nich zbliżył, a wy-cisnąwszy na nich pieczęć serdeczną, oczy i ręce całować począł, aż go odtrąciła:

— Zaniechaj! dosyć! Kostuch z czeladzią rozłożyli się opodal, śmiać się z nas będą...

— Co mają się śmiać! Zresztą — niechby się wazyli...

Halszka znów w zadumę wpadła, a po chwili mówić zaczęła, nie jak zazwyczaj żartobliwie, swawolnie, lecz powoli, z zastanowieniem:

— Miły Boże... wszyscy mówią: dziwna! dziwna! A cóż jam temu winowata? Taka już przyszłam na świat. Może też Kostuch taką dziwną ze mnie uczynił, boć to on piastunom mnie odbierał i sam niańczył... I pewnie, że tak. A niańczył po swojemu: zawdy mnie między końmi trzymał, do nich nazwyczaj, a do zabawy — to mi łuk ustrugał, to procę, to mieczyk... Ja też mu, słyszałeś przecie Zbychu, gdy mnie łaje, prosto w oczy rzucam: tak się zabawiam, staruchu, jakoś mnie nazwyczał. Ano... i rodzic zawdy się ze mną jak z pacholęciem obchodził. Obadwa z Kostuchem przyuczali mnie strzały wypuszczać, oszczepem miotać, zwierza najeżdżać... Tak to, tak, Zbychu, oni to sprawili, że towarzysza będziesz miał ze mnie, a nie towarzyszkę... Ale się nie strachaj, i towarzyszką być potrafie...

— Ani się stracham, ani wątpliwości żadnej co do tego nie mam — rzece Zbigniew. — Wierzę i raduje mnie to wielce, że wszystkim być dla mnie potrafisz. Tak małżonce prawowitej należy.

— A ty? — zapytała z kolei.

— Ja? — powtórzył, ręce składając. — A toćbym nie nad pokaranie od Boga nie wartął, gdybym skarbu takiego godnie uszanować nie potrafił, czy nie chciał.

Sam ręką własną zbeszcześciłbym siebie za grzech taki... Wierzysz mi?

— Czemużbym wierzyć nie miała? Miłuję cię, więc wierzyć muszę...

Nagle innym tonem dodała:

— Ale słuchaj, Zbychu, ja nie na wiatr mówię, nie na żart, że jak ci na wojnę ciągnąć wypadnie, to i mnie weźmiesz... Przyrzeknij mi to... Musisz przyrzec... No?

Poważną minę nastroiwszy, w oczy mu poglądała pilnie, on zaś ze zdziwieniem zapytał:

— JAKO? Nieżartem chcesz i na wojnę ze mną ciągnąć?

— Najprawdziwiej, a od tego nie odstąpię...

— Zważ, co mówisz, Halszko... — tłumaczył Zbigniew. — Ty na wojnę? W żaden sposób nie może być. Myślisz, że to zabawa, jak w kniei? Rozumiesz-li, co to wojna? To trudy, dla których zniesienia trza ducha silnego mieć i ciało silne; to podczas chłód, głód, pragnienie i tysiące innych mąk; to dymy pożarów, przelew krwi ludzkiej, jęki, płacze, konania, śmierć... Nie, Halszko, nie mogę ci przyrzec, że cię z sobą na wojnę poprowadzę, a zresztą sama tego domagać się nie będziesz, skoro ci główka dojrzeje. Dziś — dziecinka z królownej mojej: zachciewa się jej Bóg wie nie czego, bo mniema, że wszystko dla uciechy ludzkiej istnieje; ale się przekona, że tak nie jest. Tak Bóg przeznaczył, że narody stacząc z sobą boje muszą, wszakże nie czynią tego z wielką ochotą i wojnę klęską nazywają. Zaiste... straszna to rzecz wojna. Przeznaczył ją Bóg dla karania grzechów ludzkich, ale do jej prowadzenia meże przeznaczył, nie niewiasty.

Od początku świata tak było, tak jest i tak do świata skończenia ostatecznie.

— Czemu was tylko przeznaczył? Czy to my co gorszego?

— Nie gorszego, aleście mdłe, sił ani serca do rycerskiego rzemiosła nie macie.

— Ja mam do rycerki serce, a ono siłę zastąpić może! — podchwyciła Halszka szybko.

— Tak to się zdaje — uśmiechnął się Zbigniew.

— Obaczysz, przekonasz się, bo ja swego się nie wyrzeknę. Praw co chcesz, a nie wyrzeknę... — przerwała mu z mocą. — Umyśliłam sobie, postanowiłam i tak będzie... Przy pierwszym spotkaniu ci to zapowiedziałam, pamiętasz? A! wojna... — dodała z wzrastającym zapalem. — Co to się musi w piersiach dziać, kiedy się hufy zbrojne ścierają... Ów szczęk mieczów gruchot zbroie, świst strzał, to dopiero kapela! Takie słuchać!

— I na krew brocząca patrzeć, to dopiero radość! — szepnął Zbigniew.

Ale Halszka, nie zważając, zagabnęła:

— Zbychu! tyś przecie w polu bywał... opowiedz jak tam i co?

— W walnej bitwie jeszcze mi się być nie zdarzyło. Chadzałem tu i owdzie, ale wszędy kończył się na utarczkach, niewartających wspomnienia.

— Czy to prawda, Zbychu — dopytywała, nie chcąc upodobanego przedmiotu porzucić — że wojny zawdy znaki na niebie przepowiadają?

— Tak-ci jest. Albo po parę słońce, czy po parę miesięcy wypływa na niebo; albo zła gwiazda, miotła ognistą za sobą wlokąca; albo znamiona krwawe... Za-



zwyczaj też na wojnę psy po nocach wyją, pućki hukają, kruki gromadami się snują, a wszystko dlatego, że śmierć wtedy w powietrzu się unosi, stworzeniom zaś takim, jak psy, kruki, sowy, danem jest ją czuć.

— A prawda-li, że i przed samą bitwą zdarzają się znaki, z których można odgadnąć, po której stronie będzie wygrana?

— Bywa i tak. Rodzic mój nieboszczyk często mi o tem wspominał. Na ten przykład, gdy ze zmarłym królem Władysławem ciągnął rodzic na Zielone Pole, po pobiciu mnichów krzyżackich u Dąbrówna, stało się takie dziwo:

Kazał król wieczorem, o słońca zachodzie, rycerstwu do namiotów ściągnąć, aby się wywczasowano, bo nazajutrz przed świtem wyruszyć mieli. Otóż w naszym obozie noc przeszła spokojnie, ale w obozach mistrza krzyżackiego taki zawział się wichur, że namioty pozrywał, powywracał, ani chwili spocząć Krzyżakom nie dając \*).

— Należało się tym wilkom! — zauważyła Halszka!

— Ba! dostali oni przecież rychle za swoje... A tej samej nocy miesiąc osobliwe przedstawił dziwowisko, co niektórzy z czuwających widzieli, jako to, pomiędzy innymi, Bartosz, pleban Kłobucka, spowiednik króla. Dziwowisko zaś takie było: na miesiącu ukazały się dwie osoby — jedna jakby króla, druga jakby Krzyżaka. Owo te osoby jęły z sobą walczyć, a król przeszył Krzyżaka włócznią i na ziemię go

---

\*) Według zapisek kronikarskich.

z miesiąca stracił. Juści to była jasna wieszczba zwycięstwa, która się też drugiego dnia sprawdziła \*)

— Oj! Zielone Pole! Zielone Pole! Gorąco tam było mnihom mieczowym... — westchnęła Halszka, a oczy jej pały. — Dostali tam? Prawda Zbychu?

— Juścić, kiedy ich czterdzieści tysięcy poległo. Walecznie tam stawali nasi, ale też pomagał im Stanisław święty przez cały czas boju. No i modlitwy króla, któren wielce był nabożny, też na szali losów tej bitwy zaważyły.

— Jakże to? Jak?

— Ano... nie wszystkim dane było to oglądać, ale ludzie zbożni, bogobojni, widzieli, że przez cały czas boju w obłokach, nad naszym rycerstwem, unosił się Stanisław święty w szatach biskupich i hufy nasze ustawicznie błogosławił \*\*) ..

— A z onemi modłami królewskimi?

— Z modłami to znowu tak było. Z pod Dąbrówna \*\*\*) król przed świtem pociągnął o dwie mile, na Zielone Pole; co się działo dnia wtorkowego, któren stanowił rocznicę Rozesłania Apostołów. Na Zielonem Polu kazał król rozbić namioty między gajami i gąszczami, a na pagórku, nad jeziorem Lubnem, ustawić kaplicę obozową, bo chciał w tym czasie, kiedy się wojsko będzie rozmieszczało, Mszy świętej wysłuchać. A już mistrz Krzyżaków, Ulryk von Jungingen, ściągnął nieopodal z wojskiem, jedno go czaty królew-

---

\*) Według zapisek kronikarskich.

\*\*) Tamże.

\*\*\*) Długosz.

skie nie dostrzegły... Król zabiera się do słuchania Mszy, a tu bieży Hanek Ostoja, rycerz z ziemi chełmskiej.

— Miłościwy panie — powiada — nieprzyjacieli o kilkanaście kroków od obozu! Widziałem sam.

Pyta król:

— Liczne to wojsko?

Odpowiada Hanek:

— Postrzegłem jakąś tylko chorągiew i czempredziej z wiadomością tu jestem.

Jeszcze nie skończył mówić Hanek, a tu bieży Dersław Oksza z Włostowic, wołając:

— Miłościwy panie, ja dwie chorągwie Krzyżaków widziałem...

W te pędy nadbiegają trzeci, czwarty, dziesiąty z wiadomością, że nieprzyjacieli stoi w pełnej gotowości do boju tuż przed obozem.

Nie uląkł się król tak niespodziewanego pojawienia się nieprzyjaciela, powiada:

— Już wiem, co mam wiedzieć. Zanim się jednak bawić zaczęę orężem, trza mi powinność Bogu oddać i Jego opiece wszechmocnej się polecić...

Jakoż w kaplicy obozowej z wielką pobożnością wysłuchał dwóch Mszy świętych, które odprawili kapelani nadworni: jedną Bartosz, proboszcz Kłobucka, drugą Jarosław, proboszcz kaliski. Krzyżem leżał podczas nabożeństwa tego król, modlił się z gorącością ducha. Niecierpliwiła ta zwłoka wielkiego księcia litewskiego, Witolda któremu z Chrztu świętego przypadło imię Aleksander, słał tedy gońce do króla i sam nalegał, żeby bój rozpoczynać, bo źle będzie, jeśli mnichy pierwsi na obóz polski uderzą; aliści król na nie nie zważał

i nie wstał, dopóki wszystkich modłów nie ukończył. Widzisz tedy, Halszko moja, jaka to moc w szczerej spoczywa modlitwie. Onać to nam dała zwycięstwo nad Krzyżaki, ona męstwem natchnęła rycerzy. Waleczność, bez pomocy Bożej, zwycięstwa nie dawa.

— Oj! Zielone Pole! Zielone Pole! — powtórzyła Halszka, główką wstrząsając i dłonie drobne w piąstki zaciskając. — Szczęśliwi, co tam byli. Rodzic mój pod Dąbrownem srogą poniósł ranę od włóczni, więc miasto na Zielone Pole wyruszyć, musiał się goić w klasztorze. Nieprzeznaczona rana była, ledwie w nim życie utrzymano...

— Mój zaś rodzic — rzekł Zbigniew — i pod Dąbrownem walczył, i z Zielonego Pola wyszedł cało, więc też od niego wiem dokładnie, jak tam było.

— Jakże? Jak? Zbychu złocisty, toć opowiedz... — prosiła Halszka. — Aż drzę, takam ciekawa!

— Kiedy składnie opowiadać nie potrafię i zresztą dużo to czasu zabierze, a tu do domu wracać czas... — ościagał się Zbigniew.

— O! juźci wracać... — ramionami wzruszyła Halszka. — Opowiadaj, Zbychu, nie godzi się przyrzeczonej odmową markotliwości sprawiać. No, ja słucham.

— Co z tobą robić? — uśmiechnął się Zbigniew. — Na twoje słowo kamień się poruszy. Tedy dam ci, com od rodzica w pamięci zatrzymał, a o resztę chyba Sulimy poprosim. On na Zielonem Polu sam harcował, to i dużo więcej mu wiadomo...

Taką uwagę uczyniwszy, dalej rzecz o wiekopomnem zwycięstwie prowadził:

— Modły ukończywszy, król Władysław zbroję

świetną przywdział, ale przywdziewał bardzo powoli. Dziw też, że wszystko u nas wtedy szło z początku opieszale. Już stały hufy w zupełnej do boju gotowości, z orężem w rękę, o rzut strzały od krzyżackich; już i pojedyncze ze stron obu rozpoczęły się harce,—a król hasła do rozpoczęcia walki nie dawał. Zbroję pełną przywdziawszy, siadł na konia i bez oznak królewskich, krom małej chorągwi, z wyszytym na niej orłem białym, na wzgórze wyniosłe, pomiędzy dwoma gajami położone, się udał, stamtąd wojskom swoim i Krzyżakom pilnie się przypatrował. Stamtąd ruszył na równinę, wielu wojowników pasem rycerskim ozdobił; potem, dla zagrzania sere, przemówił do hufców, rycerską powinność i cnotę przypominając...

— A wojowników niecierpliwość paliła i dłonie ich do krzyżackich karków świerzbiec musiały... — zauważyła Halszka.

— Pewnie, ale musieli też hasła czekać, bo na wojnie skinienie wodza—to święta rzecz. Nieposłuszny, naprzód się wrywający lub cofający, śmierć bierze...

Po przemówieniu, król z konia spowiedź ponowną odbył przed Mikołajem podkanclerzym, następnie na rosnącego wałacha, siły niepospolitej, cisawej maści, z łysinką małą na czole, się przesiadł, rozkazał podkanclerzemu, wszystkim kapłanom, pisarzom i czeladzi bezbronnej, do obozu, między tabory, iść i tam skutku bitwy oczekiwać. Sam też—powiadał—rychle miał tam przybyć, bo panowie radni przezornie postanowili, iżby życia w walce nie narażał...

Gdy się to u nas działo, u Krzyżaków ich mistrz co najwyższy, Ulryk von Jungingen, nagle został trwożą ogarnięty, jakby srom swój i godzinę ostatnią prze-

czuwając. Rozpacz go taka porwała, że ustronń odszukawszy, tam poszedł i rzewnie zapłakał. Oburzyło to komturów, a elbląski, Werner Thettingen, w głos zakrzyknął:

— Mężem bądź, nie niewiastą, i rycerzom, hasła bojowego wyczekującym, przykład odwagi daj, nie tehrzostwa!

Na to von Jungingen surowo, lecz bez grozy:

— Komturze von Thettingen, myśl o sobie i bacz na godność własną, iżbyś wkrótce płoczej dumy poniżeniem w boju nie przypłacił. Ja bez strachu pójde do walki i cokolwiek się stanie, wytrwam do chwili ostatniej. Jeslim łzę uronił, to nie z trwogi bynajmniej, nie z gnuśności. Wycisnął mi ją żal, wycisnęła litość, że pod moją wodzą ma się przelać tyle krwi chrześcijańskiej, która, kto wie, czy nie popłynie do nieba i pomsty na głowę moją nie ściągnie.

Tak mówił mistrz wielki, a wieszczę zaiste były to słowa, bo on sam poległ, a von Thettingen sromotnie uszedł z pola i aż u bram Elbląga się oparł.

Wszakci i von Jungingen, gdy go ów żal i litość ominęły, dał się szatanowi dumy ogarnąć i oto co uczynił:

Już nasz Władysław miał znak dać do boju, gdy mu doniesiono, że z obozu krzyżackiego dwaj stanęli heroldowie. Jeden na tarczy miał orła czarnego w polu złotem, co herbem jest króla rzymskiego; drugi — ptaka gryfa w polu białem, godło księcia szczecińskiego. Gońce owi w rękach nieśli dwa gołe miecze i żądali, aby im z królem mówić pozwolono.

Władysław, przywoławszy do boku swego podkanclerzego Mikołaja, księcia mazowieckiego Ziemowi-

ta (siostrzana swego), Mężyka Jana z Dąbrowy, Czecha Zolawę, Zbigniewa z Oleśnicy, pieczętarza podówczas, Dobiesława Kobylę, Wolezka Rokitę, kuchmistrza koronnego Bogufała, Zbigniewa Czajkę z Nowego Dworu, co włócznie królewską trzymał, Mikołaja Morawca, co porporzec królewski dźwigał i Danilę z Rusi, któren strzały królewskie niósł, dał gońcom posłuchanie. Oni zaś, znalazłszy się przed majestatem, w tych słowach urągliwe poselstwo sprawili:

— Królu miłościwy! Wielki mistrz nasz, Ulryk, śle dla ciebie i brata twego po mieczu, żebyście przy ich pomocy i pomocy oręża waszych rycerzy, z większą, niż dotychczas okazujecie, odwagą wystąpili do boju; żebyście nie ukrywając się dłużej w gajach, na otwarte wyszli pole i tam się z nami starli. Jeśli dla rozwinięcia zastępów swoich za mało masz miejsca, miłościwy panie, mistrz Ulryk chętnie ci ustąpi ile chcesz pola, które z wojskiem swoim zajmuje, abyś swobodnie mógł się poruszać. Zgadza się też, żebyś sam miejsce do boju wybrał, byle tylko sprawy nie zwlekać.

Zdrętwieli wszyscy, słysząc urąganie takie, ale król, gniewu najmniejszego nie okazując, miecze z rąk heroldów przyjął i odparł spokojnie, pełen godności majestatowi przystojnej:

— Mam-ci ja orężów dostatek, ale dla wspomnienia i bezpieczeństwa większego słusznej sprawy mojej, w imię Boże i te przyjmuję miecze od wrogów, krwi mojej i narodu mojego łaknących. A przyjmując, do Boga sprawiedliwego, karciciela pysznych, do Maryi Dziewicy, do patronów królestwa mego zanoszę modły, aby gniew swój na wrogów moich, krwi rozlewu łaknących, obrócili, co dufam, że się stanie, bo owo

w tych mieczach dobrą mi wróżbę przynosicie. Wybór miejsca do walki Bogu Najwyższemu ostawiam: tam ono będzie, tam skutek bitwy się okaże, gdzie On przeznaczy. Czuję, że zuchwalstwo wasze teraz na długie lata ukrócone zostanie. Opatrzność dotknie was prawicą swoją, w proch zetrze hardość bezbożną. Powiedziałem. Odejdźcie w pokój.

Polecił Dziwiszowi Jelicie odprowadzić heroldów, sam zaś hełm włożył, raz się jeszcze z modlitwą do nieba zwrócił i już potem hasło bojowe wytrąbić kazał; następnie, ulegając woli panów radnych, otoczony liczną drużyną rycerzy wybranych, w miejsce ustronne się usunął, gdyż jego samego ważono za dziesięć tysięcy rycerzy. Byli przy królu wówczas Morawiec Powała z Kunoszówki, proporzec mały z orłem białym dzierżący, i kopijników, rycerzy znamienitych, sześćdziesięciu.

— A teraz o boju, Zbychu, o walce...—przerwała Halszka, zaledwie na miejscu siedzieć mogąc.—Jakam ja ciekawa! Jakam ciekawa!

Zbigniew również opowieścią się zapalił i z coraz większą mówił mocą:

— Skoro przebrzmiało hasło bojowe, wszystko wojsko pieśń do Bogurodzicy śpiewać poczęło. I płynęła owa pieśń ojczysta do nieba, promienie słoneczne, zda się, chwytaly jej odgłosy chciwie i przed tron Najwyższego niosły, przed majestat Matki Zbawiciela, aby pomoc dla sprawiedliwych wyjednać. Po odśpiewaniu pieśni, rycerstwo ze wzniesionemi kopiami rozpoczęło walkę. Zwarły się hufy w nizinie. Krzyżacy, lubo z dział pociski ogniste miotali, lubo z wyższego wzgórza ruszyli, więc z gwałtowniejszym impetem, wszela-



ko nie zdołali złamać szyków polskich, które stały jak mur i śmiertelną dokoła szerzyły kośćbę...

— A dobrze tak Niemcom! A dobrze!—szepnęła Halszka, Zbigniew zaś dalej opowiadał:

— Straszliwe było to pierwsze natarcie, tak z obu stron zawzięte, że od wrzasku rycerzy, uderzeń kopij, zbroie chrzęstu, szezęków mieczy i trąb grania, huk, gruchot, łomot powstał na mil kilka słyszany \*)... Mąż na męża napierał, kruszyły się orężę z łoskotem, z trzaskiem, grotę rozdzierały i szarpały ciało... W zgiełku tym i zamieszaniu okrutnem, nie lża było widzieć, kto górę bierze, bo wszystko się w jednej kotłowało kupie, wszystko się zlało w taką jedność, jakobyś z kęsów wosku, przy ogniu je stopiwszy, jeden utworzył gruzoł.

Rychło też pokruszyły się kopie, wówczas jeszcze silniej spoiły się szyki, wżarły się jedne w drugie. Poszły w ruch oszczepy, topory i miecze, zdało się słuchającemu z dala, że to w jakiejś kuźni olbrzymów odprawuje się robota.

Godzinę trwało ono zwanie się najpierwsze. Krzyżacy zwrócili byli całą gwałtowność na lewe skrzydło, kędy stali sami polscy rycerze, ale widząc, że ich nie ukaszą, napaarli na skrzydło prawe, gdzie stała Litwa, Ruś i Tatarzy, mniej gęsto uszykowani, słabsze konie i rynsztunki posiadający. Litwa nie wytrzymała naporu, cofać się zaczęła, a potem uciekać sromotnie. Puścili się za uciekającymi Krzyżacy, długo ich

---

\*) Oczywiście przesada, ale autor trzyma się relacyi kronikarskiej.

gnali, mieczami siekąc i w niewolę zabierając, a już mniemali, że zwycięstwo im przypadło. Ale ta ich chęćliwość ukarana srodze została.

— Dalej! dalej! Jak dalej było? — nagliła niecierpliwa Halszka.

— Czekajże, sobolu mój, muszę przecież porządkiem ci wykladać; muszę, zanim powiem, jak dalej szła bitwa, powiedzieć nieco o zdrajcy Czechu, którego sromem wtedy na wieczne czasy się okrył. Tak ta szpetna rzecz się stała:

Była w wojsku królewskim chorągiew św. Jerzego, pod którą sami jeno zacieźni Czechy i Morawcy służyli. Przewodził oną chorągwią także Czech, Jan Sarnowski. Widząc ten Sarnowski, że Litwa pierzcha, uprowadził swoich do gaju, gdzie król Władysław bitwie się przypatrował. Oburzyło to wszystkich, najbardziej zaś podkanclerzego Mikołaja, który mniemał, że to hufiec Dobiesława z Oleśnicy, bo na chorągwi wyrażony był krzyż biały, taki, jaki na swojej Dobiesław z Oleśnicy nosił. Tedy podkanclerzy, tego rozumienia będąc, jął lajać rzekomego Dobiesława:

— Niecnota w tobie i zdrażliwość siedzą, rycerzu, skoro w tej chwili, kiedy towarzysze twoi krew przelewają w walce, z pola mogłeś ujść! I tyś to jest, Dobku, któryś zawdy z waleczności słynął? którego gwiazdą zastępów polskich nazywano? Biada ci, zaiste, bo czy zdołasz z siebie i z całego pokolenia swego ono piętno hańby kiedykolwiek zmazać...

Sarnowski, uchylwszy przyłbicy, rzecze:

— Ojczye wielebny... nie 'wiń, gdyż nie strach mnie do ustąpienia z pola przymusił, jeno żołnierze

moi, którzy, serce straciwszy, w popłochu, mnie tu z sobą zaciągnęli...

Przecież nie udało się zdrajcy kłamstwo, bo Jawor i Rakowiec z Rakowa, rycerze z przedniej straży jego chorągwi, wnet mu fałsz nیکczemny ujawnili, wołając:

— Niegodziwy to człek, plugawe ma serce i przewrotne! On to, on sam, wódz nasz niby, mimo woli naszej nas tu sprowadził. Przysięgę na to składamy, a żeby z nim hańby nie dzielić, odstępujemy znaku jego i sami wracamy do boju...

Tak też uczynili. Zdrajca zaś od czei i sławy odsądzon został i to sobie kupił, że go, gdy wrócił do Czech, żona w dom, ani do łoża przyjąć nie chciała. Rozniosła się ta jego sromota wszędy: i między panami Czech oraz Moraw, i na dworze króla węgierskiego, Zygmunta, wszędy wielką mu przyczyniając zgryzotę, z której też śmierć mu przyszła. Taki to, Halszko moja, koniec zdrajcom zawdy bywa.

— Nie był-li od mnichów przekupion, że tak uczynił? - zapytała Halszka.

— Chodziło coś o tem między ludźmi, ale pewność się nie pokazała... — odparł Zbigniew. — Tak oto zdradą sromotę i śmierć marną kupił sobie Czech, natomiast wtedy również męstwem cnotliwym sławę po wieczne czasy kupiły sobie hufy smoleńskie. Trzy ich było. Gdy Litwa pierzchła, nie ustąpiły krokiem. Huf jeden niemal do nogi wysiekli Krzyżacy, lecz dwa pozostałe dotrwały w miejscu, odparły wroga i połączyły się z Polakami. Cześć im za to oddawano rozgłośnie...

Wtedy też omal król życia nie dał.

Przypatrował on się, jakom ci powiedział, z ustron-

nego gaju bitwie, która, po pierzchnięciu Litwy, w różnych toczyła się miejscach, nie w jednej gromadzie, z różną też co chwila przewagą. Już tak było, że wielka chorągiew królewska z białym orłem, co to ją trzymał Marcin Pólkoza z Wrocimowic, upadła na ziemię i już Krzyżacy po nią sięgali, ale insi rycerze z pod tego znaku najprzedniejszego własną ją zasłonili pierśią i tym kształtem ocalili... Niedługo potem Krzyżacy tu i owdzie ustępować zaczęli, co widząc król, mocno się ucieszył i tem gorętsze modły o zwycięstwo ostateczne do Boga słał. Naraz szesnaście nowych, nietkniętych hufów z krzyżackiego wysunęło się obozu i kilka wprost na króla z najeżonemi włóczniami się zwróciło... Król, tak zagrożony będąc, śle Zbi-gniewa z Oleśnicy o pomoc do stojącej w pobliżu cho-ragwi Mikołaja Nałęcz-Kiełbasy, ale ten Oleśnickiego zląkał:

— Mamy stąd ruszać, kiedy wróg uderza? A toż znaczyłoby tyle, co ucieczka, któraby klęskę dla całego wojska sprowadzić mogła...

Wraca Oleśnicki do króla, około którego bój zawzięty się toczy i mówi, że pomocy znikąd się w tej chwili nie spodziewać, bo wszystkie hufy w walce, tedy ruszać się z miejsca nie mogą... Rozkazał Władysław spuścić swój mały proporzec z orłem białym, iżby Krzyżacy nie poznali, kto jest, i rwał się do boju. Czech Zolawa chwycił konia jego za wędzidło i, nie puszczając, mówił, jako niewolno mu, koronę piastującemu, głowy narażać. Rozgniewał się Władysław, rohatyną go uderzył.

— Puszczajże!—zawołał. — Nie zagradzaj walki, kiedy takie mam pragnienie...

Ale rycerze poblizcy za Zolawą się ujeli, więc król w miejscu pozostać musiał. Aż tu nagle na koniu bułanym przypada, jako piorun szybko, znaczny rycerz krzyżacki, Niemiec, Dypold Kikierzye von Dieber, z Luzacyi, i włócznią godzi prosto na króla... Podniósł król włócznię swoją do ciosu, lecz Zbigniew z Oleśnicy, mimo że był prawie bezbronny, bo jeno kopię złamaną w rękę miał, rzucił się na Krzyżaka i tak potężnie onym odłamem kopii w bok mu dojechał, że z konia zwałił.

— A co! a co! — przerwała Halszka rozradowana. — A Niemiec, psia jucha... czego mu się zachciało... I śmierć pewnie poniósł?

— Poniósł, chociaż król tego nie chciał. Gdy upadł, król go włócznią lekko uderzył w czoło i tak ostawił, lecz insi nasi rycerze, zuchwalstwem oburzeni, życie mu wzięli w mig, a pośledniejszy żołnierz już zabitego ze zbroi i odzieży obrał...

Tak tedy król Zbigniewowi z Oleśnicy żywot zawdzięczał. A trza było bohaterstwa, żeby bezbronnemu młodzieńcowi odważyć się potykać z rycerzem takim, jak Kikierzye von Dieber, dojrzałym i w mnogich wywieszonym bojach, co też król oceniając, chciał obrońcą swego pasem rycerskim ozdobić. Ale Oleśnicki wymówił się od tej nagrody zaszczytnej powiadając:

— Nie w świeckim ja, lecz w Chrystusowym pragnę walczyć hufie, miłościwy panie; Zbawiciela i nauki Jego świętej bronić, krzewić ją, a wątpiących w niej umacniać,—przeto mi on pas rycerski nie nada.

To usłyszawszy, rzecze król:

— Skoro ten co najprzedniejszy zawód sobie obrałeś, pewnym bądź, iż dopókim żyw, masz u mnie

pomoc i wsparcie wszelakie. Słowo moje ci daję, iż się na stolicy biskupiej obaczysz.

Dotrzymał słowa król, jako wiesz, Halszko. Oleśnicki już piętnasty rok na biskupstwie krakowskiem siedzi, odkąd Wojciech Jastrzębiec z tej stolicy na arcybiskupią, do Gniezna, przeniesion został.

Ano, kiedy one szesnaście hufów krzyżackich obaczyło, że tak znamienity rycerz, jak Kikierzyc, śmierć poniósł, cofnęło się natychmiast. Hasło do cofnięcia dał jeden chorąży, na białym koniu siedzący. Ten kopią wymachiwać jął i krzyczał donośnie:

— Herum! herum!—co znaczy po niemiecku, żeby się nawracać, tył podać.

Więc też nawrócili Krzyżacy i wpadli na rycerzy polskich, z pod wielkiej chorągwi królewskiej, którzy dopiero co insze ich hufy złamali. Ci rycerze nasi mniemali z początku, że to Litwa ku nim zdąża, a ułdziło ich to, że Krzyżacy byli zbrojni w sulice \*), zazwyczaj przez Litwinów do boju używane. Insi atoli odrazu rozpoznali wrogów i spierali się z tamtymi. Dobek Dębno z Oleśnicy, pragnąc wątpliwość rozstrzygnąć, wzniósł kopię i popędził ku zbliżającym się hufom. Wysunął się naprzeciwko niego Krzyżak znaczny, co widząc Dobek, zmierzył weń kopią. Ale mnich, nachyliwszy się, uniknął ciosu, podbił kopię Dobka do góry tak, że mu w tył przez głowę przeleciała. Dobek wtedy przekonawszy się, z kim ma do czynienia, zawrócił do swoich, boć szalenstwem byłoby jednemu potykać się z gęstą ciżbą.

---

\*) Włócznie lekkie i rzutne.

— I zwały się owe szesnaście hufów krzyżackich z królewskimi?—przerwała Halszka.

— A jakże. Ba! Zawzięty bój stoczyli, ale co do jednege niemal albo trupem padli, albo w niewolę się dostali. Tak oto, sobolu mój, cała potęga krzyżacka zniesioną została. Poległ mistrz wielki, marszałkowie, komturowie, mnóstwo rycerzy i panów znamienitych. Inni zaś w pęta się dostali, insi znów zbiegli, w największym popłochu... Wówczas to Przedpełko Drya-Kopidłowski ujął von Gersdorfa z czterdziestoma jego towarzyszami, zabierając oraz ich proporzec, z wizerunkiem św. Jerzego. Książęta Kaźmirz szczeciński i Konrad Biały, co własnych wojowników pod znakiem własnym na pomoc mnichom sprowadzili, także się dostali w niewolę; pierwszego wziął Skarbek z Góry, drugiego Czech—Justa z Salcu.

Obóz cały nieprzyjaciół, z bogactwy na podziw, wozy, sprzęt wojenny wszystek, naszym się dostał. A było tam, między innemi, wozów kilka, samemi dybami i okowami naładowanych, co mnichy chełpliwe, pewni zwycięstwa, zawczasu do pętania Polaków przygotowali. Na innych znowu wozach przygotowali łączywa suche, łojem i smołą napuszczone, a jeszcze na innych kieścienie, także smołą i tłuszczem namaszczone. Temi Polaków zwyciężonych pędzić mieli przed sobą w niewolę. Ale Bóg sprawiedliwy, jako nasz król Władysław przewidział, w proch starł pychę cheiwców i bezbożników, skruszył ich, do ziemi przyniół, okazując, iż ludzkie rzeczy niepewne są i ślizgie.

— Dobrze im tak, Niemcom przebrzydłym! Dobrze! Szkoda, że do nogi nie zostali wygnieceni. Cuchnie od nich jeno na świecie...—zawołała Halszka z uciechą.

— Takaś na nich zawzięta?

— Wždy na Niemce nie miałabym zawzięta być?!  
Toćże sroższych krzywdzicieli na świecie niema. Jako  
nasza Polska szeroka i długa, nie należć takiego, coby  
o nich dobrze powiedział.

— Słuszniesz rzekła: naród to w krwi już zdradę,  
cheiwość, pychę i wszelkie plugawe chuci mający.  
Sprowadził go do nas Mazur Czart, on książę mazo-  
wiecki, w dobrej wierze, oni zaś kamieniem za chlebsię od-  
płacili i odpłacają. Całkiem szpetny i niezbożny naród.

Ale trza opowieść kończyć.

Łupu nasi po Krzyżakach nabrali moc wiel-  
ką, a tu się, sobolu mój, dziwuj, jak król Władysław  
potrafił po zwycięstwie tak znacznem przezorność i po-  
miarkowanie utrzymać. Naleziono po Krzyżakach wie-  
le bardzo kuf ogromnych z winem, na które wojowni-  
cy nasi, walką i skwarem znużeni, hurmem się rzucili. Pi-  
każdy, czem mógł: który hełmem, który rękawicą, któ-  
ry trzewikiem, który wprost garścią. Król Władysław  
zaś to postrzegłszy, kufy do jednej porozbijać kazał  
żeby trunek nie obezwładnił wojska, co w razie nie-  
spodziewanego napadu, zwycięstwo w klęskę zmieniło  
by z wszelką pewnością. Łacno też ze zbytniego opil-  
stwa choroby powstać mogły. Rozbito tedy kufy, a wi-  
no z nich płynęło potokami po przez stosy trupów,  
z ich krwią się mieszało i tak zabarwione, łąki wsi  
Tannenbergu zalewało, skąd baśń poszła, że to w bi-  
twie tyle krwi przelano...

W niespełna pół godziny obóz krzyżacki do ena  
był złupiony, a król nasz, zoczywszy ze wzgórze opo-  
dal pierzechające w rozsypce hufy wrogów (łacno można  
było je dostrzedz, bo wszyscy niemal Krzyżacy mieli zbro-



je, które w słońcu lśknęły), ścigać je kazał. Ruszyli nasi w te pędy. Po drodze znaleźli siedm jeszcze chorągwi, które Krzyżacy, uciekając, rzucili; dalej, w Wielgnowie, dościgniony został i ścięty komtur tucholski, Henryk, człowiek z okrucieństwa nad wyraz słynący; wreszcie dalej jeszcze, przy bagnach i trzęsawiskach, dościgniono postrzeżone przez króla hufy, które ani myślały się opierać; więc je też wysieczono, bądź w niewolę zapędzono...

Do nocy trwała pogoń i gromienie wrogów, zwycięstwo było zupełne. Krom innych łupów, wzięto pięćdziesiąt i jedną chorągwi, a trupy poległych na przestrzeni mil kilku zaścielały pole. Od krwi ziemia tak zmiękła, że grząską się stała, zaś jęki i wyrzekania konających długo wstrząsały powietrzem... Taka to wojna, Halszko, a ty się na nią wydzierasz...

— Kara Boża spadła na mnichy...—szepnęła Halszka, jakby do siebie.

— Rozumie się, że nie co innego — potwierdził Zbigniew. — A może myślisz, że klęska opamiętała dumę mnichów? Otóż nie i zaraz ci na to dam świadectwo. Książę Witold ujął w niewolę dwóch znacznych Krzyżaków: komtura brandeburskiego, Markwarda von Salzbach, i von Schumberga. Ci dawniej, podczas układów księcia z komturem, które to układy toczyły się nad Niemnem, opodal Kowna, bluzgali sprośne słowa na samego księcia, matkę zaś jego nazwali zalotnicą... Tedy książę, mając ich w rękę, ściąć ich kazał i to powiedział królowi. Ale król na to:

— Bracie mój, uważ: zali przystoi pastwić się nad pokonanym wrogiem? Juźci on poniósł chłostę z woli Bożej, więc oszczędzić go i ludzkość mu okazać należy.

Książę Witold byłby też tak postąpił, lecz jeńcy owi sami na siebie śmierć ściągnęli, pychą swoją i urągliwością zawziętą. Bo kiedy książę rzekł do nich:

— Owo widzicie, w moich jesteście rękach i mogę z wami co chcę uczynić, mogę się pomścić za krzywdę, jakaście niegdy nad Niemnem mnie i matce mojej wyrządzili...

Markward nie dał mu skończyć i zakrzyknął z taką gwałtownością, że spieniona ślina mu z gęby przyskała:

— Nie trwoży mnie los obecny. Kołem się toczy fortuna, dzisiaj wy górę macie, jutro my ją mieć będziem. Bierz pomstę, jeśli ci się żąda, ja to samo, com nad Niemnem mówił, i dziś powtórzyć gotowem...

Schumberg również szyderstwa jał miotać, co tak oburzyło księcia, że obydwom głowy zdjąć kazał, czemu się już wtedy król Władysław nie sprzeciwił.

Pod zachód słońca, ruszył król z wojskiem i nad bagnem, o ćwierć mili od Marienburga, obozem się rozłożył. Tu też pogoń ściągnęła, łupy niezliczone, chorągwie i jeńców prowadząc, co wszystko królowi oddawano. Trwało to przez noc całą po bitwie, i przez dzień następny, i jeszcze noc jedną. Król zgola wtedy ani oka nie zmrużył, wciąż czuwał, wciąż baczył, iżby wojsko, rozradowane zwycięstwem, nieostrożności lub nadużycia jakiego się nie dopuściło, co mogłoby po tryumfie gorzką sprowadzić klęskę. Przybywszy nad ono trzęsawisko, z konia zsiadł i podczas, gdy mu namiot rozbijano, legł na usłanem z liści jaworowych łożu, w cieniu jerynowego krzaka, a jeno Zbigniewa z Oleśnicy do siebie przywołał, nikogo więcej. Utrudzon był srodze. Nawołując ustawicznie w czasie bi-

ty, rozkazy wydając, to rycerstwo do walki zagrzewając, tak ochrzypł, że parę dni ledwie można było zrozumieć, co mówi. Gdy namiot uszykowano, z oręźa się uwolnił i jedzenia zażądał, bo zarówno sam, jak i wszystko wojsko, od dnia poprzedniego nic w gębie, prócz śliny, nie miał. Przekonaj się, sobolu mój, jakie to są rozkosze rycerskie, co nas w porze wojny czeka.

— Ani mnie tem nastraszysz, Zbychu — odparła Halszka. — Ktoby tam czasu bitwy jadła wyglądał... Myślę też, że kiedy się człowiek ochotą i wrzawą bojową rozpali, to żadnych mozołów nie uczuwa. Juźci upodobania mego nie obrzydzisz! Nie uda ci się to! Nie! Ale praw, Zbychu, co było dalej. Słuchałabym takich opowieści dniem i nocą...

— Już niewiele mam do końca — rzekł Zbigniew — najśluszniesze jużem ci rozpowiedział.

Tedy król, posiłek przyjąwszy, długo z Oleśnickim gadał, a już późna noc była i deszcz lał, by z cebra (tu ci dopowiem, że lał od zajścia słońca, aż do brzasków, i chłód wtedy chwycił przejmujący, przez co wielu rannych, na pobojuwisku zostawionych, którzyby mogli żyć jeszcze, od słoty i zimna śmierć poniosło), owóz mimo, że późno było, król heroldowi swemu, Bogucie, rozkazał oznajmić wojsku, iżby skoro świt, wszystko, do jednego rycerza, zebrało się przed jego namiotem, a to dla wysłuchania dziękczynnego nabożeństwa za otrzymany tryumf. Rozkazał nadto oznajmić, żeby mu okazano wszystkie chorągwie zdobyczne i jeńców wszystkich. Wyszedł Boguta, a na jego miejsce Mszczuj ze Skrzywna się zjawił.

— Miłościwy panie — mówił — wiadomość o wielkim mistrzu krzyżackim mam.

Żwawie się król poruszył, bo właśnie nie mógł o Ulryku von Jungingenie języka pewnego powziąć. Rzecz zatem do Mszczuja:

— Dawajże wieść, skoro masz. Co z Ulrykiem?  
A Mszczuj:

— Poległ chwalebnie na placu boju.

W ręce uderzył Władysław, aż siadł na łożu.  
Mówi:

— Nie może być!

— Pewnie jest — na to Mszczuj. — Druh mój i towarzysz, Jurga, to oto noszenie złote z ciała jego zdjął. Nikt takiej świętości, krom mistrza wielkiego, na siebie nie kładł.

To mówiąc, okazał królowi łańcuch szczerozłoty, z przyczepionym do niego pektorałem, w kształcie krzyża, w którym utajone były relikwie świętych Pańskich. Wziął król owo noszenie, przypatrzył się, rzecze:

— Prawda, wielkiego mistrza ten klejnot. A z czyjej ręki poległ?

— Powiadają, że ciura jeden oszczepem go przeszył.

Ręce załamał Władysław, westchnął żałośliwie, łzy mu się z oczu puściły.

— Jakże pycha wyniosła zgubną jest wobec Boga! — ozwał się przemilczawszy. — Ten oto, który o wielu tronów myślał zagarnięciu pod swoje panowanie; któren mniemał w pysze swojej i powiadał, że równego jemu niema: teraz oto leży oziębły, nędznie zabity z nikczemnej ręki, przez upadek swój dowód wydając, jako pycha głośniejsza jest od cichej pokory...

Otarł król łzę i wznióstwszy obydwie dłonie w górę, zawołał w uniesieniu świętobliwem:

— Boże miłosierny! Ojczy, który ramieniem Swojej wszechmocy skruszyłeś i na proch starłeś dumnych wrogów moich, a w obronie mojej i narodu mego potęgę Swoją okazałeś, niechaj Ci cześć będzie i chwala po wszystkie wieki. Amen.

Już o spaniu tej nocy mowy nie było, bo gdy się wieść o śmierci wielkiego mistrza rozeszła, każdy chciał jej potwierdzenie z ust króla, najlepiej zawdy o wszystkim świadomego, usłyszeć. Tedy śpieszyli co znamienitsi rycerze do namiotu pańskiego, a przekonawszy się, że von Jungingen w rzeczy samej poległ, radowali się niewymownie. Król nasz, zauważywszy, że się dokoła niego wszyscy radni korony zebrali, osądził, iż zgadzać się to będzie z rozumem przeczornym, aby postanowienie wziąć, jak sobie dalej poczynać. Kiedy się o to zapytał, większość wyraziła zdanie, iżby przez trzy dni w miejscu odniesionego zwycięstwa wraz z wojskiem spoczywał.

— Wojsko strudzone okrutnie—mówiono—nie lza go doszczętnie z sił wyczerpywać, trza pozwolić mu przez wypoczynek sił nabrać. O Krzyżaków niema obawy. Po takiej klęsce nie ośmiela się nas zaczepić. Wypoczęci i rzeżcy, łatwo ich skruszym do reszty.

Na to Oleśnicki gorąco:

— Nieroztropna to całkiem rada. Nie spoczywać nam, lecz bez zwłoki, jak najspieszniej, dniem i nocą pod Marienburg dażyć, opanować ono serce, ono gniazdo Krzyżaków, tym jeno sposobem zgniecie się ich do cna.

— Będzie czas po temu, gdy wypoczniesz—ozwał się ktoś.

— Marienburg nie ucieknie, a teraz o dobywaniu go ani myśleć, bo każdy z nas ledwie tchnie ze zmęczenia—potaknął inny.

Wiele też głosów się za tem zdaniem znalazło, co słysząc Oleśnicki, z większym zawołał zapalem:

— Błagam was, prze-Bóg, nie wypuszczajcie z rąk sposobności jedynej! Sama się ona wam nadarza... Jeśli już pana miłościwego wstrzymujecie od pochodu, niech tu, jako życzyście, ostanie owe trzy dni, ale zgódźcie się, iżby polecił wybranej części rycerstwa obiedz Marienburg. Teraz główny ten zamek ubiedz nam przyjdzie bez trudności,—bowiem pozostawiono w nim niewielu rycerzy, a i ci są pod wrażeniem trwogi śmiertelnej... Zali ociągać się będziem, gdy ona warownia, od której zdobycia ostateczne, raz na zawsze złamanie Krzyżaków zależy, stoi dla nas otworem? Zaiste, byłby to grzech nie do darowania, zaślepienie wielkie! Do Marienburga, cni rycerze, który ojczyznę kocha, a ty, miłościwy panie, pierwszy rzeknij słowo...

Poruszyły króla gorące przedstawienia Oleśnickiego, ale chwiejnego usposobienia będąc, uległ większości, która w nich poryw krwi jeno młodej widziała. Przeto, namówiony, trzy dni w miejscu zwycięstwa zostać postanowił, czego potem żałował srodze i za co po dziś dzień cierpim. Bo Marienburg istotnie ubiedz było można łącno, niezwłocznie go obległszy, a gdyby został dobyt, poddałyby się inne zamki krzyżackie i skończyłoby się bez rozlewu krwi. Tymczasem daliśmy

Krzyżakom ochłonać z przerażenia, wspomódz się w siły i wszystko przepadło...

— I któż był owym złym duchem, co króla od rady Oleśnickiego odwrócił? — przerwała Halszka nachmurzona.

— Wielu było takich, jako rzekłem. Jedni uczynili to olśnieni świetnem zwycięstwem; insi woleli łupy zbierać i jeńce chwycić, niż trudy nad zdobywaniem zamku... Chciwość i szczęście zaślepienie sprowadziły, a z niem — karę Bożą. Tak zawdy bywa.

Następnego jutra po bitwie najpiękniejsza zajaśniała pogoda. Król, skoro pierwsze na niebie ukazały się brzaski, odszukać polecił zwłoki mistrza Ulryka, marszałka, komturów i inszych co znamienitszych rycerzy, zarówno z krzyżackiej strony, jak i z polskiej, aby je z uczciwością, wedle obrządku kościelnego, pogrześć. Ktoś zżymnął się na to, że wrogom cześć taką oddawać zamierza, on zaś rzekł mu:

— Za jednakową sobie chlubę liczę zwyciężać wroga i pokonanemu litość okazywać.

Temi słowy zawstydził nieopatrnego i usta mu zawarł.

Długo szukano ciała Ulryka nadaremnie, aż do pomocy wzięto jednego z najbliższych przyjaciół i towarzyszy mistrza, Bolemińskiego, rycerza z ziemi chełmińskiej, któren się w niewolę nam dostał. Ten zwłoki Ulryka wskazał, a naleziono je z dwiema ranami: jedną na czole, drugą przez piersi, na wylot, obydwie zaś były śmiertelne. Naleziono też z krzyżackiej strony: Fryderyka Wallenrode — marszałka, Konrada Lichtensteina — wielkiego komtura, komturów: toruńskiego — Jana von Seyna, gniewskiego — Jana grabię

von Vende, człuchowskiego — Arnolda von Baden. Król każdego twarzy się przypatrował, rany oglądał, najmniejszego urągania ani cienia uciechy nie okazując. Przeciwnie, łzy miał w oczach, a wargi jego szeptały pacierz za dusze zabitych.

Zwłoki mistrza, marszałka i komturów, w płótno owinięte czyste, na wóz czterema końmi zaprzęgnięty włożono, purpurą okryty i do Marienburga odwieziono, by tam pogrzebane zostały; zwłoki zaś innych rycerzy znakomitych, krzyżackich oraz polskich, pochowano w drewnianym kościele parafialnym w Timburgu. Podkanclerzy Mikołaj rzekł wówczas do króla:

— Myślę, miłościwy panie, że wolejby i chwalebniej zwłoki mistrza, marszałka i komturów nie do Marienburga odsyłać, ale w którym z katedralnych, zakonnych czy kolegiackich, kościołów polskich pogrześć, tam ich grobowce zwycięstwo twoje przypominałyby ustawicznie i w serca młode waleczność sączyły.

Król na to dłonią machnął i szepnął:

— Com uczynił — uczyniłem.

Z kolei, także z rozkazu króla, zebrano rannych ze stron obu i jednakowo troskliwym opatrzono ich starunkiem. To też wieść o ludzkości króla szeroko się rozeszła, nawet w obce kraje, i sławą go przyozdobiła nową.

A muszę ci o dziwie, Halszko, wspomnieć, tym, iż z naszej strony jeno dwunastu znamienitszych rycerzy zginęło, wśród których czoło trzymali: Róża Jakubowski i Czerwnia Ibram Czulicki. Zdumiewali się wszyscy, że z tak małą rycerzy stratą, tak wielka potęga złamaną została...



— Bóg wspomagał... — szepnęła Halszka.

— Niewątpliwie. Jakoż król pamiętał o tem i natychmiast po uspokojeniu się z odnalezieniem poległych, z opatrzeniem rannych, nabożeństwo dziękczynne odprawować kapelanom polecił. Wystawiono kaplicę królewską, z chórem i nawą, jak w kościele, namiot zaś onej dokoła z zewnątrz przystrojono znakami i porpcami zdobycznymi, które, porozpuszczane będąc, przy każdym powiewie wiatru furkotały i taki łopot sprawiały, jakby skrzydła orłowe...

Nabożeństwa wszystko słuchało wojsko. U bocznych ołtarzy czytano Mszę żałobną za spokój dusz rycerzy poległych; u głównego zaś śpiewano Mszę o Pani naszej, Maryi Bogurodzicy; drugą o Duchu Świętym; trzecią o Trójcy Przenajświętszej. Po modłach ucztę król wyprawił wspaniałą. Zasiedli do niej, krom samego króla, wielki książę litewski — Witold, książęta mazowieccy — Janusz i dwaj Ziemowici, starszy i młodszy, panowie i co było znamienitego, a także znamienitsi z jeńców, nawet Konrad Biały — książę oleśnicki i Kaźmirz — książę szczeciński, którzy przecież, jako dopomagający najzawziętszym wrogom Polski, warci byli nie ludzkości, lecz surowej i przykładnej kary. Król Władysław jednak serce miał zbyt dobre, to też nietylko się z nimi z wszelką obchodził względnością, ale rychło wolnością ich obdarował...

— Jaby tak nie uczyniła — zauważyła Halszka — zdrajcy łaskawość okazać, to zuchwalszym się stanie...

— Słusznieś rzekła, krociu mój — potwierdził Zbigniew. — Nic też dobrego nie przyszło królowi z tej ludzkości. Obydwaj książęta owi pozostali przewrotny-

mi, jak byli. Ale też podczas uczty nasłuchali się o Krzyżakach co niemiara. Książę mazowiecki, czer-ski i warszawski — Janusz, którego ongi Krzyżaki do lochu wtrącili i tam, kajdanami obarczonego, trzymali, przyszedłszy do namiotu i wraz z orszakiem rycerzy swoich na kolana przed królem upadłszy, rozgłośnie zawołał:

— Boże Wszechmogący, w miłosierdziu nieprze-brany, Tobie krzywd wszelakich Najsprawiedliwszy Mścicielu; Tobie, którego karcisz i pogardzasz pychę; którego poniżasz mocą Swoją dumnych, a prośby sere pokornych i skruszonych przygarniasz: Tobie przede-wszystkiem, a następnie tobie, miłościwy królu Wła-dysławie, dzięki składam winne, żeś oto w dniu wczora-jszym pomścił się na nienawistnym wrogu moim za krzywdę moją, za ohydę niewoli, zadając mu klęskę sromotną. Zawdym bolał nad tem, że on wróg, on wąż zdradliwy, co go naddziad mój Konrad, fałszywą jego pobożnością oszukany, jako nieszczęśliwego że-braka przygarnął do siebie, łaskami, przywilejami, zie-mią obdarował, że gad on, mówię, przy piersi naddzia-da się ożywiwszy, dzielnice nasze, a części królestwa twego sobie przywłaszczywszy, stał się potężnym i w pysze niepowściągnionym. Tyś, panie miłościwy, pychę węża tego na wieczne czasy starł, chwala ci za to! Ślubuję, że dzień ten pamiętny ja i potomkowie moi corocznie najuroczyściej święcić będziemy; ciebie zaś, królu, następców i potomków twoich, królestwo twoje należną czią, wiernością, posłuszeństwem, wszelką siłą, w każdym razie potrzeby, nietylko sam, ale i przez tych, których tu obok mnie postrzegasz, wspie-

rać przyrzekam A tak mi Boże dopomóż i Święty Krzyż, jako w szczerem sercu to mówię.

Wszyscy zresztą wierność w imieniu swoim i potomków swoich królowi oraz następcom jego ślubowali, przedzwia wychylano i radowano się serdecznie, na co patrząc książęta szczeciński i oleśnicki, acz wtorewali rzekomo uciesze, w duchu i sumieniu zgryzotę i złość czuli.

Po uczcie zasiadł król na równinie otworzystej, z widokiem na wsze strony dalekim; zasiadł na wzniesieniu, obok sześciu pisarzy posadził i rozkazał rycerzowi każdemu jeńców swoich okazywać, pisarze zaś tych jeńców imiona, ród i stan zapisywali. Więc osobno prowadzono mnichów krzyżackich, osobno rycerzy pruskich, osobno chełmińskich, osobno inflanckich; z kolei spisywali pisarze obywatelów pruskich, czeskich, morawskich, śląskich, bawarskich, misniskich, niemieckich, \*) nadreńskich, szwabskich, fryzyjskich, łuzycyckich, turyńskich, pomorskich, szczecińskich, kaszubskich, saskich, frankońskich i westfalskich, każdych osobno. Tyle oto ludów różnojęzycznych na zgubę narodu polskiego sprowadzili Krzyżacy, a tak wielka gromada jedno hańby się najadła. Najwięcej zaś pomiędzy nimi było Czechów i Ślązaków.

Po dopełnieniu spisu, Zbigniew z Brześcia, marszałek Królestwa Polskiego i podkomorzy wówczas krakowski, Piotr Szafraniec, od każdego z osobna brańca odbierali przysięgę, jako pod sumieniem i grozą utraty czci rycerskiej, stawi się w dniu świętego Mar-

---

\*) Długosz ich nazywa „australes“.

cina w Krakowie, przed wojewodą łęczyckim, Janem Ligęzą z Przesławia, Jaszkiem Oleśnickim, sędzią krakowskim...

— Stryjecznym moim... — wtrąciła Halszką.

— Nieinaczej. Owo przed stryjecznym twoim i przed podstarościm krakowskim, Przedborzem z Przechodka. Z kolei król, pragnąc wspaniałomyślność zwycięzcy chrześcijańskiego okazać, wszystkich niemal jeńców, jeno proste słowo rycerskie od nich wziąwszy, do domów wolno puścił; ale wszystkich mnichów krzyżackich, księcia szczecińskiego, nadto Krzysztofa Gersdorfa i Czecha—Wacława Dunina, zatrzymał i po swoich zamkach warownych poosadzał—tego w Sieradzu, tego w Łęczycy, Lublinie, Chęcinach, Sandomierzu, Przemyślu, Lwowie i innych.

Późnym już wieczorem wrócił król do obozu, ale nie spoczął, jeno Mikołaja Powagę Morawca z Kunoszówki, podkomorzego swego, przywoławszy, z poselstwem go wyprawił do królowej, podówczas Anny, do arcybiskupa gnieźnieńskiego, podówczas Mikołaja Kurowskiego, i do rajców krakowskich. Miał Morawiec tym wszystkim o wielkiem zwycięstwie nad Krzyżakami donieść, modły dziękczynne we wszystkich kościołach imieniem króla nakazać, a na świadectwo prawdy wiozł chorągiew biskupa pomezańskiego, na której był wyrażony Jan Chrzciciel święty w postaci orła. Możesz sobie w myśli ułożyć, Halszko, jaka to była radość, gdy goniec tak pożądaną nowinę obwieszczał. Nie było zakąta ziemi w Polsce naszej, gdzieby się nie ciesiono, bo w zwycięstwie widziano przyszłą pomyślność kraju i narodu.

— Oj! żeby nie one złe duchy, co króla od po-

chodu na Marienburg byli wstrzymali! — westchnęła Toporzanka.

— Tak! tak! — potwierdził Zbigniew. — Gdyby nie oni, gad krzyżacki byłby zgnieciony na wieczne czasy... Bo uważ, co się tam wtedy działo.

Załogę mistrz wielki zostawił w tej głównej warowni swojej całe nieznaczna, o czem, jak wiesz, Oleśnicki króla zapewniał. Siedzieli tam jeszcze panowie węgierscy, ciekawi obrotów wojny. Uczują oni razu pewnego najspokojniej z rycerzami załogi, naraz przybywa rycerz opancerzony, który był pierzchnął z pola bitwy. Węgrzy pomieszanie jego widząc, coś się domyślili, ale chcąc ostatecznych wiadomości dostać, pytają:

— Skąd przybywasz i z jaką nowiną?

Tamten, ledwie dychając, mówi:

— Wprost z pola bitwy dażę, gdzieśmy srogą klęskę ponieśli. Hufy mistrza porażone i ze szczętem zniszone. Boże zmiłuj się nad nami!

I ręce załamawszy, śluzę oczne otworzył. Węgrzy zaś znów o szyk bitwy dopytywać zaczęli. Ale zbieg powtarzał jeno z płaczem:

— Klęska niebywała! Wszystko stracone! Nie ujdziem pęt polskich! Skończyło się!

Pilnujący zamku Krzyżacy wypchnęli zbiega z izby i upewniali Węgrów, że lada co prawili.

— Do walnej bitwy jeszcze przyjść nie mogło — mówili — jeśli się co zdarzyło, to pomiędzy pojedynkami hufami. Niedoczekanie Polaków, żeby nas zmóźdz mieli.

Węgrzy nie dali im wiary. Wyszli za wrota zamkowe, mniemając, że jeśli się coś stało, ktoś więcej

z językiem się zjawi. Jakoż niebawem nadbiegł w pędzie gwałtownym rycerzy poczt znaczny, a z popłochu można było poznać, co przynoszą. Znajdował się w tym poecie Piotr Świnka, dawny chorąży dobrzyński, przewrotnik, któren do Krzyżaków przed samą wojną przystał. Ten potwierdził, co ów pierwszy zbieg opowiedział, nadto cały kształt bitwy dokładnie wyłożył.

Słuchał tego, między innymi, także zdrajca, Ścibor ze Ściborzyc, wraz z liczną drużyną, z Polaków złożoną. Ludzie Ścibora radować się poczęli, on zaś do nich rzekł:

— Za wczesnie się cieszyacie, jedna jaskółka wiosny nie stanowi. Świnę, oraz towarzyszy jego, może tchórz obleciał i pewnie tak, bo niepodobna, żeby Władysław górę nad mistrzem miał wziąć. Zresztą chociażby tak się stało, uciechę trza schować przezornie, baczenie mając na miejsce, gdzie się znachodzimy i na oczy, co na nas patrzą.

Krzyżacy krzepić się na duchu usiłowali, wciąż się spodziewając, chociaż bez przekonania, pomyślniejszych dla siebie wieści, ale gdy z pola bitwy coraz liczniej zaczęli napływać zbiegi, uwierzyć w klęskę musieli. Wówczas potruchleli i głowy potracili. Jak oszaleli po ulicach i domach biegali, wielki lament czyniąc i wyrzekając, a żaden z nich o obronie zamku nie myślał, jedno gdzieby uciekać.

— Oleśnicki dobrze radził — wtrąciła Halszka.

— A dobrze. Złota była ta jego rada, cóż kiedy zaślepienie, pomyślnością sprowadzone, ogłupiło rycerstwo nasze, a poniekąd i króla. Czasu na ubieżenie zamku mieli dość, bo dni kilka pozostawał niemal

bez obrony, zanim komtur świecki, Henryk von Plauen, wszedł do niego z silną załogą.

I jeszcze po wkroczeniu Plauena nadarzała się sposobność wzięcia warowni, co sama osądź. Gdy król stanął pod Marienburgiem (a było to jakoś w niespełna dwie niedziele po bitwie na Zielonem Polu), zaraz miasto i zamek ze wszystkich stron oblężeniem ścisnął i niezwłocznie też rozpoczęły się między rycerstwem naszym a krzyżackiem lekkie harce, które do późna trwały. Nazajutrz rozkazał dwom chorągwiom, aby miasta dobyły. Bitwa była zażarta: Krzyżacy w mieście, acz spalonym i z przyrodzenia obwarowania nie mającym, trzymali się dzielnie, ale nasi, wysiekłszy ich moc, zmusili resztę schronić się do zamku. Miasto tedy dostało się w nasze ręce. Pierwsi do niego wpadli: Jakób Grzymała z Kobylan i Dobiesław Dębno. Ci dwaj rycerze jednak nie zadowolili się wzięciem miasta. Z podniesionemi kopiami, na czele innych towarzyszków, posunęli się dalej, aż do kościoła, do murów zamkowych dotarli i wyłom w nich spory uczynili.

Owóż, sobolu mój, gdyby ich było wsparło wtedy więcej chorągwi, niewątpliwie zamek dostałby się nam jeszcze dnia tego, a to tembardziej, gdyż Krzyżacy w największej trwodze i popłochu opuścili mury, kryjąc się w najwarowniejsze zakątki, jak gdyby zamek już był ubieżony. Ale i tym razem łuski zaślepienia spadły na oczy i rozum Władysława, bo pomocy dwom chorągwiom szturmującym nie dał...

— No! no! To aż dziw, aż żal! — szepnęła Halszka. — W garści mieć wszystko i nie trzymać.

— Taki już dopust Boży był.

Tymczasem Krzyżacy zdążyli spalić most na

Wiśle do Tczewa zbudowany, a także ów wyłom przez noc kłodami potężnymi zawalić i obwarować silnie. Widząc to król, działa porozstawiać kazał, jedne w kościele miejskim, insze niżej strony południowej, gdzie wojsko litewskie miało posterunek, insze tuż przed murami, a jeszcze insze po drugiej stronie Wisły, gdzie się most zaczynał, ów spalony. Całą noc z dział tych walono, lecz napróżno. Król z namiotu, na wzgórzu wystawionym, szturmowi się przypatrował, dziwił się, że oblężenie opornie idzie, ale w rachubę tego nie brał, że sam w tej sprawie był winowajcą. Bo przecież panów radnych mógł słuchać jednym uchem, drugim słyszane wypuszczać, a tak poczynąć, jak mu doświadczenie lat tylu wskazywało...

— Pono siła czasu zmarnotrawili nasi pod Marienburgiem?—zagabnęła Halszka.

— Bez mała dwa miesiące—odparł Zbigniew. — Tak, siedm niedziel. Można było zamek podstępem wziąć, bo broniący go Czesi zaciężni ofiarowali się do tego pomódz. Wysłali do króla naszego Jaśka Sokola z oświadczeniem, że gotowi są w nocy bramy otworzyć i wojsko królewskie do zamku wpuścić, ale żądali wiele złota i zupełnego odpuszczenia winy. Król rzekł:

— Nie mogę sam stanowić o tem, panom radnym muszę rzecz przedstawić.

Wzięła rada ofiarowanie Czechów pod rozwagę i jednomyślnie uchwaliła, aby je odrzucić.

— Nie godzi się nam, Polakom, którzy się za rycerzy prawych poczytujem, zamki nieprzyjacielskie zdradą i przekupstwem dobywać, gdy oręż mamy w ręku. Ohydą jest, hanbą i sromotą wszelka zdrada.



Wtedy jeno zwycięstwo chwalebne, wtedy cześć zwycięzcom przynosi, jeśli go dokonali przy pomocy Bożej i męstwa własnego.

Jakoż nie przyjęto ofiarowania Czechów...

— Dobrze zrobiono—rzekła Halszka.

— Z Czechami postąpiono dobrze, ale całkiem źle król uczynił, że od oblężenia odstąpił. Co prawda, uczynił to z namowy panów...

— Złych duchów, powiedz---przerwała Halszka—na inne miano oni nie zasługują.

— Juści, że nie wartają inszego. Najbardziej zaś od oblężenia odciągał króla kasztelan wojnicki, Andrzej z Tęczyna. Ten wziętości znacznej u narodu zażywał, tedy mu łącno było inszych do swojej myśli nakłonić. Pomagała mu jeszcze (do tego wieść, jakoby Węgry ziemię krakowską oraz sandomierską najechali i ogniem a łupieżem ją pustoszyli. Namawiali też króla i ci z panów, którzy (jak powiadają) byli do tego pieniędzmi i obietnicami zjednani od wielkiego księcia Witolda, bądź od Krzyżaków... Król, że zawsze woli cudzej nawykł ulegać, i to nietylko w sprawach królestwa, ale i domowych, więc i tym razem na wolę, na silne postanowienie się nie zdobył.

— I krzywda ojezyźnie przez to się stała!—westchnęła Halszka z żalem.

— Krzywda zaiste niepowetowana. Ha... król Władysław cnoty posiadał niepospolite, chęci najlepsze, tego mu nikt nie zaprze: ale też posiadał wadę haniebną, która mu bardzo często w dobrych zamiarach przeszkadzała. Mówię o jego naturze kolebliwej, za lada podmuchem, lada podszeptem w inszą się stronę zwracającej. Uczynił on dla narodu wiele, lecz gdyby

nie ona kolebliwość, uczyniłby stokroć więcej... Po bitwie zaś na Zielonem Polu chwiejniejszym niż kiedykolwiek się okazał. Nietylko odrzucał rady mądre, z których pożytek tak widoczny płynął, że dłonią można było go ująć, ale żadnego baczenia na znaki od Boga, jako ostrzeżenie zesłane, nie zwracał..

— To i wtedy były znaki?

— A były. Gdy owo król, zgodziwszy się obleżenia odstąpić, rozkazał namioty zwinąć i na konia siadł, by z powrotem do Polski ruszyć, koń zarżał przeciągle i żałośliwie, jał wierzgać, cofać się, dęba stawać i naraz padł bez życia. Czy to nie jawna była przestroga niebieska, iżby z powrotem się nie śpieszyć? Król przecież nie wziął jej do serca i niezwłocznie w powrotną drogę się puścił, a jechał z miejsca pełnego chwały raczej jak zwyciężony, nie jak zwycięzca bohaterski...

— Szczęście mu Bóg odebrał, czy co? — szepnęła Halszka, główką dla okazania podziwu w tę i ową stronę kołysząc.

— Na to wypada, bo masz wiedzieć, że Marienburg nad dwie niedziele trzymaćby się nie mógł i z wszelką pewnością poddałby się po upływie tego czasu. Obleżeni głodem przymierali, jeść musieli padlinę i prażone na ogniu ziarno, z czego powstawały choroby, a dla śmierci istne żniwo. Doszło do tego, że wręcz oświadczyli Plauenowi:

— Jużci nam dłużej z klęską tak straszliwą się nie borykać. Ostawaj tu sam, gdy chcesz, my zamek opuścimy, na łaskę i niełaskę króla polskiego się zdamy. Pościnać nas każe — niechaj. Lepsza śmierć od miecza, niż głodowa!

Przeraził się Plauen i nuż zrozpaczonym wykladać:

— Toć wytrwajcie. Staliście twardo tyli czas, zdobądźcie się na trocha jeszcze. O dwie niedziele wytrwania was proszę, nie dłużej. Mam wieści pewne, że król lada dzień oblężenia odstąpi. Jeśli po dwóch niedzielach tak się nie stanie, poczniecie wedle woli..

Wzdragali się oblężeni, ale gdy Plauen sporo grosiwa pomiędzy nich rozdzielił, nabrali otuchy i do prośb jego się skłonili. Dobrze na tem wyszli, bo zanim dwie niedziele ubiegły, króla już pod murami nie było...

— Nieszczęście! nieszczęście! — westchnęła Halzka, do głębi młodego serca opowieścią przejęta, a Zbigniew potwierdził z goryczą:

— I jakie jeszcze... Toć nieco potem, gdy się król Władysław z von Plauenem (którego komturowie na miejsce von Jungingena obrali) w dzień Poczęcia Najświętszej Panny Maryi w Raciażu, dla ułożenia rozjemmu, zjechał, Plauen, podochociwszy sobie przy biesiadzie, powiedział w oczy królowi:

— Wrogiem sobie czasu tej wojny byłeś, miłościwy królu, bo Bóg po trzykroć szczęśliwą sposobność ci zdarzał do skruszenia naszej mocy raz na zawsze, a przecież nie korzystałeś z tego, czemu wydziwić się nie mogliśmy...

Spochmurniał król, to usłyszawszy i zapytał:

— Kiedyż zdarzała się ona sposobność szczęśliwa?

Odparł Plauen:

— Po trzykroć, jakom rzekł. Nasamprzód po złamaniu ze szczętem hufów poprzednika mego, Jungingena, winienesz był królu, niezwłocznie bodaj kilka

chorągwi wysłać na Marienburg, który wówczas nader słabą miał załogę, a grozą kleski przejętą do tego stopnia, że zamek poddałaby niewątpliwie bez oblężenia. To sposobność jedna. Potem, gdy już miasto Marienburg było w twoich rękach, winienesz być z całą siłą na zamek naprzec, bowiem przez wyłom w murach, przy Wiśle uczyniony, łącno było wojsku twemu do warowni się wedrzeć. To sposobność wtóra. A trzecia— gdybyś o dwie niedziele przedłużył oblężenie. Tak, miłościwy panie. Już bowiem taki nas przycisnął niedostatek, żeśmy na wszystkich mieli dwa barany i trzy połatki słoniny, a chleba nie mielim już całkiem. Przytem choroby nas zmiatały, niby kosa trawę...

Zaciął usta Władysław, głowę zwiesił i jeno na wymówkę te słowa nalazł:

— Nie się na tym świecie bez woli Boga nie dzieje, On wszystkiem opatrznie rządzi. Z Jego to woli Marienburg przy was ostał...

— Śmiało powiedział Krzyżak królowi!

— O! von Plauen dumna to była sztuka i twarda. Zresztą wszystkie mnichy krzyżackie zuchwale sobie zawdy poczynali i takimi po dziś dzień ostają. Z Plauenem wtedy, w Raciażu, król długo do ładu przyjść nie mógł i dopiero podkomorzy krakowski, Piotr Szafraniec, rozejm miesięczny wyjednał.

— Aleć przecież i pokój wtedy, jakom słyszała, stanął...—przerwała Halszka.

— Nie wtedy, jeno roku następnego — poprawił ją Zbigniew.— Układano się na wyspie toruńskiej, gdzie również układy szły opornie. W końcu stanęło przy mierze, pismem stwierdzone, ale żal się Boże jakie... Wstyd doprawdy o niem mówić...

— Pewnie znowu jaki zły duch się nalazł?

— A nalazł! nalazł! I nie był to kto inszy, jeno wielki ksiązę litewski, Witold, który o samą Polskę tyle dbał, ile pies o piątą nogę. Myślał on jeno o sobie, o tem, żeby dawne ziemie litewskie pod jego panowaniem się połączyły i żeby Żmujdź, przez Krzyżaków wydartą, mógł odzyskać. Jakoż przystał król z jego namowy zdradzieckiej na takie oto, sromotne dla ojczyzny naszej, warunki:

Wszystkie zamki w ziemiach pruskich, orężem zdobyte (a wiele ich Krzyżakom po zwycięstwie na Zielonem Polu zagarnęliśmy!) zakonowi mielim z powrotem oddać i wojska nasze z nich wyprowadzić. Wszystkich jeńców, w jakiegokolwiek z mistrzem i zakonem bitwie ujętych, na wolność mielim wypuścić. Mistrz natomiast imieniem zakonu przyrzekał, w trzech dniach oznaczonych tego roku, w którym przymierze zawierano, a to: w dzień świętego Jana Chrzciciela, świętego Michała Archaniola i świętego Marcina—sto tysięcy grzywien groszy szerokich praskich do skarbu królewskiego wypłacić...

Tu ci powiem, że zgroza na takie warunki bierze, bo przecież od samych jeńców mogliśmy co najmniej sto tysięcy grzywien dostać...

Ale słuchaj jeno dalej:

Żmujdź miała ostawać przy Wielkiem Księstwie Litewskiem, zaś po śmierci króla Władysława i księcia Witolda zabierali, ją na własność Krzyżacy...

— Dziw, że nikt nie zwrócił uwagi na to, jaka staje się krzywda Polsce przez oderwanie tych ziem, dawniej część Polski stanowiących, które wtedy właśnie mogły być odzyskane. Przecież w czasie oblężenia

nia Marienburga sami Krzyżacy nam oddawali pomorską, michałowską i chełmińską, a przy zawieraniu przymierza nikt takiego warunku nie podsunął... Snać król mniemał, że dość było, gdy Litwa odzyskiwała swoją całość do czasu i to z krzywdą Polaków...

Nieroztropności króla trudno sobie wytłumaczyć, trudno ją zrozumieć. To też rozmaicie ją sobie wykładano, nawet nie godzi się powtarzać, jak...

— Chrobryby tego nie dopuścił, ani Łokieć...—zauważyła Halszka.

— Bo królowie tamci, jagodo, żelazną mieli wolę, sami stanowili, wedle pomyslenia swego i chowaj Boże, żeby im kto miał być w sprzeciwieństwie. Zmarłemu Jagielle onej właśnie, jako ci powiedziałem, hartowności dusznej brakowało. Chwiał się zawdy, niby poroczyk na wietrze. Przeto z tak wielkiego zwycięstwa, jak na Zielonem Polu, i z tyłu inszych, niebawem odniesionych, a także znacznych, że jeno wspomnę pod Koronową, Tucholą i Golubiem; z zagarnięcia tyłu warowni krzyżackich: należnych pożytków nie osiągnęliśmy. Wprawdzie na Krzyżaki strach padł, stali się pokorniejszymi i już tak butnie poczynać odtąd nie śmia, ale mimo przymierza knowań przeciwko Polsce nie zaprzestali. Nie mogąc jawnie, kryjomo nas szarpia i kąsają. Dwa roki temu zawarliśmy z nimi pokój na wieczne czasy w Sieradzu, ale taki to będzie pokój... słomiany. Zaprzysiężony jest obustronnie i z naszej strony przysięga wiernie będzie dochowana; oni przecież od zdrady się nie strzymają...

— Dla Niemca nic świętego niema... — wtrąciła Halszka—na mój rozum białogłowski, Krzyżaków na-

leży na troku trzymać, wciąż pod pięścią i oczu z nich nie spuszczać, inaczej spokoju od nich nie będzie...

— Całkiem sprawiedliwieś rzekła i raduję się, że taki statek masz w głowie. Ciebieby w radzie koronnej obok biskupa Oleśnickiego posadzić!

Mówiąc to, Zbigniew śmiał się, a Halszka, nibyto zagniewana, rzekła:

— Myślisz, żebym się podczas nie przydała? Oho! Potrafiłabym rajcować, a nigdy na krzywdę ojezyźnie. I nietylko u mnie, acz przy długim włosie, rozum się najdzie. Bywa w rodzie niewieścim taka, że chłopa w kozi róg zapędzi.

— Wierzę, sobolu mój, bo na tobie co do tego świadectwo mam. Dajże mi pocałowanie, żem tak dla ciebie powolny i do domu wracajmy. Czas wielki. Zgromi nas pan rodzic, żeśmy tak długo Bóg wie gdzie mitrężyli...

— Nie zgromi, nie bój się. Hasam ja często do mroków i nie mi za to. Zresztą zawdy Kostuch i ludzi kilkoro mi towarzyszy, więc choćby nawet i Jaszko ze Słupcy się na mnie zasadził, nieby mi nie uczynił...

Zdumiał się Zbigniew i szeroko otwarte oczy w lica przyrzeczonej wpił.

— Coś rzekła? Skąd ci do głowy Jaszko Słupcki przyszedł?

Halszka w ręce plasnęła i śmiechem wybuchła.

— Prawda! Do enam zabaczyła, że ty, Zbychu, o niczem nie wiesz... Siądźmy na koń, w drodze ci powiem. Za głowę się ułapisz dowiedziawszy, czego żądał...

— Nie pocziwego, bo to z rodu łotr!—mruknął Zbigniew nachmurzony.

Złe przecucie go ogarnęło, niepokój i cierpkość jakaś. Ręczo konia dosiadł, a gdy ruszyli z powrotem ku zamkowi, o wytłumaczenie niezwłocznie się dominał, co znaczyło owo napomknienie o Jaszku ze Słupna...

— Znasz ty go? — zagadnęła przedewszystkiem Halszka.

— Niedawnom go poznał...

— Nietrzeba, widzę, ci wykladać, jaki on jest, sameś rzekł, iż z rodu łotr—ciągnęła Halszka. — Nikt inaczej Rawitów nie wspomni, choć możni są i dawne zasługi mają...

— Po zmarłych naddziadach—zauważył Zbigniew — bo ci żyjący Rawiei psami wyszczwiania wartają z granic Polski naszej...

— Nie rwijże mi opowieści, skoro się czego dowiedzieć chcesz. A może już cię to doszło?

— Nic nie doszło, nic nie wiem! Praw, sobolu mój, okrutnieś mnie rozciekawiała...

— Widzisz, Zbychu, Jaszko z dziadem i rodzicem swoim do Ossolina zajeżdżali, żądając, iżbym panią Jaszkową ostała...

Zbigniew aż się na siodle rzucił.

— Niemoże być! — zawołał głosem zmienionym.

— Może być i tak było—odparła Halszka.—Ale się nie burz, bo snadno ci chyba domyśleć się, że odprawę dostał raz na zawsze.

— On! on... ten wywłoka z piekła, ten wszetecznik, lubieżca, w gnieździe niepoczciwością zbrukaniem wylegnięty: on śmiał za żonę żądać ciebie, która moją jesteś z woli Bożej i rodziców?! — przerwał Zbi-



gniew. — Zgroza jest, wszelki rozum przechodząca...  
Uszy nie wierzą, iżby tak miał być zuchwały...

— Chyba o tem wiesz, że dla Rawitów nijaka świętość, nijakie zuchwalstwo nie istnieje... Boga w sercu nie mają, a od niezbożnika wszystkiego spodziewać się można...

— Odprawę dostał, powiadasz?

— Jakżeby inaczej mogło być? Przecież jam tobie ślubowana, a ty mnie? Chociażby tak nie było, rodzic nigdy w życiu nie przystałby na połączenie się krwią ze sromem i krzywdą ludzką pohańbionym rodem. Nasz Topór uchwycił się od wieków czysty, jako krynica, w zbożności, enocie i czynach chwalebnych, i tak chować się zawdy będzie. A choćby mi Rawici całe skrzynie złota, klejnotów i dostatków wszelkich pod nogi składali i takbym przenigdy do ich gniazda nie weszła...

— Odprawę dostał... — powtórzył Zbigniew, któremu teraz jakby w oczach się rozjaśniło. — Juści, że nie innego spodziewać się nie mógł... A! niecnota... do czego się posunął... Powiadasz, jagodo: nie burz się... Jakże burzyć się nie mam, o tak niebywałem zuchwalstwie słysząc? Gdzie sięgnął ten potępieńczuk? A do tego jeszcze niepodobna, iżby nie wiedział, jako nikt do ciebie prawa nie ma...

Na to Halszka, patrząc mu w oczy figlarnie i umyślnie się przekomarzając:

— Twoja wina. Tyli czas do Ossolina nie zaglądałeś, więc też myślał, że mnie pojąć nie zechcesz...

Zbigniew znów się na koniu rzucił, wołając:

-- Aby tego nie przywódź, bo coś dziwnego się ze mną dzieje na wspomnienie, zem taki nierozumny

był. Moja wina: przyznaję, kajam się i w piersi biję. Nie uwierzysz, jak sam sobie wyrzucam tę moją nieopatrzność. Tak—nierozumny byłem, całkiem głupi. Wszelako Słupeckiego winy to nie zmazuje...

Urwał i po chwili szepnął do siebie:

— Już wiem, co na myśli miał, o porachunku mówiąc... Gdybym wtedy wiedział!

Pięść zaciśniętą do góry wznosił i potrząsał nią, jakby grożąc komuś, a oczy mu błyszczały złowrogo.

— O jakim porachunku wspominasz, Zbychu?— zapytała Halszka, szeptał jego pochwyciwszy.— Nie kryj się przede mną, szczerym bądź, jako ja przed tobą. Bez szczerości miłowanie za nic...

— Nie będę przed tobą, Halszko, krył niczego do końca życia, to ci przyrzekam—odparł Zbigniew wciąż pochmurny.—Przypomniała mi się przygoda pewna, którą dopiero teraz przejrzałem. Zgadalo się między nami o Jaszku Słupeckim, a właśnie on w tej przygodzie tkwi.

Rozpowiedział Halszce o zetknięciu się z młodym Rawitą w Krakowie, jak to on do domu Sulimy gwałtem się wdarł dla porwania Petruchny i co potem się stało, a Toporzanka słuchając, w ręce uderzała, przywtarzając:

— Dobrze mu! Wziął należne! Niewielka byłaby krzywda dla świata, choćby śmierć poniósł...

— Może i poniósł—zauważył Zbigniew—bom nie patrzył na ciosy, zgrozą będąc ogarnięty i rozprawą zagrzany. Unieśli go ludzie, ale czy żywego... nieświadom jestem.

— Ostawmy go w spokoju — rzekła Halszka. —

Niechaj będzie żyw, byle nas nie ruszał. Jużci chyba do Ossolina nie zawita...

— Pewnie... ale jeśli żyw ostał, pomsty będzie na mnie szukał. Słyszę od wszystkich, że równie zawziętych, jak Rawici, niema... Nie zaczepiałem go, sam zaczął, a ja jeno w obronie słuszności stanąłem,— wszelako dla Rawitów i tego dość, by człowieka pomstą ścigać. Pomnę, że mieli oni zatarg z rodzicem moim. Nie wiem, o co się wadzili, ale coś czuli do siebie. To się do większego ich na mnie rozsróżenia przyczyni...

— Ale chyba się ich nie ulękiesz?

— Takżeś rzekła!—ramionami wzruszając i wargi pogardliwie odymając, rzucił Zbigniew. — Miałbym się takich oto łotrów, potępieńców takich, strachać? Niedoczekanie! Skórka zajęcza przystałaby mi, gdybym się ich lękał. Niech spróbują ze mną! Niech jeno spróbują!

Wyprostował się na siodle i wąsa podkręcał, a twarz jego wyrażała jakoby wyzwanie wroga do sprawienia się, tak zaś wdzięczną w tej chwili miał postawę, że Halszce oczy zajaśniały i zawołała z uciechy:

— Jakiś ty, Zbychu! Jakiś ty! Pojrzawszy na ciebie, odrazu się poznaje, że rękę masz do kruszenia wrogów i tych wszystkich, co ci przeciw stawają. Ryccerz z ciebie, jak się patrzy i gładki...

Serce rosło Zbigniewowi, gdy słuchał chwalby szczerej, z przekonania głębi płynącej, wypowiedanej usty ukochanej, ale że sobkiem nie był, owszem, skromną do siebie przykładał miarę, więc rzekł:

— Ejże, Halszka, bo gotowem w doskonałość

swoją uwierzyć i pycha się nadać, z czego byś chyba radą nie była. Takim łaskotaniem psowa się człowiek...

— Strachu o to nie mam — odparła Halszka tonem pewnym. — Tyś nie do zepsowania. Lepszym stać się możesz, ale nie podlejszym...

Spojrzeli sobie w oczy, uśmiechnęli się, Zbigniewa brała oskoma znów uściskać piękną przyrzeczoną — ale widząc tuż podjeżdżającego Kostucha, wstrzymał się. Stary markotną miał minę, aż się zdziwił pan z Oporowa.

— Co ci? — zapytał.

— Bo, proszę miłości waszej, ten Paluch zawdy coś splota... Zawieruszył się gdzieś, przepadł, ani go oko...

Postrzegł teraz dopiero Zbigniew, że grubasa pomiędzy ludźmi, towarzyszącymi wycieczce, nie było.

— Gdzież się mógł podziać? Wszak jechał społem z nami? — zagabnał.

— Kto go wie? — zżymnął się Kostuch. — Był społem, dopóki wasza cześć z panienką nie poczęli czwalać. Zawrzeszczał wtedy, że niesposób mu zdążyć równie, ale nikt na to nie zważał. Gdyśmy stanęli w boru, już go nie było. Myślelim, że nadciągnie, ale nie nadciągnął...

Mówił to Kostuch z niepokojem, sapiąc przytem i po głowie się skrobiąc.

Zbigniewa również zastanowiło zniknięcie sługi wiernego, który nie zwykł był na krok go odstępować, spojrzał pytająco na Halszkę, jakby od niej wyjaśnienia tej przygody czekał. Zamiast Halszki jednak Srokacz zagadkę rozwiązał:

— Jest też o co frasować się!.. — rzekł. — Albo do zamku wrócić, albo przyległ gdzie w polu i śpi, bo susła ma naturę. Obaczy wasza cześć, że go rychle dojedziem.

— Słusznie powiada Srokacz — potaknął Zbigniew. — Nie do smaku mu było czwałowanie, tedy sobie wygodę uczynił. Łeb mu za to zmyję, jako się patrzy, bo służba nie zna wczasu. Nienajgorszy jest, wiele mu wybaczam, ale też na dobrotliwość moją rachując, nadto sobie pozwała. Uszu mu natrę koniecznie. Zasłużył...

Kostuch już nie rzekł, znać jednak było po nim, że się niepokoju nie pozbył. Coś jakby mu do ucha szeptało, że przyjaciela spotkała przygoda. Jechał milczący, nawet na podrwiwanie Srokacza nie odpowiadał, jeno głową kręcił i mruczał pod nosem gniewliwie.

Zbigniew, znów się z Halszką rozgadawszy, zapomniał o Paluchu; na myśl mu też sługa nie przyszedł, gdy do Ossolina wrócili, bo zaraz kasztelan, Sulima i Świdwa czem innem głowę mu zaprzątneśli.

— Halszce nie brakuje zrywności — srożył się rzekomo kasztelan — ale widzę, żeś i ty, Zbigniewie, w ukropie kapany. Furknęliście oboje, słowa nikomu nie rzekłszy. Gdyby mi Kostuch nie szepnął, że wam myśl strzeliła konia zażywać, nielada frasowałbym się, co z wami... Mógłbym cię posadzić, żeś mi dziewczkę, tatarskim obyczajem, uwiózł...

— I myśmy z Sulimą na tem stratni, bo wiedząc, że się na hasankę wybieracie, społem podążylibyśmy z wami — przekomarzał się z drugiej strony pięścicznym swoim głosem Świdwa. — Taki to z ciebie, Zby-

chu, druh! Czekajże... przyjdzie pora, to ci odmierzę czubato...

— Zazdrość to Zbigniewa od wezwania nas do kompanii wstrzymała — dodał Sulima. — Chce jeno sam urodą przyrzeczonej się napawać, boi się żebyśmy jej nie ukąsili. Taki cheiwiec, choć z pozoru na szczerogo patrzy...

Halszka, słysząc żartobliwe łajania, w obronie Zbigniewa stanęła:

— Nie grzeszna taka cheiwość, a jeśli grzeszna, ja mu odpust daję.

— Alboś ksiądz dziewko? — roześmiał się kasztelan.

— Dla Zbycha wszystkiem jestem, nawet księdzem — odparła butnie. — I to wiem, że miłszy mu odpust z mojej ręki, niż z księżej...

— Sroko, w odszczepieństwo nie wpadaj, bo cię w kościele wyklnę...—ozwał się na ustroniu siedzący kanonik Jan, którego młodzi z razu nie postrzegli.

Był kanonik bratem rodzonym Halszki, znacznie wszelako wiekiem ją przechodził. Do kapituły krakowskiej się zaliczał, a siedział na parafii Dwiekozy, jako proboszcz. Z postawy przypominał rodzica, lecz pochopów rycerskich po nim nie odziedziczył. Uspobienie miał łagodne, dobrotliwe, spokoju szukające, zacisza, gdzie można rozmyślać i modlitwą do Boga się wznosić. Od dzieciństwa skłonność do pobożności okazywał. Nie nęciły go zabawy zgiełkowe, natomiast w kościele rad był po całych dniach zostawać, gdyż czuł, że mu w przybytku Pańskim najlepiej, że tam słodycz sływa mu do serca. Rodzic nie cieszył się z początku, takim syna widząc, boć mniemał, że śla-

dem jego pójdzie i świeckiego trzymając się stanu, orężem, a także sprawowaniem wysokich dostojenstw świeckich, chwały rodowi przyczyni. Przekonawszy się atoli, że życie światowe byłoby dla niego brzemieniem ciężkiem, zgodził się do duchownego stanu go przeznaczyć i tak też uczynił.

Nie żałował tego. Jan gorliwie obowiązki duchowne spełniał, zdolności okazywał nadzwyczajne, więc też biskup krakowski uwagę na niego zwrócił i wyróżniał widocznie, posuwając go szybko, coraz wyżej po szczeblach godności kapłańskich. W młodym stosunkowo wieku kanonię mu nadał i jedno z najkorzystniejszych probostw, a powiadano zgodnie, że niewiele czasu upłynie, jak na głowie kasztelanica zajaśnieje infuła biskupia. Kasztelan, widząc, że tak pomyślnie synowi w duchownym stanie się dzieje, mówił w duchu, iż dobrze uczynił, nie sprzeciwiając się powołaniu. Śnać było w tem przeznaczenie, wola Boża, z którą walczyć się nie godzi. Jan i w kapłańskiej szacie świetności klejnotowi rodowemu doda, kto wie—może też z laty na stolicy krakowskiej zasiądzie i tak potężnym wpływem, jak Zbigniew z Oleśnicy, rozporządzać będzie.

Halszka, głos brata usłyszawszy, rzuciła się ku niemu witać serdecznie, ale poczyniała z nim nie tak śmiało, jak z innymi. Dla sukni kapłańskiej wzgląd miała. W rękę go pocałowała, a dopiero, gdy on ją do piersi przycisnął, i ona na uścisk się zdobyła.

— Jakże mi się miewasz, wartogłowie ty?.. — mówił kanonik, z rozrzewnieniem na siostrę patrząc, bo oboje miłowali się prawdziwie. — Niedawnom cię widział, ale choćbym cię dzień nie oglądał, już mi do ciebie tęskno.

— Tak, tęskno! — powtórzyła z dąsem filuterynym. — Tęskno, a klątwę na mnie rzucić chcecie.. Oto brat miłujący...

— A rzuć! — groził żartobliwie kanonik. — Dla odszczepieńców niema, wśród wiernych Kościołowi rzymskiemu, braci ani siostr, jedno sędziowie surowi, nieubłagani... Rzuć na ciebie i na twego przyrzeczonego. Obojgu wam się dostanie...

— I za co, ojcze mój wielebny? — zapytał Zbigniew, ze czcią należną witając kanonika. — Uważam, że gdybyście tak uczynili, to ze sprawiedliwością byli byście w zwadzie...

— Całkiem nie — zaprzeczył kanonik — boście oboje odszczepieńcami. Trza rzec, że większa wina po waszej leży stronie, Zbigniewie: za waszą to przyczyną siostrę moją duch kacerstwa opętał...

Nie rozumiała Halszka, a że kanonik ostatnie słowa powiedział twarz nastroiwszy poważnie, tedy patrzyła na niego trocha ze zdziwieniem, co zauważywszy, ksiądz Jan dodał:

— Zali nie wartacie *anathema* jedno i drugie? Rozważcież: Ty, Halszko, księdzem się czynisz, bo jeno kapłan może odpustu grzechów wiernym udzielać, a moc kapłańską sobie przywłaszczając, w najsroźsze wpadasz kacerstwo. Nie tak-li? A kto cię do tego pobudził, jeśli nie twój przyrzeczony?

— Nie on, jeno serce moje — upierała się Halszka — na serce zaś klątwa spaść nie może...

Gestem mowę jej wstrzymał ksiądz Jan, sam rzekł z lekkim napomnieniem:

— Siejesz słowy bez rozwagi. Z serca to pochodzą zarówno złe, jak i dobre poduszczenia, z niego



wystrzelają cnotliwe i grzeszne zamysły, ono człeka do znacznych uczynków, bądź do zbrodni nakłania. I ono tedy karceniu podlega, a raczej uczynki, jakie wywołuje... Miej to w pamięci, siostrzo, a także, iż nad sercem władzę winien mieć rozum. Jako wódz na hufy przez siebie prowadzone baczyć musi, miarkować je i hamować, gdy je gorącość ogarnie, że na bezdroża chcą gnać; od zguby je strzedz, a jeno do chwały prowadzić: tak rozum winien serce człowieka, zamysły jego i porywy miarkować, ku prostym, cnotliwym szlakom zwracać, których kresem jest królestwo Boże...

Zbliżył się do Halszki, pocałował ją w czoło, potem do Zbigniewa rzekł:

— Ano, szwagrze mój przyszły, uważam, żeś mi siostrę całkiem zbuntował. Juźci ona nie nasza. Szcześć wam Boże! Strzeż ją pilnie, bo to skarb, dusza bez zmayı. Oddaje ci się sama z ufnością i my również tobie ufamy. Nie zawieź nas...

— Tak mi Boże dopomóż, że jako żrenicy oka strzedz ją będę, bronić w każdej przygodzie i o szczęście jej zabiegać... — zawołał Zbigniew z zapalem.

— Obowiązkiem to stanie się twoim, odkąd ją nazwiesz małżonką — skłonił głowę kanonik, a uściśnawszy go po bratersku, dodał z uśmiechem:

— Że potrafisz, Zbigniewie, dziarsko w obronie czci niewieściej stawać, wiemy. Właśnie przed chwilą towarzysze twoi powiadali, jakoś skarcił Jaszka Słupeckiego za to, że się o porwanie wnuczki starego sługi pana Sulimy kusił...

— I ja wiem o tem — zaszczebiotała Halszka. — Mówiłam też Zbychowi, że omal Jaszkową nie ostała...

— Wiesz już o tem, Zbigniewie? — zapytał kasztelan. — Temci lepiej, że Halszka mnie wyręczyła, bom nawet wspominać nie rad o zuchwalstwie onych ludzi niegodnych.

Z oburzeniem zaczął kasztelan o Rawitach prawić, aż się uniósł, tak go myśl ich szalonej zacheianki gniewem podnieciła.

— Każdego człeka — były jego słowa — uszanuję, byle w sumieniu był niepokalany, ale patrzeć nie mogę na zohydzonego niecnotę... Grot, Łukasz i ich Jaszko zesromali wspaniałe niegdyś, zasługami opromienione, zawołanie, zbrukali je, w błocie utarzali, krzywdą ludzką, grabieżami, wstrętnemi mordy zespecili, że ręki im podawać się nie godzi — i tacy oto śmieli na gniazdo Toporów oczy podnieść, żądać, aby się krew nasza zbożna z ich zbojceką łączyła... Świata skończenie! Katowski miecz dla nich, nie dziewczka z rodu Toporów!

— Doczekają się oni i tej hańby... — wtrącił ksiądz Jan — pasterz nasz zwrócone na nich ma oko i gdyby nie innych, pilniejszych spraw nawał, jużby gardła dali. Tak zaiste: karę poniosą, jak również ci, którzy, podobnie im gwałcą Boskie i ludzkie prawa, Kościołowi i rządowi króla miłościwego urągają...

— O, Spyttek Melsztyński... on zarazę szerzy dookoła... — mruknął kasztelan.

— Zbąski i Strasz nie lepsi... — dorzucił Sulima.

— Jego to poplecznicy, ale on głową, on siewcą złego. Dziw, że pozwalają mu warcholić do tej pory... — zauważył kasztelan. — Nie przez złość, jedno przez wzgląd na zagrożone bezpieczeństwo ojezyny powiadam, że z nim trza przedewszystkiem porządek uczy-

nić... Słyszę, odgraża się, iż sejm w Piotrkowie na cztery wiatry rozpędzi i do tego przygotowania czyni...

— Płonniemi są jego groźby—odezwał się ksiądz Jan — pasterz krakowski o każdym kroku jego jest powiadomiony. Trzyma on w ręku swoim piorun, który zdruzgoce gwałciciela, gdy czara nieprawości się przepelni...

— Przepelniła się ona chyba dawno, ojczye wielebny... — rzekł Sulima.

— Nie przeczę, Spytek już dawno przebrał miarę. Ale Bóg zarówno w sprawiedliwości jak i miłosierdziu jest nieograniczony. Czekaj On cierpliwie, daje grzesznikom czas do opamiętania się, do pokajania... Mel-sztyński przeciągnął strunę: jeszcze jedno pokuszenie zbrodnicze, a pęknie ona i o zgubę go przyprawi...

Odgłos rogu z wieży zamkowej rozległ się w tej chwili, kasztelan zaś nieco się ździwił. Rzekł:

— Gość o tej porze? Albo z czem pilnem, albo podróżny utrudzon i ze stron obcych chyba...

Jakoż pora była późna, mrok już zaczął szarym płaszczem ziemię otulać na sen krzepiący, słusznie tedy kasztelan o tym czasie nie spodziewał się gościa innego, jeno w jakiej potrzebie, zwłoki niecierpiącej, lub podróżnego, co po mozołach dachu dla wypoczynku szukał. Aliści zdumiał się niepomiernie, i sam, i wszyscy obecni, gdy mu marszałek trzech Rawitów oznajmił.

— Lada co prawisz!—rzekł w pierwszej chwili. — Chyba ci się przywidziało...

— Gdzie zaś! Znam ich przecie...—odparł marszałek.

— Czego chcą? Jak się opowiedzieli?

— Do miłości waszej się dopraszają tylko...

Spojrzał kasztelan na syna, jakby rady szukając, a ten szepnął z cicha:

— Trza się dowiedzieć, czego żądają... Skoro pod dachem naszym się naleźli, jużci gośćmi są, nie lża ich precz gnać... Prawa gościnności święte...

Zamyślił się kasztelan.

— Ludzi mają z sobą? — zapytał marszałka.

— Kilkunastu — odparł zapytany. — Chłopy na schwał, wilkiem im z oczu patrzy...

— Wprowadzić ich tu, a na ludzi baczenie dawać. Wiesz, co w Rawitach i w tych wszystkich, których ze sobą wodzą, siedzi... — rzekł kasztelan, gdy zaś marszałek podążył rozkaz wypełnić, odezwał się do obecnych: — Oto niespodzianka! Próżno w głowę zachodzą, czego mogliby tu szukać po doznanej odprawie... Chyba żądania nie ponowią.

Widząc wchodzących Rawitów, Halszka do Zbigniewa się przycisnęła, ten zaś ją ramieniem jednym objął, a dłoń drugą na głowni mieczyka obosiecznego położył, jak gdyby pragnąc być w pogotowiu do obrony ukochanej. Kasztelan wstał i, o stół oparty, czekał, co mu przybyli powiedzą. Ksiądz Jan, Sulima i Świdwa również mieli postawy wyczekujące.

Czas pewien milczenie przygnębiające panowało. Grot i Łukasz z kasztelanem wymieniali spojrzenia, nie niewrózące dobrego, ale gdy wzrok kasztelana pewność siebie wyrażał, powagę i chłód, dający do poznania, że nowi goście są dla niego niemili, — w oczach Rawitów wyrażała się tłumiona nienawiść, popędy krwiożercze, gwałtem powstrzymywane. Uczucia te jeszcze dosadniej wystąpiły na twarzy Jaszka, z chwilą, gdy spostrzegł parę młodą, do siebie przy-

tuloną, patrzącą na niego z nietajoną wzdardą. Ulegając pierwszemu porywowi, taki ruch uczynił, jakby zamierzał rzucić się na nienawistnego rywala i zdusić go, zgnieść, rozszarpać, zmiążdżyć,—ale ojciec, zauważywszy to wezas, szepnął:

— Bez szaleństw! Zali nie chcesz głową nadłżyć,—miarkuj się...

Więc pohamował się Jaszko, stał w miejscu, jak wryty, z zaciśniętymi do krwi wargami, płonącymi oczyma, które wpił w szczęśliwego rywala, a w których odzwierciedlały się wszystkie uczucia jego, owe pożądania dzikie, pragnienie zadowolenia zazdrości i zemsty.

Milczenie się przedłużało: kasztelan nie okazywał pohopu do rozpoczęcia rozmowy, tedy Grot to uczynił, odzywając się chrapliwie:

— Nie rad nas widzisz w domu swoim, kasztelanie... nie jesteśmy w łaskach twoich... Indziej bodaj najuboższemu ławę do odpoczynku podsuwają, a wy jako wrogów nas witacie...

Ossoliński ręką siedzenia wskazał, dodając krótko:  
— Spoczniście...

Głową wstrząsnął Grot, w bok się ujął, na mieczu wsparł.

— Z takiego zaproszenia Rawici pożytku brać nie nawykli — rzekł butnie i drwiąco. — Zresztą, chyba nas nie posądzicie o to, żebyśmy bez ważnego powodu u was, kasztelanie, gościny szukali. Rawici mają się gdzie podziąć, a chociaż możny pan na Ossolinie łaski im swojej odmawia, są tacy, którzy ich z otwartymi przyjmują rękoma.

Znów zapanowało milczenie. Grot z Łukaszem

oczyma się porozumiewali, a Jaszko coraz sroższych doznawał udręczeń, będąc zmuszony patrzeć na rywala i tę, którą tak pragnął posiadać a którą nienawistne mu objęcia pieściły.

— Nie ciekawi jesteście, kasztelanie — podjął Grot — o co was niepokoić się ośmielamy? Zaiste, dziwnem wydać się musi, że nawiedzamy dom, z którego nas nieomal za próg wyrzucono. Bo chyba nie zaprzeczycie, że tak było... Ale bardziej jeszcze się zdziwicie, gdy wam powiem, że przybywamy, aby wam dobrem za złe odplacić i u kogoś, wam nader miłego, o krzywdę się upomnieć...

Wzrokiem po obecnych potoczył, jak gdyby chcąc wymiarkować, czy słowa jego wrażenie wywarły; brodę musnął i znów podjął, a głos brzmiał mu coraz zgryźliwiej:

— Tak, mościwy kasztelanie. Powiadaliście, że my jeno krzywdzić ludzi potrafim, na nic zacnego zdobyć się nie mozem. Przekonacie się, że innego wartamy sądu, świadectwo przedstawię na to niezbite...

— Dotychczas słowa tylko słyszymy, a one nie zawsze świadectwo godne wiary stanowią... — zauważył ksiądz Jan.

— Coraz lepiej! — zaśmiał się szyderczo Łukasz. — Jeszcze nie wiecie rzeczy, a już nam fałsz zarzucacie...

— Spokój zachowaj! — przestrzegł go Grot. — Tak się zazwyczaj dzieje, że żałuje ten, kto się przedwcześnie z sądem wyrywa.

— Przystąpcieź do rzeczy onej, Grocie — przerwał zniecierpliwiony kasztelan — wiele obiecujecie, obaczmy, czy podolacie obietnicy dopełnić...

— Jeśli wam niechęć do nas sprawiedliwości

w sercu nie zagłuszyła, przyznacie, że niepłonne to obietnice. Słuchajcie i sądźcie.

Wiem, samiście nawet powiadali, kasztelanie, że ten oto młodzian (bowiem się domyślam w nim Jelity z Oporowa) — tu Grot Zbigniewa oczyma wskazał — dziewczki waszej jest przyrzeczoną, co pono jeszcze z rodzicem jego ślubowaliście... Takie ślubowanie święte jest, ani słowa, ale traci moc swoją, jeśli która ze stron je lekceważy. Wy, kasztelanie mościwy, w porządku jesteście z sumieniem co do tego: atoli zapytajcie, czy przyrzeczony waszej dziewczki może o sumieniu swoim to samo rzec...

Zbigniewowi krew do skroni uderzyła, głowę podniósł i zawołał oburzony:

— Prze-Bóg, ze słowy się liczcie, Rawito! Nie znam was zgoła, ani wam co uczyniłem złego, wy zaś cześć moją szarpiecie...

Kasztelan gestem mu przerwał:

— Hamuj szparkość, Zbigniewie. Gdy winę przedstawi, wtedy bronić się będziesz. Ufałem ci i ufam, dlatego też myślę, że bez słuszności Grot przeciwko tobie występuje...

— Bez słuszności! Ha! ha! Otoś sprawiedliwy, eny kasztelanie... Słowo młodzieńczyka płochego u was w cenie i wierze, a męża statecznego, któremu wiek głowę ubielił, nic nie waży... Sprawiedliw jesteś, jak rządy królewskie, jak owi panowie radni korony...

— Nie mieszajcie pana miłościwego gdzie nie trzał — surowo przestrzegł ksiądz Jan. — Do rzeczy wróćcie.

— A ty, klecho, nie waż się mnie czepiać! — odciął mu groźnie stary Rawita. — Nie w twoim domu

jestem, ani z tobą mam sprawę. Przy pacierzach ci warować i dziesięciny z krwi naszej bodaj ssać!

Kasztelan w obronie kanonika stanął:

— Wiele się pod własnym dachem wybaczają, Grocie, ale granic przekroczenia na żadnym miejscu wybaczyć nie można. Syn to mój i kapłan, baczcie na to. Uczynił dobrze za królem się ujmując... Wyduście z gardła rzekome oskarżenie, które ma Zbigniewa potępić, wszak, ile mniemam, po to do Ossolina przybyliście.

Grot, do gwałtów i bezprawiów nawykły, z trudnością wysilał się, aby bodaj pozorny spokój zachować. Upomnienie kasztelanica warem mu żyły napełniło, bo od nikogo życzliwych nawet przestróg nie znośił, a tembardziej od kapłanów, do których okrutną czuł nienawiść. Już sam widok sutanny jątrzył go, o gniew przyprawiał i szyderstwa gryzące z ust jego wywoływał, a cóż dopiero, gdy z ust osoby duchownej przyszło mu gorzkiej słuchać prawdy. Zdołał jednak stłumić poryw gniewu i na pytanie kasztelana odparł:

— Nie mylicie się... Przybywam oskarżyć tu obecnego Zbigniewa z Oporowa, a zarazem, jakom już rzekł, krzywdy mojej dochodzić. Dlatego jeszcze wam się narzucam, iż sprawa moja i was dotyczy, nadto, przy jej pomocy, w waszych oczach się oczyszczę... Oskarżam zaś Jelitę o przenievierstwo waszej dziewce. Pomieczy wami, kasztelanie mościwy, a rodzicem jego ślub stanął, on młodzieńczyk go odziedziczył i winien dochować. Jużci mu nie lża za innemi gładyszka mi się uganiać, kiedy liczy się małżonkiem Halszki waszej. Co z tego, że stula ich jeszcze nie związała? Związało ich słowo, któreście sobie z nieboszczykiem Jelitą wzajem dali. Tymczasem przyszły wasz zięć



jak poczyna? Zgroza bierze mówić o tem! W rozpuście wszetecznej żyje, gorzej poganina. Młodości to i owo płazem się puści, dojrzały człowiek też zgrzeszy, ale samiście przed chwilą, cny kasztelanie, o granicach wspomnieli.

— Fałszywie mnie oskarżasz, człeczko niegodziwy! — przerwał Zbigniew, ledwie w miejscu stojąc. — Ja wszetecznik? Ja w rozpuście żyję? Dowody przedstaw! Świadectwo! Jak Bóg na niebie, czystym się wobec nikezemnego oskarżenia czuję i zapowiadam, że nie przepuszczę zarzuconego sromu...

— Ha! ha! — zaśmiał się Grot — syczysz i wiesz się, inby gadzina, której żądło wrywają... Słusznie gadka niesie: kołpak na złodzieju gore! Ale nie z tego... Fałsz mi zarzucasz, młodzieńczyku, bo chcesz wiano bogate zagarnąć. O to ci przecież idzie, o tem myślisz, tego pragniesz! Halszka... albo o nią dbasz? Tyle, co o wiatr wczorajszy. Że rozmiłowanego udajesz, czynisz to jeno dla jej wiana... Znają cię ludzie...

Halszka słuchała bezczelnych oskarżeń Grota z początku lekceważąco, ale gdy o wianie zaczął mówić, dreszcz ją przebiegł, pobladła, serce jej trwoga ścisnęła. Wzrok pytający na Zbigniewa zwróciła, on zaś rękę do góry wznosząc, zawołał pełnym głosem, wątpliwość szczeroci usuwającym:

— Na wszystko święte: na Boga, na prochy rodzica, na cześć zawołania naszego przysięgę składam, jako źdźbła prawdy niema w oskarżeniu tego człeka! Zawierz, sobolu mój, iż tak jest... W rodzie naszym wszeteczników nie było i, dufam, nigdy nie będzie... a fałszywego obwiniciela skarcę, inaczej nie może być... Oburzenie myśli mi zamąciło w pierwszej chwili, ale

wiem teraz, co go do ukąszenia mnie skłania... Stanałem na drodze zamysłów jego, a raczej jego wnuka— on to wiana twego zapragnął, a doznawszy zawodu, jadem fałszu na mnie rzuca. Jasne to, każdy przyzna, bo u Rawitów nie zacnych uczuć szukać, jeno chciwości, jeno zdrady, jeno kłamstwa i nikiemności wszelakiej...

Poruszyli się Rawici, trzaskać mieczami zaczęli, kasztelan zaś, widząc, że się na burzę zanosi, wystąpił niemal z groźbą:

— Zali gwałtu odważycie się dopuścić? Nie radzę wam! Srom zarzucacie Zbigniewowi, przeczy on wam, a ja również po jego stronie stoję, bo do takiej winy zdolnym go nie sędzę. Znają go, mówicie, ludzie? Ano, znają i najlepsze o nim dają świadectwo. O was dobrego słowa nikt nie powie...

— Mamy-li zamiast wdzięczności i zadość uczynienia nową stąd krzywdę wynieść?—podjął Grot.—Gładysza onego bronicie, a jemu pozwalacie nas bezczęścić?

— Za słusnością jestem...— rzekł kasztelan.

— Mało warta słusność wasza, jeśli mnie do końca słuchać nie chcecie. Stoję przy tem, com o Jelicie powiedział, a na świadectwo wnuka stawiam. Toć niedawności go widzieli. Chłop, by topola, smagły był i prosty—dziś, z łaski przyrzeczonego waszej Halszki, patrzcie, co z nim? Jelita biedakowi tak się przysłużył za to, że chłopiec nasz w obronie niewinnego dziewczęcia stawał, na którego cnotę gładysz wam miły dybał...

Oslupieli wszyscy, słysząc kłam niecny, tak zu-

chwale w oczy ciskany niewinnemu, a korzystając z milczenia, Grot jeszcze zjadliwiej uragać począł:

— Broncież teraz, cny kasztelanie, przyszedłego zięcia... Czemu go nie bronicie? I wy, Jelito, na słowo jakoś zdobyć się nie możecie? Język wam może zamarzl? Ano... odpierajcież, com wam zadał. Czekam.

— Szkoda słów na odpieranie ohydy, która się sama piętnuje i potępia—rzekł Zbigniew z godnością, pogardliwie na urągającego wroga patrząc.—Złeście się wybrali, Rawito, inaczej sobie napaści waszej wytłumaczyć nie mogę, jeno, że się wam rozum pomieszał.

— Głowy strzeż, junaku!—warknął stary Grot.

Halszka zaś, nie odstępując Zbigniewa, zawołała donośnie, ściągając brwi aksamitne:

— Za wysoko wam do głowy onej, baczcie lepiej na swoją... Zbych czysty, błoto wasze do niego nie przylgnie, was samych skala. Nie odwróćcie kłamstwem plugawem serca ani mego, ani rodzica, ani ludzi godnych od niego. To wiedzieć macie!

Gdy tak mówiła, lica jej pały, wargi malinowe drżały, różowe nozdrza, przedziwnie wykrojone, rozdymały się, jak u rumaka rycerskiego, gdy odgłos trąb bojowych usłyszy, oczy również oburzeniem płonęły. Cała jej postać wyrażała gorące zaprzeczenie, a zarazem głęboką wiarę w niepokalaność umiłowanego. Zdało się, że pragnęła w tej chwili w jego puklerz się przeistoczyć, w ochronę, której żadna moc ludzka skruszyć nie zdoła.

Jaszko Rawita, patrząc na tak jawne dowody miłości z jej strony, czuł, jakoby mu stopy żar palił, piersi rojowisko gadów szarpało. Bładł i czerwie-

niał, oddychał ciężko, ledwie że powstrzymywał ramię od utoczenia krwi z pod serca szczęśliwego rywala.

Nie widział nienawistnych jego spojrzeń Zbigniew, bo odezwanie Halszki rozradowało go niezmiernie. Przycisnął ją do siebie i szepnął w drobniuchne uszko:

— Bóg-że ci płąć! Bóg płąć, sobolu, jagodo, kwiatuszku, wszystko na świecie.. Mojąś ty, a jam twój i nie nas rozłączyć nie zdoła...

— Do zgonu i po zgonie!—odparła tuląc się do niego, niby pisklę pod skrzydła macierzy, gdy drapieżnego ptaka spostrzeże.

Łukasz odezwanie się Halszki drwiną przyjął.

— A to u was, kasztelanie, dziwów napatrzeć i nasłuchać się można.. Młodzieńczyki lżą mężów sędziwych, a zaledwie od ziemi odrosłe dziewczęta rej wodzą, mieszając się do rozpraw statecznych. Nigdzie niema takich porządków. Nie wierzyłbym, gdyby mi powiadano o czemś podobnem.

— Niech was o domowe porządki moje głowa nie boli—odparł kasztalan — lepiej zbierzcie, zarówno sami, jak i wy, Grocie, myśli i po zastanowieniu się powiedzcie, czego zamierzaliście dopiąć podstępem niezręcznym? Jakże: winujecie Zbigniewa o to, czego się wasz Jaszko dopuścił? Znaną mi jest ta szpetna historia dokładnie, tedy próżny trud z waszej strony nad wyprowadzeniem mnie w pole...

— Ho! ho!—mruknął Grot niezrażony—szczwany z Jelity ogar, z góry się zabezpieczył przeczuwając, że wieść o jego krotochwilach do waszych i przyrzeczonej uszu dojść może... Szczwany, powiadam, jest, za wczasu kogo innego obwinił. Ale zapomniał, że na to świadki są...

— To wyście zapomnieli, Rawito—przerwał Sulima szorstko—o świadkach! Są oni, liczna garść nawet, lecz z żadnego korzyści mieć nie będziecie...

— Z Jaszkiem było sporo naszych ludzi, wszyscy zaprzysiędz mogą, że Jelita na cnotę dziewczki godził, a Jaszko ją odbronił...

— Tfuj!—splunął Sulima.—Wodę jeno warzycie. Nie wątpię, że na wasze rozkazanie ludzie wasi Boga gotowi się zaprząć, bo tacy oni straceńcy, w waszej wyćwiczeni szkole... Ale zważcie, iż stało się to w domu moim, przy mnie, przy obecnym tu Świdwie Wężu, i przy sporej garści naszych ludzi, którym większa wiara, niż waszym. Zresztą, gdyby do czego przyszło, dziewczka sama zezna, kto o jej pokrzywdzenie się kuśił... Żeście tego wszystkiego nie rozważyli! A głowacz z was nielada... Chyba was syn okłamał.

Rawici ani się stropili przemówieniem Sulimy, o co innego im bowiem chodziło, nie o to, by winą pokuszenia się na porwanie Petruchny Zbigniewa obarczyć. Fałszywego oskarżenia użyli za pozór do stawienia się w Ossolinie, gdyż po niefortunnych oświadczeniach, bez słusznego powodu, zjawiać im się tu nie wypadało. Tedy wysłuchali Sulimy, rzekomo dziwiąc się i oburzając, a Grot rzekł:

— Przekonywam się, że źleśmy trafili, w lichą godzinę... Jelita dobrze się obwarował, ze wszystkich stron, wszystkich kupił...

— Kupił prawością swoją, poczciwością, Rawito—zauważył ksiądz Jan.—Ja również pojąć nie mogę waszej lekkomyślności, jaką okazaliście, oskarżając go o występki syna waszego, i za panem Sulimą powtarzam: chyba was winowajca istotny w błąd wwiódł...

— Krwi mojej i ludziom moim wierzyć muszę... Świadczą przeciwko Jaszкови memu Sulima i Świdwa, kto wie z jakiej przyczyny? Coś pomiędzy nimi być musi, czego rozglądać nie chcę... Mniejsza z tem. Chciałem kasztelana miłościwego przestrzedz, chciałem dziewczkę jego od nieszczęścia uchronić, bo, zaprawdę, szczęścia nie zazna w związku takim, jak z Jelitą, która jej wiary nie dotrzyma...

— Dość tego, Grocie! przerwał kasztelan opryskliwie. — Złość macie do Zbigniewa, iż na drodze wnuka waszego stanął, ale wiedźcie, że chociażby Zbigniew przyrzeczoną Halszki mojej nie był, chociażby na świecie jeden tylko wasz Jaszko istniał, ja, rodzic, córki swej za skarby świata jemu nie oddałbym. Ona także do niego wstręt czuje... Dlaczego zaś taką niechęć u mnie znachodźcie, sami wiecie...

— Gorzkie słowa! gorzkie słowa! - mruknął Grot.

— Prawda zawdy gorzko smakuje, zawdy w oczy kole tych, co winę mają na sobie... Zatem skoro już wiecie, że nawet, gdyby oskarżenia wasze były słuszne, niebyście u mnie nie wskórali-- ostawcie nas w spokoju. Żalu ani do mnie, ani do Zbigniewa mieć nie możecie, jeno do postępków waszych...

— Postępów moich sam panem jestem i sędzią...

— rzucił niecierpliwie Grot.

— Zapominacie o Bogu!— wtrącił ksiądz Jan. — On ludzkie czyny sądzi Sam, lub przez wybrańce Swoje...

— Miarkuję!— zauważył Sulima, w czoło się uderzywszy — tak, teraz dopiero miarkuję, że niechęć do Zbigniewa głębiej jeszcze u Rawitów sięga... I wy coś o tem wiedzieć musicie, kasztelanie... Co, Grocie, zali

nie prawda? Zaliście się z nieboszczykiem rodzicem Zbigniewa nie wadzili?

— Nie poruszajcie grobów!—przestrzegł Grot głosem stłumionym. — Rodzic tego oto młodzieńczyka odszedł na spoczynek wiekuisty, niechże sobie śpi najsmaczniej... I on mi krzywdę uczynił, ale skoro zmarł... niechaj!

— Nie, Grocie! Nieboszczyk Jelita bez krzywdy ludzkiej na sumieniu odszedł do Boga, po nagrodę za żywot zbożny... — zaprzeczył kasztelan poważnie. — Dobrze zrobił Sulima, że przypomniał, coście wy i syn wasz z nim mieli... Wszakci pod Dąbrownem, a także w czasie bitwy na Zielonem Polu, on was na zdrożności pochwyił, która że wam na sucho uszła, wszyscy się dziwowali. Z Krzyżaki byliście w zmowie: rodzic Jaszka was podpatrzył wczas i przeszkodził w zamiarach... Wstydu wtedyście się najedli nie mało, a i głowa wasza na włosie wisiała...

Zachnął się Grot, krwią nabiegłemi oczyma mówiącego zmierzył.

— Nie imajcie się grabarskiego rzemiosła, niebezpieczne jest ono!—rzekł ponuro.—Bywa, że odkopywane prochy na grabarza się wałą i przed czasem zabierają go z tego świata...

— Zresztą—wtrącił Łukasz—wolna wola nasza tego lub owego stronę trzymać... Do Krzyżaków garnęło się i garnie nietylko rycerstwo, ale i książęta, i biskupy... Jako im i nam się z Krzyżakami trzymanie pożyteczniuszem wydało, niż z Jagiellą...

— Pożyteczniuszem dla was samych może, ale dla ojczyzny zgubnem—zawołał cierpko kasztelan.—I śmie-

cie się do zdrady przyznawać otwarcie? I nie czujecie, że hańba to?

Rozśmieli się Grotowie starsi, a Łukasz rzekł:

— Tak wam mówić wypada, bo smakowite kęsy z królewskiego stołu wam spadają. Ale nie wszystkim tak się dzieje... Z Jagiełłami ucisk nastął, pogwałcenie wolności, ciężary i niesprawiedliwość wszelka. Nie zasługa, ale łaska królewska ludzi wywyższa i możność im daje. Jedno ci, co karki mają giętkie, miód w usciech i zwracać się umieją, skąd wiatr wieje, są Jagiellonom radzi: inni, przy dawnych porządkach stojący i przy sprawiedliwości, pogwałcenie cierpią, za zdrajców są ogłaszani...

— Jagiełłowie... — dodał Grot — rychle pęta nam nosić każą i wszelkich przywilejów zbawiają... Zdrajcy, rzekomo, są ci, którzy się od nich usuwają? A jak nazwać tych, którzy z tronu prawowity ród Piastowiczów wyzuli i księżęcia wrogiego nam od wieków narodu na nim osadzili? Może dobrodziejami ojczyzny? Im to zdrajców miano przysługuje.

— Z ogniem igracie, Rawito — przerwał mu Ossoliński, cierpliwość tracąc. — Nie radbym wam w domu moim przykrości sprawić, nie zmuszajcie mnie do tego, proszę. Takich rzeczy słuchać uczciwemu człowiekowi się nie godzi...

— Ha! ha! — parsknął śmiechem nieszczerym Grot — teraz ja słowy waszemi powiem: prawda zawdy gorzko smakuje, zawdy w oczy kole tych, co winę mają na sobie... Samiście, cny kasztelanie, wilka z lasu wywołali, trudno było milcząc znosić wasze i druhów waszych przekąsy. Dajmy temu pokój: ostanicie przy swoim, czyny zaś nasze sumieniowi naszemu powiercie.



Nam za nie, a nie wam rachunek gdzie trzeba zdać przyjdzie. Dla was nad Jagiełłów lepszych nie ma: my inaczej myślimy. Po co innego do was przyjechalim i do tego wróćmy...

— Lepiej nie wracać, bo chleba z tej mąki nie upieczecie. Jużście przecież próbowali i zakalec z niej wyszedł; nie kuście się o nową próbę, bo zgoła niezdrowa dla was może się okazać. Rozstańmy się bez družby, która pomiędzy nami żadną miarą należeć się nie może, ale też bez gorszącego swaru. Życzę tego wam i sobie...

— Odtrąćcie mnie od Halszki, kasztelanie, gardzicie mną, ja wszelako powiadam wam, że lada czem zbyć się nie dam...—zawołał Jaszko Słupecki. —Wzięła mi Halszka serce, wzięła rozum, tak uroczyła, że nie żyć mi bez niej! To w mądrości swej rozważcie. Gdy na człeka urok miłowania spadnie, na wszystko się waży...

— Zastanów się, co mówisz, Rawito...—odezwał się ksiądz Jan.—Komu zuchwale gwałtem grozisz, bo ze słów twoich jasno, że takie pokuszenie na myśli masz... Odpędź modlitwą szatana, któren cię opętał... Aniś ty dla Halszki, ani ona dla ciebie. Pozbądź się zaślepienia. Wszak po tem, co było mówione, winieś na oczy przejrzeć...

— Skończmy z sobą, Grocie—powtórzył ze swej strony kasztelan—już wszak wiecie, żeście się daremnie z oskarżeniem trudzili. Więcej chyba do mnie nie macie...

— Prócz żalu za niechęć, jaką mnie i rodowi memu okazujecie; za urągliwe słowa, jakimi odpłaciście przestrożę, ku dobru waszemu zmierzającą... Tak

eny kasztelanie, krom tego nie do was nie mam. Jużem u was w czasie bytności w Ossolinie przeszłym razem dług zaciągnął, dziś odjadę z długiem większym. A pewnie o tem wiecie, że Rawici pamiętają dobrze, co się komu należy. Nikt powiedziec nie może, iżby zalegali w zapłacie...

Cofnął się nieco Grot, wszyscy mniemali, że na tem się skończą odwiedziny niemiłe, ale właśnie teraz dopiero miał szalbierz stary powiedziec, co go istotnie do Ossolina sprowadziło. Przystąpił do Zbigniewa i wciąż wsparty na mieczu, wyrzekł powoli:

— Z kasztelanem skończyłem, ale jeszcze do was, Jelito, coś mam...

— Stoję przed wami — na to Zbiegniew, śmiało wzrok groźny starego Rawity wytrzymując.

— Z waszej łaski, Jelito, doznalim tu odprawy — tak począł Grot — zagrozdziście Jaszkwowi naszemu drogę do szczęścia, a już tego samego dosyć, żeby was do sprawienia się z nami wezwać...

— Z trzema dorazu? — zagabnął Zbigniew, uśmiechnawszy się.

— Nie weselcie się przed godami... zmarszczył czoło Grot — tu nie igraszki. Zanim Halszkę nadobną poprowadzicie do ołtarza, co w wątpienie już w tej oto chwili daję, zali się stanie, z Jaszkiem zmierzyć się musicie...

— Mierzył się Zbych przecież — wtrąciła Halszka — i dogodził mu niezgorzej. Zali go jeszcze skóra świerzbi?

— Lepiej dziewczkom przy dierzganiu siedzieć i płocnością swoją się nie chwalić... Byłoby dobrze, gdyby cię macierz tego od koleby uczyła. Ano, nau-

czy cię kto inny a, jak mniemam, nie Jelita, do którego tak lgniesz...

— Więc w imieniu Jaszka mnie wyzywacie?—  
przerwał Grotowi Zbigniew.

A Grot, głową skinąwszy, odparł:

— Nieinaczej. Wszak chyba sam to czujesz, Jelito, że inaczej być nie może? Jeszczeście się nie znali, a już powód do rozprawy się znalazł; z chwilą poznania, więcej się ich nazbierało. Na zdrowiu już raz ucierpiał tak, że omal życiem nie przypłacił. Uczyniliście z niego wszetecznika, zarzuciliście mu kłam, aby swoje grzechy osłonić. Mnie, staremu, bluzgaliście w oczy szpetne słowa... Ba! niedość na tem... Słysząc, że imię nasze haniebnie przed kim można plugawicie i sługi swoje pouczać, aby to samo czynili...

— Znów fałsz za fałszem z warg wam spływa—  
przerwał Zbigniew.— Jaszka naznaczył, bo sam tego chciał. Wam jeno prawdę wypowiedziałem w oczy. Do żadnego się grzechu przeciwko wam nie poczuwam...

— Musicie dowieść tego, a że innej rady niema, niechaj oręż, niechaj sąd Boży rozstrzygnie...

— Niechaj oręż rozstrzygnie! — powtórzył namiętnie Jaszko, o miecz dłonią uderzając.— Na sąd Boży cię wzywam, Jelito, a ty odmówić mi sprawienia się nie możesz...

— Żadną odmówić miarą nie może, jeśli krew rycerską ma w żyłach!—potwierdził Łukasz.

— Wiemy już, że z zasadzki godzić umie, bo przecież Jaszka w ten sposób zmógł, ale niech stanie ramię do ramienia, nie w nocy, jeno o białym dniu, nie z przeważającą garścią służalców, ale pierś o pierś...

— Skórkę mu zajęczą damy i kądziel, jeśli sprawienia się odmówi...

Słuchał tych wyzwania Zbigniew z pogodną twarzą, uśmiechał się, z politowaniem na Rawitów patrząc.

— Także to krwi mojej pożądacie?—zapytał.

— Tak jest! Krwi i życia twego pożadam, krwi z pod serca i zgonu, bo przy Halszce dwóch nas za wiele na tym świecie. Jeden ustąpić musi! musi!

— Wolna wola wam ustąpić, nie zatrzymuje nikt... — szepnęła Halszka, ale Rawici jej nie słyszeli. Uczuciami mściwemi porwani, nastawali na Zbigniewa, powtarzając:

— Do rozprawy stanąć musisz! Na sąd Boży! Tam okaże się, przy kim prawda!

— Dziwnem mi się wydaje tak gorące naleganie — rzekł Świdwa do Sulimy. — Nowy jakiś podstęp tu wie- trzę i rękę dałbym, że się nie mylę...

— Zaiste, podstęp stąd wyziera—potwierdził Sulima. — Ale przecież Zbigniew zdrowe ma oczy, przy- tem my go nie odstępim...

— Rozumie się!

— Cóż ty na to, Zbigniewie?—zwrócił się tym- czasem kasztelan do młodego Jelity. — Co mówisz na wyzwanie Rawity? Przyjmiesz-li je?

— Musi przyjąć! — wybuchnął Łukasz. — Inaczej za zbawionego czci go ogłosim wszędy, a przy spotka- niu rozsiekamy, jako psa...

Na to Zbigniew z mocą, nie tracąc jednak spo- koju:

— Dla kogo inszego schowajcie pogróżki, Rawi- to, mnie one o strach nie przyprawia. Jeśli pod roz- myśl wziąłem żądania wasze, to dla tego, iż nie wi-

lzi mi się z Jaszkiem potykać. Czyste mam ręce, on zaś o sobie tego powiedzieć nie może...

Rawitami nowy poryw wściekłości wstrząsnął.

— Naigrawaniem chcesz babią naturę osłonić — krzyknął Grot—ale nie potem!

— Jeśli Jaszko nasz nieczyste ma ręce, krwią twoją je oczyści...—wołał z drugiej strony Łukasz.

— Stanać mi masz, zali nie chcesz, bym ci w oczy naplwał...—burzył się Jaszko, pięścią wymachując w powietrzu.

— Do sprawy! Na sąd Boży masz stawać!—domagali się wszyscy trzej jednym głosem.

— Po świecie bywałem, rozmaitym obyczajom rycerskim się przypatrowałem, a nigdzie nie spotkałem, aby na sąd Boży takim wzywano ładem—odezwał się Świdwa.—Wołu tak ciągną na rzeź, a rycerzowi dość rękawicę rzucić. Jeśli przeciwnik jej nie podejmie, ukrzywdzony winien godnych mężów wybrać, żeby rozpatrzyli, zali tamten ma słuszość odmawiać sprawy. Oto jak się dzieje wszędzie...

— Co tam, jak się dzieje indziej!—przerwał mu Łukasz.—Jelita stanać musi, tak my chcemy i dość na tem. Zali zmoże Jaszka, ja mu stanę, a gdybym i ja uległ, rodzic mój z nim, mimo wieku, kopię gotów skruszyć, co zaszczytem dla takiego młodzieniaszka jest...

— Odpowiadaj, Jelito!—nalegał Jaszko—bez słowa twego stąd się nie ruszę...

— Co, Zbychu? Co? Ukąsić ich chyba, skoro się gwałtem nadstawiają?—rzekła Halszka.

— Ano... trza tak uczynić—odparł Zbigniew. -- Ma być sąd Boży, a żem w sercu mojem przed Bo-

giem praw, więc dufam, że dostoję nietylko trzem Rawitom, ale chociażby ich w dziesięcioro więcej było...

— To się okazał! — rozśmiał się Grot, a Łukasz i Jaszko przywórtzyli mu:

— Tak, okaże się twoja sprawiedliwość i siła!

Wszyscy trzej rozradowanie wyrażali, usłyszawszy, że się Zbigniew do ich żądań skłania, co bardziej jeszcze Świdwę i Sulimę w podejrzeniach utrwaliło. A Jaszko już wołał:

— Skoro się na sąd Boży zgadzasz, miejsce i czas oznacz. Im prędzej się skończy, tem dla nas obu lepiej...

— Rozumiem, Rawito, że cię pragnienie na moja krew pali, ale pofolgować musisz, czasu mi trocha zostawić—odparł Zbigniew.— Wolny nie jestem. Do hufów królewskich się liczę, wypada tedy pana miłościwego zawiadomić, jakom wyzwany przez ciebie został i przyzwolenstwo od niego wziąć.

Przeczyć jęli Rawici.

— Oho! uskokczyć chce.

— Uskokczyć i puklerzem królewskim się zasłonić!

— Nic z tego... Pozwolenstwa królewskiego zgola nie trza. W rycerskim stanie swoboda panuje, każdy wedle chęci własnej poczyna...

— Co tu król ma do roboty? Między nami sprawa jeno...

Kasztelan, który, równie jak Sulima i Świdwa, domyślał się ze strony Rawitów z góry obmyślonego podstępu, odezwał się tonem stanowczym, przeczenia niedopuszczającym:

— Chociażby Zbigniew, ulegając żądaniom naszym, i obowiązki względem króla, naszego pana mi-

łościwego, przeoczyć zamierzał, jaby mu tego zabronił. Możecie, wy, Grocie, z synem i wnukiem waszym praw żadnych nie uznawać, deptać je i ponieierać, ale w sprawiedliwości żyjącemu tak postępować nie lża... Zbigniew, jako rzekł, stanie Jaszкови do sprawy, ale nie uczyni tego bez opowiedzenia się królowi. Pan miłościwy drogi do tego mu nie zagrozi, próżno tedy się obawiacie, iżby uciecha skruszenia kopii ze Zbigniewem Jaszka ominęła. Jak powiedziałem—będzie.

— A jakież wy, cny kasztelanie, prawo macie Jelitą rozporządzać? To do zrozumienia niepodobne... — zagabnął z przekazem Grot.

— Prawo przyjaciela, prawo ojcowe, boć go już za syna uważam.

Usunęli się na stronę Rawici i szeptać między sobą poczęli, Świdwa zaś kasztelanowi półgłosem rzucił:

— Okrutnie się stracenci owi na Zbigniewa zawzięli. Jasna rzecz, że uknuli zdradę jakowąś. Nie miarkujecie, kasztelanie, jaką?

— Pewnie, że w wyzwaniu owem piekielne sieci się tają, ale łotrów trudno przeniknąć... Jedno powiedzieć można, że Zbigniew na baczości musi się mieć w każdym czasie i na każdym miejscu...

— To samo mu powiadałem zaraz po spotkaniu z Jaszkiem—dorzucił Sulima. —Mówiłem wówczas: nie podaruje ci Rawita tego —i na moje wyszło. Ktoby ich nie znał? A jeszcze w to wszystko upodobanie do Halszki się wmieszało i złość Grota oraz Łukasza do nieboszczyka rodzica Zbigniewowego...

— Dopókad przy życiu bodaj jeden z nich ostatnie, Zbigniew musi go na oku mieć... Taki to już ród

na krew ludzką i zemstę cheiwy. Gorzej zwierza dzi-  
kiego.

— Moc Boża z nami—wtrącił ksiądz Jan.—Bez  
Jej woli włos najslabszemu z głowy nie spadnie. Ona  
to sprawia, że sprawiedliwy najliczniejsze hufy, z grze-  
sznych utworzone, palcem rozprasza, bieg słoneczny  
wstrzymuje i gwiazdy płonące gasi... Za Jej również  
sprawą złość Rawitów na proch się zetrze, to wam  
powiadam.

— Amen! Oby się tak stało... — powtórzył ka-  
sztelan, głowę pobożnie schylając, a Świdwa dodał:

— Wszelako na baczności się, Zbychu, miej:  
strzeżonego Bóg strzeże.

— Boga o łaskę będę prosił, a uczyni, że poku-  
szenia wrogów w dym się rozwiewają... — rzekł Zbigniew.  
—A przecie i Halszki ślepięta coś w obronie mojej  
zaważą? Prawda, sobolu mój? Jakże powiadasz?

— Sam odgaduj—odpowiedziała. — Ej! gdyby tak  
na mnie... ceregielów długich z Rawitami nie czyniła-  
bym. Dorazubym z nimi skończyła i spokój zyskała.  
A tak strzedz się wciąż...

— Więc dalej! wyzwij ich, może ci staną... za-  
żartował kasztelan.

— Uważam, że ona sprawa, on sąd Boży bez  
Halszki nadobnej się nie obejdzie—ozwał się po swo-  
jemu pieściwie Świdwa.—Chociażby ją na dziesięcioro  
bram zamknięto, wyrwie się i przy szrankach stanie...

— Żebyście wiedzieli, jako stanę — potwierdziła  
Halszka. — Jakże? O przyrzeczonego dbać nie mam?  
My ze Zbychem to już jedno serce i dusza jedna...  
Gdzie on, tam i ja być muszę. Tak sobie przyrze-  
kłam, że go nigdy nie odstąpię, a tembardziej w po-



trzebie niebezpiecznej. W głowę mu nakładłam, gdyśmy koni zażywali, jako i na wojnę z nim chadzać będę. W żart zapowiedź moją obracał, ale obaczy, że inaczej nie może być.

Książd Jan rozśmiał się na to, mówiąc:

— Słusznie powiada Kostuch, że z ciebie kokosz czubata... Oj! masz ty czub, ale tem łacniej będzie Zbigniewowi cię ująć. A możebyś ty za niego Jaszko-wi stanęła?

— Gdyby się potrzeba okazała, czemu nie? Co mi Jaszko, jeszcze teraz, wpół przetracony... Ale Zbych sobie z nim radę da! Oho... jak go teraz naznaczy, to już chyba skutek z nim będzie...

Rawici ukończyli wreszcie naradę, a snać po myśli im wypadła, bo się pozbyli niepokoju, jaki okazali, gdy im Zbigniew o odwołaniu się do króla zapowiedział. Ozwał się Grot:

— Ano, kiedy od swego odstąpić nie chcecie, niechaj będzie po waszemu... Szukać pozwolenstwa u kogokolwiek, króla nie króla, na obronę czei zagrożonej, osobliwym wydaje się nam zwyczajem. Trudno—ustępujem wam w tem, to sobie warując, by sprawa nie poszła w odwłokę. Jaszko czystość swoją okazać pragnie jak najprędzej; wy, Jelito, również tego pożądać winniście... Naznaczcie tedy czas i miejsce, gdzie się potykać zamierzacie...

— W ustroni najdogodniej, bez wiela świadków—podał Łukasz. — Po co ma zaraz wiedzieć cały świat o zwadzie między nami...

— Tak, w ustroni i bez wiela świadków! — powtórzyła z przekazem Halszka.—Mówię ci, Zbychu, nie przystawaj na to. Ty zgodzisz się i samotrzeć, albo

samoczwart wystąpić, a oni całą gromadę na ciebie nasadzą...

— Ejże, kasztelanko, nadto kałasz... — przestrzegł Łukasz pochmurnie:—A wiedz, żeśmy twardzi, to i zabkom szkoda stać się może...

— Starczy mi ich na długie życie, ty zaś, Zbychu, mnie słuchaj.

— Nie obwiniam ja was o zdradzieckie zamysły —przerwał Zbigniew, do Rawitów się zwracając—ale nie widzę słusznego powodu ukrywania się z rozprawą... Zwyczajna to rzecz czci własnej obrona i zawdy winna się tak odbywać, żeby jak najszerzej o niej wiedziano...

— Mniejsza z tem, stanówcież czas i miejsce — odezwał się niecierpliwie Jaszko.

Jakoż zgodziły się obie strony po trzech niedzielach potykać się na Smoczem uroczysku, w miejscowości dzikiej i mało nawiedzanej, nieopodal Konar leżącej, a także zawarowano, aby każdemu z przeciwników nie więcej nad piętnastu ludzi towarzyszyło. Po skruszeniu kopij, zali potrzeba okazałaby się, miano do mieczów się wziąć. Walka wtedy dopiero miała ustać, gdy jeden z zapaśników za pokonanego przez świadków, na sędziów wybranych, uznany zostanie.

— Bądź gotów, Jelito—rzekł Jaszko, po ostatecznem wszystkiego ułożeniu. — A radzę ci, iżbyś, na miejsce potykania się udając, pożegnał się ze światem, ze wszystkim, co jeno na niem masz. To pomnij, że rozprawa z nami na śmierć i życie, jakom ci zapowiedział...

— Niczyjego życia nie łaknę, Rawito, więc i twego—odparł Zbigniew. — Każesz mi się ze światem że-

gnać, jakbyś już dziś wiedział, któremu z nas brzeg. Nazbyt to śmiałe... Ja ze swojej strony rzekę: pomnij, iż ma to być sąd Boży, gdzie ni kunszt rycerski, ani siła, ani doświadczenie zwycięża, jeno wola nieba...

— Módlże się ty Bogu i dufaj w pomoc niebieską, a zawdy od wypadku pożegnania nie zaniechaj. A najbardziej z Halszką. I wam kasztelanko nadobna radzę, iżbyście się z tak przez was umiłowanym przyrzeczonem nacieszyli, bo kto wie, czy go żywym potem obaczycie...

— Frasujcie wy się nie o Zbycha, ani o mnie, ale o swoją skórę. Nie wasza ręka do zmożenia Zbycha. Własnymi oczyma poniewierkę waszą oglądać będę, bo na Smoczem uroczysku i ja się stawię. Nikt mnie od tego nie wstrzyma.

W oczach Jaszka radość dzika zaświeciła, jak gdyby najlepszą nowinę usłyszał, spojrział na ojca i dziada, a ten ostatni szarpnął go nieznacznie za rękaw, szepcąc:

— Rozum miej, nie okazuj przed czasem, czego nietrza...

Na tem się odwiedziny Rawitów w Ossolinie skończyły.

Po ich odjeździe, długa była pomiędzy kasztelanem i gośćmi o nich rozmowa. Wszyscy tego zdania byli, że Zbigniew nazbyt pochopnie się zgodził na warunki. Smocze uroczysko sami Rawici podsunęli i onych piętnaścioro świadków, a jedno i drugie wszystkim się nie podobało.

— Trudno było wolę ci narzucić — mówił kasztelan — swój rozum masz, wiedziałeś, z kim zawierasz umowę. A przestrzegaliśmy cię: baczność zachowaj.

Zbigniew ręką machnął.

— Bo mi cierpliwości zbrakło ujadać się i patrzeć na nich — rzekł. — Przytem, sami słyszeliście, wciąż mi zarzucali, jako z obawy ich żądania odpycham. Skóra mi cierpła od tego, a w dłoniach istną świerzbiączkę czułem... Więc też pomyślałem: niechaj sąd Boży ma być. Wiem, że taki pozór sprawie dali, bo wezwany w imię Boga stanąć musi. Nie to, jeśli zdradę uknuli. Sam ją przewiduję, zresztą ślepy namaca, że jest nieinaczej. Ale właśnie zdradzieckość o zgubę ich przyprawi... Bóg ich skarze już nietylko za potwarcze oskarżenie, ale i za to, że Jego Samego kusili.

— Spodziewać się tak należy — potwierdził ksiądz Jan. — Ledwie mogłem pohamować zgrozę, słysząc ich bluźnierstwa zuchwałe. Nie mogą się one bez pokarania ostać.

— Zaiste, tak wypada, żeś, Zbigniewie, ramieniem kary Bożej okazać się powinien — odezwał się Świdwa. — Wszelako uwagę uczynię jedną, a szkoda, że mi teraz dopiero przyszła do głowy...

Wszyscy z ciekawością na niego spojrzeli, on zaś tak prawił, głos zniżywszy:

— O Smoczem uroczyisku dziwy chodzą między ludźmi... Miała tam niegdy kontyna pogańska stać, w której się szatańskie odprawowały praktyki... Pono stąd szatan sobie to miejsce upodobał i często je nawiedza ze swoimi służalcami. Mówią, we dnie zdradno tam zaglądać, a nocą — nie daj Boże! Do zapiania kura, szatan z wiedźmami harce straszne odbywa — bankiety, tany, gzychy... Kto wtedy na Smocze uroczyisko trafi, jeśli się z życiem nie pożegna, to albo

szwank na ciele odnosi, albo rozum traci, albo opętanie w niego wstępuje, że ledwie wodą święconą i najsilniejszymi zaklęciami wypędzić je można.

— Prawda jest... — potwierdził Sulima — ale przecież potykać się ma Zbigniew z Rawitą o białym dniu i sam nie będzie...

— Juści! juści! Wszakżem nie głuchy, umowę słyszałem, aleśmy bodaj wszyscy o jednej zabaczyli rzeczy — najgłówniejszej, która tu zaważyć może i o spotkaniu rozstrzygnąć...

Świdwa jeszcze więcej głos przyciszył i dodał:

— Zaliście nie świadomi, że Rawitów potępieńcami nazywają?

— Cóż z tego? — zapytał kasztelan.

— Bardzo wiele. Nazywają ich z tej przyczyny, że duszę szatanowi zapredali z rozmysłem, a on ich czarną mocą swoją wspiera... Ot, co jest!

Umilkł i na słuchaczy spojrział, którzy się domyślili do czego zmierza.

— Potęga Boga nad wszystkim ma górę — odezwał się ksiądz Jan — bramy piekielne przeciw niej nie podolać nie mogą.. Na skinienie Pana nad pany, kruszą się one i wszelką moc tracą...

— Ani słowa, ojcze wielebny, o tem wie kaźden chrześcijanin prawy... — rzekł Świdwa — ale przyznacie też, na co liczne są dowody i całkiem prawdziwe, że zdarza się często mocy szatańskiej nieszczęście i na sprawiedliwego człowieka sprowadzić... Inaczej być nie może, w przeciwnym razie nie byłoby na świecie więdźm, ani żadnego czarodziejstwa...

Słusznem się wydało wszystkim dowodzenie Świdwy, więc na twarzach niepokój się pojawił, a naj-

bardziej zatrwożyła się Halszka, aż jej jagody pobladły. Przysunęła się do Zbigniewa, za rękę go schwyła i nuż wyrzucać:

— Widzisz, Zbychu, jakiś ty! Widzisz! Takiś to baczny! Takiś przezorny! Nie może być, żebyś na Smoczem uroczysku się potykał... Toć jasne, że potępieńcy mocą czarną zmóźdz cię zamierzają... Na in-sze miejsce szatana trudno przywołać, ale na upodobane przez niego przylatuje wnet, skoro jeno kto pomysli. Już rób co chcesz, a na Smocze uroczysko cię nie puszcę. In-sze miejsce do rozprawy należć trza...

— Ani ty się, sobolu mój, trwóż, ani złego przewiduj — rzekł Zbigniew. — Na sposób jest sposób. Kuszą-li się Rawici mnie czarną mocą zgubić, wezwę ja przeciw pokuszeniom onym pomocy niebieskiej, której przecie, w sprawiedliwości i zbożności żyjąc, spodziewać się mogę. Modlitwą się pokrzepię, spowiedzią i Sakramentem duszę ze zmaz oczyszcę—już to samo za puklerz mi stanie. A dla pewności większej jeszcze, relikwiarzyka nie zabacę wziąć, co się w rodzie naszym od lat wielu przechowuje. Wypróbowany jest w skuteczności, okruchy w nim drzewa z krzyża świętego są utajone i kosteczki męczenników... Oto, jak ochroniony potykać się będę...

Jednomyslnie zamiar Zbigniewa pochwalili wszyscy, kanonik Jan zaś dodał przytem:

— Słusznieś postanowił i nie skuteczniejszego przeciwko niecnym zasadzkom wynależć niesposób. Ja z mojej strony Mszę świętą na intencję twoją odprawię, a spodziewam się, że i każdy z nas, jak tu jesteśmy, westchnie do Boga, iżby ci w obronie prawdy dopomódz raczył.

Tak sprawę spotkania Zbigniewa z Rawitami uplanowawszy, wszyscy również spokojniejszymi się uczuli. Wpłynęła na to okoliczność ta jeszcze, że sam Zbigniew najlepszą miał otuchę.

— Mściwością się brzydzę, nigdy jej do serca nie przypuszczam, ale rad będę, jeśli mi się uda Rawitów skarcić... — mówił. — Jużci należy im się z dawna...

— Miejmy nadzieję, że się tak stanie — zauważył Świdwa. — Bo, ani słowa: przy ochronie, o jakiej mówisz, moc szatańska i wogóle wszelkie czary prysnąć winny, rozwiać się, jako pryska i rozwiewa się bańka mydlana od wiatru. Aliści—tu Świdwa głową pokręcił—oko na krok każdy potępieńców onych miej. Wszelkich oni użyją sposobów, żeby cię życia pozbawić. Skrytobójstwo nawet do nich podobne. Radziłbym ci oraz, Zbigniewie miły, miecz twój i zgoła całą zbroję wodą święconą podczas Podniesienia w kościele skropić. Oręż, tak zabezpieczony, moc odpierania uroków i zaklęć posiada, a łącno przypuścić, że i Rawici miecze swoje, ale po szatańsku, zahartują...

— I to nie wadzi — potaknął kanonik Jan. — Im się człowiek pilniej Bożą opieką obwaruje, tem pewniejszy...

— Miarkuję — wtrącił Sulima — że król nasz miłościwy będzie chciał turniejowi onemu świadkować.

— Z ust mi słowa wyrwałś! — rzekł Świdwa.— Pewnie, że tak będzie. Raz, ile do wszelkich spraw rycerskich rączy, a powtóre, że Zbigniew u niego w zachowaniu jest...

— Temci lepiej — wtrącił kasztelan. — Wobec króla Zbigniew bezpieczniejszym czuć się będzie... Nie-

chybnie też obecność pomazańca Bożego na zmożenie czarów, jeśli o nich Rawici zamyślają, wpłynie...

Do późna zeszło przyjaciołom na rozważaniu onej przygody, bądź co bądź dziwnej, która na Zbigniewa tak niespodzianie spadła. Ona również sprawiła, iż Zbigniew do cna o Paluchu zapomniał i dopiero Kostuch znów mu go na myśl przywiódł.

— Proszę miłości waszej — rzekł, po głowie wypełzłej się drapiąc — już owo noc mamy, a Palucha nie widać...

W czoło się uderzył Zbigniew.

-- Jakże... to nie nadciągnął? — zapytał.

— Nie. W głowę zachodzę, gdzie się podział mógł.

— Prawdziwie rzecz do zastanowienia... — szepnął jakby do siebie Zbigniew. — Należć się przecie musi, bo ani się wilkom dał pożreć, ani też jakiego przypadku złego przypuścić niepodobna... Głowę na karku ma, a chociaż często wróble się w niej lęgna, krzywdy sobie tak łącno uczynić nie da... Jakże miarkujesz, stary?

Kostuch ręce rozkrzyżował.

— Dziwy się na świecie trafiają... — odparł powoli. — Ot, chociażby dziś z gośćmi onymi... Prędzejby się spodział palec w miodzie złamać, niż żeby do Ossolina przyjechać mieli.

— Aby nic złego nie przewiduj, mój Kostuchu — przerwał mu Zbigniew. — Paluch nie ułomek, przytem na ostrożności mu nie zbywa. Dbą on o skórę swoją bardzo, od złych przygód stroni przebiegle... Rano też wstać musiałby, ktoby go znienaćka zaskoczyć chciał... Dufam, że go lada chwila w dobrem obaczym zdrowiu.



To samo powtarzał każdy, komu Kostuch zaniepokojenie swoje zwierzał.

Stary, mimo to, złego przeczucia pozbyć się nie mógł, z kąta w kąt się włóczył, gderał więcej niż zazwyczaj, co kilka pacierzy za mury zamkowe z różnych stron wychodził, a w nocy oka ani przywarł.

— Oto mi dogodził! -- mrucał pod nosem. — Że też człek nigdy od troski wolnym nie bywa... Zawdy go coś ukole, sparzy, dopiecze, nie z prawicy, to z lewicy. Skaranie Boże! Wolejby sobie w Krakowcu, czy gdzie mu się podobało, siedział, a nie przyjeżdżał tu, by strapienia przyczynić. Parą się rozszedł w powietrzu i co chcesz rób... A przecież już nie młodzik! nie gołowąs!

— To szukać go jedźwa — odezwał się Srokacz, owe dasy słysząc. — W miejscu siedząc, ręce łamiąc i wzdychając, nic nie wskóramy, jeśli mu się co złego stało. W kilku się wybierzmy i dalej.

Kostuch sam o tem myślał, w duchu rad był, iż mu jeszcze kto inszy zamiar podsunął, ale że z natury wszystko ganił, opryskliwie przyjmował, tedy i Srokacza, zamiast pochwalić, zburczał:

— Jedź ty ze swojemi radami do Krakowa na jarmark i tam je mądrym, jak sam jesteś, przedawaj. Komu to rajcować? Szukać... ale gdzie? w której stronie? Świat szeroki. Niby młody wróbel ze ścierniska, tak ze swoją radą wyskoczył.

— Wam się wydaje, jakobyście wszystkie rozumy pozjadali... Nie chcecie jechać? Wolna wola. Ostawajcie w domu, a ja pojedę...

Jeszcze się bardziej rozszrozył stary.

— Czemu nie? Juści, że wolna wola i droga...

Jedź bodajby na zabicie łba. Widzisz go. Rozumy pozjadał... Słyszałeś, żebym się z tem kiedy chwalił? Ale każdy, na ciebie i mnie spojrzawszy, postrzeże, jakom ja już w świecie dobrze oleju do głowy nazbierał z przygód takich i owakich, kiedyś ty jeszcze koszulę w zębach nosił... Tak teraz włos siwy gołowasy szanują, że życie kołkiem w gardzieli staje.

A widząc, że Srokacz, ręką rzuciwszy, do koni zmierza, zawołał oschle:

— Ano... jeśli pojedziesz, to nie beze mnie. Jenotrza się panom oznajmić, inaczej nie uchodzi.

Panowie, oczywista, nietylko zamiarowi poszukiwania grubasa nie zaprzeczyli, ale uznali go zgoła słusznym, Zbigniew zaś, który teraz naprawdę o służbę wiernego się troskał, do pośpiechu ich naglił i przeorność zalecał. Wszak to już trzy dni od zagadkowego zniknięcia Palucha upływało bez najmniejszej o nim wiadomości. Przytrafiały się grubasowi opóźnienia, ale nigdy tak długo się wlokące i nie w takich zachodziły warunkach. Teraz zniknięcia jego w żaden sposób wytłumaczyć nie można było.

Znalazłszy się za murami Ossolina, Srokacz pytając do Kostucha się zwrócił:

— Gdzie uderzyć naprzód?

— Wiatru się pytaj... — odmruknął stary. — Gdzie uderzyć? Chyba pięścią w łeb, stamtąd odpowiedź na głupie pytanie wystrzeli. Sameś się wyrwał z jazdą, rządz tedy.

Tak odprawivszy Srokacza, usta zacisnął, czoło potarł, chwilę namysłowi poświęcił, następnie rzekł, niby do siebie, ale tak, że go wszyscy słyszeli:

— Trza jechać naprzód, jakieśmy z onym zatra-

conym grubasem jechali: ku borowi. Rozrzucić się szeroko i śladów wypatrywać najpilniej. Nic inszego nie zostaje.

— A możeby hukać po stronach? — odezwał się któryś z towarzyszy.

— Po gębie się huknij, żeby lada czego nie plotła. Co tu hukanie nada? Śladów, mówię, upatrywać i tyła. Chociaż po trzech dniach ktoby na ślady trafił! Psi węch trzebaby mieć...

Wbrew przepowiedniom starego gdyry, ślady odnaleziono bez trudności: przez miejscowość nikt po nich nie przejeżdżał, a rosła, osadzista szkapa grubasa, pod ciężarem jeźdźca, głęboko w ziemi odbijała kopyta.

— Dobry początek! — zawołał wtedy wesoło Srokacz, za co go Kostuch znów zgromić surowo nie omieszkał, nazywając rybakiem, który przed niewodem łowi ryby.

Ślady prowadziły kręto, musiano się w różnych kierunkach zwracać, kołować, cofać i znów naprzód posuwać, ale ostatecznie nie bez skutku. Stanęli w miejscu, gdzie Rawitowie obozowali i nad nieopatrzny Paluchem się znęcali.

Grubasa tam, kędy go Rawici zostawili, nie było: dół ktoś rozkopał i nieszczęśliwego wywlókłszy, uniósł gdzieś, może, by go z reszty odzieży obedrzeć. Kostuch i towarzysze jedną mieli pewność, że tu, w tem miejscu, coś straszego z ich drużbą się stało, bo świadectwo o tem dawały szczątki jego obuwia, ślady szamotania się ludzkiego, jakby walki, i krew zakrzepła przy pustym dole. Z trwogą przypatrywali się onym śladom złowrogim, a żaden z nich głosu nie zabierał, bo mu go ponura niespodzianka zmroziła

i do gardła wtoczyła. Dopiero po upływie pewnego czasu, Srokacz pierwszy się ozwał:

— Po naszym grubasie niewątpliwie! Łotrom jakimś w ręce wpadł, a ci życie z niego wypędzili...

— Pewnie, że się tak stało! Oczywiście! — potaknęli inni.

Ale Kostuch przerwał ich domysły gwałtownie:

— Tuman chyba w oczach macie! Gdyby go zabito, ostałby trup, bo aniby zbójcom grześć zabitego do głowy przyszło. Nie we zwyczaju u nich. Z tego, co widzimy, wypada, że został ujęty, nie więcej...

— A dół co mówi? — zagabnął Srokacz. — Ujęli go, zabili i zakopali. Potem wilcy, śnać ciało ludzkie zwęszywszy, odgrzebali je, wywlekli i gdzie w gęstwinie bankiet sobie sprawili.

— Woda warzona, wodą ostanie — zaprzeczył Kostuch. — On dół... dziwny mi jakiś... Nikt takiego dla pogrzebienia ciała ludzkiego nie kopie, a wilków śladu niema. Gdyby te ścierwy do trupa się dobrały, pożarłyby go tu zaraz, na miejscu. Nigdy inaczej nie czynią...

Z nadzwyczajną pilnością ziemię ozierał, wreszcie rzekł:

— Było coś w dole, ani słowa, jakby ciało ludzkie, z którego krew grunt zboczyła, a miarkuję, że dół ktoś odkopał, nie zwierz, jeno człowiek, i on to zwłoki gdzieś ukrył.

— Ej! stary, stary! — ozwał się w tej chwili po za mówiącym głos urągliwy. — Włos ci zbieleł, a patrzeć się nie nauczyłeś... Może też lata wzrok ci zamgłyły i pamięć odjęły... Zabaczyłeś, że nieopodal chałupa moja, a w niej ja jeszcze zipię. Zali chcesz

wiedzieć, co się tu stało, mnie pytaj. Ja tu gospodarzę, to i wiedzieć muszę, co się w ograniczeniu mojem dzieje...

Tak przemawiał starzec, którego nadejścia, zajęci rozpatrywaniem śladów przygody smutnej, nie dostrzegli. Brodę miał do pasa, głowę łąsą, jeno przy skroniach i nad karkiem porosłą pasmami włosów białych; nos orli, wydatny, policzki zapadłe rozdzielając; oczy z pod brew długich poglądały już mętnie, resztkami tlejącego życia, które jednak dogorywało powoli, jakby przemocą się utrzymując w tej postaci kościstej, mocno pochyłonej, ociągniętej skórą bez śladu krwi pod nią, barwy ciemnej, jaką ma ziemia, która owe szczątki ludzkie, zda się, już niebawem przygarnąć miała. Poruszał się z trudnością, nogami człapał, kijem sękatym wspierać się musiał, usta mu się nie zamykały, oddychał ciężko, często pokaszliwał, — ale mówił wyraźnie, donośnie, siły mu się do cna nie wyczerpały, bo bez trudności dźwigał spory dzban wody, zaczerpniętej przed chwilą ze strumienia.

Kostuch, zoczywszy go, ręce podniósł i, co nadzwyczajnem było w jego naturze, zadowolenie okazał, wołając przytem:

— Hryb! A bywaj nam, staruchu, w dobry czas!

Towarzysze Kostucha również z wielką życzliwością i poszanowaniem witali męża Rokiciny, radości z jego spotkania nie tając.

A dziad patrzył na nich dobrotliwie, głową kiwał, oczy mrużył, wargami poruszał, jak gdyby z samym sobą rozmawiając. Na zapytania nie odrazu odpowiedział — wykaszlał się naprzód, dzban postawił,

na kiju silnie obiema rękoma wsparł i dopiero po tych przygotowaniach mówić począł:

— Mnie pytajcie, co się w tem ograniczeniu dzieje, bom tu w boru z braćmi mojemi, z ptaki i zwierzem, z drzewami i zioły, z pogodą i burzą—sam pan, chociaż mi prawa do państwa nikt nie przyznaje... Inaczej byłoby, gdyby się był obyczaj prastary zachował, inaczej! Dawne to, bardzo dawne czasy, nikt ich nie pamięta, a kości tych, co wtedy żyli, w proch się rozsypały, w ziemię, w powietrze wsiąkły, a trocha je słoneczko promieńmi do siebie pościągało... Inszy teraz świat, insi ludzie, wszystko — nawet zwierz inny. Inaczej bywało i lepiej... ale ono dobre przepadło i jeno gorsze się na ziemi trzyma.

Bywało...

Wiem ci ja o czasach onych, bo pieśni i gadki strzeżę, a do nich pamięć wiekuista przywarła. Dopóki ludzie pieśń szanować, czeić i miłować będą, dopóty owa puścizna po-ojcowa będzie trwała...

Powiadają: pieśń to jak sen-mara, z głów ludzkich się snuje... Fałsz! Snuje się ona z piersi ludzkiej, z serca. A w tej skarbnicy wszystko, co najdroższego ma człek, przechowuje się, więc i pamięć o ojcach, dziadach, dobra i zła po nich puścizna... Święta jest taka puścizna, kto zaś ją poniewiera—życia nie wart...

Rozmarzył się starzec, a nikt mu nie przerywał, chociaż wszyscy Palucha mieli na myśli i radziby jak najprędzej wiadomość o nim powziąć. Ale Hryb nie lubił, gdy mu przerywano, był zaś tak mądry, że bez pytania wiedział, co komu należało powiedzieć, przytem otaczała go cześć i wiara taka, że nikt mu w niczem przeciwieć się nie śmiał. Więc i teraz słuchano

ze skupieniem słów rozmarzonego starca, co z mocami tajemniczymi blizkie miał stosunki, wiedział i mógł wiele, więcej nawet (tak wieść niosła), niż biskup jaki. On zaś, we wspomnienia się zapuściwszy, prawil powoli, a głos jego nabierał śpiewności i rytmu:

— Bywało...

Co dziś za ludzie? Ani ich zmierzyć z dawniejszymi... Siły nie mają dzisiejsi, ni mocy takiej, ni wzrostu. Ongi mąż pięścią uderzył — na proch kruszyły się góry; gdy się chciał wesprzeć znużony, dęby rwał z ziemi z korzeniem. I długo, na ziemi, żył tak potężny rod ludzki, żył w szczęściu i prawdzie czystej, o grzechu nie myśląc żadnym...

Ale gdy prawość porzucił, gdy ogarnęła go pycha, gdy chciwość w serca się wkradła, niknąc poczęły olbrzymy. Co roku to mniej ich było i doszło wreszcie do tego, że wielkiej onej gromady jeno czterdziestu ostało... Zaś gdy znikali olbrzymy, mniejszy na świat nasz ród nastął, ten właśnie, z którego łona my, dziatwa jego, pochodzim. Ród ten rozmnożył się znacznie i całą zapełnił ziemię, na podobieństwo, jak piasek wypełnia morskie głębiny.

Chociaż olbrzymy znikali, ci mniejsi żyli wciąż w trwodze: mogą się przecież rozrodzić, i wręcz wytępić małeństwa. Więc się krolowie zmówili, żeby nieszczęściu zapobiedz i ród olbrzymów wytępić, dopóki jest ich czterdziestu. Zebrali wojsko przemocne, wojsko tak silne i liczne, że razem tyle go było, ile gwiazd błyszczą na niebie... Wieść o tem doszła olbrzymów, na wiec się śpiesznie gromadzą i tam uchwała zapadła, by do ostatka się bronić.

— Czterdziestu nas tylko, bracia — tak wojewoda

ich rzeczy — ale moc mamy za sobą, co émom tych mniejszych da radę. Mamy też grody warowne, z murem pod niebo wysokim, w nich się zamkniemy, a mniejsi próżno oblegać nas będą.

Tak uczynili, jak rzekli: w kasztelu bronią się swoim, ludzie zaś próżno szturmują, próżno gród ubiedz się kuszą...

Bo jakże mogli go dobyć, gdy za murem stał wysokim, a olbrzymy szturmujących, by pokotem, raz wraz kładli. Co się któren huf przybliży, góra wielka nań upada, albo całe dęby leca, gniotąc ludu po tyśiącu.

Trudna z takim wrogiem rada, trudna z takim wrogiem zwada. Widzą króle i rycerze, iż nie przemódz im olbrzymów, więc podstępu zażyć trzeba, chytrze-mądrze ich objechać. Zamyślił się król najstarszy, po czole się pięścią bije, szuka w głowie swej sposobu: jak zwyciężyć ma olbrzymy. Aż zawoła swe heroldy, tak im rzecze:

— Trąby weźcie i na cztery świata strony: północ, wschód, południe, zachód, to ogłoście, co wam powiem: Kto pokona wielkoludy, król czy rycerz, kmieć czy żebrak, dam mu córkę swą za żonę i królestwo me po śmierci.

W trąby srebrne dmą heroldy, obwieszczają, co król kazał, lecz darmo głos trąb rozbrzmiewa, żaden witeź się nie zjawia.

Aż tu właśnie pod te czasy sierota szedł drogą sobie. Ubogi chłopak sierota, w sercu czysty i poczciwy, na skarby ziemskie nie chciwy. Idzie, patrzy.. pismo leży, na srebrnej pisane blasze i jasno połyska w słońcu, aż promienie z niego biją... Ułakł się bie-



dny, pogląda, nie wie, czy ma podnieść pismo, czy mi-  
nać je i iść dalej... Aż otrząśnie się z obawy, podjął  
pismo, tam zaś stało:

„Kto to pismo nosić będzie na piersi, żadna go  
siła ludzka, czy inna, nie zmoże. Góry dłonią kruszyć  
będzie, bory całe rwać z korzeniem, morskie zwalczać  
nawałnice, grody warowne dobywać. Nic się przed  
nim nie ostoi, nie mu na drodze nie stanie...”

Tedy pismo to na piersi kładzie, do obozu króla  
śpieszy. Mówi:

— Panie miłościwy! wielkoludy ja uskromię.

„Śmieją się wszyscy—rycerze, król, śmieje się kró-  
lewna i urągać mu zaczęli. Mówią:

— Głupcze, dur cię ima! Jakże uskromisz ol-  
brzymy? Palcem może? Idź, skądś przyszedł, nie dla  
ciebie takie boje. Tu witeziów znacznych trzeba! Tu  
trzeba hufów potężnych. Mocy trzeba nadzwyczajnej!

Sierota z uśmiechem prawi:

— Nie urągajcie przed czasem, co przyrzekam,  
mieć będziecie, pozwólcie do boju stanąć.

— Wolna—rzeką — tobie droga, idź, skoroś tak  
śmierci żądny.

Poszedł sierota.

Gdy stanął przed murami grodu, zadrżał, serce  
bić mu w piersi jęło. Ale, dotknąwszy się pisma, moc  
potężną uczuł w sobie, zda się, urósł w dziesięcioro.  
Więc za róg chwyta, znak daje, że wojować tutaj  
przyszedł. Na mury wyszli olbrzymy, śmiechem obrzu-  
cą go głośnym, aż burza targnęła światem.

— Ty wojować—mówią — z nami? Opatrz się,  
robaku marny, na nas spojrzysz i porównaj, z kim się  
ważysz bój zawzinać...

Skromnie sierota odpowie:

— Wiem, jakim jest i was widzę. Wy olbrzymy, a jam robak, przecież wyzwać was się ważę. Boju mi nie odmawiajcie, inaczej sam was przycisnę...

Gniew owładnął wielkoludy, toczą na sierotę góry, bory całe nań zwalają, wrzątek leją, smołą prażą, on przecież bez szwanku stoi.

Więc w zdumienie wpadli, trwogi bladej widmo krew im mrozi.

— Co to jest? Co jest?—pytają.—Nie mu nasza moc nie szkodzi?

Ponowili odpór... Ziemia w posadach zadrżała swoich, wstrzęsło się niebo, słońce czarną chmurą się powlokło, gwiazdy zgasły, wichry wyją, morze z brzegów wystąpiło.

— Świat się kończy! Wszystko ginie! — wołają ludy strwożone.

Nie skończył się świat, atoli skończyło się z olbrzymami. Sierota ich grodu mury ramiony wsparł, podważył je — i rozpadły się odrazu, jak od gromów sta tysięcy.

— Biada!—wołają olbrzymy — nie ziemską moc walczy z nami... Spada klęska na nas z nieba, nie oprzeć się! biada! biada!

Zniża swą kopię sierota, miecz hartowny wydobywa, a do grodu wpałszy, sprawia wśród olbrzymów kośbę śmierci. Jako dęby prawiekowe, gdy na nie grom z nieba spłynie, z trzaskiem upadają wielkim, tak padają wielkoludy. Każdy z jękiem głuchym pada, a w ostatniej życia chwili na tego przekleństwa zionie, kto ich zguby był przyczyną.

— Nie nie zawiniliłm tobie, żadnej nie zadaliłm

krzywdy, a tyś gród nasz sławny zburzył i niewinnym śmierć zadałeś! Żeś więc na niewinnych godził, doznaj ciężkiej za to kary, nie zaznaj szczęścia na ziemi i jako my—zgiń też marnie...

Tak każdy z olbrzymów woła, wypuszczając dech żywiący, a sierota, ufny w szczęście, z tych się przekleństw jeno śmieje.

Kto drwi z kłątwy, źle ten czyni, kłątwa mściwa gospodyni; gdy na czyje barki spadnie, niedolę nań ściągnie snadnie. Równie się z sierotą stało. Nie doczekał się wesela: pismo srebrne zgubił z piersi i legł trupem w pierwszym boju. Niech to pomną starzymłodzi: krzywda zawdy klęską godzi; niech to pomną młodzi, starzy: karę zawdy krzywda zdarzy. Bo jest prawo tam, wysoko, na kamieniu ono ryte: kto chce wieku dojść szczęśliwie, w czystej prawdzie niechaj żywie...

Przerwał starzec w ziemię się zapatrzył, a po chwili mrucał głosem ledwie dosłyszczanym:

— Nie stało olbrzymów i nas nie stanie, bo i w nas grzech nurtuje. Szczeźniem, a przyjdą na świat o połowę mniejsi, karły takie. Teraz one w grotach, w pieczarach mieszkają, że zaś im nudno, często na świat się zakradają i przeróżne swywole czynią. Bywa — ludziom dziecko zaborą, a swoje w to miejsce położą. Poznać tego odrazu ni ojciec, ni macierz nie mogą, chyba przez domysł. Tak się przytrafiło raz, że kowalom dziecko zmienili. Od tego czasu jadło w chacie kowalów znikać zaczęło; byle co ostawili w izbie i wyszli—wracają... do cna zjedzone... Aż oto kowalicha pomiarkowała, że to chyba karliki dziecko im zmienili i ono ich objada. Jakoż wypatrzyła, że

tak sprawiedliwie jest. Gdy z izby umyślnie wyszła, dzieciak z koleby wyprysł, w mig zjadł, co jeno było w garnkach i na misach. Dopieroż ona, świadoma sposobu, dalejże karlego znoska tłuc. Wytłukła sprawiedliwie i na śmietnisko wyrzuciła. Patrzy potem... a tu karły jej dziecko odnieśli, swego zaś znoska porwali.

I karły nie wiecznie trzymać się będą na świecie: przyjdą po nich krasnoludki, o połowę od karłów mniejsze... Pod ziemią teraz mieszkają, kolei swojej na świat oczekując, tedy podziomkami się zową. Miara palca nie przechodzą, katany mają krasne i krasne kołpaki. I one swywołają po ziemi, ale ludziom złęgo nie czynią, czasem zaś pożytku przysparzają... Teraz wiecie, jaki porządek na świecie był, a jaki po nas będzie...

Brodę musnął, westchnął i jakby sobie dopiero przypominając, rzekł:

— Gadam ja i gadam, a wy na swoje czekacie— i tam, w kleci, na wodę, czeka ów... Pójdźcież, a dowiecie się, co tutaj za dziwowiska się wyprawiały. Całe szczęście, że wóczas w tem swoim ograniczeniu był, inaczej... — głową wstrząsnął i dodał: — Ano, pójdźcież.

Postępując, włókł się opodal, gdzie rozstaje pod borem się tworzyły, za nim śladem szli Kostuch, Srokacz i ich towarzysze.

Stała przy onych rozstajach kleć, do połowy w ziemię od starości wparta, mchem gęsto obrosła, próchniejąca—istna mogiła zapomniana. Aniby się domyślił kto w niej mieszkania ludzkiego, wszakże przesiadywali w niej Hryb z Rokiciną. Rzadko, co prawda, można było ich tu zastać, bo jedno i drugie wciąż po

świecie, od komina do komina, się włączyło, ale od czasu do czasu zaglądali na to swoje gospodarstwo, jakby dla wypoczynku z dala od oczu ludzkich. Tu ziela, oraz insze leki przechowywali, tu również je przyrzadzali, zazwyczaj o wiosnie i na jesieni; wtedy najłatwiej ich można było zdybać, bo po kilka niedziel się stąd nie ruszali.

Do onej kleci Hryb przybyłych wprowadził i ozwał się uśmiechając:

— Ano... rozgoście się, jak można i bądźcie sobie radzi... Czem chata bogata, was przyjmę, więc chlebem, solą, dobrą wola, wody czarka, a poszukawszy, i plastr miodu się najdzie... A zaczem gościeinę przygotuję, macie tu z kim do pogadania...

Ręką wskazał kąć zaciszny.

Izba od dymu czarna była, dziurami świeciła, ale ława w niej się znalazła, i stół, i ognisko niedawno snąć nawet przygaszone. Tu i owdzie ziół gromady leżały, to już suche, to do suszenia rozgarnięte; wisiały też pęki onych ziół, tajemnicze własności posiadających, u pułapu, zwieszając się kosmato w dół. Nad drzwiami, od wewnątrz, bierwiono się jedno wysuwało, rodzaj okapu tworząc, na którym stały małe, dziwacznych kształtów jakby figury, z drzewa nieumiejętną wyłupane ręką, a przed nimi miseczki gliniane z ziarnami pszenkami i skrawkami plastrów miodu. W kątach łoża były usłane, całkiem skrętnie z mechów i liści suchych, skórami wilczemi okryte, na jednym zaś z takich legowisk przywiedzeni przez Hryba goście ujrzeli z wielkiem podziwem swoim—Palucha.

Grubas nogi i głowę szmatami miał owinięte,

przybladły był trocha, ale patrzył raźnie, nawet leżąc, poświstywał sobie.

— Tegoście niewątpliwie szukali i owo macie zgubę...

Rzucił się Kostuch, a z nim inni przybyli, do leżącego, jeden przez drugiego wołając:

— Paluch! Tyżeś to? Co się z tobą działo? Myślelim, żeś już przepadł na wieczne czasy...

— Dla Boga! nie tak szparko miłujcie... — przestrzegł grubas.—Ze mną trzeba teraz, jakobym w połogu był... Rozbit jestem, jak stara misa, i ledwie mnie Hryb jako tako sztuką posklejał...

— Aleś żyw! To i chwała Bogu... — ozwał się Srokacz. — Chwała Bogu, że nietrza na wspominki za duszę twoją ofiary do kościoła nosić...

Dźwignął się Paluch, na łożu swoim się usadowił i z uciechą na przybyłych poglądając, rzekł:

— Żyw jestem, to prawda, wszelako i to nie baśń, żem na tamtym świecie był...

Kostuch, mimo uciechy, jakiej z odnalezienia przyjaciela doznał, nie mógł natury swej gderliwej pohamować,—nosem czmychnął i po swojemu zaczął:

— Widzę, Bartosie, że do śmierci rozumu do łba nie nabierzesz... Byłóż ci od nas odstawać? Jeśliś oberwał, siebie win, albo dziękuj sobie, jako zresztą chcesz...

— Choćby raz w życiu zaniechaj, stary skrzeku, się burzyć...—przerwał mu Paluch, również po swojemu, ze zwykłą żartobliwością. — Zamiast oto radość okazać, żeśmy się na tym świecie jeszcze żywymi spotkali, on złością mnie wita i kwasem... Piesby takiej

drużby ogryzać nie chciał, chociażby go głód nie wiem jaki dojmował...

— Oto się rozbajał!—mruknął Kostuch.—Ale już gadaj! gadaj! Pleć duby smalone, bo uważam, że ochotę do tego masz...

— Prawże, Bartosie, co było z tobą—naglił z drugiej strony Srokacz.—Myśmy w głowy zachodzili, a Kostuch omal się nie skręcił. Poczciwość w nim siedzi, chociaż jeżem się okazać stara...

— W koreu maku jeden z drugim się szukali—splunął Kostuch.—Skąd ci skręt jakowyś do łba przyszedł? Anim o tem pomyślał... Skręcił... Patrzcie go... Nie skręciłbym się, bo mnie tam Paluch ni swat, ni brat. Tu jestem, bom trocha gości na szkapie chciał przetrząść, ile, żem nie nawykł do siedzenia za piecem. Paluch? Jeszcze kto, ale on? Przepadł, to przepadł. Dziuraby się w niebie nie zrobiła. Albo to jeden przepada?

— Toć już zaniechaj skwierczenia... — przerwał Srokacz.—Niechże będzie po twojemu, że cię Bartosz nie obchodzi, byleś mu pozwolił wypowiedzieć należnie, jaka go przygoda spotkała...

— A niech gada! Niech bajel! Dużo się od niego dowiesz... Koń machnął ogonem, a on ze strachu spadł i łba sobie nadtracił. To przecież dorazu poznać można.

Westchnął Paluch, ustami mlaskał, jak gdyby smakując to, co miał powiedzieć, aż wreszcie zebrał się na słowa:

— Rzekę wam, mili moi drużbowie, że takich przygód, jakie mnie spotkały, nawet w najmędrszych księgach niema opisanych. Ani wy, ani dzieci, ani

wnuki, ani prawnuki wasze podobnych nie doznacie. Pan twój, Srokaczu, cały świat pono zjeździł, na wsze-  
teczeństwa patrzył przeróżne, ale takiej rzeczy stra-  
szliwej nie zdarzyło mu się widzieć, co wierzajcie, iż  
mówię sprawiedliwie, albowiem Bartosz Paluch, syn  
mego ojca i macierzy...

— Można miarkować, że Hryb ci z pomocą przy-  
szedł. Co? Nieprawda?

Ręką lekceważąco rzucił Paluch.

— Zaś Hryb? Jaką on mi pomoc dał? Lada co,  
jak zazwyczaj, prawisz. Naprzód, jeśli chcesz dowie-  
dzieć się czego, język sobie uwiąż, bo ci chodzi błę-  
dnie, jak ona szkapa, którą mi umyślnie chyba Ko-  
stuch podsunął, żeby na kark nieszczęście sprowadzić.  
Już gadaj sobie, staruchu, co ci się podoba, ale ta be-  
stya szkapa do biedy mnie wtrąciła. Wodze jej pu-  
ściłem, dufając, że mnie z manowców do Ossolina po-  
niesie, tymczasem zaniósła mnie do takiego Ossolina,  
że mi nietylko było słono, ale i gorzko, i pierno,  
i gorąco, i zimno, i sam nie wiem jak... Jezu! Jezu!  
jak sobie wspomnę, wątroba mi skacze z obmierzłości  
i żółć w gardle czuję...

Otrząsnął się.

— Więc tedy winna szkapa, którą może Kostu-  
chowe poduszczenie gnało, ale winien ty jesteś, Sroka-  
czu, też, za co ci dziękuję, jeno wszystko się we  
mnie poskleja. Bo mówię wam: wszystkie kosteczki  
mi się rozleciały i do ładu jeszcze trafić nie mogą.

— W czym ja ci krzyw? — zapytał Srokacz.

— Krzyw jesteś, że ledwie się wstrzymuję, aby  
ci grzbietu nie pomacać. Był ci o Rawitach wspo-  
minać, gdyśmy do Ossolina jechali? Wywodziłeś, wy-



wodziłeś, ażeś wywiódł. A mówiłem: nie ciągnij wilka z lasu... Powinna cię za to czworaka ograżka targać, iżbyś naukę na inszy raz miał...

— Toś się może z Rawitami spotkał? — zapytał Srokacz.

— Co zaś się miał spotkać, kiedy Rawici podtenczas w Ossolinie byli?—ozwał się Kostuch.

Paluch omal się nie porwał na nogi, ale rzuciwszy się, tylko jęknął, skurczył się i syknął:

— Psia kość! nogą nie mógłbym ruszyć, chociażby mnie najchwaćciejsza dziewczka w tany zapraszała... Ale co plecietą: ci potępieńcy byli w Ossolinie?

— Byli, byli i tam snać się z twoim panem powadzili, bo ma się z nimi potykać do trzech niedziel na Smoczem uroczysku?

Ręce do góry wzniosł Paluch i zawołał groźnie:

— Nie stanie się to! Stać się, jako żywo, nie może! A przeklętniki! Straceńcy! Czartowe znoskil Jeszcze czego? Na Smoczem uroczysku?. Święty patronie... Dopieroż byłoby potykanie! Nie puszczę pana Jelity za nic w świecie, chyba po moim trupie tam pojedzie... A toć oni zdradą najwidoczniej chcą go ująć i zgładzić. Nie może inaczej być: na Smocze uroczysko cała gromada ich kumów rogatych przybędzie, która tam zazwyczaj msze czarne i insze wszeteczności odprawia... Tak, tak, zgładzić go chcą, bo mi tem w oczy grozili... A ścierva dla kruków! Wilkołaki! Zaprzedance złej mocy! Poczekajcie, jeszcze Paluch żyw, chociaż myślicie, że powędrował tam, skąd się nie wraca...

— Zaniechaj—przerwał Kostuch—bzdurzysz jeno,

miast o sobie prawić. Pan Zbigniew im radę da. Ma on więcej rozumu, niż dziesiątek takich, jak ty.

— Że mądrzejszy od dziesięciu podobnych tobie, którym wróblowe pierze po pustym łbie latają, to pewna, ale... Bo to widzicie: szparki jest, krewki, jego trza zawsze miarkować i, by pacholę, za dłoń prowadzać. Ano, chwalić Boga, jeszcze żywię. Jezu miłosierny... Na Smocze uroczysko... Co wymyślili niecnoty...

— Chyba się od niego nic nie dowiemy — ozwał się zniecierpliwiony Srokacz.—Bzdurzy nic do rzeczy. Hrybaby spytać, on, zda się, świadkiem jego przygody był...

Paluch jednak nie pozwolił, iżby go kto w opowieści wyręczył.

— Co Hryb wiedzieć może? Że dzwonia, ale w którym kościele? Już słuchajcie, skoroście tacy ciekawi, jeno mi nie przeczyć, bo gotowa mi się gardziel śliną zatkać, a godnego trunku do jej odetkania stary Hryb nie ma...

Poprawił się na łożu i tak zaczął:

— Jeszcze raz wam powiadam, że, jak mnie tu, w tej chwili, żywiącego widzita, tak jużem był zmarł i na tamten świat powędrował; jeżeli zaś z wami gadam, to przez łaskę, przez cud Boży, któren cud, za wstawieniem się Bartosza świętego, patrona mego, i aniołów stróżów, dla cnotliwości mojej uczyniony został...

— Piaskiem w ślepie ciska!—mruknął Kostuch.

— Perły przed trzodą ciskam, na to zgoda, ale nie piaskiem w oczy. Ty, Kostuchu, zawdy ludzi wedle swojej osoby sądzisz. Nic to. Zacząłem i skończę.

Tedym zmarł był. A dlatego zmarł, że

mnie udęczono i zabito. W męczeńskiej koronem na tamten świat poszedł, o którym nie rad wam powiem, boście takiej opowieści nie godni, będąc jako sprośne wieprze, w niechlujności żywiące... Na tamten świat poszedłem, a było mi naprzód tak ciemno, że choć w pysk daj. Ale on wieniec męczeński, któren mi takie a takie syny, Rawitowie, gwałtem na głowę wtoczyli (o co ich wcale nie prosiłem), naraz wielką wydał światłość, że cały tamten świat jasnym się stał słonecznie. Więcem już mógł łącniej drogę do raję odnaleźć, bo przecież nie godziło mi się gdzieindziej, jako męczennikowi, paradować, jeno do raję...

Ide ja do raję, już wśród jasności, po szerokim gościńcu, a ona światłość stawiała się coraz większa, bo aniołowie i święci Pańscy na spotkanie moje z pochodniami jarzącymi wybiegli, a inni z instrumentami przeróżnemi. Zabrzmiało granie tak wdzięczne, o jakim żadnej miary dać waszym prostackim uszom nie mogę. Wdzięczność tak była miła, że mi głaskała piersi, niby najprzedniejsze miody. Słodkość przez nią czułem i w gębie, i na języku, i w całym ciełe.

Długom szedł z takim orszakim i taką kapelę, nawet dziwowałem się, jakim sposobem nogami ruszam, bo mi je Rawici do ena spalili...

— Jakto spalili?—zapytał Kostuch.

— Ano, juści nie wodę, jeno ogniem palili. Dowiesz się z kolei, jak się to stało, jeno wprzód muszę z tamtego świata wrócić...

Com to chciał mówić? Aha! Widzą aniołowie i święci Pańscy, że mi pieszo niesporo wędrować, tedy sprowadzili wóz, w sześć koni zaprzężony chwackich,

puchami i jedwabiem wyłożony, żem wygodę lepszą miał na nim jadący, niż sam król albo biskup...

Kręcili głowami słuchacze, Kostuch, mrużąc, w wątpliwość podawał opowiadanie przyjaciela, ale ten, niezrażony, z zapalem i najlepszą w słowa swoje wiarą, opowiadał:

— Tak oto stanąłem przed zamkiem rajskim, którego wam piękności nie opowiem, bo nie dla psa kielbasa. Jest on zamek wielki, jak sto tysięcy naszych Krakowów, cały lśni od złota, drogich kamieni, a wonieje od ogrójców, które sami aniołowie uprawiają. Zatrąbiła moja kapela, żeby wrota zamkowe rozwarło, odtrąbiono jej z wieży rajskiego grodu i wrota one rozwarły się na ścieżaj... Wówczas zejść z wozu musiałem, bo święty Piotr z chlebem-solą mnie witał, klucze brylantowe w garści krom tego trzymając... Jakóż poprowadził mnie do komnaty rajskiej i za stołem do bankietu posadził... Co tam były za rozkosze, jakie misy, jakie jadała, jakie miody, a piwa, a wina, tego również wam nie powiem, bobym wam jeno daremną oskomę uczynił, ile, że żaden z was na uczcie rajskiej nie będzie.

Podpiłem sobie, podjadłem statecznie i dopraszam się świętego Piotra, żeby mi mieszkanie przeznaczył. A on na to:

— Bartosie, jest-ci izba dla ciebie grzeczna, z wszelkim dostatkiem, ale zająć jej nie możesz, bo musisz, Bartosie, jeszcze na świat wrócić i dopóty żyć, dopóki znów nie umrzesz.

Tak ja pytam świętego:

— Zali to rozkazanie Boże, to jużci posłucham,

alem, prawdę rzekłszy, wracać nie rad. Radbym już tu ostawać.

A święty Piotr:

— Nie, Bartosie, nijakim sposobem ostawać tu nie możesz, bo wiewa jeszcze między ludźmi do czynienia masz. Inszy człek to jeno kąty tam próżno zawala, ale ty pożytek przynosisz Panu Bogu i ludziom, zaś najbardziej panu Zbigniewowi Jelicie z Oporowa, któremuś winien ojcować, ile, że sam, bez rady mądrej, ostałby całkiem błędny. Wracaj, mówię, między ludzi, a już pewnym bądź, że cię tu, w naszym grodzie rajskim, przytulisko nie ominie.

Cóżem miał począć? Musiałem wolę świętego wypełnić i oto mnie teraz z powrotem oglądacie...

— Tyleśmy się dowiedzieli, żeś zawdy bajbuga!— przerwał cudowną opowieść Kostuch. — Śnić ci się to wszystko mogło, ale nam nie po tem, co ci się śniło, jeno jaka cię przygoda spotkała. Tegośmy się dowiedzieć radzi...

— Słusznie, Bartosie, nie nam po krotochwilach, my prawdy chcemy, co cię tu zapędziło i w takim stanie?—dodał Srokacz.

— Żeś do wymysłów jedyny, o tem każdy wie, ale nam teraz baśni, chociażby o grodach rajskich, nie trza—ozwał się trzeci.

Palucha, nawykłego z komara wołu wydymać i zawdy nadzwyczajne przygody sobie przypisywać, rozniewała ta niewiara, wręcz w oczy mu zadana; tedy, usta odąwszy, rzecze pogardliwie:

— Skoro mi fałsz zadajecie w tem, co do źdźbła jest sprawiedliwe, nie się już więcej nie dowiecie, cho-

ciężbyście mi noże do gardzieli przykładali. A byłbym wam po porządku rozpowiedział: jakom, odstawszy od was, siła czasu na opętanej szkapie się błakał; jakom ją potem na wolę, gdzie oczy poniosą, puścił; jako mnie bestya z siodła wyrzuciła; jakom się wygrabał i do obozu Rawitów dostał, nie wiedząc, że to oni są; jakom im prawdą ślepie wytarł; jako oni mnie na wolnem ogniu upiec chcieli, u drzewa zawiesiwszy; jako rozmyślili się i żywcem mnie pogrzebali, na śmierć od głodu i pragnienia skazując; jako mi stary czort, Rawita Grot, czekaniem głowę rozwalił; jako Rawici odjechali, a jam bez duszy ostał; jako mnie Hryb znalazł, otrzeźwił, z ziemi wykopał i tu przywłókł; jakom do pamięci wrócił... O tem wszystkiem bylibyście się dowiedzieli, a tak nie wam nie powiem. Ostańcie w ciemnościach, sowom i kretom podobni...

Już z tego zarzekania się grubasa przyjaciele jego dorozumieć się mogli przebiegu dziwnych przytrafunków, resztę im dopowiedział Hryb, który wszystkiemu z ukrycia się przypatrywał, a po odjeździe Rawitów, z pomocą tak skuteczną na śmierć skazanemu pośpieszył, że mu nietylko rozum przywrócił, ale z ran go i oparzeń nad wszelkie spodziewanie szybko wygoił. Nie mógł wprawdzie Paluch jeszcze chodzić i poruszać się, ale już mu żadne niebezpieczeństwo nie groziło.

— A do śmierci mu niewiela brakowało — kończył stary.—Z rany, czekaniem zadanej, krew tak żwawie uchodzić z niego zaczęła, że byłaby mu do kropli z żył wyciekła. Ale Hrybowi nie pierwszozna i takim radę dawać, u których duch żywiący na końcu

języka siedzi. Wie człek coś nie coś, to i ludziskom dopomaga, chociaż nie każdemu warto...

— Prawda, że jednemu pomagać warto i godzi się, a drugiemu zgoła nietrza — odezwał się udobruchany Paluch. — Tego, żeś mi, staruchu, z pomocą przyszedł, nie pożałujesz. U pana z Oporowa nagrody się spodziewaj, ta cię nie minie.

Machnął dłonią wyschłą stary.

— Co ty mi, Bartosie, o nagrodzie prawisz? Albo jej łaknę? Albo jej pożądam? Nie łasym ja na złoto, ani na srebro, ani na żadne dobro. Za nic mam dostatki cudze, bo swoich mi wystarczy do zgonu. Dobre słowo chętniwie od każdego przyjmuję, więcej nic. Złoto... srebro... od złych duchów one pochodzą, więc zło z nich płynie. Przynieśli one na świat, niemieckie skóry przywdziawszy, i odtąd zmieniły się porządki na świecie. Dziś syn na rodzica godzi, brat na brata, a wszystko dla marnego dostatku, którego przecież ludziom, jacy jeno na całym świecie są, wystarczy, byleby nie zawidzili jedni drugim...

— Ani słowa—potwierdził Kostuch — to każdy przyznać musi, że od Niemców wszelkie zło płynie. Inaczej, słyhać, się działo, gdyśmy ich nie znali...

Ożywił się Hryb i żywo wątek ulubiony podchwycił:

— A inaczej, i jak jeszcze inaczej. Rzeki miodem i mlekiem płynęły, a ziemia tak rodziła, że opowiedzieć trudno... Żyli sobie ludzie bez królów, bez książąt i biskupów, słuchając co starszych. Każdy ród swoje miał ograniczenie, w niem wszystkiego wbród dla siebie znachodził... Jeśli już za ciasno rodowi ta-

kiemu się stawało, rozdzielał się na dwoje: część w dawnem ograniczeniu ostawała, a druga insze sobie obie-  
rała. Ziemi było pustej, borami zarosłej, moc. Uprzą-  
głeś wołów parę do pługa, ileś przez dzień ogranicze-  
nia zdążył oborać, to już twoje było i nikt ci tego za-  
przeczyć nie śmiał...

Bywało!

A zdarzyła się wojna, to rody z pomiędzy naj-  
starszych wojewodów obierały i wroga odpierały. Łuk,  
oszczep, młot kamienny—wystarczały do tego, inszego  
oreża nie znano! Ba! żelazo nawet było nieznanome.  
Ale przyszli odmieńcy Niemce, przynieśli złoto, srebro,  
żelazo, przynieśli obyczaj miękki, potrzaskali dawne  
bogi, gaje święte wycieli i wszystko się zmieniło na  
gorsze. Przez nich to króle są ustanowieni i wszelka  
nierówność w narodzie, oni do serc nasączyli zawiści,  
oni wolę ludziom odjęli. Tak ci jest, dziś nikt woli  
swojej, ani też nie własnego nie ma. Zali możesz,  
na co wskazawszy, powiedzieć: to moje. Nie, bo dziś  
wszystko królewskie. Od każdej rzeczy daninę płać,  
bodaj od skóry własnej... Z niemieckiego to posiewu  
plon...

Potakiwali słuchający, a Kostuch dodał:

— I dziś Niemce spokoju ludziom nie dają, że  
weźcie dla przykładu mnichów krzyżowych. Gorszych  
nad nich w świecie całym niema i dziw, że ich ziemia  
żywcem nie poźre. Gdyby nie oni, wszędzie lepszy  
byłby porządek, a naprzód u nas...

— Przyjdzie do porządku, ale naprzód świat ze  
złego oczyścić się musi— podjął proroczno Hryb.—Gdy  
się miara nieprawości przebierze, nastanie burza z pio-



runami, która wszystko zmiecie do cna i dopiero na tak oczyszczonej ziemi nowi ludzie się pojawią, a ci żyć będą wedle dawnego porządku...

— Ale kto ich porządku tego nauczy?—zagabnął z wątpliwością w głowie Srokacz.

Wyprostował się Hryb, głowę podniósł i z pod brwi nawisłych spojrzenie błyszczące niezwykle rzuciwszy, odparł:

— Ostanie się na świecie ludzi garść, którzy pieśni dawne przechowują, a w nich obyczaj prastary. Od nich nauka żywota szczęśliwego na świat oczyszczony spłynie, jak spływa rankiem z nieba rosa, co ziela i kwiaty ożywia... Kto wie... może ja do tej garści należeć będę? Kto wie, może dlatego tak długo się chowam na świecie, strzegąc pieśni dawnych? Chowam się i wedle prastarego obyczaju żyję, sobie wystarczając... Dlatego też i od twego pana, Bartosie, nie nie požądam. Sam-pan tu jestem w boru i chwale sobie w mojem ograniczeniu...

Prawił Hryb o dawnych czasach, o oczyszczeniu świata ze złego, dopóki Kostuch nie przestrzegł, że czas do Ossolina wracać. Tedy odjechali, a że Paluch konia dosiąść nie mógł, musiano upleść nosze z gałęzi i tak leżącym go wieźć.

— Opuuszczam cię od siebie, bo starunku mego już nie potrzebujesz—mówił mu Hryb na pożegnanie.— Ale najrzę cię w Ossolinie od wypadku, jeśli mi się starczy dowlec się tam. W zdrowiu jedź i bacz, aby Rawitom znów się w ręce nie dać. Teraz gorzeby ci takie sprawili, żebym i ja nie nie podolał...

— Pytanie, czybym ja im sadła za skórę nie za-

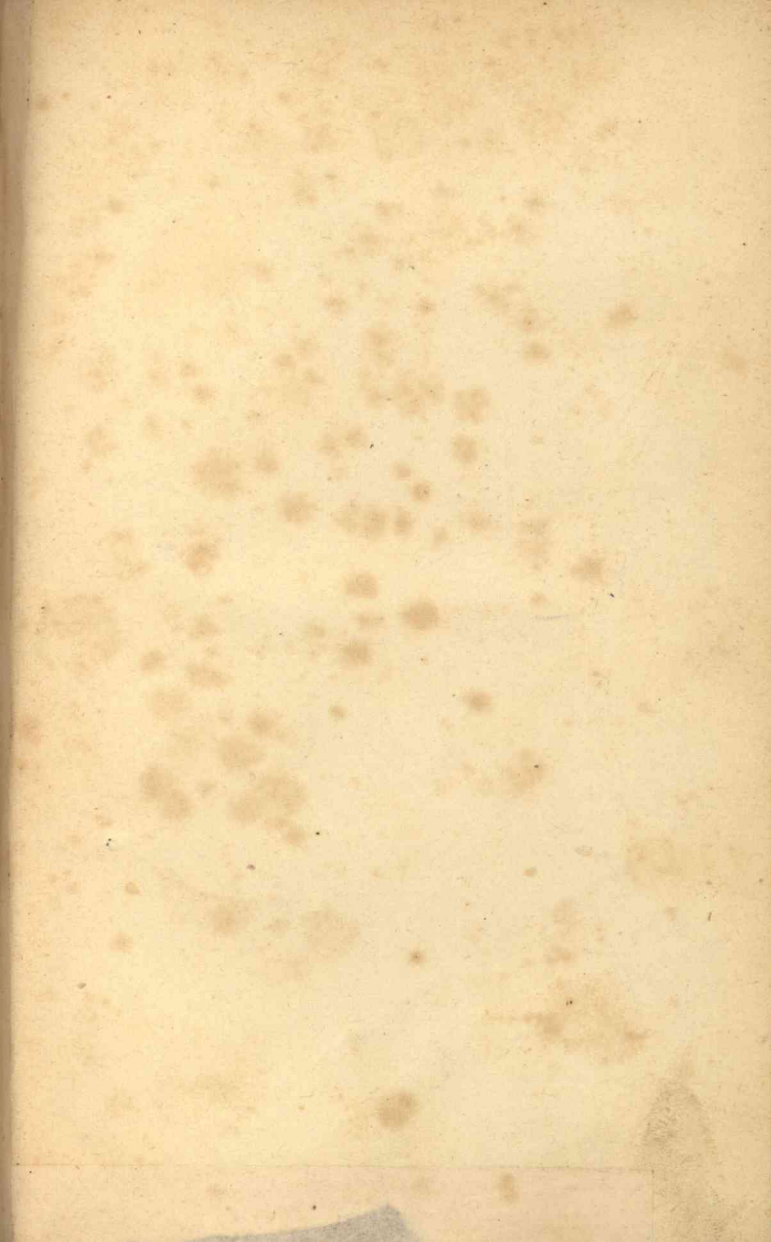
łał...—na to Paluch.—Mnie się oni teraz winni strzedz,  
potępieńcy ci! Za wiele igrają!

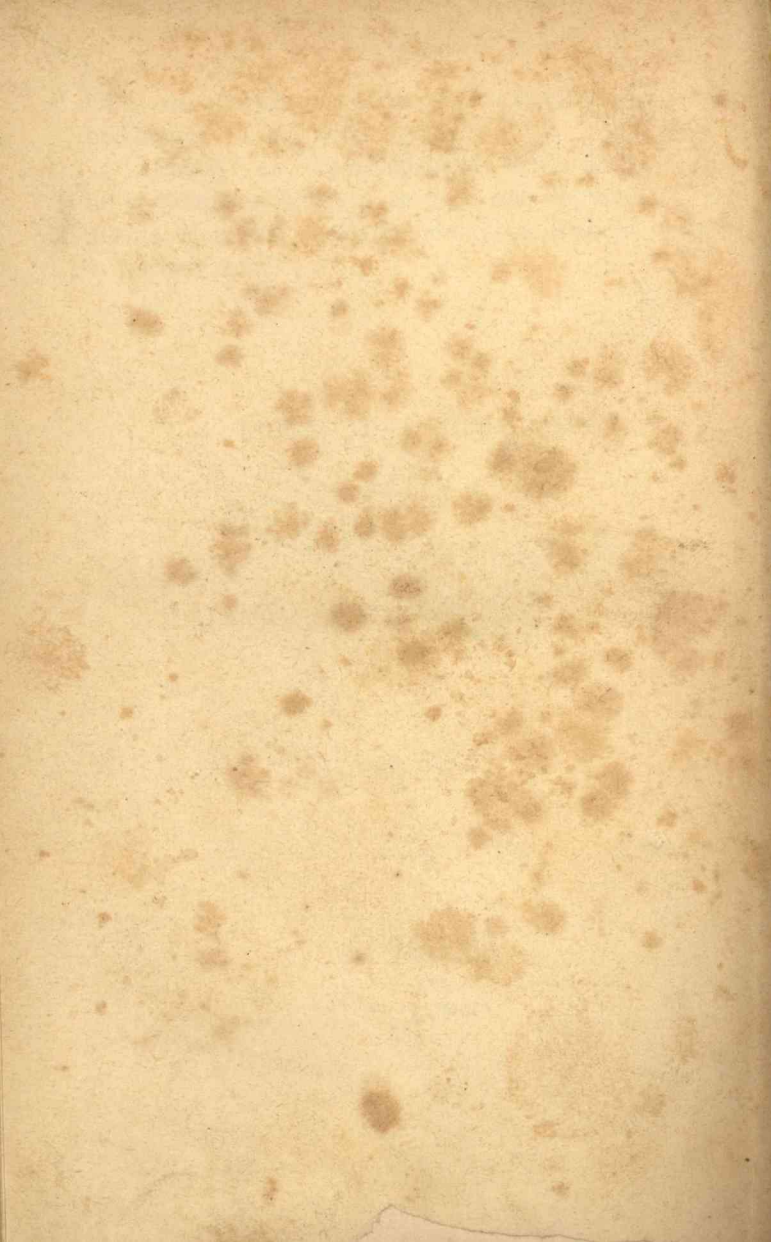
Patrzył za odjeżdżającymi Hryb długo, siedząc  
na spróchniałej barci, a na jego czaszkę wypełzła pro-  
mienienie słoneczne padały, ubierając skronie sędziwe  
w koronę złotą.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

~~BIBLIOTEKA  
URZĘDNIK TOWARZYSTWA W KRAKOWIE  
SEKCJA III~~

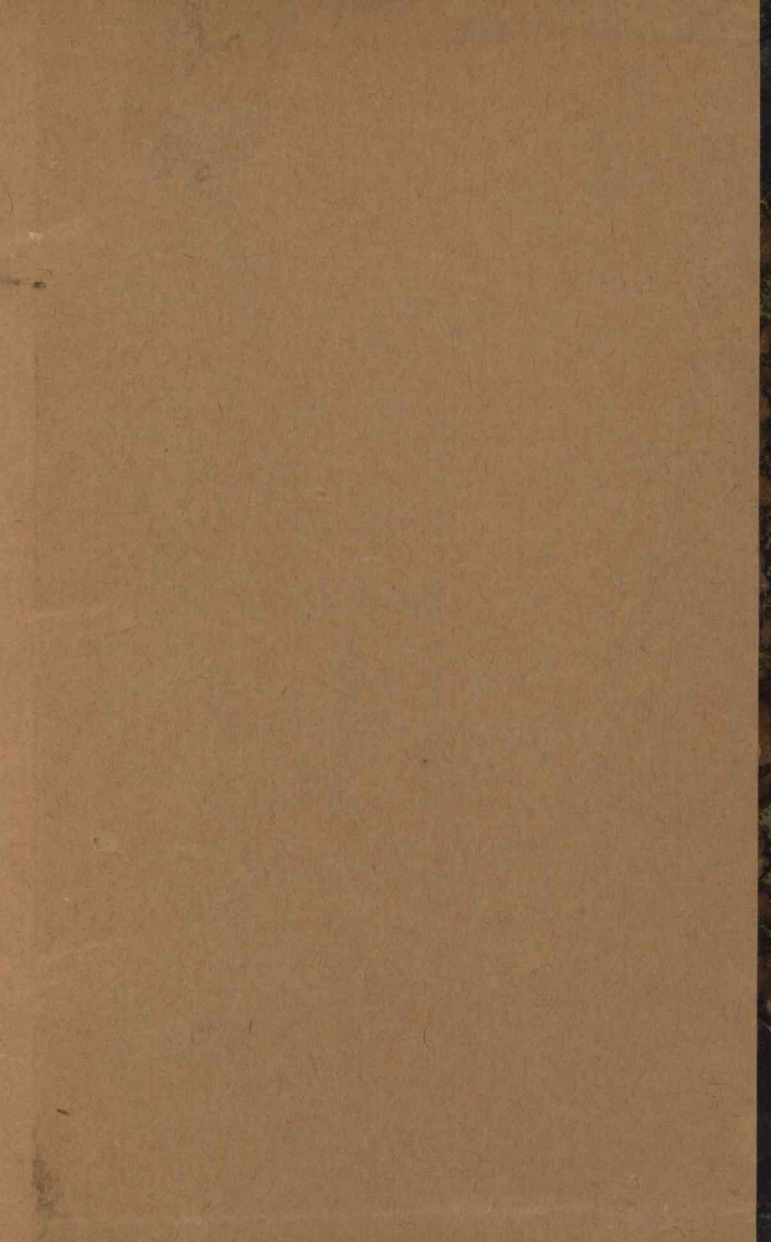
BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN











Biblioteka Uniwersytetu  
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ  
w Lublinie

A 20816

1

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie  
Biblioteki



1000171956